

PAMIĘTNIKI

PAMIĘTNIKI
PAWŁA POPIELA

(1807—1892)

KRAKÓW 1927
KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA



ODBITO W DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM LEOPOLDA WÓJCIKA.

Wydając *Pamiętniki* Pawła Popiela w trzydzieści pięć lat po jego śmierci, potrzeba obecnemu pokoleniu przypomnieć postać człowieka, którego nazwisko nie było w kraju bez znaczenia, a którego zapatrywania polityczne, choć wyrażone w pamiętniku skreślonym dla dzieci, nie będą może bezużyteczne.

Jak większość ludzi wybitnych, Paweł Popiel miał wśród najlepszych — gorących przyjaciół i zwolenników, wśród innych, liczniejszych, — zawziętych nieprzyjaciół, którzy nazwisko jego uważali jako symbol wstecznictwa, którzy — często nieznając nawet jego osoby, a tem mniej zasad i działania — i za życia i po śmierci dobrej sławie jego uwłaczali.

Zdaje się nam więc, że przedstawienie prawdziwego wizerunku tego człowieka należy się prawdzie, a nawet historji.

Urodzony w ziemiańskiej rodzinie, wychowany przez matkę gorącego serca w zasadach miłości Boga i Ojczyzny, tym dwom uczuciom pozostał wierny aż do śmierci. Tak był bliski Sejmu Czteroletniego, ostatniego rozbioru, pierwszych porywów kościuszkowskich, że można było i o nim powiedzieć:

Czemu, mistrzu, twa siwizna
Stokroć młodsza mej młodości?...
Boś ty jeszcze znał Ojczyznę...

Nie miał też innych marzeń w młodości, jak poświęcić się służbie dla odrodzenia Ojczyzny. Nie spełniły się one, jak tyle innych, a krótka kampanja roku 1831 była tylko epizodem w jego życiu. Można jednak powiedzieć, że było ono długą, ciągłą służbą krajowi. A chociaż nie było mu dane zająć stanowiska bardziej odpowiedzialnego, to nie było sprawy, obchodzą-

cej Kościół lub kraj, którejby nie służył czynem czy piórem. Ani prace gospodarskie, ani wychowanie licznej rodziny nie absorbowały go tak, by na chwilę stracił poczucie potrzeb swego kraju i społeczeństwa. Można śmiało powiedzieć, że Ojczyznę kochał namiętnie; nietylko gorąco pragnął jej wskrzeszenia, ale wierzył w nie mocno. Nie sądził jednak, by powstać mogła przez konspiracje i spiski; wogóle wszelka podziemna robota była mu wstrętna. Tego mu spisek nie zapomniał.

Uważano Pawła Popiela jako przedstawiciela zacofanego konserwatyzmu. To prawda, że nie zmienił on nigdy swych zasad religijnych i politycznych, ale z pogardą wyrażał się o tym konserwatyzmie, który umie bronić tylko swego stanowiska i swego majątku. Zanadto był rozumny i wykształcony, by nie wiedział, że są rzeczy i ustroje polityczne, które się zmieniają, i z pewnością, gdyby żył obecnie, równie chętnie w odrodzonej Ojczyźnie przyjąłby rząd monarchiczny czy republikański, byle oparty na zasadach chrześcijańskich i uczciwych. Był, można powiedzieć, postępowym pod każdym względem; wyprzedzał poniekąd wypadki. W pierwszej podróży zagranicę, jako 18-letni chłopiec, porównuje położenie chłopów na Morawach z położeniem ich u nas, i pisze w dzienniczku swoim: „tem więcej utwierdzam się w mojem przekonaniu, że główną przyczyną nędzy naszego ludu jest przeciążenie go pańszczyzną i niedostateczna ilość gruntu". Pisał to — sto lat temu!

Ta sama szerokość poglądów odznaczała go we wszystkich dziedzinach życia, czyto w gospodarstwie rolnem, w którem stosował najnowsze metody, czy w literaturze, której śledził rozwój w kraju i zagranicą. Ale szczególniej cechowała go bezstronność, która mu pozwalała obcować z ludźmi nawet innych przekonań. Swoich zasad nie zmieniał, ale cudze szanował, w dyskusji się nie unosił, a w polemice piśmiennej, odpierając zarzuty, nigdy nie drażnił, ani osoby przeciwnika nie zaczepiał. Zachował dziwną młodość uczuć aż do śmierci; do końca umiał się cieszyć każdą rzeczą piękną, czyto w naturze, czy w sztuce i literaturze. Ale nadewszystko w człowieku szukał podniosłości uczuć, oceniał w nim każdą stronę szlachetną, choćby był jego przeciwnikiem. Jakim umiał być przyjacielem, to wiedzą ci, którzy się do niego zbliżyli. Miał dar podnoszenia ludzi, zgadywał niejako, co tkwi na dnie niejednej duszy, bo ro-

zumem miał oświecone oczy serca, i wielu było takich, którzy późniejszy rozwój i kierunek życia jemu zawdzięczali.

Ludzi cenił według ich wartości wewnętrznej, okazywał szacunek każdemu, na jakimkolwiek był szczeblu społecznym, byle był uczciwym człowiekiem. Nie wszystkich darzył tem uczuciem, bo znał się na ludziach, — ale w wydawaniu o nich sądu był bardzo wstrzemięźliwy, a *Pamiętniki* jego świadczą, jak obmowa była mu wstrętna.

Młodość duszy i ciała zachował do końca długiego żywota; było to zasługą życia pod każdym względem opanowanego i podniosłości uczuć. Przeszło ośmdziesięcioletni, i po złamaniu nogi, wchodził na najwyższe piętra rusztowania kościoła Panny Marji w Krakowie, którego restauracją się trudnił, bo go ciągnęło nieprzeparte zamiłowanie tego przybytku, świadka i chwały i nieszczęść naszych, a prawie w ostatnich chwilach życia dyktował artykuł: *Słowo w długoletniej rozprawie*, gdzie bronił i przyjaciela, i zasad, za które walczył do końca.

Sądzimy też, że w pismach i w żywocie jego czytelnik dobrej wiary znaleźć może naukę i światło, bo są prawdy, które nie umierają, a których zanik jest zawsze dowodem, że społeczeństwo chyli się do upadku.

Jeżeli niniejsza książka do zrozumienia tych prawd choć w maleńkiej mierze dopomoże, będzie to najlepszą nagrodą tak dla tego, który ją napisał, jak i dla tych, co po szeregu lat wydobyli ją z zapomnienia.

ROZDZIAŁ I.

Dzieciństwo. — Społeczeństwo ówczesne. — Księstwo Warszawskie.

Dnia 5-go maja 1879, w dwudziestą rocznicę śmierci mojej matki, zaczynam, kończąc 72-gi rok życia, ten pamiętnik dla moich dzieci.

Urodziłem się 21 lipca 1807 r., w Krakowie, w domu przy ul. Stolarskiej (dziś dom Morstinów), z ojca Konstantego, kasztelanica sandomierskiego, syna Pawła i Konstancji Komorowskiej, synowicy Prymasa, i z matki Zofji, córki Marcina Badeniego, podówczas radcy stanu, później senatora, wojewody i ministra sprawiedliwości, i Marjanny Wawrzeckiej, siostry Tomasza Wawrzeckiego, wiele na Litwie zasłużonego, a którego matką była Tyzenhauzówna, siostra sławnego podskarbiego.[1] Po Tyzenhauzach z krwią odziedziczyła charakter energiczny, ale i dziwactwo, o którem może później przyjdzie mówić. Babki mojej Popielowej nie znałem. Umarła wskutek uderzenia piorunu w kościół w Waśniowie, ratując drugich, a niepomna siebie, a to w sam dzień, kiedy Stanisław August, wracając z podróży z Kaniowa do Chocimowa, do mojego dziada miał przyjechać.[2]

Dziada mojego Popiela, kasztelana sandomierskiego, nie znałem, bo umarł w 1809 roku, ale zostało mi wspomnienie jego śmierci.

---

[1] Założyciel sławnych grodzieńskich fabryk w celu uprzemysłowienia Litwy. Niestety, jak tyle polskich przedsiębiorstw, w kilkanaście lat upadły, pociągając za sobą znaczną część majątku Tyzenhauza, a powodem tego były nietylko zbyt ryzykowne pomysły, ale szczególniej zazdrość i intrygi (1780 r.).

[2] Dramatyczny opis tego zdarzenia podaje *Gazeta Warszawska* z dn. 20 czerwca 1887 r., kończąc temi słowy: „Miała wkrótce przyjmować w domu swoim króla ziemskiego, a ją Król Niebieski po nagrodę cnót wielkich do Siebie powołał. Jakgdyby wieszcze dla niej były owe podczas piorunu śpiewane od kapłana słowa w ewangelji, iż miał ją Bóg tego dnia przeprowadzić z nędznej świata tego Babilonji do wiecznej i niebieskiej Jerozolimy: *et post transmigrationem Babilonis*“...

Mój dziad rodzeństwa nie miał, najbliższym jego krewnym był pan chorąży wiślicki, po którym synowie umarli bezdzietnie. Ojciec mój miał starszego brata Onufrego, który zostawił dwóch synów, Józefa i Hipolita,[1] bezdzietnych. Miał trzy siostry: chorążynę Stadnicką, łowczynę Stadnicką i Wąsowiczową.

Mój ojciec wziął w dziale Czapłe Wiełkie, Chocimów[2] i starostwo łętowskie, z prawem do trzymania go łat 25. Wziął te majątki otaksowane drogo, dlatego, aby posagi sióstr mogły być spłacone, oraz dlatego, że zboże było drogie a pieniądze papierowe wartość ziemi wygórowały. Stąd wielkie i długie majątkowe niepowodzenia; ponieważ jednak ojciec mój, biorąc te majątki z takiemi ciężarami, zrobił to, aby zadość uczynić ojcowskiej woli, Pan Bóg nam, jego synom, hojnie to wynagrodził.

Moja matka, która poszła zamąż mając lat 17, była kobietą niepospołitego serca, rozumu i uroku. Zaniedbana przez matkę, odebrała przez czas krótki niezatarte nauki od wielkiej pani francuskiej, hr. de Rougé, która w czasie emigraacji założyła pensję w Wiedniu. Wpływ tej matki zaczął się u mnie od łat niemowlęcych, a trwał całe życie. Umiała wpoić bojaźń Bożą i miłość prawdy od dziecka, i to w tak dziwny sposób, że te uczucia prawdziwą wonią i szczęściem napełniały dusze.

Majątek na oko był spory, moi rodzice za Księstwa Warszawskiego trzymałi dom otwarty. Pamiętam podówczas jak przez mgłę Kniaziewicza, Kamienieckiego, adjutanta ks. Józefa, Biegańskiego jenerała, pamiętam paradę na Szczepańskim Płacu: ks. Józefa otoczonego adjutantami i panią Zamoyską, przypinającą krzyże przed frontem żołnierzom, którzy w ostatnich odznaczyli się bitwach. Na balu danym dła ks. Józefa przez miasto w Sukiennicach nosili mnie na ręku, i bardzo wyraźną mam pamięć oświeconej i ubranej tej długiej sałi. W rok później (było to u mojej ciotki Byszewskiej w Ujejscu) przyszła wiadomość o śmierci ks. Józefa: obie siostry zanosiły się od płaczu, płakałem z niemi.

Po wojnach, obniżeniu cen zboża i ziemi, zawitał do majątków szlacheckich niedostatek, zwłaszcza gdy, jak u mego ojca, obciążone były spłatami.

Rodzice moi mieszkali w Czapłach. Do większego majątku, Chocimowa, jeździliśmy corocznie w jesieni. W pierwszych latach mego

[1] Hipolit ożeniony z Wikt. Lubieńską — Onufry z Wojnianką.
[2] Czaple w ziemi kieleckiej — Chocimów w sandomierskiej.

dzieciństwa zjeżdżali się tam liczni sąsiedzi, którzy pamiętali p. kasztelana sandomierskiego i na ojca mego przelali przyjaźń i uszanowanie, Ławscy, Jasińscy, Tyczyńscy, Horochowie itd. Zczasem wymarli, i zjazdy ustały, ale pamiętam jeszcze to pokolenie z polskim po części strojem, z polskim zakrojem, w którym przeważać zaczynał nowy cywilizacyjny żywioł. Majątek był dosyć rozległy, ale obchudzony — mój dziad miał spory szlachecki majątek, bo, oprócz starostwa i dóbr emfiteutycznych,[1] posiadał Czaple, Chocimów, Wyszmontów i pół Linowa, prezydując jednak przez lat trzy Komisji Skarbowej w Warszawie, majątek podrujnował i zadłużył, część jego utracił, a część dobrze obciążoną oddał mojemu ojcu.

Ojciec mój pracowity, dla siebie dziwnie oszczędny, dla gościa i biednego hojny, chociaż praktyczny, nie miał tych gospodarskich poglądów, które zaczynały być koniecznemi, ani kapitałów, aby je wprowadzić w życie. Jego nadzwyczajna, aż do skrupulatności idąca uczciwość w interesach mnożyła długi, bo procenta, czy siostrom, czy wierzycielom, musiały być opłacone. Kredyt ułatwiała akuratność. Czasy w kraju wyczerpanym przez podatki, kontrybucje, ofiary ostatnich wojen, przy obniżeniu niesłychanem cen zboża i ziemi, były nad wszelkie wyobrażenie ciężkie u każdego, cóż dopiero przy obowiązku płacenia licznych, choć nie lichwiarskich, procentów. Za pszenicę płacono w Krakowie po 9 złp. czyli $2^1/_4$ reńskiego za korzec, żyto po 5 złp. albo czasem po jednym reńskim, i to nie można było sprzedać nigdy większej ilości. W r. 1821 mój ojciec z pszenicą czapelską, chocimowską i łętowską popłynął do Gdańska i stracił na niej. Smutno pod względem materjalnym przypominam sobie te czasy. Ojciec mój nieoceniony — zawsze zaturbowany, brakowało na pierwsze potrzeby, gotówki w domu żadnej. Mimo to w domu panowała ogłada, życie umysłowe podniosłe, sfera towarzyska niezgodna z dochodami i z całem urządzeniem.

Moja matka miała niesłychany zapas życia, dowcipu, trafności i charakteru, które to dary w połączeniu ze stanowiskiem, jakie zajmował jej ojciec, Marcin Badeni, skojarzyły jej stosunki z kobietami swego czasu znakomitemi rozumem i cnotą. Cecylja z Platerów Ożarowska, Julja z O'Donełłów Wąsowiczowa, Paulina z Potockich Łubieńska — były to panie znakomitego wykształcenia umysłowego i ogłady światowej. W domu bawiła siostrzenica mego ojca

---

[1] Dożywotne dzierżawy państwowe.

Marjanna Stadnicka, stworzenie urocze dowcipem, dobrocią, wesołością, a wychowana wybornie; o niej często będą wspomnienia. Panie te wszystkie miały wykształcenie klasyczne francuskie, nic im nie było obce, rozmowa ożywiona, czytania nauczające. Wśród takich wrażeń i wpływów, do których zaliczyć muszę częste odwiedziny w Czaplach wuja mego, Sebastjana Badeniego, człowieka wielkiego świata w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, rozwijało się życie swobodnie, a że byłem ciekawy i uważny, bardzo młodo wykształciły się sąd i uczucie. Moja matka miała dziwny, osobny dar wychowania. Od dzieciństwa wykształcała sumienie przez poczucie prawdy i obowiązku. Z niemowlęctwa wychodząc — pamiętam — miałem poczucie przytomności Boga: modlitwa była zawsze miła i serdeczna, ale też matka dziwną posiadała w tem miarę i nie znużyła zbytkiem modlitw, a później praktyk. Modlitwy w dzieciństwie były krótkie, później samo poczucie naturalne, wywołane przykładem i potrzebą serca, mnożyło potrzebę stosunku duszy z Bogiem częstszego i dłuższego. Do spowiedzi i komunji św. zbytnich, sztucznych przygotowań nie było. Historji św., katechizmu nauczyła matka; w 10-tym roku życia przed spowiedzią i komunją św. chodziłem do Dominikanina Leszczyńskiego,[1] człowieka wielkiego rozumu, nauki i świątobliwości. Po dziś dzień pamiętam częste moje a bardzo miłe u niego odwiedziny. W końcu wspaniałego korytarza klasztornego w dużej celi siedział zakonnik mały, zawsze zatabaczony, z wypukłą, łysą głową, otoczony mnóstwem nieporządnie rozrzuconych ksiąg i foljałów, pełen życia, wesołości i dobroci. Scholastycznie wykształcony, znał doskonale literaturę klasyczną i polemiczną ostatnich czasów, a że, obok niezmiernego zapału do prawdy, miał wyobraźnię żywą, więc robił na umyśle ciekawym a sercu z natury nie zimnem niezmierne wrażenie. Najmilsze wspomnienia mego dzieciństwa: wizyty u Leszczyńskiego — katechizmu nie uczył mnie wcale, nawet o to nie pytał, ale rozmowa jego, otwierająca już dziecku dalekie poglądy, utwierdzała we wszystkich prawdach wiary, i mogę powiedzieć, że zapas przekonań, jaki na całe życie wyniosłem, nabyłem z nauki katechizmowej matki i z rozmów Leszczyńskiego. Takie fundamentalne pozostały stąd w duszy zasady, że ich nic zachwiać nie mogło... Prawda, że Leszczyński niezrównanie spowiadał, a matka

---

[1] O. Leszczyński Jan Gwałbert, S. T. Dr., ur. 1777 r., zm. 1853 w Krakowie.

piłnowała obyczajów. Spowiedź, choć niezbyt często ale dobrze odbyta, czujność domowa strzegą obyczajów, a obyczaje wiary. W owych czasach wolne mularstwo zalało kraj cały. Nie było obywatela, urzędnika, wojskowego, księdza niemal, coby niem nie był zarażony. Tej pladze, która później zwróciła i urzędową czujność rządów, wydał wojnę zakon dominikański, a głównie Leszczyński ze swojej celi, bo do domów nie chodził; z pod białego kaptura wywarł wpływ znakomity. Zszeregował nasze matki, natchnął duchem Bożym, reakcję zbawienną wywołał w społeczeństwie miasta. Wierne dziś rodziny Michałowskich, Badenich, Wielopolskich, Potulickich, Potockich z Chrząstowa, jemu winny natchnienie. Celował też u Dominikanów wielką nauką Mateusz Kozłowski, w gorliwości ks. Tomasz, którego też ówczesna policja senatu Rzpltej Krakowskiej (niech to będzie miarą czasów) skazywała niekiedy do więzienia za zbyt śmiałe powstawanie w kazaniach na masonów.

Szczęśliwe młodzieńcze lata moje w Czaplach zasmucał niedostatek, w jakim żyli ciągle rodzice. Przezacny ojciec odjeżdżał wciąż do Chocimowa, którego matka nie lubiła; powracał zwykle w złym humorze z powodu niepowodzeń gospodarskich. To usposobienie zwiększało się ze zbliżającym się św. Janem. Niezrównana uczciwość i akuratność mego ojca zmuszała go do nowych pożyczek, które nieograniczone zaufanie ułatwiało; powiększały się długi. Takie było życie w tej rodzinie, podkopanej majątkowo, utrzymującej stosunki i zwyczaje z dawniejszą tylko zamożnością zgodne, a dotykające wykształceniem i poglądami najwyższych sfer społecznych. Bieda była, ale każdy był wypłacony w czasie, tak, że godność na tem nie cierpiała, a czytania podniosłe, korespondencja obszerna, odwiedziny przyjacielskie i częsta bytność wuja Sebastjana, który zawsze zdaleka z zagranicy przyjeżdzał i wiadomości, książki, sztychy przywozil, działały tak, że w domu był nastrój wyższy i oddziaływał na usposobienie umysłowe i moralne synów.

Jak słuchanie i czytanie francuskich klasyków rozwijało smak, tak od młodu śpiewy Niemcewicza, poezje Woronicza, Goreckiego obudzały miłość Ojczyzny. Miałem lat 13, gdy po raz pierwszy czytałem Rulhière'a,[1] i nie zapomnę nigdy głębokiego uczucia bólu, żalu i wstydu, z jakiem dowiadywałem się o upadku kraju. Wkrótce dostałem Ferranda: *Les trois démembrements de la Pologne*. Ciężko

[1] Rulhière — autor dzieła *Histoire de l'anarchie de la Pologne*.

pisany, dał mi jednak dokładną wiadomość ostatnich czasów naszej historji. Nauczyciele domowi przygotowali mnie aż do VI-tej klasy. Po zdaniu egzaminu z V-tej otrzymałem od rodziców upragnione pozwolenie chodzenia do szkół publicznych, i r. 1822 wszedłem do liceum św. Anny.

Przepędzone lata na wsi do 15-go roku życia dokładny zostawiły mi obraz ówczesnych stosunków. Towarzyskie przedstawiały szczególny fenomen: niezmierną wyższość wykształcenia kobiet, aniżeli mężczyzn. Pierwsze odznaczały się wiadomościami w literaturze, historji, zwłaszcza ogładą i ożywioną wyobraźnią. Mężczyźni, prócz sfer najwyższych, naukowo mało wykształceni, z ciasnotą poglądów w politycznem, a nawet gospodarskiem polu, byli wogóle mało czynni i prócz tych, których życie wojskowe wykształciło, bardzo niskiego poziomu. Wychowaniem dzieci, nawet chłopców, trudniły się matki, i pokolenie przyszłe na tem zarobiło: bo choć wychowanie to miało barwę francuską, brało jednak natchnienie i ze zdrowych zasad i z poglądów wyższych, klasycznej francuskiej literaturze właściwych. Prócz przewagi, jaką już od pół wieku ten język osiągnął w Europie, rozprószeni emigranci francuscy, zwłaszcza księża, w każdym niemal napotykali się domu, najczęściej jako nauczyciele, i niemało im się zawdzięczało. Takim był w naszej rodzinie ks. Bussiere, nieoceniony domu przyjaciel, szczery i zdrowy doradca a proboszcz w Bejscach. Połowę roku przebywał w Czaplach, a jak rozsądne jego rady zbawienny wpływ wywierały, tak zawsze z ogólnym smutkiem wyjazd jego następował. Śmierć ks. Bussiere, która nastąpiła, kiedy miałem lat 12, była pierwszym moim bólem. Takich, jak ks. Bussiere, było w Krakowie i w całym kraju bez liku. Pamiętam znakomitego ks. Gille i brata jego doktora, ks. Boucher zdolnego literata, A. Montal proboszcza w Pleszowie, można ich było napotkać niemal w każdym większym domu. Kiedy Ludwik XVIII musiał schronić się do Mitawy, zalewali Podole i Litwę, pełny był szlachty francuskiej dom Tadeusza Czackiego w Porycku, hetmanowej Rzewuskiej. Niektórzy przyjęli służbę u rosyjskiego rządu, jak Richelieu, któremu tyle winna Odessa, Langeron, komendant korpuśny, i Saint Priest, gubernator Kamieńca. Przyjęci w Polsce z nadzwyczajną gościnnością, powróciwszy w czasie Restauracji do Francji, nie wszyscy okazali się pamiętnymi wobec Polaków gościnności, jakiej doświadczyli. Jak w Anglji emigracja francuska przyłożyła się na początku tego wieku do rozszerzenia tam katolicyzmu,

tak przyznać należy, że nieskończenie większa część emigrantów w Polsce wysłużyla się na czas albo na zawsze przybranej ojczyznie. Nie ich to było winą, że nieszczęśliwa moda, zamiast swego, kazala obcego używać języka, ale ich jest zasługą, że wogóle dobre krzewili zasady i w filozoficznym i w politycznym zakresie.

W usposobieniu umyslów, na jakie wskazałem, w stosunkach obywatelskich na zupełnej równości opartych, dokonywal się przełom i grupowanie rodzin i domów więcej do siebie zbliżonych wyobrażeniami i wychowaniem; typy oryginalne, staropolskie wyginęły, stąd trudnoby mi bylo wskazać na zbyt wielkie różnice pomiędzy ówczesnem a dzisiejszem społeczeństwem. Wplywy europejskie, prawodawstwo, wojsko, administracja, prędko przerobily ludzi na nową modłę, a starly dawniejsze barwy. Nie pamiętam ja już czasów dawnej prostoty, o której zwykle z przeszlości slyszymy, ale stosunki dosyć konwencjonalne, które mialy może większe, niż dzisiejsze, wymogi. Rozmowy były dosyć jalowe: po rok 1820 ustawne zwroty na czasy napoleońskie i żale po nich; później, w miarę jak rząd Królestwa Kongresowego się ustalal, sejmy zaczęly funkcjonować, rady wojewódzkie dzialać, mówiono o publicznych sprawach, o ile pamiętam, z bardzo malem ich zrozumieniem, przynajmniej w okolicy, jak nasza, od stolicy dalekiej. Wielka materjalna bieda absorbowala umysly. Dopiero kiedy Lubecki wlał nową we właścicieli otuchę, a sejm r. 1825 zawotowal prawo o Towarzystwie Kredytowem, kiedy Bank kredyt ułatwial, przemysl rozwijać się zaczął, to fabryczny w Kaliskiem, to górniczy w Krakowskiem, ruch pieniężny i dobrobyt podnosić się zaczęly. Długo niedowierzała szlachta nowym czynnikom: sparzona na bankructwie bankocetli austrjackich w r. 1809, z obawą albo wstrętem przyjmowala za swoje kapitały hipotekowane listy zastawne, które nawet pomiędzy światlejszymi obywatelami, zwłaszcza jeżeli należeli do kapitalistów, mialy przeciwników.

Historja tych czasów (a może najtrafniej scharakteryzowal ją L i s i c k i) wskazuje, jak rozumiano instytucje konstytucyjne i jak ich używano. Ruch liberalno-francuski, który kraj caly niemal opanował, a mial swoje ognisko w Kaliskiem, w naszych stronach mniej liczyl zwolenników, w rodzinie zaś naszej i w bliższych znajomych mial przeciwników. Towarzystwa tajne, to z celem humanitarno-politycznym ogólnym, to zabarwionym patrjotyzmem, byly ogólnie pod formą „masonji" rozszerzone. Do nadzwyczajnych należało wyjątków, gdy kto, jak mój ojciec, do nich nie należał. Towa-

rzystwa te dawały jednostajny i bezwiedny kierunek opinji: dlatego to mowy przeciwko księżom i ich wpływowi, pochwała znoszenia klasztorów, które niszczono wskutek buli Piusa VII zdradziecko wytłumaczonej i wykonanej, były na porządku dziennym. Miałem wrodzone zamiłowanie do pomników przeszłości, i dlatego, obok gorliwości o zakłady duchowne, choć niedorostek, nie mogłem wstrzymać oburzenia na ten wandalizm, który jedyne zabytki sztuki w gruzy zamienił. Dziwna podówczas obudziła się niechęć do przeszłości, a panowała niewiadomość i obojętność dla sztuki; równocześnie też, i znowu z niemałym dziecka żalem, burzono ratusz krakowski, baszty, które miasto tak malowniczo okalały, a które tak łatwo było wpleść w wieniec drzew, którym miasto otoczono. Florjańską bramę, już przez senat na rozebranie zadekretowaną, wyratowała moja matka, wpadłszy z właściwą sobie żywością do ówczesnego prezesa Wodzickiego, senatorów Grodzickiego i Michałowskiego, i wymownie broniąc tego zabytku.

Jakie w Krakowie panowało społeczeństwo, jakie domy mieszkały, jacy ludzie i zwyczaje — dostatecznie w swoich pamiętnikach opisali Wodzicki, Gawroński, De Laveaux i inni. Dodam, że pamiętam starościnę olbromską Dembińską, z domu Morstinównę. Miała lat ośmdziesiąt z okładem, z krzesła nie wstawała swojego, a nawykła do przewodzenia na sejmikach poselskich i trybunalskich, zachowała powagę, której wszyscy bez wyjątku ulegali. W jej to domu, a także i w naszej rodzinie, bywał wiele szambelan Gorzkowski.[1] Nawskróś człowiek XVIII wieku, przyjaciel Trembeckiego, oczytany, wielki podróżnik, silnego rozumu, który mu wystarczył, aby uznać błędy polityczne czasu i uczonych, z którymi duchowo obcował, ale nie wystarczył, aby go do uznania Boskiej doprowadzić prawdy. Rozmowy nader ciekawej i nieprzebranej, ale nużącej z powodu bardzo mocnego zająkiwania.

Miał Kraków uczonego Sołtykowicza: niegdyś profesor, następnie emeryt Akademji, utrzymywał pensję młodzieży. Tam się to wychował jenerał Chrzanowski, Ignacy, Kazimierz i Michał Badeniowie, Aleksander i Eustachy Jełowiccy, Walery Wielogłowski. Tam bywając często, zabrałem z tymi ludźmi przyjaźń dozgonną, a z rozmów Sołtykowicza korzystałem wiele. Był to człowiek wyższy nad swój

---

[1] Którego korespondencja z p. Sebastjanem Badenim dotąd się przechowała.

czas i otoczenie: kto o jego wartości naukowej chce się przekonać, niech czyta *Historję Akademji Krakowskiej*. Jest to mowa, którą miał na uroczystość przyjęcia króla saskiego a księcia warszawskiego przez Akademję krakowską, opatrzona później nader cennemi przypiskami. Ktokolwiek przedsięweźmie napisać porządną historję Akademji, weźmie za punkt wyjścia książkę Sołtykowicza. Na mowę, zwłaszcza dla monarchy, za długa, wiadomo też, że król zasnął na sesji. Z ludzi znanych żył jeszcze regent koronny Stanisław Badeni, prezes senatu krakowskiego a senator Królestwa Stanisław Wodzicki, człowiek prawy, rządny, wykształcony, wszakże lepszy botanik niż urzędnik, Kasper Wielogłowski,[1] prezes komisji województwa krakowskiego. Dowcipem celował Józef Mieroszewski, Michał Walewski, sztuce oddawał się Mieroszewski Ignacy. Po wojnach francuskich tak świetnie odbytych a odrodzeniu Królestwa Polskiego usposobienie umysłów było nadzwyczaj swobodne. Jeżeli ojciec rodziny a właściciel dóbr przeciążonych był przyciśnięty, to młodzież zwłaszcza zdolniejszą przepełniała wesołość, co nietylko odbijało się w zabawach towarzyskich, ale i w umysłowych, pełnych dowcipu i werwy, stosunkach. Każdy z wymienionych ludzi w Krakowie, również jak Morawski, Molski, Tymowski w Warszawie, mieli zawsze na pogotowiu wiersz dowcipny, zjadliwy, albo patrjotyczny. I dla badaczy owych czasów nie byłaby obojętną książka, w którejby znaleźli listy, wiersze ulotne, bajki, satyry wymienionych, a wszystkich równie do szabli jak do pióra zdolnych. Z natury nie jestem *laudator temporis acti*, a zachód mojego życia nie jest też tak smutnym, abym był dla teraźniejszości niesprawiedliwym. Ale usposobienia naszej młodzieży ani porównać do rozkwitu, barwy i woni ówczesnego pokolenia. Nie może być inaczej: kto przebył rok 31 i jego następstwa, kto przebolał straszny rok 46, kto patrzał na rozwiane nadzieje, które rok 48 obudził, a dożył 63-go, ten musiał i posmutnieć i spoważnieć, i nie byłoby w tem nic złego, że polską lekkomyślność ukrócono, gdyby straszne doświadczenia wyrobiły u większości narodu zdrowe polityczne zasady.

---

[1] Siostrzeniec ministra M. Badeniego, już jako 70-cio letni starzec uwięziony został w 1846 r. i osadzony w cytadeli w X pawilonie, którego komendantem był osławiony Storożenko. Po kilku miesiącach takiego więzienia umarł. Bardzo wiarogodne szczegóły o obchodzeniu się z więźniami w cytadeli w *Pamiętnikach* ks. arcyb. W. Popiela.

Gospodarstwo było pańszczyźniane: wogóle trzechpolowe. Kiedy w czasie ostatnich wojen napoleońskich ceny zboża dochodziły cyfr bajecznych i ziemia poszła w górę, kontrybucje część zysku zabrały, resztę roztrwonił nierząd. Od ziemi żądano wiele ziarna, nie bacząc, aby jej oddać nawozem, co straciła na jego produkcję. Lata cen niskich zastały gospodarstwa wyczerpane, ze słabym inwentarzem, bez kapitału, a nawet bez znajomości dokładnej tajemnic natury. Słyszano zdała to o przemiennem, to o płodozmiennem gospodarstwie, bez dokładnego wyobrażenia, coby to było: Biernacki w Kaliskiem wdał się w postępowe gospodarstwo i zbankrutował. Chłapowski w Poznańskiem zakładał fundamenta swego gospodarstwa i dobrobytu: głuche, jak o jakich cudach, chodziły o tem wieści, zaczęto jednak i u nas siać koniczynę, zaprowadzać poprawne owce, wreszcie sadzić na większą stopę ziemniaki i palić z nich wódkę na dokładniejszych aparatach. Chłopa położenie było bardzo ciężkie. Jakkolwiek prawodawstwo Księstwa Warszawskiego, jak i Królestwa Polskiego dało mu wolność osobistą, praktycznie jednak korzystać z niej nie mógł. Czyż miał z żoną i dziećmi iść na tułaczkę? Toteż siedział na gruncie i znosił ucisk, który nie leży w naturze kontraktu pańszczyźnianego, ale leży w sposobie wykonania. Pańszczyźniana robota ma tylko o tyle wartość, o ile jest wykonaną w danej chwili, na żądanie uprawnionego, bezwarunkowo. Jest zatem w istocie tego stosunku, że ten, który ma prawo do pańszczyzny, musi posiadać prawo zmuszania do jej wykonania. Stąd nadużycia: interes osobisty, mimo szlachetności i najlepszych, niby sprawiedliwych chęci, skłaniał w danej chwili do surowości nieprzebłaganej, cóż dopiero, gdy się zważy, że wykonanie pańszczyzny nie było w ręku pana, ale prawie zawsze ekonoma, podstarościego, a nawet włodarza: że każdy z tych, odpowiedzialny względem pana za dobrą i szybką robotę, musiał mieć poniekąd dyskrecjonalną władzę. Złe powiększało się, gdy wielu z właścicieli w latach cen wysokich pszenicy pokasowali kmieci, a tak z jednej strony zmniejszyła się ilość sił roboczych, z drugiej zwiększyła przestrzeń, którą uprawić i z której zebrać należało. Stąd powaby, tłoki, najem przymusowy, który po zbyt niskich cenach wyzyskiwał robociznę. Najem ten był płacony po 10, czasem po 6 groszy na dzień, a nie pytano, czy sobie chłop zbierze i kiedy zbierze: pamiętam, że chłopi wieczorami i nocami zbierali. Stosunek jednak z włościanami i z ludem nie był zbyt naprężony: dobroduszna natura i pana i chłopa zbliżała ich do siebie, tem bardziej, że mało

było panów, którzyby nie znali obowiązków, jakie podobny stan rzeczy na nich wkładał: ale trzeba prawdę wyznać, że chłop bywał najmniej wyzyskiwany, najlepiej uposażony w dobrach duchowieństwa i wielkich panów.

Mimo to mogę powiedzieć, że, ponieważ miałem do chłopa jakiś pociąg naturalny a wzmocniony przez zasady, praktyka pańszczyźniana zatruwała mi w dzieciństwie przyjemność życia wiejskiego, używanie robót, jak żniwa i innych, bo przy nich przychodziło mi czasem widzieć, jeżeli nie wprost niesprawiedliwość, to gwałt i samowolę.

Umyslowo, jak to już wspomniałem, wyżej stały kobiety, aniżeli mężczyźni: w czasie porozbiorowym i podczas wojen Księstwa Warszawskiego nie było podobna kształcić się, tylko przez życie publiczne, urzędowe lub wojskowe. Z powstaniem Królestwa i małej Rzeczypospolitej Krakowskiej pomyślano o szkołach. I tu i tam żyli jeszcze członkowie dawnej Komisji Edukacyjnej i zachowali jej tradycje. Obok urządzenia wychowania wyższego wzięto się do szkół wszystkich z gorączkową gorliwością, która przeszła, jak każda gorączka i moda. Zrazu pamiętam niesłychane zajęcie się temi szkołami, pamiętam nawet tak zwaną naukę moralną i obyczajową, która była przepisana. Szkółki te bez funduszów, bez zastępu ludzi zdatnych na nauczycieli upadły, a kiedy równocześnie liczne klasztorne szkółki przez kasatę zakonów zostały zwinięte, słusznie można powiedzieć, że oświata ludowa może bardziej była zaniedbaną, niż za dawnych czasów: i rząd i obywatelstwo, z wyłączeniem kilku wielkich panów, nic dla niej nie zrobili; uważana zrazu pod ministrem Stanisławem Potockim jako niezbędna i za dźwignię narodową, pod Stanisławem Grabowskim była podejrzaną, jako czynnik niebezpieczny, i stać się takim mogła z fałszywym kierunkiem, jaki jej nadać z początku usiłowano.

Szkoły średnie w Krakowie i Królestwie na jedną były urządzone modłę. Nauka rozłożona w gimnazjum na sześć klas nie była wysoka, a jednak ludzie, którzy z tych szkól wyszli, nie byli pośledniejsi od dzisiejszego pokolenia. Już wobec stanowiska, jakie zyskiwały nauki ścisle i przyrodnicze, za dużo ich wtrącono obok klasycznych studjów, a jeszcze nie był znany rozdział szkół na klasyczne i realne. Stąd młodzież byla przeładowana mnóstwem przedmiotów, na co takie tylko było lekarstwo, że nauki przyrodnicze lekko traktowano i było niemal obojętnem, jakie kto miał postępy z historji naturalnej, fi-

zyki itd. Nie tak co do matematyki. O tę bardzo dbano, i dosyć wysoko, może za wysoko uczono jej w gimnazjach. Łaciny uczono nieźle, greckiego niedbale, nauki były po polsku, duch patrjotyczny — i u tych, co uczyli, i u studentów. Ochota do nauki wogóle znaczna. Do kościoła chodziliśmy codzień: nauka religji była bardzo słaba, podniesienie duchowe kościelne żadne; obyczaje nienajgorsze. Karność szkolna mimo figlów, które studenci profesorom niektórym płatali, poważna.

Uniwersytet krakowski posiadał kilku matematyków znakomitych, jak Szopowicz, Sapalski. Na wydziale prawnym używał reputacji Litwiński, Adam Krzyżanowski; ostatni był znakomitym praktykiem; szkoły nie stworzyli. Między filologami odznaczał się Münich; sprowadzony z Getyngi zaszczepił nieco klasycznego ducha.

ROZDZIAŁ II.

Uniwersytet. — Pobyt w Warszawie. — Marcin Badeni. — Stan umysłów w Warszawie.

Na uniwersytet krakowski nie chodziłem. Zdawszy w lipcu 1823 r. egzamin *maturitatis* z nagrodą, pożegnawszy szkołę i senat krakowski mową łacińską na amfiteatrze Nowodworskiego (mowę tę stary Wysocki układał), pojechałem na uniwersytet do Warszawy.

Już w owym czasie i usposobienie sejmu r. 1820 i objawiające się ruchy studenckie to w Niemczech, to w Warszawie, to w Krakowie obudziły czujność rządów. W Królestwie Polskiem wyszedł zakaz surowy, aby młodzież nie ważyła się wyjeżdżać na nauki do szkół obcokrajowych. Mój ojciec był dwukrajowym, ale dziad mój, Marcin Badeni, był ministrem sprawiedliwości w Królestwie Polskiem i podobno W. Ks. Konstanty dał się słyszeć ze zdziwieniem, że wnuk pobiera nauki zagranicą, kiedy wszyscy studenci musieli powracać do kraju: dość, że ku jesieni dziad mój, jak zwykle, zjechał do swoich dóbr Kołaczkowice, jak zwykle przybył i do Czapel: nastąpiła konferencja z rodzicami, po której dowiedziałem się, że miałem z dziadem jechać do Warszawy.

Moja matka, chociaż zarówno kochała wszystkie dzieci, tak była ze mną zrośnięta przez początkową wychowania pracę, wspólne zaufanie, jedność zasad, że obok obawy o obyczaje i prowadzenie, których tak doskonale strzec umiała, nie mogła spokojnie przyjąć tego rozdziału. Gwałtowna w uczuciach, tak się zmartwiła, że siwizna pokryła jej włosy.

Pojechałem z dziadem do Kołaczkowic, skąd za dni kilka puściliśmy się do Warszawy. Było to późną jesienią, dni były krótkie, a dziad mój, który zamłodu wiele po Litwie jeździł, lubił z ludem rozmawiać i miał instynkt obserwacyjny, kazał bardzo wczas do

znajomych zajeżdżać karczem, gdzie nas poprzedzała bryczka z kucharzem i kamerdynerem Feliksem. Rozmowa z szynkarzem i ludźmi zajmowała Dziadowi mojemu wieczór, zapewne nie mało się tam dowiadywał, i pewno też nikt lepiej od niego nie znał ludu i jego potrzeb. Tak potrzebowaliśmy dni pięć, aby do Warszawy zajechać.

Pobyt mój, choć niestety krótki, u mojego Dziada jest nadto ważnym epizodem w mojem życiu, abym się nad nim dłużej nie zatrzymał. Kto chce wiedzieć, czem był Marcin Badeni, dowie się z *Pamiętników* Koźmiana. Brat Stanisława, naprzód sekretarza królewskiego, a następnie regenta kancelarji koronnej, zapewne przez starszego brata wszedł w stosunki z dworem. Umysł nadzwyczajnie żywy, dowcip wesoły, nadzwyczajna trafność i bystrość sądu zwróciły na niego uwagę króla i rodziny Poniatowskich. Kiedy wielkie dobra stołowe na Litwie, nieprzynoszące królowi dochodu, miały być wydzierżawione, pan Marcin namówił ks. eks-podkomorzego, aby ofiarował cztery miljony tenuty. „Dobrze, jeżeli podejmiesz się administracji". „Podejmę, a czwartą część zysku książę mnie przyznaj!" „Zgoda". Pan Marcin Badeni wziął się do urządzenia ekonomij litewskich, puszczania folwarków w dzierżawy, osadzania chłopów na czynsze. Trwała ta czynność lat kilkanaście, była pracowitą, bo często wspominał, jak podówczas był w ciągłych podróżach i zachodach. Musiała być nietylko użyteczna dla dzierżawców, bo odtąd zaczęła się jego wielka wziętość, popularność na Litwie, gdzie liczne uszczęśliwił rodziny, a próbował także spełnienia ulubionej ks. eks-podkomorzego i swojej myśli usamowolnienia włościan, którą, jak zobaczymy później, w Krakowskiem urzeczywistnił. Skutki tej pracy były świetne, na swoją część odebrał znaczną sumę, bo przeszło półtora miljona złp., a nie zapomniała mu tego zawiść, mówiąc, iż „dobre miejsce, dało Bejsce". Został szambelanem, używany przez króla do spraw najtrudniejszych i najdelikatniejszej natury; kiedy król złożył koronę, a ks. eks-podkomorzy kraj na zawsze opuścił, Badeni prywatnemu oddał się życiu, a zakupiwszy od ks. Sanguszki klucz bejski i klucz kołaczkowski, od sukcesorów zaś pani krakowskiej (z Poniatowskich hetmanowej Branickiej) Ruszczę i Kameszmicę, osiadł na wsi i oddał się urządzeniu znacznych swoich majątków. Podczas pobytu na Litwie zaprzyjaźniony z Tomaszem Wawrzeckim, znanym później naczelnikiem powstania po wzięciu do niewoli Kościuszki, poznawszy jego siostrę, wdowę po Przesieckim, zakochał się w niej i ożenił. Urodzona z Tyzenhauzówney, siostry w.

podskarbiego litewskiego, odziedziczyła po nim energję, zdolność, ale i wielką oryginalność, czasem aż do dziwactwa dochodzącą, która całe dziada mojego życie utrudniło. W czasach porozbiorowych urządzał dziad mój znaczne swoje dobra, w których stałe mieszkając, budował piękny pałac w Bejscach, dom w Ruszczy, dom i kościół w Kołaczkowicach, a ustawicznie podejmował gościnnie niemal wszystkie znakomitości krajowe, z któremi był w stosunkach. Podówczas to przebywali w Bejscach Śniadeccy, głównie Jan, Koźmian, ks. z Zamoyskich Sapieżyna. Podówczas nie obeszło się bez niego przy żadnym ważniejszym kompromisie, dziale, jak świadczą luźne zachowane listy do ks. Generała Ziem Podolskich, to ks. Marszałkowej, to p. Rozalji Rzewuskiej. Zewsząd prośby o radę i pomoc, zawsze gotów do usługi, sam niczego nie potrzebuje, a ciągle w stosunkach z wielkimi panami, stanowi jako zasadę, że nie trzeba być z nimi ani za blisko, ani za daleko (z durniami nigdy, a z panami rzadko — tak mawiał). Cóż mu dawało to stanowisko? Niesłychana prawość charakteru, gotowość na usługę drugich i trafny rozsądek, dochodzący do genjalności w działaniu i mowie. Mój Dziad, prócz ojczystego języka, posiadał tylko łaciński — w czasie, w którym obczyzna panowała u dworu i w społeczeństwie, ale uwagi jego były tak trafne, dowcip tak cięty, a zarazem wesoły, że jednem słowem piętnował charaktery i położenia, wskazywał drogi postępowania czy w prywatnem, czy w politycznem życiu. Już podówczas tak ogólnego używał uznania, że Czacki ledwo wydrukowany tom I dzieła o *Litewskich i Polskich Prawach* posyła mu z kilku słowami, które wyrażają myśl, że rozum jego wyższy od nauki; a w dzień otwarcia Liceum Krzemienieckiego pisze list, który posiadam, a w którym mówi, że jedyną rzeczą, której mu brakowało w chwili tak uroczystej, było, iż nie widział tam Marcina Badeniego. Księstwo Warszawskie powołało go do publicznego życia odrazu jako Radcę Stanu, Dyrektora dóbr i lasów narodowych, następnie w latach 1812—13 jako członka konfederacji; w czasie Kongresu Wiedeńskiego ważny brał udział w naradach co do utworzenia Rzpltej Krakowskiej i wówczas to podniósł ulubioną myśl swoją oczynszowania włościan, początkując zaprowadzenie komisji włościańskiej w Krakowie, której był pierwszym prezesem. Rozdzieliwszy podówczas majątek pomiędzy dzieci a zostawiwszy sobie Kołaczkowice, wszedł do senatu nowo utworzonego Królestwa Polskiego jako kasztelan; zastępował ministra skarbu czas jakiś, a wkońcu miano-

wany senatorem, wojewodą, objął w r. 1821 ministerstwo sprawiedliwości. Na tym był urzędzie (a w owych czasach urząd taki wysokie miał znaczenie), kiedy z nim do Warszawy pojechałem. Imponował mi powagą, wiekiem, stanowiskiem, ale pociągał dziwną prostotą i dobrocią. Ja też byłem, jak na mój wiek, roztropny i dosyć wykształcony: łatwo więc przylgnąłem do niego.

W Warszawie w jego domu spotkałem co tylko ówczesna Polska miała najznakomitszego. Owi ludzie, o których słyszałem od dzieciństwa, których pisma czytałem, którzy dla nas młodych byli ideałem patrjotyzmu, zasługi, genjuszu: Niemcewicz, Koźmian, Osiński, Morawski, Staszic i całe tym podobnych grono, którzy się zbierali na obiad w piątki, sławne w całej Warszawie. Do tych obiadów przypuszczono młodego Andrzeja Koźmiana, z kolei na prośby p. Zamoyskiej i jednego z jej synów i ks. Leona Sapiehę. Od tych czasów zawarłem stosunki z tem młodem a znakomitem Zamoyskich pokoleniem, które dochowałem do końca ich życia. W kole tych ludzi starszych, których wymieniłem, żyły tradycje dawnej niepodległej Polski i czasów napoleońskich. Mówili o w. Sejmie jako rzeczy wczorajszej. Dlatego Sejm 4-letni, rewolucja kościuszkowska, Księstwo Warszawskie, to dla mnie obecność, a nie historja. Każdego z nich charakterystykę zachowały dzieje albo przynajmniej pamiętniki.

Nakreślę wrażenia, jakie na mnie zostawili. Niemcewicz był bożyszczem całego młodszego pokolenia; zbliżyć się do niego, poznać, było mojem marzeniem. Znany dobrze z życia, opisanego przez ks. Adama Czartoryskiego i innych współczesnych, najlepiej z własnych pamiętników. Epoka, w której go poznałem, była najmniej świetną fazą zasłużonego tego żywota; zbytnie powodzenie dla każdego niebezpieczne. Hołdy kraju całego, panie i salony warszawskie popsuły Niemcewicza; nietylko był sędzią patrjotyzmu, godności obywatelskiej i smaku, ale nadużywał tego stanowiska, wyrokując bezwzględnie, drażniąc, co głównie podówczas poplacalo, W. Księcia i Nowosiłcowa, hołdując nieco popularności, na którą był tak dobrze zasłużył. Mimo to, był to jeden z najczystszych i najpiękniejszych charakterów tej epoki bogatej w zdolności, ubogiej w charaktery. W pamiętnikach to jego szukać tej miłości Ojczyzny bezinteresownej, przewidującej, o siebie niedbałej, dla której żaden trud, żadne niemal upokorzenie niepodobnemi nie były; w dziełach najrozmaitszej treści i wartości śledzić myśli jedynej, jedynego uczucia,

jakie go ożywiało. Jak nie było ukochać człowieka tak jednolitej natury? A jeżeli Lisicki z lekceważeniem go sądzi, to dowodzi właśnie mniej wytrawnego jeszcze poglądu, który w idealnej tylko doskonałości człowieka ocenia, niezdolny zrozumieć wpływów atmosfery, w której żył i działał. Na mnie Niemcewicz nie zrobił wówczas miłego wrażenia, ale słuchałem z uwagą, kiedy mówił.

Staszic, codzienny niemal nasz gość przy obiedzie a zawsze piątkowy: mały, łysy, mimo wieku ruchliwy, a nader w dyskusji gwałtowny, we fraku seledynowym, z tytułem księdza, któremu nic zgoła w jego osobie nie odpowiadało, był mi poprostu przeciwny. Ceniąc jego zasługi jako urzędnika, geologa, nawet politycznego pisarza, nie umiałem pogodzić charakteru duchownego, którego się wyrzekł, z dzikiemi zasadami, które wygłaszał, głównie w swoim poemacie *O człowieku.* Choć bardzo młody, ale już pewnych zasad, czułem, że całe to poświęcenie, które chciało podnieść przemysł kraju, budowało gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, usamowolniało włościan hrubieszowskich, stało na słabych fundamentach, i w istocie też nie przyniosło owoców. Trudno powiedzieć, jakie były Staszica polityczne zasady; można je wprawdzie odgadnąć w jego *Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego*, w praktyce jednak życia zmodyfikowały się znacznie. Że był absolutny w postępowaniu, wymagający uszanowania dla swego urzędu i osoby, to nie dziw: jest to właściwe wszystkim demokratom. Ale co może zadziwić, to że żył tylko z wielkimi panami i z wielkiemi paniami. Za naszych czasów, przed dwoma laty, ów poemat jego *O człowieku*, którego cenzura, mimo że autor był ministrem stanu, przepuścić nie mogła, a nawet zniszczyć kazała, tak, że dziś jest wielką rzadkością, doczekał się apologji. Korzon, którego rozprawę *Kwartalnik historyczny* z zastrzeżeniem umieścił, uważa poemat ten za najznakomitszy utwór na polu historjozofji w polskim języku. Korzon, który jest mistrzem co do szczegółów statystycznych, nie zasługuje na żadną wiarę ani w historycznych ani w filozoficznych sądach, brak mu zmysłu moralnego i szerszych poglądów. Zawiązało się właśnie we Lwowie Towarzystwo pod imieniem Staszica i puszcza w obieg małe książeczki bardzo tanie, w których omawia to osobistości historyczne, to zasady polityczne. Wzięli się do tego ludzie, oczywiście niby demokraci, bez żadnych zasad, bez znajomości historji a nawet języka. Podobno te książeczki rozchodzą się licznie; tylko chore społeczeństwo może taką pożywać strawę.



Kajetan Koźmian, podówczas Radca Stanu, a pod Mostowskim naczelnik administracji krajowej, silnej głowy, mówca, pisarz znakomity prozą i wierszem, szczególne miał u Dziada mego zachowanie. Jak wszyscy ówcześni ludzie miał wielki zmysł krytyczny. Należeli do rządu, a wszystko im się w nim nie podobało: rozum wskazywał, że trzeba było szanować ówczesne polityczne rękojmie (pan Marcin mawiał, że konstytucja na stole, a bat pod stołem), a nadzieje rwały się dalej. Koźmian należał do najrozsądniejszych, a chociaż nie było w nim jeszcze tej wytrawności, którą w *Pamiętnikach* jego podziwiać przychodzi, to jednak miarą górował do tyla nad innemi, że go czasem o brak patrjotyzmu posądzano.

Muszę wspomnieć Osińskiego. Niezrównany ten na katedrze literatury w uniwersytecie deklamator, niesłychanym był obdarzony talentem i dowcipem, który bardziej jeszcze przy stole, niż na katedrze, jaśniał. Jak językiem władał, jak tłumaczył Corneille'a, do jakiego lirycznego natchnienia mógł się podnieść, to wiedzą wszyscy z krajową literaturą obznajomieni, ale kto go nie słyszał, nie będzie nigdy miał wyobrażenia, do jakiego stopnia dojść może wdzięk głosu i siła wyrażenia uczucia i jego odcieni. Przy stole zaś po kilku kieliszkach wina sypał iskrami dowcipu, więcej wesołego niż zjadliwego. Przy stole w piątek bywała rozmowa nader swobodna. Nic przymuszonego, obmyślanego: to o bieżących sprawach, to o dawnych czasach.

Już jednak zaczynał się zachmurzać i horyzont polityczny i usposobienie umysłów. Sejm r. 1820 drażniące zostawił był wspomnienia; kongresy w Opawie, Laibach i Weronie obudziły, albo raczej skierowały czujność rządów na ruchy opinji ludowej: cesarz Aleksander był zachwiany w swoich ideałach, popuścił wodzy W. Księciu i Nowosilcowowi, szpiegostwo się zaczynało, a tłumaczył je Dobrogojskiego spisek. Odbijało się to w rozmowach poufałych. Lubecki, niedawno ministrem skarbu mianowany, odebrał był Staszicowi zarząd górnictwa krajowego. Stąd niesłychane Staszica oburzenie. Pierwsze kroki ministra skarbu, wywołane może przez konieczność, zaniepokoiły umysły: że miał w głowie finansowe plany, które kraj miały podnieść ekonomicznie, nie wiedziano. Wiedziano tylko, że monopolja zaprowadził, podatek zgóry płacić kazał, żadnej nie znosił opozycji. A że bywał dawniej w służbie cesarstwa, więc budził podejrzenia, i w tem nawet gronie ludzi wytrawnych na jego początkowe powstawano rządy, chociaż odrazu stanął „sztorcem" względem

W. Księcia i Nowosilcowa. Staś Grabowski (którego tak powszechnie nazywano) równocześnie był objął po Stanisławie Potockim kierunek oświecenia. Był to zwrot w kierunku antyrewolucyjnym i kościelnym. Zaprowadzono cenzurę, na jej czele stanął Szaniawski Kałasanty, radca Dyrektorjatu Oświecenia.

Szaniawski, za rewolucji kościuszkowskiej należący do najskrajniejszej opinji, w filozofji uczeń Kanta, w polityce Kołłątaja, we Francji, gdzie jakiś czas przebywał, z jakobinami w stosunkach, za postępem wypadków i praktyką politycznego życia zmienił swoje przekonania. Kiedy? nie wiem, to tylko pewna, że już na Kongresie Wiedeńskim widzimy go obok ks. Adama Czartoryskiego zatrudnionego redakcją konstytucji Królestwa Polskiego; a niezadługo już konserwatywny polityczny kierunek swego pryncypała spostrzec w nim można. Gorliwość jego w nowo obranym kierunku równała się zapałowi, z jakim służył dawnemu, a jak zwykle, choć niezawsze słusznie, budziła wielką dawnych współwyznawców nienawiść do zwierzchnika. Szaniawski był człowiekiem głębokiej nauki i wielkiego rozumu; raz jeszcze przyjdzie mi o nim wspomnieć, kiedy wszedłem z nim w osobiste stosunki, ale powiedzieć nie mogę, jakim był jego konserwatyzm. Politycznie widział zdrowo, do czego dąży ruch rewolucyjny w liberalnej szacie, nie umiał jednak obrać właściwych środków, aby ducha prawdy obudzić, bo jakby sam w sobie rozdarty, zagłębiał się w osobistych a zbyt ciasnych zapatrywaniach, używając środków policyjnych tam, gdzie tylko moralne pomóc mogły. Na niego wymierzył cały jad swego dowcipu i swojej niechęci Niemcewicz. Jak zamłodu stał przeciwko jego ultrarewolucyjnemu kierunkowi, tak potępiał ultramonarchiczny, podejrzywając jego dobrą wiarę. Stąd nigdy nie wyrażał się o Szaniawskim inaczej, tylko z największą wzgardą, nazywając go „świnią". Położenie ludzi, którzy muszą występować urzędowo przeciwko prądowi opinji, jakkolwiek błędnemu, jest zawsze niesłychanie trudne: przynajmniej powinni być tak wysokiej wartości moralnej, aby nikt nie mógł ich posądzić o pobudki interesu. Szaniawski miał, na nieszczęście, formy człowieka, który się płaszczył, choć powiedzieć należy, że majątku nie zostawił, ani po r. 1831 łask szczególnych od rządu nie doświadczył. Długie doświadczenie życia nauczyło mnie, że, kiedy potrzeba przeprowadzić na polu zasad walkę czy zmianę, należy dobrać człowieka form połubownych, usposobienia swobodnego i pełnego miłości. Tych

zalet Szaniawski nie miał, dlatego zostawił nawet pomiędzy ludźmi swego obozu opinję wątpliwą, choć może niezasłużoną.

Oprócz spraw bieżących, sam skład osób do piątkowych należących obiadów każe się domyślać, że literatura była bodaj czy nie najważniejszym przedmiotem rozmów. Zaczęła się właśnie walka między klasykami a romantykami. Mickiewicz pierwsze swoje był wydał ballady, a Byron zawracał głowy. Nauka języka niemieckiego i angielskiego upowszechniała się, czytano Shakespeara, Schillera, Goethego; czytano i Schleglów. Namiętnie dysputowano wszędzie, może najbardziej u mojego Dziada. Tam to Koźmian z pogardą o nowej wyrażał się szkole, tam to Osiński po raz pierwszy wyrzekł swoje: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, Co to będzie? — Głupstwo będzie". Niemcewicz sprawiedliwiej oceniał młodego wieszcza, a Morawski pośredniczącą obierał drogę.

Zapisałem się na Uniwersytecie na wydział prawny. Nowa ta szkoła główna obsadzona była krajowcami. Prócz Zinserlinga i Jakobsa, uczyli sami Polacy. Na wydziale filozoficznym były siły pierwszorzędne. Skrodzki fizyk, Kitajewski chemik, Garbiński, Krzyżanowski, Frączkiewicz (głównie) matematyk. Na teologicznym Szymański byłby znakomitością nawet w Collegium Romanum. Na prawnym Bantkie i Engelke, zresztą ludzie mierni. Maciejowski, później tyle głośny z prac swoich literackich historycznych, był nader słabym profesorem instytucyj i historji prawa rzymskiego. Uczniów było 700 z okładem. Duch naukowy ożywiony, chęć służenia krajowi wielka i niemal ogólna. Życia właściwego uniwersyteckiego nie było takiego, jak w Niemczech. Ciążyły z jednej strony usiłowania wciągnięcia młodzieży do spisku, z drugiej prześladowanie policji i W. Księcia. Mundur, który nosiliśmy, był nam nienawistny, kuratorja, zaprowadzona w roku 1823 w celu czuwania nad kierunkiem młodzieży, bez skutku. Inspektorowie bardziej obawiali się młodzieży i opinji, niż studenci inspektorów. Wiatr liberalny z góry dął na tę młodzież, w której fermentowały, obok miłości Ojczyzny, niewytrawne nauki. Być może, że fałszywe filozoficzno-socjalne zasady, dziś z gruntu u wielu wykorzeniające początki nawet wiary i zupełne zrządzające w duszach spustoszenie, nie były do tyla, co dzisiaj, rozszerzone, ale to pewna, że wiary mało było. Coś z praktyk domowych pozostało; prawdziwie z gruntu chrześcijańskiej młodzieży nie było. Kilku, kilkunastu mógłbym zaledwie wyliczyć, chociaż była obowiązkowa nauka religji i obowiązkowe przystępowanie do św. Sa-

kramentów. O ile jestem za wielką karnością w szkole, nauką i praktyką religijną przymusową, o tyle na uniwersytecie należy zostawić wolnej woli wybór praktyk. Sztuka w tem, aby młodzież wychodziła z ustalonemi zasadami ze szkól, a odpowiednie przekonania utrzymywały je na wolności. Przymus działa tu odpychająco. Wiarę moją uchowała łaska Pana Boga i zakorzenione od dziecka zasady, ale ułatwiało wiele moje położenie, że odbywszy nauki gimnazjalne dobrze, nawet świetnie, nie zaimponował mi żaden, choć zdolny, niedowiarek, ani wiadomościami, ani rozumowaniem, bo czułem się każdemu równy albo wyższy. Stąd nauka, jak dzisiaj, wychowując dzieci, obok zasad i obyczaju dawać im należy silne naukowe wykształcenie, aby, spotykając się z zarzutami niby naukowemi przeciwko wierze, umiały na nie odpowiadać drugim i sobie. Trafiłem też na przyjaciela w osobie Kazimierza Czertwertyńskiego, z którym łączyły mnie jedne zasady religijne i zapał do wszystkiego, co zacne i piękne. Trwała ta przyjaźń lat 17 aż do jego śmierci, a winienem jej i wiele rozkoszy duchowej i wiele pożytku.

W r. 1824 w czerwcu przybyła do Warszawy przyjaciółka matki mojej Laura z Potockich hr. Tarnowska, tak zwana p. Laura. W mojem życiu, jak później zobaczymy, spotykałem kobiety bardzo znakomite, silniejszej głowy, więcej uroku, podobnego daru działania na umysły, egzaltowania uczuć podniosłych nie spotkałem nigdy. Panią Tarnowską widywałem przeszło przez miesiąc bardzo często. Było to w chwili, kiedy odebrałem także sakrament bierzmowania. Utwierdziły się moje zasady, rozjaśniły poglądy, była to chwila bardzo stanowcza w mojem życiu. Wtenczas po raz pierwszy dostałem do rąk *Les Soirées de St. Pétersbourg* de Maistre'a i dzieło *O rozwodach* Bonalda. Choć na tak młody, ale przygotowany umysł działały stanowczo. Równocześnie wychodziły po sobie trzy tomy dzieła Lamennais'ego: *De l'Indifférence en matière de Religion*. Genjalne wielkich pisarzy poglądy zapalały koła nieliczne, ale gorące.

W końcu r. 1824 zmarł Dziad mój ukochany. Rok przy nim przebyłem: rok ten zdziałał wiele na moje rozwinięcie, a zostawił wspomnienia ludzi, stosunków, wiadomości, które były skarbem całego mego życia. Miasto całe, kraj cały żałował Marcina Badeniego. Charakterystyka zacnego i znakomitego tego człowieka nie jest łatwą do nakreślenia. Gruntem jego istoty była bezwzględna prawda i uczciwość. Nauki miał mało, genjuszem nie był, ani nawet odznaczał się nadzwyczajną zdolnością; a bez intrygi, prawie bez zachodu doszedł

do najwyższych godności, do majątku i niemal do wyłącznego w kraju stanowiska, bo tak w prywatnych, jak w publicznych sprawach nic się bez niego nie działo. Rozum w najwyższym stopniu przenikliwy, takt w postępowaniu, dar poznania i użycia ludzi, same tylko wytłumaczyć to potrafią. Czacki pisze do niego: „Rozum Twój więcej waży, jak nasza nauka". Król: „Jeżeli Ty, Panie Marcinie, temu nie poradzisz, to nikt już tego nie potrafi". Ks. Eustachego Sanguszkę z trudnego położenia podczas konfederacji r. 1813 wybawia, rodziny godzi, urządza komisję do usamowolnienia włościan Rzpltej Krakowskiej, majątki swoje gospodaruje, u cesarza Aleksandra bez języka i daru redakcji stanowisko i szacunek osobisty zdobywa. Nieograniczoną miłością i zaufaniem swoich chłopów jak może nikt nagrodzony, człowiek ten przeważnie wpływał na cały organizm kraju, i słusznie Koźmian w swoich *Pamiętnikach* tak ważne i uczące poświęcił mu karty. Niewyczerpany i wesoły dowcip natchnął mu wiele uwag, sądów o ludziach, które przeszły w przysłowia, i zaprawdę mam sobie do wyrzucenia, że ich nie zebrałem, boby to były ciekawe *Badeniana*. Dziwnie był łaskaw na mnie mój Dziad: wnet, mimo jego godności i wieku, oswoiłem się w jego obcowaniu, które miało dla mnie wielki powab. Umarł dnia 13 listopada; umarł po chrześcijańsku, nigdy też nie wyszedł był z praktyk, ani nie należał do wolnomularstwa.

Po śmierci mojego Dziada zmieniło się moje stanowisko w Warszawie; zachowałem wszakże najściślejszą z domem i rodziną Czertwertyńskich zażyłość, a nadto uprzejmą gościnność u Grabowskiego, podówczas ministra oświecenia.

W salonach warszawskich nie bywałem wcale, prócz u sławnej z rozumu p. Janowej Potockiej, później żony Edwarda Raczyńskiego, a matki wujenki mojej Sebastjanowej Badeniowej. Zawsze szczupłe grono bliższych moich znajomych powiększyli dwaj bracia Rzewuscy: Stanisław i Leon, świeżo z Paryża przybyli, którzy weszli zaraz do wojskowej szkoły, zwanej „aplikacyjną". Byli oni synami Rozalji z Lubomirskich i Wacława, zwanego wskutek długiego pobytu w Arabji Emirem. Wychowani pod okiem wyższej kobiety, w otoczeniu takich ludzi, jak Schlegel, Gentz, Hammer, O'Donell i t. d. w Wiedniu, bawili właśnie dwa lata w Paryżu, gdzie Stanisław, mając lat 20, zdobył sobie między pierwszorzędnymi uczonymi, jak Cuvier, Sylvestre de Sacy itp., stanowisko i biret doktora filozofji. Z Rzewuskich krwi odziedziczył był olbrzymie zdolności, a nie miał

tej przymieszki dziwactwa, która w nich, wedle dowcipnego wyrażenia ks. Generała Z. P., straszy. Przy takich przymiotach prosty, dobry, w dziwnej harmonji łączył, obok gruntownych chrześcijańskich zasad, także różnorodne zalety. Niebawem zawiązane stosunki były mi wielce miłe i użyteczne. Szkoła aplikacyjna, urządzona na 24 elewów jak żadna w Europie, obejmowała młodzież najzdolniejszą. Tam kształcił się Frölich, Tomasz Potocki, Hoffman, Wolski, znani w wojnie 31 r. oficerowie, a komenderował nią jednonogi Sowiński z pomocą Kołaczkowskiego i profesorów takich jak Koriot, Skrodzki, ks. Skolimowski. W tej to szkole, schodząc się w soboty z Kazimierzem Czertwertyńskim, rozbieraliśmy w porządnych dyskusjach najważniejsze z teorji i praktyki polityczne pytania, na których straszne a przewidywane rozwiązanie dziś mi patrzeć przychodzi. Pamiętam, jak utrzymywałem, że obecna cywilizacja, przeszedłszy swój zenit, pogrąży się na czas pewien w barbarzyństwie, że nie będzie wprawdzie zawojowaną przez obce hordy, których dzisiaj już niema, ale utonie w barbarzyństwie wewnętrznem. Na to Rzewuski przeczył uwagą, że cywilizacja nawet tak świetna, jak Aten i Rzymu, mogła skończyć barbarzyństwem, bo była pogańską, ale że naród chrześcijański popaść w barbarzyństwo nie może. I ja dziś przechylam się do tego zdania, ale przyszłość dopiero rozstrzygnie, kto z nas lat temu 53 trafniejszy miał pogląd. Tak przebyłem dwa następne lata w uniwersytecie, pracując na polu literatury, publicystyki, ale niedosyć pracując fachowo; stąd moje wykształcenie prawnicze nie było dostateczne. Mówię to dla nauki młodszego pokolenia: nic nie zastąpi fachowego wykształcenia i pilnej na uniwersytecie pracy w swoim przedmiocie; bo chociaż zakres poglądów i wyobrażeń rozszerzyć się może nie bez korzyści, to jednak niewypełnienie ram tej nauki, która ma być podstawą, zawsze da się odczuć. Już pragnąłem jechać zagranicę, aby tam poznać sławnych na polu filozofji i polityki katolickiej mężów, niepomny, że ten tylko z takich korzystać potrafi źródeł, kto wyczerpał bliższe i praktyczniejsze.

Chociaż zakres spraw Królestwa był dosyć ograniczony, przecież, może najbardziej wskutek obszerniejszych i śmiałych reform ks. Lubeckiego na polu ekonomicznem, życie publiczne ożywiało się i ludzie zdolni się pojawiali. Jelski Ludwik jako finansista, Łęski jako zdolny redaktor, Tis prawnik, Piotr Michałowski obok wielostronnego artystycznego i klasycznego wykształcenia podnosił górnictwo krajowe z pomocą ks. Leona Sapiehy. Nadto Zamoyski An-

drzej w ministerjum spraw wewnętrznych, Rzewuscy, Władysław Zamoyski, Tomasz Potocki, Breza w wojsku; w literackim zawodzie: Witwicki, Dmochowski, Mochnacki; całe to pokolenie obiecywało przy naturalnym rozkwicie bardzo bogatą, choć niedość co do zasad uspokajającą przyszłość, tem więcej, że na uniwersytecie współcześnie ze mną kształcili się, dobrze póżniej znani, Wincenty Majewski, Kanty Wołowski, adwokaci; Józefowicz, Bryndza, notarjusze; Szatyński, Bagniewski, urzędnicy; Hube, Kazimirski, uczeni. Jak już wspomniałem, horyzont zdala zaczął się zachmurzać po odkryciu spisku wojskowego i wileńskiej katastrofie, która najgenialniejszą młodzież litewską rozpędziła po całej Rosji, a Lelewela wróciła Warszawie. Jeszcze raz zajaśniał on świetnością podczas sejmu r. 1825. Byłem przytomny jego zamknięciu i słyszałem ostatnią mowę cesarza Aleksandra.

Zbliska widziałem ludzi i rzeczy; czytałem też wszystko — nietylko co o Aleksandrze pisano, ale co urzędownie sprawdzone aktami dyplomatycznemi. Mam to przekonanie, że cesarz Aleksander, którego Napoleon, sam nawskróś fałszywy, nazwał *le plus faux des Grecs*, był w dobrej co do nas wierze. Chciał stanowczo pocieszyć nas narodowem życiem. Nie przychodziło mu to łatwo ani z obcymi ani z własnym narodem. Takiej walki nie przeprowadza się bez wewnętrznego przekonania; a choć zawody, których doświadczał, wpływy, którym ulegać było rzeczą naturalną, mogły zmienić z gruntu jego usposobienie, to jednak ostatnia mowa, którą do nas wyrzekł, dobra wola, którą do śmierci dochował, dowodzą szczerości i trwałości tych uczuć, które zamłodu objawiał. Można utrzymywać, że chcąc na Kongresie Wiedeńskim zachować tak znaczną część polskich krajów, był zmuszony do nadania form autonomicznych i konstytucyjnych Królestwu; ale monarcha, który po kongresach w Opawie, Laibach i Weronie tak przemawia, nie był podstępnym. Aleksander był idealistą, lecz był i carem Wszech Rosji; Polski odstąpić nie chciał i nie mógł; ale wierny swoim ideałom, wierny obietnicom danym młodemu przyjacielowi, chcąc z jednej strony dać rękojmię Europie, z drugiej może przygotować szkołę przyszłego wolnego ustroju Rosji, obdarzył Polskę formą życia publicznego, która, jeżeli odpowiadała przeszłości naszej, musiała wywołać następstwa, o których niżej, a które przewidział i Karamzin w swoim do cesarza memorjale i genjalny Pozzo di Borgo w swojej sławnej nocie z r. 1815. Lisicki słusznie potępia surowo małpowanie liberalizmu francuskiego,

opozycję nietylko względem rządu, ale nawet względem wielu użytecznych ustaw, drażnienie potężnego i życzliwego a w niełatwem położeniu będącego monarchy, który nie mógł nie czuć różnicy, jaka zachodziła pomiędzy słowami a czynami sejmu z r. 1820. Ale Lisicki, przychodząc ze swoim sądem w lat 50 przeszło, nie może ocenić czynników, które działały na usposobienie współczesne.

Nie skończy się nigdy polemika o wartość tych czasów i ludzi, którzy w nich działali. Jedni, uznając tylko nieprzedawnione prawa narodu do niepodległości, nie przestaną uznawać zasługi tych, co stawali niby bezwzględnie po stronie narodowej, ustawicznie, potrzebnie albo niepotrzebnie, czyniąc rządowi ówczesnemu opozycję. Drudzy, nie oceniając niezmiernych politycznych środków, które naród znajdywał w ówczesnych stosunkach do przygotowania i wyrobienia warunków przyszłości, potępiać będą próżność i lekkomyślność, które nie umiały zrozumieć, czem była i czem być powinna epoka konstytucyjna Królestwa Polskiego. Pierwszybym powiedział, że było dowodem niesłychanej niewytrawności politycznej chcieć stosować cały niewypróbowany jeszcze mechanizm form konstytucyjnych do parlamentarnego życia w naszym kraju. Francja wolna i potężna próbowała, a nie mogła trafić na właściwy sposób użycia go: nie mogła głównie dlatego, że istniało stronnictwo zdolne, liczne, silne, dla którego parlamentaryzm był tylko środkiem rozstroju ówczesnego porządku. Czy to samo nie powtarzało się pod innemi formami w Warszawie? Czy próżna chęć naśladowania Francuzów nie działała na wielu w kraju?! Czy chwała deputowanych, jak Manuel, Benjamin Constant, Foy, nie oddziaływała na Biernackich, Niemojewskich itp.? Liberaliści francuscy chcieli doprowadzić i doprowadzili do starcia z Burbonami; pytanie jednak, czy Kaliszanie mieli ten sam zamiar. Może i nie: ale ludzie próżni, zamiast wyprowadzić z konstytucji praktyczne korzyści, negacyjne tylko umieli zajmować stanowisko, wystarczające dla ich miłości własnej, bo poklaskiem nagradzane, a dla kraju szkodliwe. Ludzie ci ani jednej praktycznej, użytecznej nie podnieśli myśli, a wykonanie niektórych, nawet koniecznych, uniemożliwili; wystarczało im głośne pomiędzy swymi odzywanie się, a w narodzie opinja, że są dobrze myślący. Być może, że sami nie spiskowali, ale gotowali w opinji, w młodzieży, w wojsku grunt do spisku. Tem bardziej godni kaźni, że, kiedy przyszedł r. 1830, nie okazali zdolności ani tej silnej decyzji, która szałę losu przeważa, a na której też zwykle retorom zbywa. Znaleźli odrazu poparcie

w dziennikarstwie, które zaczęło powstawać, a miało główny organ w *Kronice* i *Orle Białym*, które wydawał Bruno Kiciński. Naśladowały one formą, rodzajem polemiki, sławną podówczas w Paryżu *Minerwę*, a niepowściągliwością wywołały cenzurę, która była niekonstytucyjną, ale o tyle pod legalność podszyć się mogła, że obiecane prawo drukowe nie było jeszcze wyszło.

Naprzeciwko tych ludzi stało stronnictwo rządowe, złożone z urzędników, którzy niegdyś zajmowali stanowiska polityczne jako najbardziej wypróbowani patrjoci, Matuszewicz, Mostowski, Staszic, Badeni, Koźmian, Potocki itd. Nie tworzyło ono stronnictwa, jakbyśmy dziś powiedzieli, konserwatywnego (zasady te jeszcze nie były się wyrobiły); poprostu kierując się zdrowym rozsądkiem, uważali, co możebne a co nie, górowali zaś niewątpliwie wytrawnością i politycznym poglądem nad Kaliszanami, choć, przypatrzywszy im się zbliska, nie śmiem powiedzieć, żeby mieli wyrobione to poczucie, które później w nas powstawało, iż polityczne położenie Królestwa, wytworzone Kongresem Wiedeńskim, było dlatego tak cenne, że dawało sposobność wyrobienia warunków przyszłości. Zasady zwolna powstają i zwolna zdobywają sferę. Skąd mógł powstać w kraju do szpiku przez anarchję zniszczonym, przez rozbiory i następne obce rządy zatomizowanym — kiedy w nauce panował Rousseau, Malby, Kant, a w praktyce imperjalizm — zaród zdrowej nauki prawa publicznego? Rewolucyjne zasady zaatakowali u korzenia pierwsi de Maistre i Bonald. Wiednie czy bezwiednie, przyznając albo przecząc, im, a później Hallerowi,[1] Lamennais'emu, Burkemu, Gentzowi, winna ludzkość europejska systematyczne przeciwstawienie nauki zdrowej nienaturalnym błędom kontraktu społecznego. Wówczas w cieniu, nielicznie, powstawały kółka wyznające naukę, która społeczność na właściwym osadzała fundamencie tak, aby drzewo, zapuściwszy korzenie w grunt zdrowy, organicznie ku niebu wznosiło gałęzie. Jest to właściwością idei, że promieniują naokoło, rozchodzą się, jak światło i tony. Te też przekonania coraz więcej przejmowały ludzi, i ci właśnie ludzie, nie tracąc wiary w byt Ojczyzny niepodległej, chcieli pracować na gruncie przez konstytucję danym, aby jej zapewnić to zdrowie, te siły moralne, bez których życie tak pojedynczych ludzi, jak narodów niemożliwe. Ci ludzie byli przeciwni spiskom, począwszy od spisku Dobrogojskiego i Łukasińskiego, aż do spisku z r. 1825 i ko-

---

[1] Szwajcar, znany profesor i publicysta, o którym niżej.

ronacyjnego. Takiej szkoly nie bylo wówczas i niema jej dzisiaj, któraby zrzekała się przyszłości dla Polski, ale była i jest taka, która każdej szczęśliwszej chwili chce użyć na wzmocnienie sil wewnętrznych, która nie chce ich używać w walce samobójczej, która nie wierzy, aby naród mógł żyć, póki do tego warunków w sobie nie wyrobil, i która dlatego chciala szanować konstytucję w Królestwie, a statut litewski w zabranym kraju, gdyż pod tą gwarancją można było utrzymać tradycję, dać obumarłym członkom społecznym ruch i żywotność. Rozumieli nadto ci ludzie, że społeczność żadna kwitnąć nie może bez zasad moralnych, sformułowanych prawdziwie tylko w katolickim Kościele, że przeto osłabioną w wyższych i średnich warstwach wiarę należało umocnić, niemal przywrócić, a utrzymać w ludzie. Na to był tylko jeden środek — wychowanie, który poniekąd mieliśmy w ręku; dlatego gotując się do tej krajowej posługi, wstąpiłem do Komisji Oświecenia, jak to później opowiem.

Tutaj tylko jedna jeszcze uwaga, która tak ważna, że żałować mi przychodzi, iż będzie zagrzebana w tym *Pamiętniku*. Po każdej katastrofie przychodzi chwila upamiętania, zwrot do rozsądku, czasem do zasad. Tak niewątpliwie jest w tej chwili (1879), w której widzimy i polityczne zdrowie u większości i karność. Cóż, kiedy nie wiem, czy na to rachować można, gdyby rzekomo korzystne dla niepodległości narodowej zjawiły się nadzieje. Wówczas tracą wszyscy głowę, i zapomniawszy o nabytem doświadczeniu, lecą w przepaść. Na to ten tylko znam środek, aby nieustannie było grono kierujących nietyle opinją, jak dążnościami narodowemi, a mające dosyć powagi, aby warcholów utrzymać a na swoje wziąć sumienie sprawę Ojczyzny. Narody, które takich ludzi nie mają, które pod ich moralny nie poddadzą się regiment, nie są dojrzałe do walki o byt. Dzisiaj mamy w różnych częściach Polski ludzi rozumnych, a także dobrej wiary, którzy chcą wchodzić w kompromis to z rządem, to z narodem rosyjskim. Próżne usilowanie, które zawsze sumienie narodowe odtrąci, bo obecne pokolenie ani ma prawo obowiązywać się za przyszłe, ani może przewidzieć kombinacje, które w przyszłości objawić się mogą. Polak zatem nie ma nic innego do roboty, jak, wierny swej wierze i narodowości, stać w ich obronie, szanując społeczne warunki organizmu, w który jest wpleciony. Jeżeli naród nasz zmełty na proch rozpłynie się zczasem w innych szczepach, to moralna odpowiedzialność samobójstwa na nim ciężyć nie będzie. Wątpię jednak,

ROZDZIAŁ III.

Wyjazd zagranicę. — Pobyt w Paryżu.

Matka moja odprowadziła mnie do Wiednia, gdzie, jadąc landkuczerem, stanęliśmy w siedm dni. Z Wiednia, mając lat 19, puściłem się sam w świat szeroki, z błogosławieństwem rodziców, wspomnieniem nauk matki, które mnie nigdy nie odstąpiły. Jechałem z sercem podniesionem, szczerą wolą udoskonalenia siebie ku służbie Boga i bliźniego. Mogę powiedzieć, że żadna myśl osobistej próżności nie zajmowała mnie: widziałem upadek prawd moralnych z jednej strony, z drugiej widziałem jasno, że kraj mój, który kochałem bardzo, może powstać wtedy tylko, jeżeli powstanie moralnie, to jest zwróci się do prawd Boskich, tak jak je Kościół ogłasza, bo wtedy tylko powróci także do zdrowych politycznych poglądów i zasad; ale choć z tego kierunku nie zeszedłem nigdy, to jednak dosyć w nim nie pracowałem. W Monachjum po raz pierwszy sztuka mocne, choć bezwiedne, zrobiła na mnie wrażenie.

Przybyłem do Paryża, wiedząc dobrze, czego szukałem. Zastałem już Kazimierza Czertwertyńskiego. Listów polecających miałem mało. Rzewuski, który zagrzewał mię bardzo do paryskiej podróży, bo Paryż był podówczas ogniskiem katolickiego i antyrewolucyjnego ruchu, dał mi list do p. Emanuela Bailly, który utrzymywał wielki pensjonat dla młodych ludzi, i do hr. Beaufort. To mi wystarczyło. W seminarjum św. Sulpicjusza bawił ks. Kamiński, wyprawiony na nauki przez biskupa Woronicza, w celu przysposobienia się na dyrektora seminarjum w Polsce, gdzie nie tyle może nauki, ile gorliwość duchowieństwa była podupadła. Kamińskiego odwiedziłem zaraz i poznałem w jego celi księdza, potem kardynała de Rohan, który mnie namówił, abym wysłuchał kursu filozofji w Collège Stanislas. Ile razy w życiu poszedłem przez słabość albo uległość za radą drugich,

zrobiłem głupstwo. Tak i w tym wypadku rok niemal straciłem. W tej samej celi poznałem niebawem i ks. Lacordaire, który był jeszcze klerykiem. P. Bailly, gdy tylko oddałem mu listy Rzewuskiego, zajął się mną serdecznie, a przez 3 lata pobytu w Paryżu nie przestawałem odbierać od tego przezacnego człowieka różnorodnych a zawsze użytecznych usług. Bailly, zdrowych zdolności, wykształcony należycie, poświęcił się pracy w obronie i krzewieniu prawdy. W tym celu założył dom, w którym dawal mieszkanie i kierunek uczniom uniwersytetu, zasad katolickich. Nadto założył towarzystwo, zwane *des bonnes Etudes,* które łączylo około 400 studentów katolickich, znajdujących w niem dobry przykład, szlachetne pobudki, ułatwienie pracy i wykształcenia bądź fachowego, bądź literackiego w urządzonych konferencjach; nadto bibljotekę i dobrą przyjacielską radę. Zatrzymuję się nad tym człowiekiem, bo, oprócz obowiązków wdzięczności, jakie mam dla niego, uważałem go za jednego z najzasłużeńszych ludzi, jakich czas nasz widział. Bóg jeden jak ocenić, tak nagrodzić tylko może taką cnotę i takie działanie. Tam się też wychowali Carnet, du Lac, Montigny, Lagournerie, Guyot, Bonetti, Champagny, Brézé, d'Alzon, Gouraud, Cazalès itd. Z tego domu prądy prawdy promieniowały w rozmaitych kierunkach, jak to zobaczymy.

Bailly zapoznał mnie z ks. Lamennais, z ks. Gerbet, Rohrbacherem, O'Mahony, w których działaniu koncentrował się ówczesny ruch katolicki.

Po wąskich schodkach szczupłego domu Rue de Pot de fer szedłem z bijącem sercem na drugie piętro. Zadzwoniono: wyszedł ze świecą z małego pokoju duchowny małego wzrostu, szczupłej budowy, nieco pochyłony, czoło wysokie, głos przytłumiony. Imię jego wymawiało podówczas całe wierne pokołenie z zapałem, a nieprzyjaciele Kościoła z trwogą i nienawiścią. Był to ks. Félicité Robert de Lamennais. Właśnie po wydaniu czwartego tomu *De l'Indifférence* i napisaniu sławnej broszury *De la Religion considérée dans ses rapports avec l'Ordre politique et civile* odsiedział był karę za tę ostatnią, a tak do aureoli genjuszu przybyło opromienienie prześladowania. Łatwo odgadnąć moje uczucie, kiedy łaskawie przyjął i pozwolił u siebie bywać. O nim będzie jeszcze mowa, na tę chwilę charakterystykę pomijam.

Rozpatrywałem się w Paryżu: albo raczej patrzałem na Paryż; zajmowało mnie życie duchowe; nie bywając nigdzie, o świecie i salonach wiedziałem tylko od K. Czertwertyńskiego; byłem jednak

u ambasadora mojego Pozzo di Borgo i rad jestem, że widziałem, nie śmiem mówić: poznałem, tego znakomitego człowieka i dypłomatę. Choć krótka, z tak młodym człowiekiem rozmowa była poważna. Kilka pytań o stanie Królestwa Polskiego, z którego przybywałem, o drogi, komunikacje, wskazywały mi zmysł praktyczny bystrego umysłu. Od lat najmłodszych z rodzinnej korsykańskiej tradycji przeciwnik Napoleona, kiedy ten owładnął Francją, szukał dla niego nieprzyjaciół na Północy i mógł w r. 1814, zacierając ręce (jak naoczny zapewniał mnie świadek, pułkownik Oberkampf) mówić do Talleyranda: „Jeżeli nie my dwaj zwalczyliśmy Napoleona, to z pewnością my dwaj przykryliśmy go ostatnią łopatą ziemi". Łomonosow, sekretarz podówczas ambasady, zapewniał mnie, że redagował sławne swoje noty odrazu z taką szybkością, że on, sekretarz, nie nastarczał kopjować.

W ciągu tej zimy dość samotnej i jednostajnej poznałem p. Marję z Rzewuskich Potocką, żonę Jarosława, siostrę Wacława Rzewuskiego. Bawiła w Paryżu, jak to wówczas bywało, dła wychowania synów, Wienczysława i Konstantego, mieszkających u Bailly'ego. Prowadziła życie, mimo najwyższych stosunków, bardzo samotne. Lamennais, Hałler, odwiedzałi ją czasem; błiska przyjaźń łączyła ją z p. Apponyi, przezacną i dziwnie miłą ambasadorową austrjacką. Ałe chociaż żyła mało z łudźmi i ze światem, bujne życie wewnętrzne rozwijało się w tej pani. Fantazja zawsze młodzieńcza, choć dobrze była przeszła lat kobiecych południe, rozum przenikliwy, ałe niewieści, smak wyborny w łiteraturze, którą znała nawylot, i w sztuce, do której miała namiętność: te przymioty obok dziewiczej prostoty dawały niesłychany w obcowaniu z nią urok. Nie wiem też, czy komu, oprócz matki mojej, zawdzięczam tyle moralnej i umysłowej nauki i uciechy. Sam już dość w wewnętrznem wyrobiony życiu, badałem z korzyścią tę osobliwą i ciekawą naturę, która w sferze, w jakiej żyła, zebrała wielki skarb doświadczenia i znajomości serca ludzkiego. Przez lat trzy pobytu mojego w Paryżu codziennie prawie widywałem panią Jarosławową, i po latach 50 przypominam sobie te chwiłe żywo i z pociechą, jakgdyby wczoraj: rzetelna podniosłość uczuć i dążność do wyższych duchowych sfer strzegła ten stosunek od wszelkiej ludzkiej słabości i dopiero w chwiłi rozstania przyszło mi zadać sobie pytanie, na które Mickiewicz w przecudnym wierszu *Niepewność* nie odpowiedział.

Rok ten słuchałem filozofji szkolnej w Collège Stanislas; potrzebowałem wprawdzie kursu logiki, zawsze jednak rok ten był dla mnie stracony naukowo, bo dałem się odwieść od zamiaru zapisania się odrazu na kursa prawne. W samotnym jednak moim pokoju pracowalem i na świat wyglądałem. Ministerjum Villèle'a sprawowało rządy pod dobrym, ale niedołężnym Karolem X. Dwanaście lat zaledwo bylo upłynęło od powrotu Burbonów i szlacheckiej emigracji. Ani jedni ani drudzy nie umieli, nie mogli się znaleźć na tym gruncie zoranym przez Rewolucję, który Cesarstwo zasiało kwiatem chwały, jaki albo żadnych, albo śmiertelne przyniósl owoce. Społeczeństwo francuskie nie zachowało zgoła żadnych pierwiastków i żywiolów, które w jego skład wchodzily lat temu 40. Tego nie zrozumiała ani panująca powracająca rodzina, ani jej adherenci. Te żywioły nawzajem się wykluczały. Mimo najlepszej woli Burbonów byli oni wstrętni większości Francuzów: tajne towarzystwa rewolucyjne organizowały się na nowo i wchodziły w stosunki z tajnymi także Bonapartystami. Tak dwór ze swoim zastępem rojalistów stanął do nierównej walki, a tem trudniejszej, że pomiędzy najwierniejszymi sługami malo liczyl ludzi prawdziwie politycznych. Z umysłu mówię m a ł o, bo pominąć albo lekceważyć nie można pp. Lainez'a, Villèle'a, Labourdonnaye'a, Duplessis-Grénédan'a, Bonald'a, Chateaubriand'a. Ale to nie mialo korzeni w masie ludności zatomizowanej i z gruntu zepsutej przez rewolucyjne zasady. Ciekawy bardzo uważałem objaw: to, że ludzie wychowani w pogańskich niemal, ale karnych szkołach Cesarstwa więcej mieli organicznych sił w sobie, niż wychowani już za Restauracji w kolegjach, które niby chrześcijańską miały barwę. Ministrem spraw duchownych był znakomity pisarz i mowca katolicki, Frayssinous *Grand Maitre de l'Université*, ministrem oświecenia ks. Nicolle, a szkoły były nic po tem; tak to trudno wykorzenić nasienie fałszu. Zakładano napół prywatne, napól urzędowe kolegja chrześcijańskie, jak Stanislas w Paryżu, w Juilly, w Montmirail Lazarystów, w St. Acheul Jezuitów, zakładano t. zw. male seminarja w celu budzenia powołań do stanu duchownego, a jednak ogólnego usposobienia ludności przerobić się nie dało, bo zaprowadzony rząd konstytucyjno-parlamentarny uniemożebniał wszelkie energiczne działanie władzy. Bylem uważnym świadkiem tego szamotania się rojalizmu z rewolucją i rojalistów pomiędzy sobą. Nagle dana dymisja ministrowi Chateaubriand oddała namiętne pióro tego rojalisty na usługi partji rewolucyjnej.

P. Villèle dotrzymać nie mógl, przewodnictwo ministerjum objął Martignac, czlowiek pośrednich zasad a polubownych środków, z których, jak zwykle, korzystało skrajne stronnictwo. Dość staly w moich zasadach, z wielką uwagą a nawet namiętnem poczuciem patrzałem na te sprawy, tem bardziej, że rozwój ich dotykal i Kościola i społeczeństwa.

Znalem kilka wielkich domów francuskich. U starej margrabiny Larianderie schodzili się biskupi, kardynalowie i stara szlachta. U hrabiny de Rougé, która moją matkę wychowala w czasie emigracji znalazlem w ogromnym zamku Le Ménil ślady dawnej wielkości, spustoszenia i stosunku patrjarchalnego ze slugami, którzy jej na wygnaniu nie opuścili. Życie bylo u tych ludzi skromne. Wprawdzie szlachta francuska wyratowała część majątków, a miljard indemnizacji zaopatrzył ją w kapital, przy oszczędności zaś odrobila ogromne majątki, ale nie odzyskala już swego wplywu i stanowiska. Prawo publiczne, które mialem sposobność studjować w praktyce, uprawialem naukowo, a niemalą pomocą byl mi publicysta Haller i jego książka: *Restauration der Staatswissenschaft.* Zacny ten i uznany człowiek, który z protestanckiego przeszedl do katolickiego Kościola, za co Rzplta Berneńska na wygnanie go skazala, wielką mial dla mnie przyjaźń i ukochal, jak się kocha tych, których się uważa za szermierzy idei i zasad, którym poświęciliśmy nasze życie. Istotnie, przejąłem teorję polityczną Hallera, byłem jej apostolem, a chociaż bardzo dobrze widzę, że metafizyki polityki nie zbadal, to jednak niema wątpliwości, że anatomji społeczeństwa nikt lepiej od niego nie rozumial i nikt z gruntu tak nie znal calej przewrotności i strasznych skutków rewolucyjnych zasad. Ktokolwiek oddaje się nauce polityki, powinien znać gruntownie to dzielo, zwłaszcza dwa pierwsze tomy. Następne rozdrabniają w szczególowem zastosowaniu zasady, które tylko oglowo wzięte rozjaśniają naukę.

Po skończonym roku szkolnym przepędzilem dwa miesiące w Szwajcarji. Wrażenia tej podróży, odbytej glównie pieszo to z mlodym Hallerem, to z ks. Czertwertyńskim, zostaly mi na cale życie, a przez tydzień podróżowałem ze świeżo pobraną parą, księstwem Hohenzollern Hechingen. Ona, córka Beauharnais'go, z królewnej bawarskiej urodzona, łączyla w sobie wszystko, co kobietę może zrobić uroczą. Przy prostocie i wybornem wychowaniu, młoda, piękna, dobra, wprawdzie w mem sercu nie zostawila śladu, gdyż mimo

wyobraźni wrażliwej nie byłem skory do zakochania, pamięć jednak tego krótkiego a tak miłego stosunku została jak opromienienie całej szwajcarskiej podróży. Prawdę mówiąc, tak myśl, jak uczucie, były zajęte wyższym celem życia, i nie było miejsca na próżną zalotność, choć bezwiednie znaleźć się mogła. Szwajcarja ówczesna, chociaż już rozbita przez rząd rewolucyjny, zachowała jeszcze cechy przeszłości. W Bernie gościnne i uprzejme znalazłem przyjęcie w pozostałych starej szlachty rodzinach, które tworzyły społeczeństwo bardzo wyłączne, gdzie schodziła się małomiejska pretensjonalność u kobiet z ogładą, której mężczyźni nabywali to w podróżach, to w służbie zagranicznej. Rodziny te: Diesbachów, Walfildów, Steigerów, Lombachów, Hallerów, Erlachów itd., tworzyły dawny patrycjat berneński, panujący w mieście i podbitych prowincjach, który nie mógł przeboleć utraty swoich przywilejów i stanowiska, a któremu pozostały już tylko majątki i poczucie wyłączności, jakie najpóźniej w klasach uprzywilejowanych obumiera. Odtąd, bo to lat temu przeszło 50, niwelacja niesłychane zrobiła w Szwajcarji postępy; jakie dziś tych rodzin stanowisko, nie wiem. Czyby wymarły, jak szlachta wenecka? Ale nie czytam pomiędzy ludźmi, który zajmują urzędy w Szwajcarji, nazwisk tych, co wsławiły się bohaterstwem pod Sempach, pod Morgarten, albo pod Pawją.[1] W kraju widziałem byt dobry, dobro-

[1] Przypadkiem zawadził o mój dom (1889) Szwajcar z kantonu Graubünden, Kacper Decourtins, człowiek uczony, w świecie politycznym i literackim obyty, katolik gorliwy, ale należący do t. zw. Towarzystwa Socjalistów katolickich. Z opowiadania jego widzę, że chociaż prąd rewolucyjny owładnął i przetworzył Szwajcarję, chociaż indywidualizm federacyjny kantonów wiele ucierpiał na drodze państwowej unifikacji, to jednak w stosunkach społecznych rozmaitych kantonów niewiele się zmieniło. Dawne rody wśród zdemokratyzowanej ludności, jeżeli nie polityczne, to socjalne mają stanowisko. I w poszczególnych kantonach do dziś dnia przewodzą. Ciekawe także były szczegóły, które mi podał o usposobieniu moralnem, twierdząc, że opinja publiczna nigdyby nie zniosła ludzi z rozwiązłym obyczajem. Dyskusja o doktrynie socjalistycznej dała mi poznać namacalnie, bo wprost z mowy człowieka silnych i uczciwych przekonań, że może ona wejść na bezdroża. Zdawałoby się z jego mowy, że katolicy socjalni, a przynajmniej on, jako ich reprezentant, przypuszczają zniesienie własności, choć zawsze za wynagrodzeniem. Niebaczni zaspokajają swe sumienie tem, że krzywda się nikomu nie stanie, poszczególnie zapominają, że największa krzywda stanie się społeczeństwu i porządkowi społecznemu od Boga ustanowionemu. W sprawach tego rodzaju nie można być dość ostrożnym, nawet kiedy się ma czystą intencję i dobre sumienie. Jako przykład stawiam, że bezwzględność, z jaką dziś ścigają ka-

duszność w mieszkańcach, a w t. zw. „małych“ kantonach prawdziwie pierwotną prostotę i dobroć, którą silny katolicyzm utrzymywał. W pierwszej podróży wstępując nietylko do wykwintnych hotelów, ale do karczem i chat wiejskich, doświadczyłem prawdziwej prostej gościnności i usługi, której już śladu nie napotkałem, przejeżdżając lat temu kilkanaście przez Szwajcarję.

Powróciłem do Paryża, ożywiony wrażeniami wspaniałej natury, nie bez korzyści z obserwacji ludzi i instytucyj, wzmocniony na ciele. Ideały te same zajmowały mię silnie, ale praca nie odpowiadała zamysłom. Dla podniesienia, oczyszczenia i wzmocnienia ducha odbyłem rekolekcje u Jezuitów w Mont-Rouge. Odbyte gruntownie, wiele wyjaśniły, utwierdziły. Jest to środek jedyny, ale heroiczny. Powinien być używany rzadko, w stanowczych chwilach życia, a pod kierunkiem mądrego duchownego. Do stanu duchownego nie miałem nigdy powołania: nie o to mi też szło, ale o zbadanie warunków życia chrześcijańskiego, o oczyszczenie zamiarów i wytrwałość w pracy, której mi zawsze brakowało. Wziąłem się też do roboty systematycznie, może za ostro, ale to pewna, że gdybym tak był dotrzymał, wykształcenie moje, niestety połowiczne, byłoby dziś kompletne. Dostałem

---

pitał, musi się odbić i na większej własności ziemskiej. Wyzyskiwać ludność roboczą może zarówno wielki właściciel, jak wielki kapitalista i przemysłowiec: a fakt, że głównymi kapitalistami i przemysłowcami są żydzi, nie uprawnia jeszcze do potępienia kapitału. Niech ludzie próbują, jak chcą, innej drogi, nie znajdą do unormowania społecznych stosunków, jak zasady chrześcijańskie. Wnikają one zwolna, ale łagodzą i przekształcają stosunki. Wiele jeszcze zapewne w społeczności zmian zaprowadzą, obowiązki bogatego względem ubogiego spotęgują, ale nigdy podstaw społeczeństwa nie zmienią. I te podstawy w interesie samej ludzkości muszą być bronione przez prawo i siłę. Jeżeliby się udało socjalistom zrealizować swoje nie zasady, ale żądze, to czeka ludzkość barbarzyństwo, z którego może będzie trudniej wydobyć się, niż z tego, które przyniosły ludy germańskie. Jak zaś daleko, skoro jaka myśl staje się ogólną, mogą zarazić trzeźwe umysły, widzimy z mowy ks. Lichtensteina na ostatniem zebraniu katolików w Wiedniu. W takim umyśle, w takim człowieku nie przybierze to nigdy potwornych postaci, ale jak zaraźliwe, widzimy w książce bardzo popularnego autora Drumont'a: *La fin d'un monde.* Czy nienawiść do żydów, czy chęć popularności zdobytej na tej drodze, czy płytkość umysłu — bądź co bądź objawia się tam tylko niechęć do mieszczańskiego liberalizmu, która tłumaczy nawet zbrodnie popełnione przez komunardów 1870 r. Dlatego, że upadła szlachta francuska Rotschildom schlebia, a żydowsko-mieszczański liberalizm Paryża odznacza się egoizmem i złemi obyczajami, nie należy zbrodni usprawiedliwiać, podnosząc ją do apoteozy poświęcenia. *(Przypisek autora.)*

słabości gastrycznej, która mnie długo prześladowała, a nie znosiła uporczywej pracy. Mimo to, zapisany na drugi rok prawa, jakkolwiek dość pilnie nie uczęszczałem, pracowałem w bardzo użytecznych towarzystwach naukowych, w t. zw. Société des bonnes Etudes. Kilkuset młodzieży katolickiej miało bibljotekę, czytelnię, punkt oparcia i rady; nadto łączono się w konferencje to literackie, to historyczne, to sądowe, to parlamentarne, celem ćwiczeń naukowych albo politycznych. Lepsze prace bywały czytane na półrocznych, publicznych, bardzo licznych zebraniach. Dwa razy spotkał mnie ten zaszczyt: raz czytałem o początkach reformacji, drugi raz o zasadach prawa publicznego, a prezydował raz ks. La Rochefoucald-Doudeauville, drugi raz sławny adwokat Hennequin — a był także naszym honorowym prezesem Berrier.[1] W tym roku pośród walk parlamentarnych i publicystycznych kształcił się u mnie zmysł polityczny, nieszczęściem nie szła w parze zwykła szkolna nauka. Jeżeli który z wnuków moich czytać będzie te karty, niech pamięta, że żadne obcowanie z ludźmi, dowolne, nawet dobrych książek czytanie nie zastąpi formalnej wykładowej nauki. Całe życie czułem jej brak, choć zmysłem naturalnym umiałem łatać i pokrywać ten niedostatek. Zato wstręt do zbyt lekkich czytań ułatwiał mi możność czytania, choć nie wielu, ale dobrych dzieł źródłowych klasycznych, którym też zawdzięczam ten szczupły zapas poglądów i wiedzy, jakim się posługiwałem. W tym roku zbliżyłem się poufalej, serdeczniej, do kilku wyborowej młodzieży: d'Esgrigny, du Lac, Donadieu, Gouraud, Thiébault, i nawiązaliśmy tygodniowe schadzki: la Soirée. Wiele się tam użyło, a niemało skorzystało, bośmy się połączyli pod godłem walki za prawdę kościelną, moralną i polityczną.

Zatopiony w bieżących sprawach narodu, który podówczas na cały świat przeważnie wpływał, badając praktyczną jego politykę i namiętny biorąc udział w walkach stronnictw, zbyt mało troszczyłem się o kraj i o to, co się w nim działo. Tymczasem tam odbywał się Sąd Sejmowy na politycznie oskarżonych i dojrzewały patrjotyczno-rewolucyjne działania. Chcąc mu służyć, za mało miałem z nim stosunków i za mało znałem, bo literatura romantyczna, postęp ruchu politycznego wobec więzienia Karmelitów i sądu wielkie sprowadził odmiany. Różnica zapatrywań trzymała mnie zdala od tych Polaków, którzy bawili w Paryżu, co zrobiło mi niechętnych i już w kraju przeciw mnie uprzedzało opinję.

[1] Sławny adwokat (1790-1868).

Wakacje tego roku przepędziłem zrazu w Chantilly z miłą Moszczyńskich Józefów (ona Sobańska) rodziną; wkońcu pojechałem na 6 tygodni do La Chesnaie do ks. Lamennais. Gdzieś w moich papierach znajdzie się dzienniczek tej podróży i tego pobytu. Tutaj tylko tyle. Jechałem dyliżansem do Rennes, dotykając wsławionych przez p. Sévigné miejscowości: Vitry, les Rochers. Na granicy Bretanji spotkał mnie krzyż, którego już we Francji nie widać, i w baraniej skórze Bretończyk z zapytaniem: *Vous arrivez de France?* Tak silnie jeszcze żyła indywidualność tej prowincji. Lud mówił tylko gallickim językiem, drogi boczne najgorsze, postać kraju lesista. Już rząd Ludwika Filipa niezmierne robił usiłowania, aby budową dróg, zaprowadzaniem szkół, odjąć tej prowincji, która była gniazdem legitymizmu, swoją indywidualność. Jak mu się to powiodło, nie wiem, ale to pewna, że Bretanja, tak jak ją widziałem, była nietylko najciekawszym, ale w pewnym względzie najbardziej uroczym krajem. Jakiś spokój, jakaś prostota po tych wsiach i na tych twarzach. Dobroć w połączeniu z siłą i odwagą. Z Rennes szedłem piechotą tą jakby lesistą krainą, spotykając ludzi, z którymi nie zawsze rozmówić się mogłem, a nie zapomnę nigdy noclegu w Hédé. Wieś potężna, w środku karczma, a tam czysto holenderski obraz: w ogromnym kominie kocioł i wielka cielęca pieczeń na rożnie, nieocenieni gospodarstwo, chłopów kilkunastu, wspólna rozmowa, która lepiej niż książka, uczyła stanu kraju i społeczeństwa. Miałem zawsze zwyczaj uważać i badać; stąd nauka.

W La Chesnaie zastałem ks. Kamińskiego, ks. Gerbet,[1] ks. Combalot, dwóch braci Boré,[2] Anglika Robertsona, i kilku młodych ludzi. Gerbet pisał właśnie dzieło *Du Dogme générateur de la Piété catholique*, a Lamennais broszurę *Des progrès de la Révolution et de la Guerre contre l'Église*, która miała pierwsze ściągnąć chmury na jego głowę. Każdy zatrudniał się wedle swej woli: o 8-mej msza, śniadanie, kawa, cydr, chleb z masłem, wedle woli i czasu. Praca, obiad; potem długi spacer, któremu zwykle szybkim krokiem przodował Lamennais, a prawie zawsze zajmująco, choć bez pedantyzmu, rozmawiał, jak tego ślad w moim dzienniczku. Kolacja o 7-mej, a że miało się już dobrze ku jesieni, wspólna koło komina rozmowa. Mimo uszanowania i podziwu, jaki mieliśmy dla niego, ani zbyt powagą ciążył,

[1] Późniejszy biskup Perpignan, autor dzieła o chrześcijańskim starożytnym Rzymie *Esquisse de Rome chrétienne*.

[2] Późniejszy lazarysta, misjonarz na Wschodzie.

ani ograniczał swobody zdania. Często sam głos zabierał, czytał co przez dzień napisał, podnosił się często do najwyższych poglądów, wypowiedzianych z prostą a porywającą wymową. Listów odbierał mnóstwo od osób najbardziej wpływowych. Razem z gośćmi, którzy przybywali, tworzyło to ognisko ożywione, jakiego później w mojem nie spotkałem życiu. Kierunek polityczny człowieka genjalnego, który podówczas jeszcze bez namiętności sądził wypadki, a proroczo przewidywał przyszłość, był dla mnie w najwyższym stopniu uczącym. Zrozumiałem różnicę pomiędzy zasadami filozoficznemi prawa publicznego w teorji, a w praktyce, i zdobyłem miarę do sądzenia spraw i ludzi, która na zawsze pozostała, a nigdy mnie nie zawiodła. Lamennais, zacięty w przesadnej teorji o „pewności“ w filozofji, pokłócił się na tem polu z Jezuitami, którzy zawsze, przyznać im to należy, dostrzegą każdy błąd dogmatyczny w zarodzie, ale są nieubłagani we wyprowadzeniu go na jaw i ściganiu z namiętnością stronnictwa. Lamennais na tem polu uważał ich za przeciwników, a osobistość A. Rozaven (assistant pour la France) zaostrzała antagonizm. W broszurze swej, która występowała wymownie w obronie Jezuitów zagrożonych przez ministerjum Martignac, wspominał, że reguły Jezuitów potrzebują zmiany. Nie potrzeba było więcej: Jezuici mu tego nie zapomnieli, i powstała otwarta wojna, której Lamennais, oparty o powagę osobiście mu przyjaznego papieża Leona XII, nie uląkł się, ale która, jak zobaczymy, po śmierci zbyt wczesnej Ojca św. przybrała dla niego groźne rozmiary. W tej epoce jednak nie był Lamennais rozgoryczony, towarzyszył mu aplauz całego młodego pokolenia w duchownym i cywilnym stanie, a osłaniała powaga papieża. Lamennais, który w konfesjonale odznaczał się wielką duchownością i znajomością serca ludzkiego, a kierunkiem pracy, polemiki i ruchu, który dawał całemu stronnictwu katolickiemu, wskazywał jedyną, dziś nawet to uznaję, drogę do walki o prawdę i jej tryumf, raził mnie jednak bezwzględnością, z jaką w sądzie i w mowie ścigał przeciwników: w uniesieniu nie znał miary, może nawet sprawiedliwości, wyrażał się o nich z lekceważeniem i pogardą. Błysnęło to przed moim umysłem zawsze połubownym i bezstronnym, ale nie zmniejszyło podziwu i miłości. Pierwszy ten mój pobyt w La Chesnaie nie zastąpił zapewne pracy systematycznej, której nic zastąpić nie może, ale napełnił i wzbogacił głowę poglądami, które zostały na całe życie wraz z pamięcią tych ludzi wyjątkowych, jak Gerbet, Salinis, Boré itd., których później spotykałem, albo od któ-

rych drogiej mi pamięci odbierałem dowody. Stosunki z ludźmi zacnymi, znakomitymi wyścielają jak kwieciem drogę życia, a biada temu, kto ich nie poznał. Zwiedziwszy port ciekawy St. Malo, gdzie rodzinne domu Lamennais'ego i Chateaubrianda stykają się ściany, a którego mieszkańcy zdawali się mi od lat 20 zacofani w cywilizacji powierzchownej od reszty Francji, wracałem przez Nantes, Chartres do Paryża.

I znowu rok pracy, ale więcej przeplatany stosunkami ze światem. Znowu dlugie u p. Jaroslawowej wieczory, prace aux bonnes Etudes, zebrania 6 przyjaciół (la Soirée) co tydzień, i rozszerzone koło znajomych w hotelu Caraman, księstwa Hamilton, ambasadach austrjackiej i angielskiej, a szczególnie w salonie starej księżnej d'Escars. Widziałem i mogłem studjować ostatki tego społeczeństwa, które emigracja wyleczyla z próżności, nie wyłeczyła z uprzedzeń, ale do którego nic już podobnem nie będzie ogładą i tonem. Mlodsze pokolenie eleganckie, urocze, na wieczorach i tańcujących śniadaniach ks. Apponyi i lady Stuart de Rothsay, sztywniejsze u księstwa Hamilton z angielską powagą, starofrancuskie u księżnej d'Escars. Ona, emigrantka, więziona długo przez Napoleona, przyjaciółka p. de Stael, była wspólnie z księżną Narbonne najwybitniejszym typem starofrancuskiej pani; jak wszystkie, niczego nie uczyła się i nic nie czytała, ale umiała i rozumiała wszystko; dowcipniejszej, choć może czasem był to dowcip przygotowany, nie miał Paryż. Spotykało się tam ludzi takich, jak Eleazar de Sabran, Cony, Fitz-James. Tam poznałem ową sławną w dypłomacji ks. Dino, później de Sagan, tam też, czy u księżnej Narbonne, nietylko p. La Roche Jacquelin, autorkę slusznie sławnych o Wandei pamiętników, ale i matkę jej, p. Donissant, ośmdziesięcioletnią staruszkę — a tak mogę powiedzieć ze zupełną prawdą, że sięgam tradycją poza rewołucję i wandejską wojnę.

Prace polityczne zajmowaly mię ciągle; dobrą rozprawę o zasadach polityki odczytałem na naszych zebraniach, uważalem pilnie na ruch umysłów, bo czuć było, jak grunt usuwał się z pod stóp tronu i związanego z nim ustroju narodowego. Ministerjum Martignac, pośrednicząc pomiędzy stronnictwami, usiłowało wstrzymać prawnokonstytucyjnemi środkami prąd rewolucyjny, który naraz wszystkiemi posługiwał się żywiołami; bonapartyzm i radykałizm, liberalizm i filozoficzny panteizm, w obrachowanej a czasem bezwiednej spólności działały łącznie przeciw Burbonom i Kościołowi, który tradycyjnie, ale niebardzo potrzebnie, identyfikował się z ro-

dziną panującą. Historja uczy, że taki ruch, który ma nieprawne cele, nie da się powstrzymać prawnemi środkami. Należało rozwinąć siłę, do której brakowało narzędzi. Idea królewskości, niepodtrzymana uczuciem ludu, który stracił przez ćwierć wieku zaburzeń i wojen tradycję legitymizmu, nie miała korzeni w narodzie: uważana jako środek, jako forma potrzebna, nie stała sama przez się, ale opierała się częścią na tym teoretycznym postulacie, częścią na rojalistach, którzy w obecnej Francji byli egzotyczną rośliną. Najzacniejsze nawet, pełne francuskiego patrjotyzmu chęci nie mogły utrzymać panującego, którego obce przywróciły wojska, w narodzie, który, jak się dziś pokazało, żyje rewolucyjną, a nie patrjotyczną ideą. Dlatego o tem mówię, aby wytłumaczyć niepowodzenie konstytucyjnych usiłowań Martignac'a i reakcyjnych księcia Polignac'a. Tak niemal sądziłem podówczas, jak dzisiaj, ale rozumiałem, że na tyle potrwają Burboni, aby dojrzała moralna robota, którą Kościół rozwijał, a od której spodziewałem się nie już utrzymania formy, ale warunków organizacji społecznej. Konspiracja, działając przez opinję, żądała usunięcia wpływu duchowieństwa na wychowanie, otrzymała je sławnemi *Ordonnances du 11 Octobre*. Ta małoduszna koncesja, zamiast zaspokoić, zaostrzyła tylko apetyt, wymagania były coraz większe. Znając dobrze mechanizm tajnych towarzystw i język, którym się posługiwały, śledziłem ciekawie a z wielką dla siebie nauką, choć z ciężkim bólem w sercu, ruch ten, nie przewidując tak bliskiego jego tryumfu, który przysposabiało dziwne ludu francuskiego usposobienie. Obok braku politycznego zmysłu, jaki ma Anglik albo Moskal, próżność równości i frazeologji nabytej z dziennika, opozycja względem prawnej władzy, uległość niewolnicza opinji albo spiskowi. Wielkim wstrętem napełniało duszę moją to usposobienie, choć z drugiej strony sądziłem zdrowo niedołężność stronnictwa i rodziny, z któremi łączyły mnie uczucia religijne, ale których błędy radykalne oceniając, nie byłem nigdy, jak mię o to fałszywie posądzano, ani rojalistą, ani legitymistą, co byłoby śmiesznem dla Polaka, a śmiesznym, zdaje mi się, nigdy nie byłem.

Odbyłem rekolekcje, aby ducha odświeżyć i oczyścić. Nie bywało to dla mnie formą, dlatego było użyteczne, a potrzebne w chwili, kiedy w świat czynny wchodzić miałem: intencja się uduchownia, cel wzniosły ma się przed oczami, prawdziwe uczucie poetyczne duszę ogarnia, kiedy się ma poświęcić siebie dla prawdy, tj. dla Boga. Bodajbym był miał całe życie takie usposobienie, jak w tych latach.

Przyszla wiosna, a z nią przechadzki ranne z p. Jaroslawową na Quai aux Fleurs; odwiedziny wspólne galerji w Luwrze, pilniejsze zwiedzanie ciekawości Paryża. W końcu czerwca zamierzyłem, odkładając Wlochy na później, odwiedzić Anglję. Wspomnialem o tem wieczór u ks. Descars. A ona: „Chcę odwiedzić lorda Wellingtona [1] i powinszować mu (było to właśnie po przejściu w parlamencie bilu o emancypacji katolików). Spodziewam się, że nie pogardzisz mojem towarzystwem". Przytomny marszalek Marmont wpadł w slowo i poparł życzeniem przyjaciól, aby miała taką opiekę. Przyrzeklem pod warunkiem wspólnego kosztu. W trzy dni para pocztowych koni wiozla nas wesolo do Boulogne, stamtąd morzem przez Tamizę wprost do Londynu, gdzie zastalem najęte mieszkanie przez slugę ambasadora angielskiego, którego żona polecila mnie ojcu, lordowi Hardwick, a ks. Hamilton dała listy do lady Landsdown. Sobolewski, pierwszy sekretarz ambasady rosyjskiej, z którego ojcem dziada mojego bliskie wiązaly stosunki, z nieslychaną przyjął mnie uprzejmością i uslużnością, a przez swoją ambasadorową, sławną z politycznych zdolności i rozumu ks. Lieven, ułatwil wiele stosunków. Tak znalazlem się odrazu w dobrze postawionem spoleczeństwie, dumnem, wyłącznem, a dla mnie z towarzyskiego i politycznego względu bardzo ciekawem i uczącem. Nazajutrz po przybyciu prosil mnie lord Hardwick na obiad. Prócz domowych byl lord Harrowby, prezes Rady Królewskiej, i Sir Stratford Canning; trzeciego nie pomnę. Sir Canning byl to slawny później, do dziś dnia żyjący 90-letni lord Redcliffe, tyloletni wszechmocny posel w Stambule. Tego wlaśnie wieczora wyjeżdżał jako minister do Petersburga. Chudy, o kanciastych, wyrazistych rysach, z lysem, wysokiem czolem, prawdziwy typ angielskiego męża stanu. Slysząc, żem z Polski, pytal o drogę przez Polskę i Warszawę. Czy istnieje dziś zwyczaj rozmowy przy kieliszku po stole, skoro panie się oddalą? Nie wiem. Wówczas wychodzily po wetach, a mężczyźni zabawiali się butelką. Stosunki z lordem Hardwick ulatwialo mi, że mówil dobrze po niemiecku. Sam na nieszczęście plynnie po angielsku nie mówilem, co mi utrudnilo badanie ludu — za krótki zaś byl mój pobyt, a także nie mialem dosyć do wydania, aby rozszerzyć szczęśliwie porobione stosunki, — o ile jednak czas pozwolil, korzystalem z tego towarzystwa. Spotkawszy się z Wellingtonem u księżnej Descars, bylem mu pre-

[1] Jenerał angielski, zwycięzca Napoleona pod Waterloo.

zentowany, zaprosił mnie na obiad wspaniały i ciekawy. Co tylko było najświetniejszego w krajowem i zagranicznem społeczeństwie, zaprosił. Zbytek służby niesłychany, nakrycie, jak z uśmiechem gospodarz zapewniał, nic go nie kosztowało, były to dary kraju, miast, monarchów. Obrus z planem bitwy pod Waterloo. Talerze złote i srebrne: wetowe z widokami miast i zamków zdobytych. Los szczęśliwy posadził mię obok p. Crooker, redaktora głównego sławnej podówczas torysowskiej *Quarterly Rewiew;* był on pierwszym sekretarzem admiralicji, kolegą szkolnym, a po dziś dzień przyjacielem poufałym księcia Wellingtona, publicystą pierwszorzędnym. Uważając, że mnie stosunki angielskie zajmują, a nie są mi obce, wdał się w polityczną rozmowę, która na całe życie starczyła mi za wielkie studjum o konstytucji angielskiej. On mi to wytłumaczył ustrój arystokracji angielskiej, który jest taki, że nietylko najwyższe zdolności, ale każda zasługa i siła w niej miejsce zdobyć mogą; uprzedzając i odtrącając zarzuty, jakie robią wyłączności kastowej, mówił, iż zasłaniają ją przed niemi przywileje szlachty, czyniąc z niej urząd społeczny. Zapewne, zawsze osłonić jej nie potrafią, pycha i namiętności nie rozumują, a jednak ludzkość ma takie poczucie słuszności, że łatwiej znosi wstrętny nawet przywilej, jeśli jest on politycznie usprawiedliwiony. Gdy mu wspomniałem o czynnem już podówczas działaniu radykalistów, odpowiedział z lekceważeniem, które często cechuje nawet rozumnych konserwatystów: „Ci ludzie nie mają gruntu w narodzie, którego ustrój, jak to Panu wytłumaczyłem, wolne każdej ambicji zostawia pole. Chcesz być kanclerzem, jak oto lord Eldon, chcesz feldmarszałkiem, jak nasz gospodarz, miej zdolność i odwagę, a zostaniesz: cudzoziemcom imponuje ruch radykalny, a my się go nie boimy“. Zapomniał zacny i rozumny człowiek, że zawiść nie rozumuje, ale że łatwiej jej przychodzi ściągnąć drugiego, niż samemu wdrapać się na stromą i wysoką skałę. Radykaliści, co prawda, góry w Anglji nie wzięli, przed obawą jednak ich potęgi i dążności nastąpiła wielka ewolucja w politycznym ustroju Anglji, zwana Reformą.

Reforma taka r. 1832 jak i 1847, jakkolwiek nazywam ją ewolucją a nie rewolucją, była jednak wyłomem, który idea reprezentacji ludu i idea państwowa zrobiły w starej konstytucji angielskiej. Wyłom ten nie był do uniknienia. Przewagę i stanowisko polityczne dawało zawsze to, co reprezentowało, raczej co miało siłę: w wiekach średnich szlachcic na sporym kawałku ziemi w zbroi

i z kopją w ręku, miasto tworzące silną, bogatą, zjednoczoną korporację, uniwersytet możny w dotację a przeważny nauką. Oto potęgi, które panowały społeczeństwu i władały niem, trzymane w równowadze i posłuchu to przez najpotężniejszego, w osobie króla, to przez naczelnika. Ale tymczasem, z biegiem lat i rozwojem sił ludzkości, powstały nowe potęgi. Wielkie fabryki, wielkie kapitały, osobistości, które koncentrują w sobie te żywioły, powstały nowe miasta i korporacje, równie silne albo silniejsze niż dawne, i te przyszły upomnieć się o udział w prawie i przywileju, jak brały udział w obowiązkach. Oto jest geneza reformy angielskiej. Można żałować przeszłości, można ustrój miniony przekładać, niepodobna nie przyznać, że zmiana była nieunikniona, bo wywołaną nie przez jakąś tylko abstrakcyjną ideę, ale przez zmianę w ekonomji społeczeństwa, która zmianę w konstytucji politycznej wywołać musiała.

Parlament właśnie co tylko był zamknięty, więc nie słyszałem żadnego z wielkich angielskich mowców. Czuć tylko było w opinji nieuspokojone jeszcze pole po strasznej walce, w której zdobytą została emancypacja katolików, a której lord Wellington o mało nie przypłacił życiem, będąc wyzwanym na pojedynek przez lorda Winchesley. Zwiedzenie miasta, kilka wieczorów w wielkim świecie *High Life*, obiad u księżnej Lieven, na którym był przychodzący do sławy lord Palmerston, znajomość z Polignacami, zabrały parę tygodni, poczem wyjechałem do Courtfield, do rodziców przyjaciela mojego, Johna Vaughan.

Ruszyłem jednym z tych eleganckich dyliżansów angielskich, jakie były w używaniu. Londyn nie jest pięknem miastem, ale zaledwo opuściło się przedmieście, cóż to za cudowny był kraj! Ta ręka ludzka, co wszędzie zostawiła ślad po sobie, a nigdzie nie zniszczyła natury. Jedna Anglja, która w swej cywilizacji przedstawia naturę niezatartą, ale podniesioną, upiększoną aż do ideału. Drogi bite płyną naturalnym biegiem, płoty żywe i barwne, ogrody, parki, wchodzące w krajobraz tak, że nie rozeznasz, gdzie się kończy porost przyrodzony, a gdzie zaczyna sztuka. Taki był podówczas widok Kampanji angielskiej, harmonizującej dosyć z mieszkańcami. Nocą przejechaliśmy Oxford i Glocester, a rano stanąłem w Ross. Tam zabrał mię poczciwy John i jechaliśmy nad samą granicą Walji, a nad brzegiem rzeki Wye, do Courtfield. Dom niebardzo wielki, choć bardzo starożytny, odnowiony, na spadającym ku rzece trawniku: przyjęli mnie rodzice z tą prostotą, uprzejmością i godnością, którą

tylko ma angielski *gentleman*. Przebyłem w tej zacnej rodzinie dni ośm. Stary Vaughan, który się obrażał, kiedy go brali za potomka Normandów, bo miał się za czystej krwi Saksona, ożeniony z córą zacnego katolickiego domu Weld, nie miał w swych przodkach ani jednego protestanta. W tym domu, gdzie jest piękna kaplica, odbywało się nabożeństwo przez lat dziesiątki w ukrytym lochu, po dziś dzień istniejącym, przez wiek przeszło prześladowania. Oczywiście taka rodzina zachowała gorącą wiarę i zapał niezmierny: objawiło się też to usposobienie, bo Marja, piękna siostra młodego Johna, poszła do klasztoru, a brat jego, Wiljam, był biskupem, pięciu zaś synów duchownymi. Ale to nastąpiło później. My w lipcu 1829 r., to jest dziś może (11 lipca) lat temu 50, objeżdżaliśmy okolicę i zjadali obiady, które *countrygentlemen* dawali dla cudzoziemca, co bywał na obiedzie u Wellingtona i na balach Almax, polowaliśmy na króliki i zwiedzali konno cudowne brzegi Wye i Sawerny. Dnia jednego, przebywszy konno wąwozy, w których są wielkie fabryczne metalowe zakłady, jechaliśmy do pysznych ruin Goodrich-Castle, do starego zamku Chepstow, z którego widok cudowny na Bath, Bristol i toczące się wody olbrzymiej rzeki, a skończyli w Finstern Abbey. Rozwaliny te w malowniczem i poetycznem wrażeniu ustępują tylko opactwu Mellrose. Nad rzeką Wye zielona murawa, na której Cystersi postawili olbrzymi kościół w czystym gotyckim stylu. Sklepienie się zapadło, a było niesione przez kilkanaście potężnych członkowanych filarów, mury głównej nawy chóru i naw pobocznych okryte bujnym porostem bluszczu, jaki tylko Anglja rodzi, który w falach zieloności dościgał szczytów i spadał po obydwu stronach muru. Dzień był piękny, jak rzadko w Anglji; odcinały się linje murów i barwy bluszczów na niebieskiem niebie, i nie wiem, czy w życiu drugi raz spotkałem taki widok. Jeżeli kiedy którego z moich synów zaprowadzi los szczęśliwy do Anglji, niech odwiedzi i Courtfield i Finstern Abbey, bo w tym kraju tak instytucje, jak ruiny zdają się wiecznotrwałe. A jednak nie ujrzą tej Anglji, którą widziałem. Chociaż piliśmy zdrowie *old England for ever*, to wiele się zmieniło. Mnie imponował najbardziej ład bez aparatu policyjnego, jakaś dziwna dobroduszność i prostota w obywatelstwie, z którem byłem w stosunkach.

Wracałem na Oxford. Nad brzegiem głębokiem korytem płynącej rzeki Avon, w pośród cudownych drzew kilkanaście kolegjów, z których każde ma swoją autonomję, a wszystkie razem składają jedną

polityczną i naukową korporację. Każde kolegjum jest historyczną pamiątką i monumentalnym pomnikiem sztuki. Zaledwie wysiadłszy ze Stage-coach pod wieczór, wchodzę w bramę bodaj najbardziej malowniczego Magdalen College. Oglądam wspaniały dziedzińca krużganek, a wychodzący w todze *fellow* zapytuje, cobym był za jeden, słysząc zaś, żem cudzoziemiec, zaprasza na zebranie odbywających się właśnie wyborów członków kolegjum. W poważnej, gotycko, wysoko sklepionej sali siedziało kilkudziesięciu *fellows* w tradycyjnych *gowns* około wielkiego dębowego stołu, naokoło takież rzeźbione ławy. Pili na stole Porto i Claret, cudzoziemca ugaszczali, prowadzili rozmowę, która wiele mię uczyła. Rozgorączkowane zaś były umysły niedawno odbytemi wyborami. Krzesło w parlamencie za Oxford dzierżył (co nader zaszczytne) sir Robert Peel. Kiedy jako minister, choć torys, popierał emancypację katolików, miał sobie za obowiązek wyborcom uniwersytetu, który był główną twierdzą nietoleranckiego protestantyzmu, dać wolność nowego wyboru, i złożył mandat. Wskutek tego nastąpił nowy wybór, który całą zajmował Anglję, a z którego wyszedł sir Roberts Inglis. Poseł jest za swoje zdanie odpowiedzialny: wyborcy nie mają prawa zmuszać go do złożenia mandatu, jeżeli jednak zmieni zasady, w imieniu których był wybrany, przyzwoitość nakazuje podać się do dymisji.

Zwiedzałem i inne kolegja, Bodlejańską Bibljotekę, mianowicie słynne Christ-Church, w którym zwykle polityczni chowają się ludzie. Rozmiary wielkie, obrazy znakomite. W refektarzu pięknym, szerokiem nakrytym sklepieniem uderzyły mię ławy z wąskiemi nakrytemi stolikami naokoło, a w środku stół na kilkanaście osób na trzy podniesiony stopnie, obsługiwany przez kamerdynerów. Pytam, co to znaczy? Stoły naokoło dla „commonerów", środkowy wyniesiony dla starszych synów lordów. Czy tak się zachowało po dziś dzień? Nie wiem, ale w każdym razie ciekawy to objaw, jak w Anglji podówczas hierarchję społeczną rozumiano. Nie było w tem braku logiki: lord angielski, który jest urodzonym prawodawcą, w którego osobie spoczywa część władzy państwowej, nie jest w porządku polityczno-społecznym człowiekiem jak inni: rzecz więc prosta, że musiał być odznaczonym, a odznaczenie to nikogo nie drażniło.

Parę dni zaledwo zabawiwszy za powrotem w Londynie, znowu z księżną Descars powracałem do Paryża. W kilka dni zadrgnęła Francja na wiadomość, że Polignac, Labourdonnaie, Sauzé, Chantelauze ministrami. Ten łagodny, uprzejmy, nieambitny Polignac

puścił się z poświęcenia dla dynastji i ojczyzny na to burzliwe morze. Ja niedługo potem wyjechałem do La Chesnaie pożegnać Lamennais'go i przyjaciół. Zastałem to samo życie, trochę inne usposobienie. Lammenais był rozdrażniony walką o ostatnią broszurę i stanowiskiem Jezuitów. Już się czuł nie tak pewnym poparcia w Rzymie, bo nie żył Leon XII. Nowe ministerjum udało się do niego o poradę i poparcie za pośrednictwem Labourdonnaie'a, który był najznamitszą osobistością gabinetu. Lamennais orlim okiem zbadał odrazu ludzi i położenie. Mówił tak: „Czyby się eksperyment mógł udać w kraju tak podkopanym przez knowania rewolucyjne, jak Francja? Nie wiem, ale w każdym razie mógł się udać tylko pod warunkiem natychmiastowego energicznego wystąpienia. Towarzystwa tajne, knowania i rewolucyjne i bonapartystowskie zdezorganizowały się nieco za ministerjum Martignac'a, bo rachowały na częściową wygraną; teraz znów się zorganizują, zaognią. Kto chciał wstrzymać rewolucję, dynastję wyratować i prawno naturalny zaprowadzić porządek, powinien był przyjść z planem gotowym, z ludźmi pewnymi, i uderzyć odrazu w samo jądro złego, aresztując spiskowców. Dziś już na to zapóźno — dodał proroczym głosem; — ci ludzie to zrobią (ministrowie), ale będzie napróżno, a wówczas ich i tron kaduk weźmie".

Lamennais był rozgoryczony, niespokojny, dla przeciwników w słowach nieubłagany. Raziło mię to, ale wybaczało się mistrzowi. Po raz ostatni w życiu pożegnałem go, bodaj w końcu (30) września. W Paryżu jeszcze ze dwa wieczory *(soirées)* z przyjaciółmi: 3-go października przepędziłem większą część dnia u pani Jarosławowej, a kiedy, żegnając, pocałowała mnie po macierzyńsku w czoło, a ja ścisnąłem jej rękę, zdawało mi się, że się ziemia rozstępuje. To pewna, że gdybym był tej pani w młodości mojej nie spotkał, cała młodość moja byłaby bez poezji, bez barwy i ideału, których promienie oświetlały i późniejsze lata mojego życia.

Sześciu przyjaciół: du Lac, d'Esgrigny, Gouraud,[1] Thiebault, Donadieu, czekało mię na poczcie; o 6-tej siadam, bicz trzasnął: bądźcie zdrowi!

Pobyt w Paryżu mógł być pracowitszy i użyteczniejszy, ale był podniosły, a może najpodnioślejszy w ciągu życia, bo ustawicznie zwrócony do wysokiego celu służenia Bogu i prawdzie w Kościele

---

[1] Dziad jenerała Gouraud.

i narodzie. Później przymieszała się chęć politycznego działania i wpływu, a choć nie stłumiła powołania młodości, to zrobiła je mniej czystem. I to także dawało urok tym młodym latom, że znałem moje chęci, ale nie znałem zdolności i wad charakteru, które później na wiele wystawiały mnie zawodów. Do szczęścia człowieka więcej przyczynia się charakter, niż podniosłość ducha, która, choć szczera, karmi nas iluzją.

ROZDZIAŁ IV.

Powrót do kraju. — Stan umysłów przed wybuchem powstania.

Jechałem przez Bełgję, Niemcy; piechotą wzdłuż Renu. Gdzieś w papierach znajdzie się dziennik tej podróży. Wreszcie Drezno, Wrocław, Kraków... Jak mię przyjęła matka i rodzeństwo (ojciec był w Warszawie), łatwo odgadnąć. Pełnem rodzinnem oddychałem życiem. Zastałem w Krakowie resztki dawnego społeczeństwa, które wymierało, ale nie zastałem pożywienia dła mojego ducha. Matka, Marysia Stadnicka, z mężczyzn nikogo, prócz dominikanina Leszczyńskiego i starego Sołtykowicza. Było mi ciasno i duszno w tej atmosferze, niezadługo też wyjechałem do Warszawy na Kielce, gdzie odwiedziłem starego Ignacego Wiełogłowskiego,[1] ojca Wałerego.[2] Zdrowy rozsądek tego człowieka, który języków nie umiał, wyższe poglądy, zajęły mnie mocno przez dwa dni, które z nim przepędziłem.

W Warszawie spotkanie starych znajomych, Stadnickiego Julјusza, Grabowskich, głównie Stanisława Rzewuskiego.

Życzliwi namawiali mię, aby wejść do służby do Komisji Skarbu, której minister, Lubecki, koncentrował całe administracyjne życie Królestwa Połskiego. Przy nim to pracowały najdzielniejsze siły, Piotr Michałowski i Leon Sapieha w górnictwie, Jelski i Łubieński w Banku, Adam Łęski w sprawach administracyjno-połitycznych, Tis w prawnych trzymał pióro; zdolni, choć mniej znakomici, jak Szatyński, Bagniewski, Muszyński, niższe zajmowali sfery. Tam był środek bardzo ożywionego działania, tam zyskiwało się stanowisko, bo je dawał wszechwładny minister, tam można było robić karjerę. Mnie nie szło o karjerę. Nosiłem w duszy myśl, czy marzenie, że

---

[1] Syn siostry ministra Badeniego.

[2] Znanego pisarza i emigranta (ur. 1805, um. 1865).

chcąc zapewnić przyszłość społeczeństwa i kraju, należało zacząć od wychowania. Przyszłości tej nie pojmowałem, i dziś jej nie pojmuję, jak tylko przez powrót do wiary i Kościoła, a zatem wychowanie chrześcijańskie w szkołach, od dołu aż do uniwersytetu. To była, jak jest, prawda; marzeniem było, że na to potrafię kiedyś przeważnie wpłynąć. Wstąpiłem do Komisji Oświecenia i Spraw duchownych. Komisja ta (tak nazywano ministerja) była bardzo niepopularna. Prezydował w niej minister Stanisław Grabowski; dyrekcję spraw duchownych dzierżył Tomasz Grabowski, oświecenia Szaniawski. Stanisław Grabowski, który po Potockim i w przeciwieństwie do jego antykościelnych zasad objął ministerjum, był to człowiek wiary, łagodny, obdarzony szaloną pamięcią, pełen wiadomości, dobrej woli, ale jak król Poniatowski, którego był synem, bez zdania, charakteru i stanowczości, głos jego nie miał w Radzie administracyjnej przewagi, a i we własnych biurach nie był szanowany. Tomasz Grabowski z miernemi zdolnościami łączył dyplomatyczną prozopopeję, obok bardzo pewnych zasad i uczciwości. Najważniejszą osobistością w składzie ministerjum był Szaniawski.

Józef Kalasanty Szaniawski, człek niepospolitej głowy, obszernej nauki, a absolutnego, do przerzucania się w ostateczności skłonnego charakteru, z zasad Kanta, którego był uczniem, wyprowadził (co wcale dziwić nie powinno, bo się tłumaczy logicznie) najskrajniejsze polityczne dążności, które też usiłował realizować w rewolucji kościuszkowskiej i wyznawał głośno we Francji na początku wieku wpośród ówczesnej polskiej emigracji. Czy zawody polityczne, czy umysł silny, czy stosunki, jakie, bawiąc na kongresie w Wiedniu jako sekretarz ks. Adama Czartoryskiego, zawarł z Gentzem i jemu podobnymi, dość, że zmienił swoje przekonania: z bezwyznaniowego filozofa i politycznego radykała stał się wiernym katolikiem, a w polityce absolutystą. Człowieka wyższego umysłu, który przewidywał przyszłość, musiała razić płytkość liberalnych, tak wówczas popłatnych teoryj, i tu był w dobrej wierze. Czy jednak wiara w naukę Kościoła była u niego owym koniecznym postulatem etycznego życia w człowieku, który obejmuje całe istnienie i sięga poza świat zmysłowy, czy też była uznanym przez rozum środkiem koniecznym do trzymania na wodzy nieujeżdżonej natury ludzkiej, rozstrzygać nie śmiem. Na mnie zrobił wrażenie człowieka wiary formalnej, nie sercowej; i dlatego może tak wstrętnem było całe jego podówczas działanie; w zalecanych dla młodzieży praktykach niby religijnych, w kierunku cen-

zury, której był naczelnikiem, upatrywano środek polityczny. Stąd podejrzliwość, którą usprawiedliwiały znane Szaniawskiego z Nowosilcowem stosunki, a utwierdzały sarkazmy Niemcewicza. Co pewna, to że skutki jego usiłowań nietylko były żadne, ale wprost przeciwne zamierzonemu celowi; cokolwiek wychodziło od Szaniawskiego było wstrętne, a trzeba prawdę powiedzieć, że było także w najwyższym stopniu niezręczne. Mając wówczas rok 24-ty, doskonale to widziałem, i tem lepiej, że gotując się do działania na drodze wychowania i zbadawszy systemata edukacyjne, wiedziałem dobrze, kędy głównej szukać było wady w kierunku. Prócz Szaniawskiego, którego zdolność objawiała się tylko zgryźliwą krytyką politycznych dążności i dziwaczną w cenzurze niekonsekwencją, nie było w komisji człowieka wyższego. W domu ministra Grabowskiego miałem szczególne zachowanie, inne skąpo odwiedzałem, spotykając się z uprzedzeniem do mej osoby i zasad, które Polacy podróżujący z Paryża przywieźli.

Po trzech i pół latach zastałem znaczną w opinjach, usposobieniu umysłów i dążnościach zmianę. Groza, którą wrażał dawniej W. Ks. Konstanty, ustała, bo charakter jego złagodniał, a Lubecki zneutralizował jego i Nowosilcowa przewagę. Wypadek sądu sejmowego poniósł umysły, obudził uczucia i nadzieje. Wpływ liberalizmu francuskiego silnie na nasze działał społeczeństwo. Dorastało pokolenie, które się nie biło za Ojczyznę. Romantyzm gorączkował młodzież — *Wallenrod*, który był wydrukowany w Petersburgu, i *Oda do Młodości* Mickiewicza działały silnie na materjały palne, nagromadzone w wojsku, uniwersytecie i szkołach. Wychowały te zakłady ludzi zdolnych, bez zasad, albo raczej z fałszywemi politycznemi zasadami, bo zdrowych nie było gdzie szkuać, kiedy w księgach i na katedrach uczono tylko fałszu. Mochnacki już wpływ wywierał w literaturze i w publicystyce, Zaleski i Goszczyński w poezji, Witwicki o jeden ton niżej narodowo, a o jeden ton wyżej religijnie. Uniwersytet wydał prawników jak Wincenty Majewski, Józefowicz, Mędrzecki itd., uczonych jak Hube, Kazimierski. Nieznani publiczności, już wpływ wywierali Krępowieccy, Ostrowscy, Nabielaki. Objawiło się to w czasie koronacji, kiedy publiczność oklaskami i obecnością, albo milczeniem i abstencją pochwalała albo cenzurowała konstytucyjne lub nie, wedle jej mniemania, postanowienia monarchy. Byli zapaleni pomiędzy najmłodszymi, którzy wyegzaltowani przez teorje, a może głównych spiskowców, zamierzali zgładzić zebraną podczas koronacji całą Romanowów rodzinę. Jeżeli się nie mylę, ale podobno pamiętam dobrze,

Feliks Wolowski, podówczas 17-letni, główną miał odegrać rolę. Prawdziwi patrjoci wstrzymali ten wybuch i tę zbrodnię. Wołowski wyznal wszystko Lubeckiemu, a ten podjął się zatrzeć całą sprawę, której wątek był już w ręku policji. Wpośród takich to przybyłem do Warszawy żywiolów. Sejm, pierwszy za rządów Mikołaja, niebawem mial być otwarty. Najważniejszą sprawą, która miała być wprowadzona, był projekt do prawa o małżeństwie i rozwodach. Jakie u nas oddawna dziwaczne o rozwodach panowały wyobrażenia, wiadomo. Nadużycia unieważnień małżeństwa były tak częste, że prawie zginęła tradycja o nierozwiązalności tego Sakramentu. W prawodawstwie i praktyce sądowej, na które składały się przepisy francuskie, austrjackie i prawo kościelne, panował nieslychany zamęt. Już w r. 1822 usiłował cesarz Aleksander, poparty przez Woronicza i innych niewielu, zaradzić złemu; napróżno. Stan ten rzeczy wobec budzącej się gorliwości u biskupów był nieznośny. Cesarz Mikołaj polecił ministrowi wyznań przygotować projekt do prawa, który, szanując przepisy prawa kanonicznego, zadowoliłby biskupów. Tak zwana opinja i prawnicy, wiedząc, iż rozwodów cywilnych wobec usposobienia cesarza i opozycji biskupów przeprowadzić nie potrafią, żądali austrjackiej praktyki, t. j. aby sądy cywilne sądziły sprawy małżeńskie wedle kanonicznego prawa.

Widząc, na co się zanosi, poczułem obowiązek przygotowania umysłów, przed zebraniem się sejmu, wykładem właściwych zasad. Napisałem dwa listy o rozwodach,[1] a miało być ich cztery, po francusku, aby mógł je czytać cesarz i otoczenie. Woronicz Janusz przetłumaczył na polskie, miały wyjść w dwóch językach. Cenzor starszy, Watt Kosicki, dał *imprimatur*, ale wobec ważności chwili i przedmiotu zasięgnął rady Szaniawskiego, który pozwolenia odmówił. Czemu? nie pojmuję: nauka była czysto kościelna. Otóż tu go poznałem. Bał się wszystkiego, co tylko mogło wywołać wrzawę i walkę; to pewna, nie byłyby przeszły niespostrzeżenie, a on pojmował tylko przytłumienie, milczenie. Listy, jak na mój wiek, były napisane dobrze, a świadczyły o mojej gorliwości. Byłyby też zwróciły uwagę na moją osobę. Ale mało co w życiu mi się wiodło, zwykle w chwili stanowczego powodzenia szyki się łamały. Zawód ten był mi nieco przykry: ale moje usposobienie podówczas takie, że więcej daleko stałem o rzecz, niż o własną osobę. Sejm się zbliżał, dzień przyjazdu

[1] Listy te wraz z *imprimatur* zachowane zostały w papierach P. Popiela.

cesarza wyznaczony. Tego dnia byłem u ministra na obiedzie. Dają znać, że monarcha chce widzieć Grabowskiego. Czekam jego powrotu, bo był to człowiek dobroduszny, którego można było pytać o treść rozmowy. Znałem przygotowany przez Radę Stanu projekt do prawa. Wiedziałem dobrze, że go biskupi przyjąć nie mogą. Z obawą pytam, czy cesarz zapytywał o projekt do prawa? „Pytał, a następnie zapytał mię, czy biskupi z niego zadowoleni". „A Minister co odpowiedziałeś?" — „Że zupełnie kontenci i przyjmują". Mrowie mię przeszło wobec tej lekkomyślności; odwracając się do Juljusza Stadnickiego, rzekłem: „Zobaczysz, jak straszne powstanie zamieszanie wskutek takiego zapewnienia, które minister dał cesarzowi".

Sejm został otwarty. Na pierwszej audjencji deputacji poselskiej Kaczkowski, poseł płocki, gdy była mowa o prawie małżeńskiem, rzekł do cesarza: „Rób N. Panie, co chcesz, byleś nas zasłonił od przewagi księżej". W dzień otwarcia sejmu Mędrzecki, adwokat deputowany z Pragi, który głównym miał być rzecznikiem w sejmie przeciw kanonicznemu prawu, a miał w tem interes, bo posiadał „monopolium" spraw rozwodowych, nagle umarł. Przeszło, nie bez zajść niewłaściwych, prawo stanowiące o pomniku wdzięczności narodowej dla Aleksandra I. Warszawa była świetna, jak już nigdy potem więcej. Co tylko na całym obszarze ziem polskich było znakomitego rodziną, majątkiem, rozumem, zjechało się po raz ostatni. Pani Zamoyska pierwszą była zawsze świata warszawskiego panią: otoczona 7-ma synami, z których jedni byli chlubą, drudzy nadzieją kraju, córkami pełnemi uroku, a zięciami ze stanowiskiem politycznem, przedstawiała rzadki przykład świetności i powodzenia. Ks. Czartoryski z zimną uprzejmością i godnością przyjmował we środy w pałacu Sapieżyńskim (dziś klubu ruskiego). Namiestnika nie było. W pałacu Namiestnikowskim przyjmowała p. Walentowa z Grabowskich Sobolewska, żona prezesa Rady administracyjnej. Rozumem jaśniały p. z Tyszkiewiczów Wąsowiczowa, z Potockich Raczyńska, sama Sobolewska, Fredrowa, Rozalja Rzewuska; wdziękami ks. Teresa Jabłonowska, z Mostowskich Starzeńska, Melanja Grabowska. Prawdziwie światowych ludzi było kilku, jak Tomasz Łubieński, Sebastjan Badeni, Ludwik Jelski, Ludwik Plater, a z młodszych Łęski, Rzewuscy, Zamoyscy.

Jednego wieczora wchodzę do pełnego salonu p. Sobolewskiej i spostrzegam Gustawa Małachowskiego i Konstantego Świdzińskiego, posłów, w żywej rozmowie z młodym człowiekiem szerokiego czoła

i potężnych rozmiarów, który oparty o komin, poważnie, a z dziwną logiką, gorąco sprawę projektu o rozwodach rozbierał. Zgodność tak rzadka z mojemi przekonaniami, obok gruntowności wywodu, tak mię uderzyła, że natychmiast z nim się zapoznałem. Był to Aleksander margrabia Wielopolski. Proces jego, choć nieznanego, zawsze mię interesował, nawet roznamiętniał. Znajomość ta wytworzyła stosunek ważny, jak zobaczymy, w mojem życiu.

To, co przewidziałem, stało się. Projekt do prawa o małżeństwach, nazbyt kanoniczny dla skrajnych posłów, nie był dosyć dogmatyczny dla biskupów, którzy przeciwko niemu wystąpili. Cesarz wyrzuty czyni ministrowi, który szuka z biskupami porozumienia w konferencjach, do których każdy biskup teologa wyznaczył, ja zaś zastępowałem Skórkowskiego, krakowskiego. Konferencje odbywały się u przezacnego, uczonego i prawowiernego wizytatora Misjonarzy, Rzymskiego. Szukał niepodobnego kompromisu profesor teologji, Oniuszko. Broniliśmy nauki Kościoła, i projekt ze stanowiska prawa kościelnego musiał być potępiony. Grabowski, skompromitowany względem cesarza, wymógł od 5 biskupów, że się zgodzili; krakowski (Skórkowski) i podlaski (Gutkowski) odrzucili cały projekt, który z innych powodów przez Izby nie przeszedł. Ja z polecenia biskupa Skórkowskiego zredagowałem deklarację dla cesarza, w której tłumaczą, czemu na projekt zgodzić się nie mogą. Wobec tego rozdziału pomiędzy pasterzami cesarz deklarację mniejszości uważał za buntowniczą, Skórkowskiego do Senatu nie powołał, wyjechać mu kazał i odtąd ścigał swą niełaską. Owa deklaracja dwóch biskupów, tak jak była podana i zredagowana, znajdzie się gdzieś w moich papierach.[1] Prawo spotkało się z ostrą opozycją, na której czele stanął Lelewel. Ani Małachowski, ani Świdziński, których przekonania były katolickie, nie wystąpili przeciw niej: rozumiem, że dlatego, iż projekt nie mógł zadowolić prawdziwego katolika.

Zjadliwość, z jaką ścigano każdą zasadę czysto kanoniczną, odkrywała całą potęgę błędu albo niechęci w głowach. Dla mnie było to tylko bodźcem do pracy i argumentem na poparcie prawdy, którą głośno objawiałem, że naród musi się odrodzić moralnie, nim się odrodzi politycznie. Przekonanie to zmodyfikowało doświadczenie życia o tyle, że, jakkolwiek prawdy tego zdania zaprzeczyć nie można, to jednak bywają takie położenia polityczne, w których postęp

[1] Zachowała się w papierach Pawła Popiela.

moralny jest niepodobieństwem, a wtedy należy czekać *cum grano salis*, tj. dopóki nie przyjdzie konstelacja polityczna, z której możnaby korzystać.

Kiedy sejm został zamknięty, ukołysały się wody, na powierzchni nie było znać sił demonicznych, które grały w głębinie, gotując wybuch przyśpieszony przez zewnętrzne, oddalone wprawdzie, ale w związku będące wypadki.

Powróciwszy z zagranicy, zastałem wychowanie moich braci, Wacława i Ludwika (Wincenty miał lat 6), naukowo zaniedbane. Postanowiłem dopełnić je, ile można, i otrzymałem, że mi ich do Warszawy przysłano, zapewniwszy sobie wprzódy ich samych na to zgodę, a słowem honoru posłuszeństwo. Wprawny w ten przedmiot, ułożyłem systematyczny plan, wedle którego miał się rozwijać umysł dojrzały a mało zapełniony. A zatem czytania poważne budzące myśli, ćwiczenia klasyczne kształcące smak. Tak to jakoś było dobrze obmyślane, praca rozłożona, dzień zajęty, że im się nie przykrzyło, i wnet postęp się okazał, tak dalece, że gdyby wypadki nie były nas zaskoczyły, bracia za rok byliby stanęli jako ludzie prawdziwie wykształceni. Oczywiście, obok zajęć biurowych, byłem niesłychanie przygnieciony tą pracą, ale przy podniosłem usposobieniu i miłości rodzinnej było mi to miło czuć się użytecznym i odpłacać rodzinie wyjątkowe koszta mego wychowania i podróży zagranicę. Zaledwie braci przywiozłem, urządziłem się odpowiednio, wciągnąłem ich w pracę, — przyszła wiadomość o rewolucji lipcowej. Co Lamennais był przewidział, iściło się. Mnie, złączonego tak ściśle z Francją uczuciami, badaniem zasad, przyjaźniami, wypadek ten jak piorun uderzył, a dosyć miałem politycznego poglądu, aby przewidzieć jego następstwa. Czyby sławne, a przez niektórych osławione *Ordonnances de Juillet* były wydane albo nie, rewolucja we Francji byłaby wybuchła: istniała już ona w umysłach, ta albo owa przyczyna byłaby wywołała objaw jej zewnętrzny. Tylko wojskowo, tylko siłą można było poskromić te żywioły; na to potrzeba było genjuszu, któryby umiał czy w ożywieniu ruchu wewnętrznego czy w wojnie zewnętrznej działalność ich zaabsorbować. To samo stronnictwo, raczej ten sam spisek, który dziś (lipiec 1879) prawami o wychowaniu i innemi usiłuje we Francji, ba, w całym świecie zniszczyć wpływ Kościoła katolickiego a rozpasać humanitarne żądze, to samo wypędzało Burbonów, żądało rzeczypospolitej i przyjmowało jej wyraz w Ludwiku Filipie. Nie szło tu o wolność, bo jej było podostatkiem

za Burbonów, nie szło o sprawiedliwość, bo nigdy sądownictwo francuskie nie było bardziej świetne i niezawisłe; szło o to, aby Kościół, zgodny z polityczną władzą, nie odzyskał wpływu moralnego i aby nie mogła się ustalić jaka taka hierarchja. Żądano równości w społeczeństwie, rozpasania w zasadach.

Powtarzam co, zdaje mi się, już powiedziałem. Naród chrześcijański, który, jak francuski, przez rewolucję aż do warstw najgłębszych utracił wiarę, może ją tylko odzyskać przez łączne działanie duchownej i społecznej władzy. Pod moją we Francji bytność, usiłowania duchowieństwa były olbrzymie, ludzie genjalni, jak Chateaubriand, de Maistre, Bonald, Lamennais, dali wyniosły popęd katolickiemu dążeniu, opromienili go blaskiem genjuszu, nauki i poezji. Objęty tym ruchem, miałem nadzieję, że, choć nie prędko, owładnie całe społeczeństwo i że jak zepsucie, tak prawda i cnota od najwyższych warstw zstąpi do głębi. Stało się inaczej. A chociaż zobaczymy, jak za orleańskich rządów Kościół miał chwilę podniosłą, to jednak znowu z bólem zastanawiać nam się przyjdzie, jak rozdział stronniczy a namiętny osłabił nawet prawdy potęgę. Rojalistą nie byłem nigdy, bo to dla Polaka anomalja, a miałem też podówczas dosyć przenikliwości, aby widzieć, że wiecznego Kościoła z doczesnemi i przechodniemi formami instytucji wiązać nie należy, ale znałem wiele rodzin, których serce było skruszone, wiele egzystencyj zrujnowanych: bolałem nietyle nad upadkiem Burbonów, jak nad tryumfem ich przeciwników.

ROZDZIAŁ V.

Powstanie listopadowe.

Rewolucja lipcowa potężnie odbiła się w naszym kraju: na umysły przygotowane wypadki padły jak węgle rozżarzone; jakieś ukontentowanie bezwiedne, nadzieje, bądźto każdą ważną europejską budzone sprawą, bądź natchnione przez związki towarzystw tajnych. Wolnomularstwo narodowe miało, wiem to dobrze, polski charakter, posługiwało się dla lepszego ukrycia formami masońskiemi, ale ogólno-europejskie związki oddziaływały na nasze sprzysiężenia, a Groddeck w Wilnie, Lelewel w Warszawie, stary Maliszewski w Paryżu, nie byli zapewne bez stosunków i z partją rewolucyjną, i ze sobą. Mógłby wiele o tem powiedzieć Morawski Teodor,[1] podówczas pod imieniem Szczanieckiego bawiący w Paryżu. Ale nim ten pamiętnik dzieci moje czytać będą, już on zapewne w grobie będzie.

Porą letnią osobistości wybitniejsze opuściły Warszawę, lecz Szkoła Podchorążych nie próżnowała.

Czułem coś w powietrzu. Jednego dnia Stanisław Rzewuski, z którym dawna goręcej jeszcze zawiązała się przyjaźń, przychodzi do mnie i bardzo zaturbowany zwierza, że coś się gotuje. Tak wiele już i głośno mówiono, że nie wierzyłem zamiarom, które wywietrzały w słowach. Stanisław Rzewuski, przeciwny i teorji i praktykom rewolucyjnym, głośno przeciwko nim się oświadczający, miał jednak takie stanowisko w mieście, armji i kraju, że wszystkie stronnictwa o niego stały i z nim się znosiły. Dochodziły więc do niego zwierzenia i zapytania o radę. Powtarzam i zaręczyć mogę, nigdy nie potakiwał, surowo gromił. Miewaliśmy wtenczas tygodniowo kolejne zebrania: on, Władysław[1] i Zdzisław Zamoyscy, Tytus Potocki i pi-

[1] Autor znanej *Historji Polskiej*.

[1] Późniejszy jenerał.

sarz polityczny, używany w cenzurze, Niemiec Goldman. Rozbierało się tam poważnie najwyższe polityczne kwestje, czasem odnośnie do wypadków zagranicznych i krajowych. Nie dostrzegłem nigdy, aby Władysław Zamoyski, obok objawiającej się szlachetnej ambicji, natrącił co o udziale w spisku. Ambitny, a nieskończenie mniej od Rzewuskiego wytrawny, mógł przez chęć udziału i zbadania gruntu być u Lelewela, jak mówi Mochnacki, i słusznie za to godzien nagany zwlaszcza że, jak mam przekonanie, właściwie nie konspirował i więcej obawiał się, niż pragnął powstania: podobny w tem do Gustawa Małachowskiego, który także jakieś konszachty ze spiskującymi utrzymywał. Są ludzie, którzy z próżności, jako niby wszędzie konieczni, dotykają się robót, które im są w gruncie przeciwne, a do których później radzi nieradzi (nemesis) wciągnięci bywają. Ze znakomitszych obywateli mocno byli skompromitowani Roman Sołtyk, a nawet Konstanty Świdziński. Czy i jaki mieli udział Kaliszanie, nie wiem; rozumiem jednak, że na swoją działali rękę, potakując usiłowaniom młodzieży. We wrześniu przychodzi Rzewuski i zapewnia, że nadludzkiem usiłowaniem udało mu się wstrzymać powstanie, a Rzewuskiemu można było wierzyć. Nie było już wątpliwości; pojechałem do rodziców do Czapel i broń od przypadku ze sobą przywiozłem. Cały miesiąc przebyliśmy w niespokojnem oczekiwaniu, które jednak nie odrywało mię ani od wychowania braci, ani od biura, gdzie mi powierzono ważny referat co do dotacji duchowieństwa; wypracowawszy go, nabyłem zaufania we własne siły.

Podwójna ta praca kształciła mój umysł, w nielicznem kole moich znajomych zdobywałem stanowisko, kiedy 29-go listopada, o godzinie 8½, czekając w towarzystwie Goldmana z herbatą na Rzewuskiego i Zamoyskich, usłyszałem strzał pierwszy na ulicy. Czułem, że nieszczęście, ale rozumiałem, że indywidualne; że będą liczne ofiary, kataklizmu ogólnego, obawiać się nie mogłem. Stało się inaczej. Wybiegłem na ulice, aby braci połapać: zastałem je puste, domy pozamykane, już leżały trupy Haukego i Nowickiego. Biegnę do Woronicza, o którym wiedziałem, że w konspiracji, a tu wnoszą go ciężko rannego z pod Arsenału, o który młodzież i sapery walczą. Rzewuski, jak mię naprzód ostrzegł na przypadek rozruchu, pozostał na swojem stanowisku w Arsenale, do którego jako oficer kawalerji był przydzielony. Resztę nocy przepędziłem na przygotowaniu broni. O wschodzie słońca, w dzień pochmurny, wychodzę zasięgnąć języka, a naprzód przez Saski Ogród ku Żelaznej Bramie. Ale zastaję ogród

zamknięty, widzę saperów, z których kilku znałem, w najwyższym stopniu egzaltacji. Ludzi na głównych ulicach skąpo; dowiaduję się, że Potocki i Siemiątkowski zabici.

Rzecz przybiera cięższe rozmiary. Idę do mieszkania ks. Adama Czartoryskiego, gdzie się zbiera Rada Administracyjna z przybraniem kilku patrjotów. Widzę, jak stary kasztelan Kochanowski nadjeżdża. Kiedy przemyśliwam, jak dostać się tam tak młodemu, i stoję przed bramą, przypada na spienionym koniu, zeskakuje i w największem uniesieniu biegnie do mnie Władysław Zamoyski ze słowami: „Mon cher, quel malheur!“ Odpowiadam: „Oui, c'est un immense malheur, mais savez vous ce que vous avez à faire? Prenez un escadron de cavalerie polonaise, balayez les rues. On donnera par 200 ducats aux fauteurs et les fera partir, et tout rentrera de l'ordre“. Na to Zamoyski: „C'est trop tard“. Ja: „Dans une heure ce sera trop tard, à présent non“. Wiem dobrze, że łatwiej dać taką radę, niż ją wykonać, i dlatego tylko przywodzę tę okoliczność, którą we 20 lat później Zamoyski doskonale w Paryżu pamiętał, że początkowo ruch zdawał się mniej groźnym i byłby się może dał opanować. Nie bez przyczyny wyrażam się wątpliwie, bacząc, jak dalece konspiracja była rozszerzona w wojsku i wielu już było skompromitowanych, albo zbratanych z ruchem w Warszawie. Zabójstwo znanego i powszechnie szanowanego generała Stasia Potockiego dowodem, jak straszny fanatyzm ogarnął był niektóre umysły.

Powstania narodów ujarzmionych, wczesne czy niewczesne, bardzo trudno wstrzymać, kiedy raz wybuchły. Potrzeba czasem stawać jakoby po stronie ciemięzcy i dla dobra ojczyzny wydawać się jej odstępcą, co jest tak wysokim patrjotyzmu szczytem, że mało kto ma odwagę do niego się podnieść. Na krzyk *Jeszcze Polska nie zginęła!* serce się podnosi, krew w żyłach burzy — a jak na okręcie, żeby go ratować, wyrzucają mienie i towary, tak wyrzucono w przepaść wszystkie instytucje narodowe, swobody, armję, autonomję — w nadziei, że się dobije do portu, a trafiono tylko na wiry i skały. Nie mieli też i patrjoci i wysocy urzędnicy, zebrani u ks. Adama, odwagi potępienia ruchu stanowczo, co jedynie mogło utwierdzić wahające się umysły, a znaleźć u cesarza uznanie. Odezwa, podpisana przez wielkich patrjotów, swoją niejasnością popchnęła ruch naprzód, bez kierunku, bez władzy, bez nazwiska: żył tylko imieniem Chłopickiego, dla którego charakteru i nawyknień wojskowych ruch każdy niekarny był wstrętnym i który też się pilnie ukrywał. Dziwne

położenie: Chłopicki we wszystkich ustach, a Chłopicki zżyma się, rzuca, i zamknięty w mieszkaniu Wolfa, doktora. W mieście wzburzenie coraz większe, nieporządki się wszczynają, kilka sklepów zrabowanych, ludność ze Solca się rusza. Niepewność już nietylko o przyszłość ruchu, ale o jego naturę i dobrą sławę. Wówczas Chłopicki, człowiek niewyrobiony, nieujeżdżony, ale wyższy i zacny, skłoniony, nie wiem czy Wolfa czy p. Wąsowiczowej namową, występuje na ulicę. Byłem temu przytomny na Nowym Świecie. W niebieskim, wytartym surducie, przepasany wstęgą białą, z groźną, jemu tylko właściwą miną, przyjęty przez lud okrzykiem, odrazu poskramia tłumy, porządkuje, i udaje się, już niepomnę, czy do Banku, czy do Namiestnikowskiego pałacu. W trwożliwych wstąpiła otucha, w ogół nadzieja: pułki przybywały, patrjoci znani zjeżdżali się z kraju. Ludzie ruchu, którzy nie mieli dość powagi czy odwagi, aby władzę i kierunek opanować, niedowierzali jednak ani posłusznej opinji starszyźnie, ani Chłopickiemu.

Aby wywierać parcie i górować opinji miasta, użyli wypróbowanego już w rewolucji francuskiej środka: zawiązali zaraz dni pierwszych Klub patrjotyczny w redutowej sali Starego Teatru. Myśl popłynęła od Lelewela i Mochnackiego, czynnikami byli: Ostrowski J. B. Krępowiecki, Puławski i i. Publiczność gromadnie się sypnęła. Klub odrazu nabył rozgłosu i wpływu, ale nie pociągnął uniwersyteckiej młodzieży, która zrazu dziwną odznaczała się karnością i roztropnością. Zaturbowany tym stanem rzeczy, niemniej jak moi przyjaciele, dowiaduję się naraz, że Chłopicki ogłosił się dyktatorem. Zrozumiałem ważność wypadku i ważność człowieka, który władzę brał, a nie czekał, aby mu ją dali. Było to na ulicy Miodowej; szedłem na Senatorską, na rogu idzie ku mnie margrabia Wielopolski. Rozkrzyżowaliśmy ręce, a zrozumiawszy się, w milczeniu serdecznie uścisnęli. Czy Chłopicki ogarnął władzę, aby nieroztropne powstanie honorowo uspokoić, a utorować drogę do zgody z cesarzem? Czy poto, aby energicznie wojnę prowadzić? Mniemałem, że pierwsze, i postępowanie jego było w tym kierunku, ale przy tak gwałtownym temperamencie nie było dość zręczności i polityki. Ludzi nie znał, a więc podejrzliwy, niepowściągliwy, a zatem odtrącający.

Wielkiego Księcia z wojskiem i bronią wypuszczano: Mochnacki protestuje. Stanisław Rzewuski, zręczny w sprawach politycznych, rozpuszcza wiadomość, że Mochnacki zelżył dyktatora, który wskutek tego dostał napadu apopleksji, krew mu puszczono. Mochnacki przy-

chodzi na Klub (byłem obecny), wchodzi na stół, niedobrze przyjęty. Mówi zręcznie, nawet z uszanowaniem wyraża się o dyktatorze, kończy słowami, że wobec wypuszczenia armji W. Księcia, dyktator jest mimowolnym zdrajcą. Ledwo te słowa wyrzekł, powstaje zgiełk nie do opisania, stół usiłują przewrócić, mój brat Wacław dobywa pistoletu, odwodzi, i chce Mochnackiemu w łeb strzelić — ledwo pohamowany. Musiałem Mochnackiego w tej chwili podziwiać. Stał spokojnie, założywszy ręce, okiem po zgromadzeniu wodził: doczekał, aż ukołysały się fale, i wówczas z największym spokojem, ale wzruszonym głosem rzekł: „Śmiałych głosów słuchać nie chcecie; przyjdzie czas, kiedy całe to zgromadzenie, całe to miasto drżeć będzie od strachu, będzie błagać o głos śmiały, a głos śmiały się nie odezwie". Temi kilku wyrazy stał się na nowo panem zgromadzenia. Krzyki: „Niech żyje Mochnacki!" Takie to są usposobień ludu zebranego gwałtowne odmiany. Dyktator istotnie zasłabł, albo zasłabnąć potrzebował dla podniesienia zapału publiczności. Mochnacki, niepewny o swą osobę, został dla lepszego bezpieczeństwa niby zaaresztowany. Klub mimo to obradował, a Ludwik Wołowski w uspokajającym przemówił nazajutrz duchu. Czułem dobrze, iż póki tylko Klub będzie istniał, będzie panował; albo go zamknąć, albo rozdzielić. Miałem zawsze doskonałą świadomość, co w każdej politycznej chwili zrobić potrzeba, tylko nie miałem nigdy śmiałości, aby stanąć na czele dla wykonania mych myśli. Idę do Wielopolskiego i mówię mu: Klub będzie panował, zgniecie nas, popędzi masy naprzód, Bóg wie gdzie, bo namiętności już rozpalone; trzeba go zneutralizować, zawiązując drugi. Myśl ta przypadła, naradzamy się i postanawiamy przybrać zaraz do narady i działania Kantego Wołowskiego. Kanty Wołowski przystaje. Układamy odezwę, w której przebija pewna różnostronność w zapatrywaniach naszych i Wołowskiego; spisujemy listę ludzi, na których liczyć można. Odezwa wydrukowana w *Polaku sumiennym*. Nazajutrz zebranie w Resursie kupieckiej, nieliczne, poważne. Rozgłos. Trzeciego dnia doborem osób ciekawe. Gustaw Małachowski, który wyszedł z rządu, gdzie kierował niby zagranicznemi sprawami, przychodzi i w bardzo pięknej mowie tłumaczy powody opuszczenia swego stanowiska. Wtem wpada w największej egzaltacji Stanisław Jezierski i zaklina, aby nie dzielić opinji; w ślad za nim deputacja od Klubu patrjotycznego z Wincentym Majewskim na czele, z wezwaniem, aby się połączyć w jedno zgromadzenie. Odpowiadamy: Różnica zasad zbyt wielka, ale rozwią-

żemy się, jeżeli Klub patrjotyczny się rozwiąże. Obiecują. Jakoż wieczór przywódców w Klubie nie było: kilkunastu ledwo ludzi, których Leon Rzewuski do rozejścia się skłonił, świece palaszem pogasiwszy. Istotnie Klub patrjotyczny posiedzenia publiczne zamknął, kadry jednak zostały, i zobaczymy go znowu w działaniu.

Chłopicki, zwołując sejm, popełnił błąd bez miary. Złożył i przyjął znowu dyktaturę. Traktowano przez Lubeckiego i przez Jana Jezierskiego z cesarzem, a uznano potrzebę wysłania posłów zagranicę. Do Anglji ofiarował się Wielopolski, a niepodobna było zrobić szczęśliwszego wyboru. Jak pisze w swoim do rządu memorjale, chciał wziąć do pomocy kogoś z młodych ludzi, i proponował, abym mu towarzyszył. Lelewel sprzeciwiał się mojej osobie. Sejm ogłosił detronizację, rewolucję uznał za narodową. Ja, który uważałem powstanie za największe nieszczęście, detronizację za akt najniepolityczniejszy, głośno moje objawiając przekonania (tak, że dziennik *Merkury* wystąpił w długim i zjadliwym przeciwko mnie artykule), zmieniłem po orzeczeniu sejmu nie przekonanie, ale stanowisko, bo kiedy kraj cały losy swoje ostrzu miecza powierzał, siebie ratować nie myślałem. Wszedłem do ruchu pismem i służbą wojskową.

Byłem zdecydowany służyć jako prosty żołnierz, a że właśnie formowały się poznańskie szwadrony, w których cała szlachta wielkopolska służyła, szeregowo więc tam wstąpiłem. Miałem ja w tych czasach próbę całego niemal życia: z niezmiernem przywiązaniem do kraju i gotowością poświęcenia mu życia i stanowiska, przeciwieństwo z błędną opinją; zawsze prawda była po mojej stronie, a długo byłem sam i niemal odtrącony. Zaledwo później wyrobiłem sobie u ludzi poważnych poważane imię, choć już od lat bardzo młodych cieszyłem się szacunkiem co zacniejszych i rozumniejszych w kraju. Byłoby to może, mimo moich zasad, inny obrót wzięło, gdyby Opatrzność była mi dała więcej hardości i zuchwalstwa charakteru. Strzegłem się zawsze pychy, to dobrze; ale pokorę należy mieć względem Boga, względem ludzi zaś poczucie własnej wartości.

Wśród takich wypadków duch powstania ogarnął kraj cały. Czy z nadzieją, czy z powątpiewaniem, każdy pełnił swój obowiązek. Usposobienie ogólne było podniosłe: kluby ucichły, poświęcenie nie znało granic. Lud, choć wolny tylko w pojęciu prawnem i bez własności, zachował był dawną miłość Ojczyzny i sztandaru, który pamiętał z Księstwa Warszawskiego, i chętnie, nietylko bez przymusu, często dobrowolnie szedł do wojska. W kraju bez policji, pra-

wie bez rządu, bezpieczeństwo i spokój były zupełne; nikt nie słyszał o oporze ludności wiejskiej; może bardziej niż kiedykolwiek z dworem była złączoną. Złe było w wyższych warstwach: tkwiło ono głównie w tym dualiźmie, który się objawiał pomiędzy stronnictwem czysto narodowem, a rewolucyjnem. Dla jednych był ten ruch powstaniem, dla drugich rewolucją. Nie należało — mojem i wszystkich politycznych ludzi zdaniem — ogłaszać detronizacji Mikołaja i zrywać wszelką możność układów, dopóki sobie nie zapewniono pomocy albo interwencji: ale skoro raz została ogłoszoną, już wszyscy zarówno szczerze chcieli wojny, szczerze do niej się gotowali i udział brali, choć, zawsze zgodni co do celu, różnili się w środkach. Partji rewolucyjnej uśmiechał się przykład Francji z r. 1793. Choroba ta grasowała wówczas, jak i dzisiaj, kiedy jednak powaga ks. Adama, a następnie stanowisko zajęte przez jenerała Skrzyneckiego zmusiło to stronnictwo do pokorniejszej roli, umilkło, ale zaczęło w milczeniu grunt podkopywać. Nie chcę jednak uprzedzać wypadków.

Chłopicki, przez sejm w dyktaturze zatwierdzony, wyprawiwszy Jezierskiego w układy do Petersburga, wolno i jakby niechętnie kraj zbroił; w ruchawkę nie wierzył zgoła; wiedział, że mamy tylko 27.000 do postawienia przeciwko całej potędze rosyjskiej, która z okrzykiem: hurra! na rozkaz cara zaczęła na całej zbroić się linji. Tak to postracił pierwsze, sposobne do działania zaczepnego chwile. Jak powiedziałem, nie znając ludzi, uczciwy, a podejrzliwy jak każdy, co nie wie na kogo ma rachować, odtrącał natarczywe i śmiałe Dembińskiego i Chłapowskiego propozycje, a Lelewelowskiej bał się intrygi. W pierwszych tygodniach powtórnej dyktatury Lelewel ostrzegł wyższego urzędnika (R. S. Badeniego), aby żonę wyprawił ze stolicy, bo wkrótce pobyt w niej nie będzie bezpieczny. Równocześnie Nieszokoć, bardzo zdolny i popularny oficer artylerji, odkomenderowany do roboty ładunków w Arsenale, zawiadomił pułkownika Łukasza Dobrzańskiego, że emisarjusze Lelewela usiłują wciągnąć jego podoficerów do spisku terorystycznego przeciwko dyktatorowi i stronnictwu narodowemu. Co do mnie, ani wątpię, że w tem była prawda; ale Dobrzański, nie zebrawszy dosyć szczegółów i nie wyśledziwszy wątku, idzie do dyktatora, oskarżając Lelewela o spisek. Dyktator ostrożny, choć Lelewela podejrzywał, obydwu aresztować każe. Dobrzański dowodów dostarczyć nie mógł, ci, co je mieli, cofnęli się. Tak w dni kilka Lelewel uniewinniony wyszedł z urokiem prześlado-

wania i mocniejszy niż przedtem. Nauka, jak w takich sprawach należy działać na pewno. Gdyby Lelewela przekonano i ukarano, całe jego stronnictwo, które fanatyzował, byłoby rozbite. Dlatego szczegół ten podnoszę, bo jego natury, początku i celu nikt nie znał, a dyktator, jak z późniejszych z nim rozmów uważałem, nie rozumiał.

Życie w koszarach, a staliśmy w Łubieńskich palacu na ulicy Królewskiej, przepłatalem pisaniem artykułów, rozmowami z S. Rzewuskim i kolegami. Tam to poznałem Marcinkowskiego, ks. Logę, Kaczorowskiego, a zawarłem stosunek z Maciejem Mielżyńskim.

Dyktator złożył urząd, organizacja armji postępowała, nieprzyjaciel liczny się zbliżał. Do Rządu Narodowego weszli, choć w mniejszości, ludzie jak Lelewel i Niemojewski Wincenty, do ministerjum Bonawentura Niemojewski. Stronnictwo narodowo-monarchiczne miało większość, a więc władzę, której nieśmialo używalo. Po abdykacji Chłopickiego trudno bylo o wodza. Rząd obiera Radziwiłła. Przyjmuje — jako poświęcenie dła Ojczyzny, a zapewnia sobie radę Chłopickiego. Stanisław Rzewuski, najzdolniejsza głowa, a najwznioślejsza dusza w całej armji, którego dziwnem uprzedzeniem Chłopicki o ambitne zamiary podejrzywał i trzymał zdala, zapewniał mnie, że plan Chłopickiego (a znał go przez S. Kłickiego) był nader genjalny: Przyjąć bitwę, z oparciem o fortyfikacje Warszawy, pobić nieprzyjaciela, i rozbiwszy, pędzić przed sobą na Litwę. Przyszły pamiętne dni lutego. Straszna dnia 25 bitwa: Chłopicki ranny, wojsko z chwałą schronione do stolicy. Skrzynecki, który odwagą, taktyką, zimną krwią odznaczył się pod Białołęką i Grochowem, wodzem naczelnym. Odznaczyli się odrazu w ogniu Tomasz Potocki, Leon Rzewuski, Kruszewski. Ja dzień przepędziłem na koniu w rozciągniętym łańcuchu nad Wisłą, słysząc tylko bitwę, a właściwie jej nie widząc. Rad jednak jestem, że na starość mogę powiedzieć: byłem świadkiem ostatniej wielkiej, a poczęści losy Europy rozstrzygającej walki, stoczonej przez polskiego żołnierza z wiekopomną chwałą! (Opisałem ją w artykule *Przeglądu lwowskiego,* który *Czas* d. 25 lutego 1879 powtórzył). Czas od 25 lutego do 1 kwietnia był niewątpliwie najpiękniejszą chwilą całego powstania. Ucichły antagonizmy stronnictw i ludzi, nastrój umysłów był poważny, nie usłyszałeś przechwałek, ani głosu zwątpienia, gotował się każdy do działania lub śmierci. Zabitych wielu: ja straciłem ciotecznego brata, Włodzimierza Byszewskiego. Szpitale przepełnione, ałe obsłużone sumiennie. W Rządzie wiadomości z Londynu od A. Wielopolskiego, że od Anglji niema czego oczeki-

wać; z Wiednia, że wysłanego tam pułkownika Bojanowicza nie wpuszczono; tylko do Berna przyjechał jenerał Clam-Martinitz, — żadnych nadziei.

Pułkownik nasz, Brzeżański, rzadko przychodził do stajni; 30-go marca wieczór pokazał się koło 9-tej i polecał, aby wszystko było w porządku. Uderzyło nas to: każdy, co nie zawsze bywało, stanął na swojem miejscu. O 12-tej rano kazano siodłać konie — o 2-giej na koń! Ciemną nocą, w milczeniu, które było nakazane, ruszyliśmy stępa ku mostowi; most był grubo wysłany słomą, ani usłyszeć kopyt końskich. Za artylerją postępowaliśmy wolno. Całe wojsko przeprawiło się w największym porządku, jakby na rewji: żadnego zatoru. Przeszedłszy most, gościńcem brzeskim (dnieć zaczynało), posuwamy się ku Słupowi, a tu strzały armatnie i z ręcznej broni. Dziwne to uczucie ogarnia człowieka w dzień bitwy. Naturalna człowiekowi obawa o życie, i obawa, że mógłby nie dopisać swemu obowiązkowi, czasem bywa podniesiona myślą ofiary i poświęcenia. Dnia tego szedłem bez wzruszenia — jakieś w powietrzu było przeczucie zwycięstwa. Na drodze ku Miłosnej już trupów mnóstwo. Jedziemy dalej, prowadzą masami jeńców. Im dalej, tem więcej trupów, słyszymy strzały, a widzimy tylko ślady zwycięstwa. Wtem jedzie na koniu Władysław Zamoyski, wiezie sztandary, ręka obwiązana. „Co ci jest?“ — „Nic, palec ustrzelony“. I prawda, warto było opłacić utratą palca chwałę rozbicia kilku batalionów, zabrania licznych jeńców i sztandarów. Wolno w takim zwycięskim maszerowaliśmy pochodzie aż ku wieczorowi. Patrzałem na uporczywą szarżę na bagnety pułku 4-go, kiedy muzyka grała: *Jeszcze Polska nie zginęła!* Słońce zachodziło. Brzeżański komenderuje: „Szóstkami na szosę (obok której staliśmy) kłusem!“ Przed nami szły karabiniery, i to była owa sławna szarża szóstkami na ustawione przeciw nam armaty i pułk konnopolców. Armaty parę razy dały ognia i umilkły, pułkownik konnopolców, Szindler, odrazu poległ i leżał na bankiecie. Przelecieliśmy wpośród armat i lawetów poprzewracanych, goniąc nieprzyjaciela, który ginął albo pierzchał. Było już zupełnie ciemno, zakomenderowano: „stój!“ Odwrót do posterunku głównej armji. Stanęliśmy przy artylerji i kanonier, rodem z Czapel, pożywił zgłodniałego ziemniakiem pieczonym ze solą.

Nie należy do tego opowiadania przebieg dalszej kampanji. — Rozpoczął się ruch na gwardje ku Tykocinowi. Nie pamiętam już w którym punkcie, przybywa adjutant wodza naczelnego do pułku;

pyta: „Żołnierz Paweł Popiel?“ i oddaje rozkaz na piśmie: Żołnierz Paweł Popiel uda się natychmiast do ks. Prezesa Rządu i odbierze od niego rozkazy. Wystąpiłem z szeregu, i stępo, bo koń był mi okulał, jechałem do Warszawy, dążąc do mieszkania księcia, któremu prosto z konia, zakurzony, meldowałem się z rozkazem. Przyjął łaskawie i oświadczył, iż, dowiedziawszy się od Władysława Zamoyskiego, że piszę dobrze po francusku, zażądał mnie do swego biura spraw zagranicznych. Biuro było złożone z ludzi miernych: księcia zastępywał radca stanu Horodyski, człowiek uczony, w teorji prawa publicznego biegły, zasad dobrych, ale do polityki praktycznej zupełnie niezdatny, bez wprawy, zdrowego poglądu i decyzji. Kancelarją kierował Kruszyński, bez żadnego objęcia, mierny redaktor. Najlepsza głowa był Andrzej Koźmian, którego opisywać nie potrzebuję, bo dał się poznać w *Pamiętnikach*. Kancelistą czy sekretarzem Stefan Suszyński.

W tem miejscu uwaga. Znane są zarzuty robione wodzowi naczelnemu: nie mnie sądzić, co faktycznie albo strategicznie należało zrobić, ale to pewna, że nie należało stać, jak zrobiliśmy, dwa tygodnie pod Jędrzejowem. Strata czasu i zwycięstwa, która każdego biła w oczy, usprawiedliwiała sarkania, osłabiała karność; gorący wielbiciele Skrzyneckiego (sam takim byłem) nie umieli wytłumaczyć bezczynności, na którą głośno żalił się Prądzyński, on, co zawsze miał kilka planów w kieszeni, podyktowanych przez genjusz czy przez wyobraźnię. Rzecz dziwna, jak nikt ze swego charakteru wyjść nie może: Skrzynecki, heroiczny w odporze, nie umiał atakować, bo był umysłem logicznym, ale bez inicjatywy. Nie widział wojskowo dość jasno, aby wziąć na siebie odpowiedzialność zaryzykowania armji i kampanji. Rady dawał mu śmiałe, może nawet trafne, Prądzyński, ale pamiętajmy, że ten, który radzi, a nie dowodzi, nie odpowiada. Odpowiedzialność robi trwożliwym każdego, który poglądem genjuszu nie przewiduje wygranej. Gorsze były skutki tak długiego wyczekiwania w sejmie i mieście. Niedowierzanie, niecierpliwość opanowały umysły, a kiedy wymuszony przez opinję i grozę położenia marsz na gwardje skończył się straszną ostrołęcką bitwą, żywioły skrajne, korzystając z niepowodzeń narodowego stronnictwa i ludzi, zaczęły się organizować i burzyć, choć z innym charakterem w sejmie, a z innym w mieście. Dzisiaj, zimno patrząc na rzeczy, potępiając rewolucyjne działanie, którego straszne zobaczymy skutki, muszę powiedzieć, że ospałość rządu i dowództwa armji poniekąd dodawała mu siły. Kilkotygodniowy spokojny pobyt głównej kwatery w stolicy,

kiedy następowała zmiana głównej komendy w armji rosyjskiej, coraz bardziej żelaznym otaczającej nas łańcuchem, gorszył nietylko zapalonych. Narodowe stronnictwo widziało co się dzieje, ale milczało, aby nie dolewać oliwy do ognia. Ogień buchać zaczynał. W sejmie Niemojewski, Morawski z całą kaliską partją występują ze stanowczą opozycją, trzymani na wodzy wpływem i wymową Świdzińskiego, Małachowskiego i zasiadającego w ministerjum Leona Dembowskiego. Aby wzmocnić wymowny ten zastęp, daje Rząd świeżo przybyłemu z Anglji margr. Wielopolskiemu godność Radcy Stanu w Wydziale spraw zagranicznych, aby mógł, jako komisarz rządowy, w Izbie przemawiać. Wielopolski, osądziwszy bystrym swoim umysłem położenie, pierwszą swoją znakomitą mową odrazu Izbę na dwa obozy rozdzielił, wskazując na różnicę zasad, jaka w nich istniała. Postawa sejmu i położenie w nim posłów stały się prawdziwe. Kaliszanie, zrozumiawszy, z kim byłoby do czynienia, wystąpili przeciwko przemawianiu w Izbie młodego Radcy Stanu, i osiągnęli większość. Tak Wielopolski nie miał już sposobności działać parlamentarnie. Wielopolskiego sprawozdanie znane. Nie zostawiał miejsca na iluzje, a iluzyj nawet w biurze spraw zagranicznych żądano. Uwierzytelniony młody Aleksander Walewski (syn naturalny Napoleona I) miał niby przez stosunki, które go wiązały z księżną Dino, uzyskać wpływ i przez Talleyranda. Talleyrand, podówczas ambasador francuski w Londynie, potrzebował koniecznie, aby odrywająca się od Holandji Belgja przyjęła warunki układów i bytu, jakie w swoim interesie ofiarowały Francja i Anglja. Łudząc Walewskiego, oświadczał Talleyrand, że zajmą się sprawą polską, byle tylko Belgja uspokoiła się i przyjęła ofiarowane warunki. Z ramienia naszego Roman Załuski wysłany do Belgji, aby w imię interesu Polski skłonić ją do ustępstw i układów. Szlachetni Belgowie, rzadki w historji przykład, wskutek traktowania i mów publicznych Załuskiego przystają na propozycje angielsko-francuskie, a dyplomacja, wyzyskawszy naszą łatwowierność i usłużność, obietnic nie dotrzymała. Dyplomatów tradycja u nas zaginęła, właściwie nie istniała nigdy; odgadł jej sekreta Wielopolski, ale on tylko jeden. W biurze, w którem pracowałem, widziałem całą niedołężność naszej akcji zagranicą: raporta, korespondencje, bez znaczenia. Horodyski ze swoją nauką był tak dziecinny w praktyce, że choć młody, jak byłem, musiałem go czasem reflektować. Książę, może zanadto zaufany w stosunki z lordem Grey, ciągle rachował na jego daleko w polityce wi-

dzący rozum. Być może, że książę w sekrecie przed nami pisywał do ministrów. Ja żadnego pisma jego osobistej redakcji (a wiadomo, że redagował doskonale) nie widziałem. Kiedy wojna z różnem przeciągała się szczęściem, dwór austrjacki, który rozumiał z początku, że powstanie odrazu przytlumionem zostanie, łaskawszem na nie zaczął patrzeć okiem. Dwór austrjacki, niezupełnie chętny rozbiorowi, nie uważał nigdy Galicji za prowincję na zawsze do niego należącą. Rosnąca potęga Rosji przejmowała go zawsze strachem. Pełnomocnikiem wojskowym austrjackim przy armji rosyjskiej był pułkownik Caboga, Raguzanin, Słowianin zapamiętały, rozumny i zacny człowiek. Raporta jego były dla nas korzystne, Andrzej Zamoyski, dotarlszy z niebezpieczeństwem życia do Wiednia, znajdował posłuch; najlepszym dowodem, że i składki z Galicji płynęły i legja nadwiślańska przybywała. Zupełnie inne było stanowisko Prus, działających z największą zajadłością przeciw powstaniu, utrudniających komunikacje z zagranicą, ułatwiających armji rosyjskiej zaopatrywanie potrzeb w Prusiech, dopuszczających przechodu przez granicę. Najgorsze usługi oddawała nam Francja, nie tyle przez obojętność rządu, jak przez nadzieje, jakie budziła partja liberalna z Lafayettem na czele. Lubiliśmy zawsze łudzić się i rachować na to, że powstawszy, zmusimy inne ludy i rządy, jako niby interesowane w naszym bycie, do ujęcia się za nami. Dlatego żadne z naszych powstań nie zapewniło sobie nigdy *a priori* pomocy. Przeciwnie, powstawaliśmy czasem w chwili dla przyszłych urojonych sprzymierzeńców najniedogodniejszej: tak było w r. 1863. Stąd dopiero szukanie bezskuteczne przyjaciół, zabiegi upokarzające, jak to widzimy boleśnie w *Pamiętnikach* Niemcewicza. Tak być musi w narodzie, w którym nie starszyzna, mająca stosunki i stanowiska, mogąca przygotować pomoc a uznać chwilę, daje hasło do powstania, ale niedorostki gorącej krwi, głowy, bez żadnej znajomości spraw międzynarodowych, ze zarozumiałością spisku i młodego wieku. Czuli to doskonale sprawcy powstania w listopadzie, i dlatego niesłusznie robi im Mochnacki zarzut, że ruch wypuścili z ręki. Wypuścili, bo czuli, że nie mają ani siły, ani powagi. Ruch zaś w r. 1863 — to nie było powstanie, to nie była rewolucja, to był desperacki krwi przelew, aby ranę rozbioru utrzymać zawsze broczącą. Kłamstwa napół urzędowe miały utrzymywać ducha; — niepotrzebnie: duch nie upadał, tylko spokojność zniknęła.

Jeżeli w sejmie liberalni Kaliszanie z rządem wojnę prowadzili, to w mieście Klub patrjotyczny na nowo zawiązał się w cieniu i wywierał parcie na opinję. Mochnacki, który odbył wojskową próbę, powrócił; *Nowa Polska* przemawiała coraz gwałtowniej. Dobrze redagowane i zdrowo pomyślane *Zjednoczenie*, w którem odznaczał się Cyprjan Zaborowski, powstało zapóźno i nie mogło zdobyć przewagi. Skrzyneckiego zagrzewano, aby wyszedł w pole, a on bał się opuścić Warszawę, aby tam skrajne nie zapanowały żywioły. Powietrze w Warszawie zaczynało być ciężkie, irytacja rosła, a więc skrajne stronictwo zdobywało adherentów. Tak niektórzy posłowie umiarkowani, jak Kantorbery Tymowski, Nakwaski, przechodzili do radykałów. Biegły w kwestjach politycznych, miałem kilku posłów, jak Ignacy Dembowski, Ślaski, Walewski, nawet czasem Jan Ledóchowski, na których wywierałem znaczny wpływ. Do augsburskiej *Allgemeine Zeitung* szły moje artykuły o sprawie naszej. Wogóle jednak pobyt ten blisko trzechmiesięczny w Warszawie był mi przeciwny, bo czułem, że jestem zgoła nieużyteczny. Usposobienie moje było takie, że raz po rozmowie rzekł do mnie Skrzynecki: „O tylu rzeczach mi mówisz, a czemu nie prosisz, abym cię wziął do sztabu na adjutanta?“ A ja: „Generale, dosyć na ciebie narzekają, twą popularność podkopują, nominacja moja wywołałaby krytyki, zarzuty...“ „A toś tęgi: masz rację, ja zaś mam dla ciebie tem większy szacunek“, i pocałował mnie. Nie mówiłem podobno o tem nigdy, ale w pamiętniku, po latach 48, mogę o tem wspomnieć. Istotnie, miałem rację: byłem niepopularny, a na polu wojskowem nie odznaczyłem się niczem do tyla, aby taki usprawiedliwić wybór.

Brat mój, 17-letni Ludwik, nie mogąc wytrzymać w domu, wszedł za pozwoleniem rodziców (przy których był tylko 7-letni Wicuś) do wojska. Brat Wacław równocześnie ciężko ranny. Dembiński wraca z Litwy, już niespodziewany. Jedna błyszcząca gwiazda na tem szarem i ponurem niebie. Wyprawa Jankowskiego na Rüdigera chybiona. Krzyk: zdrada! — a zdradą było niedołęstwo. Jakąż radością była wiadomość, że Dembiński powraca. Kiedy podzielony i otoczony korpus Giełguda przechodził granicę pruską, Dembiński odważył się pójść w głąb Litwy, a gdy się nie udało podnieść powstania, okoliwszy Wilno przez środek wojsk rosyjskich wrócić do Warszawy. *Audaces fortuna iuvat.* Udało mu się powrócić, i miał chwilę wejścia do Warszawy — chwilę, po jakiej może człowiek umierać. I szkoda, że nie umarł, bo doczekał się zapomnienia i niewdzięczności własnego na-

rodu. Równocześnie prawie z powrotem Dembińskiego, z którym przybyła znaczna liczba litewskiego obywatelstwa i który to powrót na chwilę podniósł przygnębione, a pogodził zwaśnione umysły, przechodził Paszkiewicz Wisłę, i powstały gorszące bolimowskie swary. Rüdiger zajmował Lubelskie i przechodził w Sandomierskie, coraz ubywało nam kraju wolnego: położenie zaczynało być rozpaczliwe. Zarzuty robione Skrzyneckiemu, że przez nieczynność swoją sprowadził taki stan rzeczy, zdawały się słuszne: ale ci, co je robili, zapominali, że siejąc nieufność, grożąc teroryzmem, przykuwali go do stolicy. Rzecz pewna: Skrzynecki nie był dosyć czynny, nie umiał działać zaczepnie; ale widując go często, wiedziałem dobrze, że miał zamiar pod Warszawą oczekiwać Paszkiewicza, i tam, oparty o fortyfikacje miasta, stoczyć bitwę. Jak uporczywie i walecznie umiał Skrzynecki bronić pozycji, dał dowód pod Białołęką i pod Ostrołęką. Nie dano mu czasu: stronnictwo rewolucyjne coraz większą niekarność krzewiło w armji. Pod Bolimowem przyszło do formalnego sejmikowania. Czy już była w tem ręka Krukowieckiego? nie wiem; to wiem, że Władysław Zamoyski albo dał się wciągnąć, albo dał pochop do intrygi przeciw Skrzyneckiemu. Władysław Zamoyski, zapewne nie bez ambicji, jak każdy człowiek wyższych zdolności i animuszu, nie byłby nigdy umaczał ręki w tej sprawie, gdyby nie miał przekonania, wedle mnie fałszywego, że zmiana komendy była potrzebna. W takich chwilach ludzie tracą równowagę; poniekąd stają się moralnie nieodpowiedzialnymi: to mówię dlatego, bo znałem Zamoyskiego jako tak piękną i szlachetną duszę, że w jego działaniu muszę przypuścić obałamuconą przez egzaltację dobrą wiarę. Skutek jednak był taki, że Skrzynecki dowództwo złożył, a jako swego następcę polecał wojsku Dembińskiego. Mimo uroku, jakim świeżo go otoczył heroiczny powrót, stronnictwo rewolucyjne umiało go przedstawić jako arystokratę: wojsko przyjęło go zimno. Stronnictwo działało równocześnie w obozie i w mieście. Stronnictwa rewolucyjnego, tak w Polsce jak we Francji, był zawsze ideałem — teroryzm. Dziwnym obłędem rozumiało, że był lekarstwem na wszystko złe i siłą, której nic oprzeć się nie potrafi, tj. chciało wywołać heroizm przez najniższe uczucie: uczucie strachu. Ludzie ci namiętni żadnej szlachetnej nie pojmowali pobudki, niepomni, że, jeżeli naród tak jest upadłym, że tylko postrach wymusi na nim poświęcenie, to taki naród ani żyć nie może, ani też życia wart nie jest. Dowództwo armji było właśnie zachwiane, a Warszawa, bez siły zbrojnej, oczekiwała

wyroku na Jankowskiego i kiłku aresztowanych, posądzonych niby o szpiegostwo, dawno znienawidzonych urzędników. Najłatwiej obudzić (bo najmniej kosztuje i w najciemniejszych serca spoczywa kryjówkach) patrjotyzm podejrzliwości i zemsty. Klub patrjotyczny codziennie obradował. Naraz rozpuszczają wieść po Warszawie, że podsądni, o zdradę kraju uwięzieni, mają być uniewinnieni i uwolnieni.

Było to 15 sierpnia, w niedziełę. Ja byłem u p. Maksymiłjanowej Fredrowej, z domu Gołowin, która mieszkała przy ulicy Miodowej. Około 5-ej godziny spostrzegam posuwającą się gromadę, około 100 osób, bardzo podejrzanych ludzi, z ks. Puławskim i Szyngłarskim na czełe. Zrozumiałem, o co idzie. Zbiegłem na dół, pytam: Dokąd? „Do Rządu Narodowego, domagać się ukarania zdrajców". Mieszkałem obok Namiestnikowskiego pałacu, gdzie obradował Rząd Narodowy. Szybko pobiegłszy, przypasałem pałasz i poszedłem, jak było moim obowiązkiem, do biura Rządu, gdzie zasiadał obecny mój zwierzchnik, ks. Adam. Kłub się zbliża i żąda, by go wpuszczono. Rząd tylko trzech przyjmuje. Wchodzi Puławski i odbiera odpowiedź, że oskarżeni są dobrze strzeżeni, Rząd za nich odpowiada, a ręczy, że winnych spotka surowa kara. Przytomny temu, nie pamiętam, czy z tą odpowiedzią wyszedł książę do łudu, czy ją przyniósł Puławski. Rada w radę, jedni kontenci z odpowiedzi, drudzy rozdrażnieni, bo im się nie udało. Kupa się zmniejsza, deszcz lekki zaczyna padać, cofają się ku lwom i tam kiłkunastu łedwo hersztów zostaje. Rozumiałem, że się już rozejdą, ałe nie odstępowałem. Musiało być umówione hasło, bo na okrzyk: „Chodźmy do zamku!" naraz wiełe zbiegło się łudzi i dalej ku Zygmuntowi. Ja za nimi. Na ulicach rozruch. Kłub posuwał się ku bramie około Błachy. Przed bramą zamkową stał posterunek gwardji narodowej. Komenderował oficer, kupiec warszawski, którego nazwiska na nieszczęście nie mogłem się dowiedzieć, choć wart chwały. W ściśniętych szeregach lud zwolna posuwał się ku bramie; oficer woła: „Ja tu straż trzymam, jeżeli trzy kroki postąpicie, każę dać ognia!" Milcząco jedni drugich popychają. „Ognia!" Płuton strzelił. Czy kto padł, nie wiem, ałe rozbiegli się jak oparzeni, z krzykiem znanym: „Na lud strzełają!" Postawa gwardji narodowej tak zaimponowała, że kto wie, czyby się pokusiłi powtórnie. Już był wieczór. Gwardja narodowa z komendantem na koniu liczniej ściągała. „Komendancie — ktoś krzyknie, — gwardja zdrajców broni, na lud strzela". Na to niebaczne słowo wyrwało się: „Oficer, który na lud strzelał, będzie pod sąd oddany". Słowa te zdemoralizowały gwardję, a dodały otuchy zbie-

gowisku, które rosło. Widząc, co się dzieje, biegnę do marszałka Ostrowskiego, który mieszkał w pałacu Paca. Zastaję go w ciemnym pokoju, nieświadomego zupełnie wypadków. „Pójdę zaraz". Ja wracam na Plac Zygmuntowski i zastaję krwawe gody. Już zamordowani więźniowie, rozruch nie do opisania. Lekkomyślnie w takiej chwili występującego z morałem chce przebić młody człowiek bagnetem; szybkiem zboczeniem unikam razu. Zbrodnia spełniona: sprawa krwią i błotem oblana. Co mi się działo, trudno powiedzieć, ale drugiej tak bolesnej chwili w mojem życiu nie miałem. Dosyć było politycznego doświadczenia, aby wiedzieć, że sprawa zgubiona, a zgubiona brzydko i głupio, bo polski charakter, jeżeli czasem przez słabość mówi o terorystycznym krwi rozlewie, w czynie znieść go nie może i opuszcza ręce wobec środków nieuczciwych. Pośpieszyłem do księcia, którego już nie było, następnie do generałowej Skrzyneckiej, której mąż rzekomo był nieobecny. (Był ukryty u poczciwego Henryka Zabiełły.) Jakże wobec tych wypadków zachowywał się Krukowiecki? Kiedy z Juljuszem Stadnickim szedłem ulicą, ktoś, nie pomnę kto, zapewniał, że ks. Adam, uchodząc konno, z pistoletem w ręku, przez Wolską rogatkę, zginął od klubistów. Poszliśmy, aby o tem zawiadomić Krukowieckiego; Juljusz, jako oficer, wszedł do pokoju, ja, jako prosty żołnierz, czekałem. Na tę wiadomość (która szczęściem okazała się fałszywą) porwał się za głowę w największem uniesieniu Krukowiecki, krzycząc: „Te łajdaki przed niczem się nie zatrzymają!" Krukowiecki nie chciał zapewne mordów, ale rozkiełznał element, któremu potem nie mógł poradzić.

Straszna to była noc; bandy przeciągały po ulicach ze złowrogim krzykiem. Kiedy ze sercem zrozpaczonem szedłem ulicą Bielańską, widziałem mieszkanie jednego posła oświecone, okna otwarte i wiwaty głośno spełniane szampanem. (W lat 43 spotkałem tego samego, wytrzeźwionego z szału, urzędnikiem w bibljotece Ossolińskich). Resztę nocy przepędziłem u generałowej Skrzyneckiej.

Zbrodnie tego rodzaju, które bywają symptomem słabości, zabijają sprawy, w imię których je popełniono. Czy powstanie mogło się podnieść 14 sierpnia, nie wiem. To pewna, że po 15-tym trwać nie mogło. Ogarnął zacną część ludności wstyd i zwątpienie. Jak to przewrotność zarozumiałych zbrodniarzy zrozumieć nie chce, że u nas teroryzmem nic zbudować nie można; po 30 latach próbowali tych samych środków i podobne też były następstwa. W spaczonych a zepsutych tych umysłach pokutuje przykład teroryzmu: Marat, Danton

dla nich ideałem; niezdolni podnieść się do cnoty, zniżają się do zbrodni. Na pochwałę ówczesnego społeczeństwa powiedzieć muszę, że nazajutrz Warszawa była oburzona, ale nie zatrwożona. Krukowiecki groźną niby wydał odezwę. Przeważna część sejmu i ludzie porządku oczekiwali wystąpienia wodza; Dembiński wezwany zbliżał się do Warszawy, przysłał naprzód generała Chrzanowskiego, na którego energję liczono. Chrzanowski przybył, otucha wstępowała, ale surowych nie przedsięwziął środków. Trzeciego dnia stanął Dembiński ze sztabem na Czystem. Tam go odwiedziłem i zdałem sprawę z wypadków, stanu miasta. Gwałtowny, oświadczał się za użyciem najsurowszych środków. Nazajutrz przybywa do Warszawy, staje w Namiestnikowskim pałacu. Wchodzimy w radę z Wielopolskim, co czynić? Korzystając ze zgrozy położenia, uniesień Dembińskiego i jego wpływu na wojsko, nakłonić go do ogłoszenia się dyktatorem, a dla sankcji władzy i przerażenia spisku równocześnie pięciu klubistów oddać pod sąd wojenny i rozstrzelać. Wielopolski, siostrzeniec Dembińskiego, mający przewagę nad jego umysłem, skłonił go do tej myśli, która jedna mogła zbawić sprawę i dlatego też przypadła do heroicznego charakteru Dembińskiego. Przyrzeka, decyduje się, każe sobie napisać odezwę; umówione, jaki komu urząd przeznaczy. W nocy odezwa napisana. O 5 i $^1/_2$ rano idziemy we dwóch do Dembińskiego, aby podpisał. Leżał w łóżku. Wielopolski sam wchodzi; zaczyna się dyskusja; Dembiński zadrżał przed odpowiedzialnością, odmówił podpisu, chcąc w takiej chwili działać legalnie. Wielopolski w największej furji wypada z pokoju i targając proklamację, mówi do mnie: *„Cet imbécile recule!“* Szczegół ten, zupełnie nieznany, przywodzę tu, raz, aby pokazać, jaki to był człowiek ów Wielopolski, a powtóre, jak dalece nasza polska natura drży przed krwi rozlewem, a cofa się przed odpowiedzialnością. Czyby ta kombinacja w połączeniu z ukaraniem zbrodniarzy była oddaliła katastrofę? Kto powiedzieć może? To pewna, że koniec byłby inny jak 8-go września. Bylibyśmy może upadli, ale po bohaterskiej walce.

Tymczasem zwątpienie, jakie zapanowało wpośród gry najrozmaitszych żywiołów w sejmie i w mieście po ustąpieniu ks. Adama, popchnęło sejm do nominowania prezesem Rządu Narodowego Krukowieckiego. Zużyty w kilkomiesięcznej opozycji, skompromitowany wraz z Klubem, nie podniósł on godności sprawy, ani żadnej nie obudził nadziei. Ministrem spraw zewnętrznych nominował Teodora Morawskiego. Ja już nie powróciłem do mojego biura, które też i Horodyski

i Koźmian opuścili. Znany przebieg wypadków. Czemu osłabiono siły obronne stolicy wyprawieniem korpusu Ramorina? Skrzynecki, podówczas ukryty, dowiedziawszy się o tem, rzekł: „Kiedy Krukowiecki ten korpus wyprawia, to już o poddanie traktuje". Czy tak było, nie wiem; ale to wiem, że zapanował zupełny rozstrój. Ukarano śmiercią dwóch biedaków, którzy przyłożyli rękę fizycznie do egzekucyj sumarycznych 15-go sierpnia ale, zaprawdę, ci byli najmniej winni; moralni sprawcy uszli, wypuszczono zaaresztowanych Puławskiego i Szynglarskiego. Armja rosyjska postępowała coraz bliżej, Krukowiecki miotał się, a nic stanowczego ani robił, ani robić mógł, bo nie miał żadnego moralnego wpływu. W takich chwilach tylko charakter wzniosły, nieposzlakowany, oddany sprawie, mógł skupić wszystkie uczucia i popchnąć ku ofierze. W sejmie zapadały uchwały jużto niewczesne, o usamowolnieniu chłopów, jużto napuszyste, którym bliska przyszłość kłam miała zadać. Kiedy zbliżała się chwila stanowcza, nakazał Krukowiecki korpusowi Ramorina powrót do stolicy. Nie usłuchał. Czemu? Czy odwrót był niepodobny? Czy, jak niechętni i nieprzyjaciele Władysława Zamoyskiego twierdzili, nie powrócił dlatego, aby eskortować bezpieczne dostanie się ks. Adama Czartoryskiego do granicy austrjackiej? Nie wchodzę w to, bo dla mnie zawsze ważniejsze pytanie, czemu ten korpus wyprawiono?

Nadszedł dzień 6-go września. Już w wigilję z kościoła luterskiego widać było armję rosyjską, okalającą miasto, robiącą wszystkie przygotowania do stanowczego szturmu. Szczegóły opisano kilkakrotnie; ja zanotuję to tylko, co mojej dotyczy osoby i na co patrzałem. Gdzie stały moje szwadrony poznańskie, nie wiedziałem, ale było mi wiadomem, że 1-szy pułk krakusów stał za wolskiemi rogatkami, przy szosie. Do dnia, jeszcze szaro, detonacja kilkadziesiąt dział dała znak do szturmu. Natychmiast siadłem na koń i za pół godziny odnalazłem szwadron 3-ci krakusów, w którym służył brat mój, Ludwik. Staliśmy uszykowani niedaleko wałów miejskich, w asekuracji armat; krakusy w pierwszej linji, za nami szwadron 1-szy pułku szaserów, komenderowany przez dobrego oficera, Periatkiewicza. Zaledwie postąpiliśmy trochę naprzód, spostrzeżono straszny bój koło wolskiej baterji. Wiedzieliśmy, że tam komenderuje Sowiński, nikt nie wątpił, że spełni swą powinność, i spełnił ją, bo zginął, ale komenda nasza nie spełniła swej powinności, bo wiedząc, że jest to klucz pozycji, nie przyszła mu w pomoc. Niezadługo widzimy i dowiadujemy się, że Wola wzięta. Nadjeżdża z adjutantami Dembiński, pyta o Bema, szuka armat; wi-

dzimy, że niema jedności w rozkazywaniu. Kule armatnie doskonale nam dokuczały. Pułkownik krakusów, Leski, przybywszy do nas, mówi: „Tak was ustawię, że was kule dochodzić nie będą". Jak nas też ustawił, dwie baterje, i to 12-funtowe, wzięły nas w krzyżowy ogień i zaczęliśmy tracić ludzi. Wtem, kiedy zaczęto się nieco demoralizować, choć wszyscy pięknie stali, przybywa w galopie komendant 3-go szwadronu, Kazimierz Łubieński, którego słabość w łóżku trzymała, a huk dział orzeźwił. Łubieński nie był z profesji żołnierzem, ale była to zgruntu rycerska natura, żołnierz go lubił. Ledwo przybył, natchnął lepszym animuszem. Padali ludzie, a wesołość panowała w szwadronie. Mówi Oraczewski do Różyckiego:[1] „A co, który z nas będzie radcą Towarzystwa Kredytowego?" Ja do Kazia Łubieńskiego: „My tu już zginiemy, ale poco Ludwik (mój brat), dziecko takie, ma ginąć?" Poczciwy Kazio zrozumiał i natychmiast wyprawił go z rannymi do ambulansu, przykazując, aby tam rozkazu oczekiwał. Ale gdzie tam! Pół godziny nie minęło, a Ludwik wraca. Krakusy były białe, mój mundur granatowy, konia miałem jasnego, ogromnego, zapewne brali mnie za oficera, bo wyraźnie kulami ścigali. Stoję na prawem skrzydle, a tu prościuteńko przedemną kula rykoszetuje, instynktowo koń mój skacze na bok. Kula i tak byłaby mię nie zajęła, bo górą poszła, a uderzyła Periatkiewicza tak, że ani ziewnął. Koledzy do mnie: „A jedźże gdzieindziej!" Ruszyłem na lewo, do Łubieńskiego, a kiedy bardzo blisko stojąc na koniu z nim rozmawiam, dziwnym trafem trzy kule 12-funtowe jedna po drugiej padają pomiędzy nas i, rykoszetując, tak obrzucają gliną, że ja palcem długi czas ruszać nie mogłem, a Łubieńskiego koń w lansadach uniósł. Nadjechał brygadjer, jenerał Dłuski; widząc straty, cofnął szwadron nieco pod wały, skąd ponad nasze głowy działa wałowe rzucały pociski.

Koło godz. 3-ej, kiedy główne pozycje armja rosyjska zdobyła wskutek niejednolitej komendy i niedołężnej obrony, ogień zwolniał, ustał; jakieś odbywały się traktowania. Krakusy stały do wieczora. Koło godz. 6-tej wróciłem na spoczynek do domu. Wały sypano ostentacyjnie, barykady w ulicach zdawały się wskazywać na uporczywą obronę ludności miejskiej, wojsku również nie brakowało ochoty do bitwy, mimo to panowało jakieś złowrogie zwątpienie. Sejm to obradował nieustannie, to posłowie chodzili na wały, ale nie było komu

---

1 Długoletni Prezes Tow. Kredytowego w Kielcach.

skupić i natchnąć działanie bohaterskie, bo nie było komu zaufać. Klub patrjotyczny i Lelewelowskie stronnictwo tak długo mówili o zdradzie, że stracono ufność w ludzi. Nie było wprawdzie wielkich, ale byli zacni. Naród, który albo nie ma obywateli wypróbowanej cnoty, albo który, co gorsza, nie umie im zaufać, nie może się zdobyć na żaden wielki czyn zbiorowy. Spełniając zabór cudzej stolicy na rozkaz samodzierżcy, Rosjanie w jednym karnym ordynku, ponosząc ogromne straty, zwyciężali; kiedy my pod własnemi murami, które prawdziwie były nam drogie, bo chowały narodowość, swobodę, wiarę, język, wspomnienia przeszłości i przyszłości nadzieje, my ustępowaliśmy, walcząc wprawdzie, ale walcząc słabo. Rewolucyjne stronnictwo z Lelewelem na czele rozdzieliło nas, osłabiło i dało przyjść do władzy zgubnemu człowiekowi, który skoro raz ją posiadł, a posiadł z zazdrości, użyć jej nie umiał. Krukowiecki nie był zwyczajnym zdrajcą. Od Rosji grosza nie wziął, po wojnie ani zaszczytów, ani stanowiska nie przyjął, na ustroniu życie przepędził: ale pycha, która miotała nim całe życie, przyćmiła piękne zalety nieustraszonej odwagi i wyższych wojskowych zdolności, wywołując straszny antagonizm przeciwko Skrzyneckiemu, jak przeciwko każdej wyższości, wpędziła, nie pierwszego i nie ostatniego, w przepaść czy obłędu czy zbrodni. Jak wiadomo, w nocy traktowano, udając przed wojskiem i ludnością miejską, że miasto i armja do ostatka bronić się będą. Paszkiewicz, postawiwszy swoje ultimatum, dał czas do godz. 2-ej dn. 7 września. Nieporadność komendy, sejmu, rządu, nie mogły dojść do żadnego rezultatu. I nic dziwnego; dom przeciwko sobie rozdzielony runąć musi, bo jedność tylko może skupić wszystkie siły i rzucić je w punkt jeden tak, aby zwyciężyć, albo przynajmniej z chwałą zginąć. My wojnę, pełną chwały, skończyliśmy niechwalebnie, choć była istotna chęć bicia się i gotowość poświęcenia.

O godzinie 2-ej dwieście armat dało naraz ognia do naszych linij i okopów. Byłem wnet przy krakusach. Brata Ludwika nie było. Franciszek Wodzicki, skądinąd odważny oficer jego plutonu, zapomniał go na placówce, nie zluzował, gdzie też Ludwik, który wołałby sto razy zginąć na stanowisku, niż je opuścić, 18 godzin pozostał. Coraz bardziej posuwając się, ściskały nas linje rosyjskie, bo opór nasz był słabszy, nieporządek większy, niż dnia poprzedniego. Naraz widzimy pułk czerwonych huzarów gwardji; komenda: „Do szarży kłusem!" Już dobyłem pałasza i myślałem, że, czego pragnąłem zawsze, doświadczę szarży kawalerji... Czemu? jak? kto? Zakomenderowano na-

raz: „Na lewo! szóstkami odwrót ku wolskim rogatkom", a huzary lekkim kłusem za nami. Przy rogatce stał porucznik artylerji, młodziutki Trębicki, i miał pół baterji. On nie pytał, czy miał być rozejm, czy nie, a może nie dosłyszał, bo był ogłuchł od huku dział i siedział na koniu z podwiązaną twarzą; ale co się huzary zbliżyły, z najzimniejszą krwią kazał strzelać z dwóch armat kolejno: za każdym razem zakotłowało się w rosyjskich szeregach, i cofały się w nieładzie.

Dziś jeszcze widzę tę twarz młodziutką o jasnych włosach, żołnierza, który pełnił swoją powinność, a byłby ją wypełnił każdy, ale nie było komu tego zażądać. Tak zginął obok nas mężny oficer inżynierji, a mój kolega szkolny, Boniecki, tak Ekielski na swojej armacie 17 cięć w głowę odebrał (był to znakomity oficer, a dziwnie zacny człowiek). O godz. 7-mej ustał zupełnie ogień rosyjski. Nasze pułki zwolna przez wszystkie rogatki zaczęły wchodzić do Warszawy i maszerować na Pragę. Wpadłszy do domu, wziąwszy co było pieniędzy, odzienia, trochę obroku i ryżu, pożegnawszy dobrych przyjaciół, Leona Grabowskiego i piękną jego żonę, Emilję ze Skarbków, przejechałem most na Wiśle, a odnalazłszy krakusów, spotkałem szczęśliwie powracającego z placówki brata Ludwika. Rozumiałem, że był zginął. Łatwo odgadnąć, z jakiem uściskałem go uczuciem, kochając serdecznie. Matka kochała nas namiętnie; oddawaliśmy jej to uczucie; myśl, że się dla niej uchował, osładzała okropność tej nocy bez snu, w ciągłym ruchu, hałasie, nieporządku. Nie wiedzieliśmy, co się stało, co nas czeka; było jednak jawne, iż nastąpiła konwencja, w ślad której stolicę oddano armji rosyjskiej, a Polskę wypuszczono z bronią. Kiedy 8-go września, z brzaskiem wschodzącego słońca, porządkowaliśmy szeregi, a przywaleni gromem upadku nie zdawali sobie nawet sprawy z naszego położenia, pułkownik austrjacki Caboga, *attaché militaire* przy armji rosyjskiej podczas kampanji, powołany do Wiednia, przybywał z tego miasta wraz z Andrzejem Zamoyskim, przywożąc stanowcze, rozjemcze a kategoryczne warunki dworu austrjackiego. Przybyli niestety dwa dni za późno. Co Paszkiewicz powiedział Cabodze, nie wiem; na Zamoyskiego, który lekko kontuzjonowany leżał w łóżku, wpadł z największą pasją, wymyślał, groził rozstrzelaniem.

Należy to do fatalności naszej sprawy, że wszystko robimy, albo robią dla nas, za późno. Austrja, jak niezupełnie chętnie przystępowała do rozbioru Polski, tak nigdy o tem nie myślała, aby ją nieodwołalnie zatrzymać; wiadomo, że cesarz Franciszek I mawiał zawsze, że ta

aneksja odpadnie. Upatrując w początku powstania dzialanie tylko rewolucyjnej partji, ks. Metternich żadnych z nią nie chciał mieć stosunków i, jak już wspomniałem, dwóch wyslańców Rządu Narodowego, Jelskiego i Bojanowicza, do Wiednia nie wpuścił. Kiedy jednak wojna z różnem przeciągała się szczęściem, a naród dawal rękojmię porządku i ładu, gabinet wiedeński otworzył oczy, a minister przenikliwy spostrzegl, że to była chwila, aby wstrzymać potęgę Rosji, którą miał zawsze za groźnego dla Austrji sprzymierzeńca i sąsiada. Te powody, jak się zdaje, skłoniły rząd austrjacki, że przez pułkownika Cabogę chciał stanowczo pośredniczyć. W jakich rozmiarach? Nie wiem, bo instrukcyj nie widziałem; z ustnego tylko opowiadania wnoszę, że były rozległe.

ROZDZIAŁ VI.

Po powstaniu.

Tak skończyło się powstanie 29-go listopada. Miałem je od początku za zgubne, i było takiem. Społeczeństwo, w którem pokutowały narowy dawnej organizacji szlacheckiej i wszystkie wiekowe, najzgubniejsze nawyknienia i przesądy, na które, nieprzygotowane, padły niewytrawne teorje ówczesnego liberalizmu; naród, którego warstwy oświeceńsze toczył rak tajnych towarzystw — nie miały, tak rozumiałem, warunków do samodzielnego bytu. Królestwo Kongresowe z najzupełniejszym samorządem uważałem za wyborną szkołę politycznego wykształcenia, przekonany zaś, że tylko wiara i karność kościelna mogą narodowi dać siły moralne, aby żyć albo odżyć, pragnąłem pracy za pośrednictwem systemu wychowania publicznego, w nadziei, że zczasem wpłynąć potrafią na jego kierunek i że kilka pokoleń dobrze wychowanych postawi Polskę w takich warunkach żywotności, że absorbcja jej nie powiedzie się ani germańskiemu, ani rosyjskiemu żywiołowi. Czy to był błąd? Czy to była iluzja? Bynajmniej, ale wypadki poszły innym torem, a ludzie przewodni narodu ani ich wstrzymać, ani niemi pokierować nie umieli. Bo jakkolwiek droga, którą iść pierwotnie chciałem, była najbardziej polityczną, t. j. najbardziej pewną, skoro jednak raz naród puścił się na bystre wody, należało wpłynąć śmiało, a nie oglądać się poza siebie. Tak myślałem i zaraz w tym kierunku napisałem ognisty artykuł w *Polaku sumiennym*. Społeczeństwa wyrabiają się praktycznie w podwójnych szkołach: używając instytucyj, które kształcą i cnotę i pojętność obywatelską, a dobry systemat wychowania zapewniają; albo też w walce bohaterskiej a krwawej. Ludzkość niczego zdobyć nie potrafi, jak tylko kosztem krwi albo potu. Wojna, choćby długa, choćby ciężka, prowadzona z poświęceniem i wytrwałością mogła także dać narodowi

naszemu te cnoty, które byt polityczny zapewniają; dlatego, kiedy raz obrał drogę wojny, należało nią kroczyć bezwzględnie. Brakło ludzi, bo nie było silnych przekonań. Uczucie nie wystarczy, ani człowiekowi ani społeczeństwu, i dlatego to w pierwszej młodości myślałem o wychowaniu narodu, aby mu dać silne przekonania, oparte na wierze, nie jakiejś oderwanej, ale poprostu tej, którą Kościół katolicki podaje. Źleby mnie jednak zrozumiał, ktoby mniemał, że ostatecznym celem moim była sprawa narodowa, a środkiem wiara. Odwrotnie; wiara, Kościół, jako odnoszące się do ostatniego przeznaczenia człowieka mają pierwszeństwo, i temu celowi całe moje poświęcałem życie i pracę. Naród, Ojczyzna, są środkiem, zapomocą którego człowiek w wierze i Kościele żyć może bezpiecznie, dlatego je kochać, za nie walczyć i umierać należy.

Ludzi przewodnich brakło. Lelewel był to teoretyk o zimnym rewolucjonistów francuskich fanatyźmie, ale bez ich odwagi. Wywierając szczególny wpływ na młodzież, kwasił usposobienie umysłów, budził niewiarę, do niczego wyższego nie pociągał. Już nieskończenie wyżej należy postawić Mochnackiego, choć także nie zabłysnął odwagą, a wysoki rozum, który wielu podziwia, przyszedł mu dopiero na emigracji. W kraju, choć czasem dobrze radził, działał tylko podziemnie, nie mógł się też wybić na wierzch. — Bądź co bądź, mimo rewolucyjnego prądu, Polska r. 1831 była jeszcze Polską szlachecką. Spiskowcy mogli zrobić burdę uliczną, zbrodnię indywidualną, jak 15 sierpnia, mogli uniemożliwić normalne działanie — kierunku opanować nie mogli. Kierunek i jego odpowiedzialność spada na partję kaliską i ks. Adama, których wpływ, równoważąc się, ruch uniemożliwiał.

Kaliszanie, z Niemojewskimi na czele, będąc przez lat 15 panami sytuacji politycznej, z teorjami swojemi liberalno-konstytucyjnemi na francuską modłę nie mogli, w tym czasie nawet, pozbyć się próżności i frazeologji, którą od tak dawna grzeszyli i bróździli. Wincenty, wymowny, popędliwy, ale w gruncie rzeczy miłośnik kraju, Bonawentura, zimny, próżny, odęty, miłośnik siebie, stanowiska i w tajne wdany roboty, z poplecznikami *minorum gentium* ciągle hamowali, utrudniali działanie rządu i wodza naczelnego, niby kontrolując, niby będąc żywą na straży opinją. Ludzie ci, mający styczność przez osobiste i ziemiańskie stosunki ze zdrowemi krajowemi żywiołami, a instynktowo w poczuciu z rewolucyjną partją postępując, najszkodliwsze, jak każde pośrednie stronnictwo, wywierali

działanie. Tacy zwykle nie dopuszczą do surowego przytłumienia zbrodniczych usiłowań, mając zawsze w obronie złych ludzi łagodzące słowa; w chwilach krytycznych rachować na nich nie można, a po katastrofie są spadkobiercami władzy, która już nie ma uroku ni celu. Tak Bonawentura Niemojewski pod Krukowieckim otrzymał stanowisko, z niewielką dla kraju korzyścią, a dla siebie sławą.

Ani Skrzynecki, ani ks. Adam nie mieli bezwzględnej energji, bardziej potrzebnej w takich chwilach, niż poświęcenie i patrjotyzm, na których naprawdę im niezbywało. Chłopicki, który jeden umiał rozkazywać, leżał w Krakowie, Wielopolski nie był jeszcze dorósł do swego posłannictwa; bez jednej indywidualności genjalnej marnowały się znakomite siły polityczne: jak Świdziński, Dembowski, Małachowski, wojskowe: jak Tomasz Potocki, Leon Rzewuski, Kruszewski, Dembiński. Kraj, jakby fatalnością jakąś pchany, posuwał się ku strasznej przepaści, której miał świadomość, którą przygotowało nieroztropne powstanie, a której czy można było uniknąć, nie wiem, ale w każdym razie można ją było oddalić, mniej upokarzającą uczynić, gdyby rozdział wewnętrzny nie był odjął odwagi i jedności w działaniu. Naród polski, chrześcijański, nie postawił jednak wiary i krzyża jako godła swego powstania. Wydał raz Skrzynecki odezwę do wojska przedziwnie podniosłą, w której na Boską pomoc, nie na własną rachował siłę: była pięknym objawem jego ducha osobistego, ale przebrzmiała bez wrażenia, bo warstwy kierujące, zarażone niewiarą, ani nie rozumiały tego głosu, ani nie rachowały na te siły. Patrjotyzm dokonywał cudów, ale nie widzę go w historji, jak tylko w klasie panującej, w rzymskim, w weneckim patrjotyzmie; w masie ludu szukać go napróżno. Jeżeli walka Hiszpanów z Maurami, a w lat tysiąc potem z Napoleonem była ludową, to dlatego, że ją natchnął pierwiastek religijny. Gdzie szukać dziś patrjotyzmu we Francji? Niepodobna nie uznać go u Rosjan, ale tam był zawsze połączony ze schizmą, która fałszywa z gruntu, to prawda, duchową jednak swoją stroną przeważnie działa.[1] To, co lat temu 50 widziałem, to samo widzę i dzisiaj. Społeczeństwo nasze, jakkolwiek na powierzchni objawia chorobliwe znaki, w gruncie posiada lud zdrowszy od innych europejskich; gdyby się dało uchronić go od zarazy powszechnej, stałby się punktem, około którego krystalizowałby się

---

[1] Prawdopodobnie byłby sąd inny, gdyby autor pisał był po »Wielkiej Wojnie«; również nie przewidywał rozkładu Rosji i cerkwi w niej.

nowy ustrój moralny przyszłości. Dlatego tak gorąco pragnąłem wówczas, dlatego tak gorąco pragnę i dzisiaj odrodzenia klas wyższych a ochronienia niższych przez wychowanie chrześcijańskie. Chęci tych żaden przeważny czyn praktyczny nie uwieńczył. Zapewne siła wewnętrzna nie odpowiada woli. Ale też ilekroć zdawało się, że już pozyskam stanowisko, łamały się moje usilowania, to o uprzedzenia, to o trudności osobistego położenia. W późnej dopiero starości na szersze wstąpiłem pole, kiedy brakło sily, aby po niem kroczyć.

Smutny to byl poranek 8 września. Slońce pięknie wzeszlo, a oświeciło nieład nasz na Pradze. Jak opowiedzieć tę mieszaninę ludzi, koni, wozów, armat, wśród której odnaleźć się było niepodobna; jedną było pociechą, gdy się znajomego przy życiu spotkalo, choć niby to życie nie powinno bylo mieć wartości. Uporawszy się jako tako z nieładem, ruszyliśmy drogą ku Modlinowi i stanęli, podobno nazajutrz, w Nowym Dworze. Jakie byly plany starszyzny? Nie wiem, choć dostęp do niej miałem. Zdaje mi się, że żadne i że opuściliśmy Warszawę, niby poddać się nie chcąc, bez żadnej myśli. Paszkiewicz, obawiając się, aby rozpacz nie pchnęla wojska na Litwę albo przez Wislę w Kaliskie, wyslal Berga jakoby z jakiemiś propozycjami, które zaślepienie nasze, nigdy nieuleczone, bralo za układy. Na te rokowania ze strony naszej przybył Prądzyński, podobno Rybiński, a z fortecy Modlina komendant Ledóchowski. Trwaly te rokowania wieczór i rano; dosyć, aby przenikliwy Berg wyrozumiał nasze położenie, a Paszkiewicz rozstawil wojsko, aby nam wszędzie drogę zagrodzić. Skoro to nastąpilo, zerwano mniemane uklady. Bylem w asystencji naszych generałów, negocjatorów. Konferowali w drugim pokoju, a my z oficerami, co z Bergiem przybyli.

Wojska rosyjskie wolno nas parły, a my posuwaliśmy się ku pruskiej granicy. Większa część Izby wyszla z armją. W Zakroczymiu zawiązali się w Sejm. Te kilka sesyj figuruje w historji jako sejm w Zakroczymiu. Tam wybrano wodzem naczelnym Rybińskiego, który nas poprowadzil do Płocka, gdzie znowu kilka dni przyszlo nam zabawić. O korpusach Ramorina i Różyckiego nie było żadnych wiadomości. Dembiński pragnął, robiąc dywersję poza armją rosyjską, stojącą w Warszawie, połączyć się z nami i zrobić powstanie w Krakowskiem. Jakoż, otrzymawszy na to pozwolenie, z pułkiem krakusów i szaserów przeszedl pod Plockiem Wislę. Pelni już nie nadziei, ale ochoty, bo byl widok bicia się, doszliśmy do Gumbina, gdzie odebrał Dembiński rozkaz powrotu. Czemu? Od kogo? Nie

wiem. Smutni maszerowaliśmy do Plocka. W tym to marszu, konno jadąc, poznalem ks. Eustachego Sapiehę; krótka rozmowa wskazala czlowieka podnioslych uczuć i pięknego charakteru. Niechaj tu o nim pozostanie wspomnienie. Z Plocka już bez przestanku maszerowaliśmy ku granicy pruskiej, bez bitwy, bez oporu, bez porządku. Odznaczal się tylko wzorową karnością i porządkiem pulk szaserów gwardji. Komenderowal nim Zielonka, a tak czysto utrzymywal, że wyglądali i ludzie i konie jakby na Saskim Placu. Przeszliśmy granicę pruską pod Brodnicą.

Próżno mówić, z jakiem uczuciem bólu i wstydu. Bylo nas ze 20.000, a ustępowaliśmy bez walki: *Nisi Dominus custodiret civitatem, frustra vigilant qui custodiunt eam.* Wiadomo, że niby z powodu cholery Prusacy rozciągnęli kordon sanitarny i urządzili kwarantanny. Do takiej kwarantanny, na którą użyto opustoszalego klasztoru, dostalem się z bratem moim, Ludwikiem.

Bylo niewygodnie i jadlo fatalne, ale że tam byl Wielopolski, Świdziński itp., czas schodzil. Skróciliśmy go, oplaciwszy się dyrektorowi kwarantanny. Jechaliśmy konno do Torunia, skąd, sprzedawszy konie, dyliżansem do Frankfurtu i Wroclawia, gdzie zawiązalem dlugo trwający stosunek z mlodym księgarzem Hirtem. Kraków byl zajęty przez Rosjan, wjechać nie bylo można. Przez Galicję dostalem się na Podgórze, gdzie blisko miesiąc bawić musialem, dopóki Rosjanie Krakowa nie opuścili. Jakie bylo spotkanie z matką i ojcem, któż wypowie. Dziękowaliśmy Bogu, że nas zachowal tak dobrym rodzicom.

Kraków w zimie r. 1832 byl pelny; A. Wielopolski, Świdziński, Łempiccy, Zamoyskich kilku, Leonowie Sapiehowie, Moroziewicz itd. Schodziliśmy się często wszyscy, udzial czynny w ostatnich wypadkach biorący, i, jak zwykle, rozbierali po niewczasie popelnione blędy. Że jednak dobrali się ludzie wyżsi, a jednej mniej więcej opinji, rozmowy byly podniosle, uczące, i jakiem takiem ukojeniem po wielkiem nieszczęściu. Gdy myśmy rozprawiali w Krakowie, 20 tysięcy Polaków emigrowalo to do Francji, to do Anglji; uwiedzeni sympatją, jaką okazywano nam zagranicą, i nadzieją europejskiej wojny, przekonani, że razem ze zwycięskiemi sztandarami Francji powrócą, nie chcieli korzystać z amnestji. Wielki bląd, a może nawet wielka wina przywódców, którzy uczucie i prostego żolnierza i niższych stopni tak wyegzaltowali, że ci tulactwo nad powrót do kraju przelożyli; niezmierny heroizm dusz prostych

które, idąc na nędzę i poniewierkę, spełniały w swojem sumieniu należną Ojczyźnie ofiarę. Osobistości wybitne, szczególniej skompromitowane, nie mogły, nie powinny były przyjmować amnestji, bo godność narodowa nie pozwala przyjmować łaski od monarchy, którego odsądziło się od tronu; ale ludzie prości, wracając, powiększali zastęp narodowy w kraju, który emigracja, złożona z ludzi zdolnych, wykształconych, patrjotycznych, niesłychanie przerzedziła.

Królestwo, przywalone ogromem nieszczęścia, nie mogło się opamiętać. Utraciło polityczne prawa, zachowało odrębną administrację; zemsta zwycięzcy nie była nieludzką, ale w Warszawie powtórzyło się to, co już widziały czasy pruskie. Dusze mniej podniosłe szukały w rozpuście zapomnienia. W Poznańskiem Prusacy wedle swojej metody obłożyli ciężką kontrybucją wszystkich, którzy weszli do polskiego wojska, a zarząd Księstwa oddali w nieprzyjemne a polakożercze ręce Flottwela. W Galicji, która pod gubernatorstwem Lobkowitza była odetchnęła, rząd austrjacki patrzył przez szpary podczas powstania na składki i uzbrojenia; wnet po naszej przegranej, obyczajem swoim, surowe przedsięwziął środki, które też poniekąd wywołało zuchwalstwo naszych emigrantów. Naprzód miejsce gubernatora zajął nominalnie arcyksiążę Ferdynand, w rzeczywistości Krieg, najzdolniejszy ale i najzjadliwszy z austrjackich biurokratów.

Korpus Ramorina, korpusik Różyckiego weszły do Galicji, stąd liczba emigrantów była tam bardzo znaczna. Początkowo tolerowani, kiedy jednak w poczuciu pewnej siły zaczęli z arogancją postępować, a nadto wiązać się i werbować drugich do tajnych robót, biurokracja austrjacka zaczęła także z bezwzględnością postępować. Tak od tej już chwili gotował się stan rzeczy, który zwolna dojrzewał, aby w lat kilkanaście straszną wybuchnąć katastrofą; ale o tem później, tu napomykam tylko, bo początki te, natchnione działaniem demagogicznej emigracji we Francji, wytłumaczą wiele symptomatów i faktów ,które później przyjdą pod naszą rozwagę.

•⊱⊰•

ROZDZIAŁ VII.

Małżeństwo. — Życie rodzinne. — Położenie w kraju i zagranicą.

Tak przebyłiśmy zimę 1832 r., pamiętną także tyfusem, który miasto zdziesiątkował, a którego ofiarą padła piękna, dobra, rozumna siostra żony mojej, Aniela Sołtykówna. Interesa nasze majątkowe były w najgorszym stanie. Kochany ojciec gospodarstwu i spłacaniu procentów, które z największą akuratnością zaspakajał, podołać nie mógł. Wskutek familijnej narady miałem objąć Chocimów z obowiązkiem opłacania procentów. Obawa przed wojskiem zmieniła zamiary, wziąłem Ruszczę w dzierżawę, a Chocimów w administrację, którą przez brata Wacława miałem prowadzić. Osiadłem tedy w Ruszczy; uczyłem się gospodarstwa praktycznie, a nie zaniedbywałem nauki, choć, jak zwykle, nie pracowałem ani dość usilnie, ani dosyć porządnie. W ciągu tego roku, w odpowiedzi na artykuł napisany przez admirała Tichaczewa w *Revue Européenne*, pomieściłem w temże piśmie francuskiem artykuł, który zrobił wrażenie. Istotnie było to dobrze napisane, a drukowane, zdaje się, w zeszycie lutowym 1883.[1]

W tymże roku Rzeczpospolita Krakowska miała być przez trzy opiekuńcze dwory polityczne zreorganizowaną. Komisarzami byli: Pflügel, Forgenbeck, Tęgoborski. Akademji groziły radykalne zmiany. Wówczas wspólnie z Ant. Zygmuntem Helcłem i Świdzińskim (Wielopolski należał do narad, które w moim odbywały się domu) postanowiliśmy wygotować memorjał do trzech dworów w obronie *Almae Matris*. Jakoż Helcel przygotował aparat historyczny, Świdziński wygotował memorjał, ja zredagowałem po francusku podanie do monarchów.[2] Piękna to była praca; dlatego o niej wzmiankuję, aby została pamięć, jak zawsze to ten, to ów czuwał nad narodową

[1] Przedrukowana w *Pismach* Pawła Popiela, wydanych w 1893 r.

[2] Podane w Aneksach (I), wedle rękopisu zachowanego w papierach Pawła Popiela; niestety, brak zakończenia.

sprawą. Znalazlo się tylko 14 obywateli, co mieli odwagę podpisać to podanie, a był tam Józef Wodzicki, Józef Szembek, Szymon Mileski, stary Antoni Helcel, a także kupiec Wentzel, który przeznaczony na senatora, za ten podpis z listy wykreślony został, co sobie jednak zacny ten obywatel miał za zaszczyt.

W tym roku, dn. 11 maja, oświadczylem się o rękę Emilji Sołtykównej, którą znałem od lat najmlodszych i o którą od lat trzech miałem zamiar się starać. Odroczylo moje staranie rok przeszlo cały zajęcie się Hortensją Wielopolską, siostrą margrabiego: piękna, rozumna, pełna fantazji i dzikiego uroku, działała mocno na moją wyobraźnię; że jednak nie sama wyobraźnia panowała nademną, usilowałem okiełznać zasadami tę naturę trudną do powodowania. Napróżno. Obok cnoty panowala fantastyczność, której przedewszystkiem w życiu się obawiałem. Nie uląkł się Oraczewski; ja zaś poślubiłem d. 21 lipca dzisiejszą żonę moją, którą mi P. Bóg lat 46 już uchował, która, obok znacznego majątku, wniosła w dom gospodarność, powagę, sztukę rządzenia ludźmi i wychowania dzieci. Po ożenieniu osiadłem w Ruszczy, majątek żony podniósl kredyt. Była ona dla moich rodziców najczulszą córką, a dla braci siostrą, dzieląc wszystkie interesa i uczucia z rodziną męża. Dosyć jednostajnie upłynęło mi siedm lat pobytu w Ruszczy. Stosunki polityczne ruch utrudniały, szczuple gospodarstwo niewiele zajmowało czasu; reszty nie marnowałem wprawdzie, ale nie pracowałem, jak pracował np. Helcel, który przez te lata był niemal jedynym człowiekiem do wymiany myśli. Interesa rodziny, które w zupełności objąłem, zostawiwszy rodzicom do życia Czaple, a wziąwszy odpowiedzialność za wypłatę długów, bardzo kłopotliwemi uczyniły mi te lata: każdego św. Jana szukać trzeba było pieniędzy, nieraz swojemi dołożyć.

Wacław gospodarował w Chocimowie, Ludwik dopomagał mi w Ruszczy i w Krakowie. Nie żal mi tej pracy, bo rodzicom zapewnilo się spokojność, uchowalo uczciwe imię rodziny i majątki, aż do chwili kiedy Waclaw, ożeniwszy się w r. 1837 z Eweliną Łubieńską, przezacnej cnoty a wielkiego majątku panną, kupił Chocimów i uregulowal zupełnie interesa rodzinne. Szczegóły te zamieszczam dla nauki młodszego pokolenia. Żadna rodzina nie upadnie, jeżeli jej członkowie w miłości, zgodzie i poczuciu obowiązku wezmą się do pracy tak, aby z poświęceniem osobistego interesu pracować dla ogółu. Zgoda latwa, gdzie każdy myśli, aby raczej poświęcić swoje, niżli zyskać. Bóg takiemu usposobieniu błogosławi nawet doczešnie;

przykładem — nasza rodzina, która z upadku materjalnego się podniosła. Zalecam dzieciom i wnukom, aby, dbając o godność rodzinną, strzegli się pychy; aby swój interes umieli czasem nie przez słabość, ale wskutek przekonania poświęcić; aby, o ile można, osobiste, częste ze sobą utrzymywali stosunki.

W tych latach z trzech dzielnic Polski najwięcej życia okazywał zabór pruski. Stosunki prawno-polityczne, kultura ogólna, wolność druku, ułatwiały rozwój umysłowy i narodowy. Tam też literacki ruch naprzód się ożywił. *Przyjaciel Ludu* zbawiennie działał. Filozofję Libelt, historję Moraczewski, poezję uprawiał Morawski. Raczyński i Działyński historyczne wydobywali zabytki, Marcinkowski zakładał Towarzystwo naukowej pomocy.

Królestwo Polskie nie było się ocknęło jeszcze z pogromu 1831 r. Warszawa, jak już zaznaczyłem, obok rozkwitu teatru i baletu, była dla młodzieży i majątków przepaścią zatracenia. W Galicji żadne na zewnątrz nie objawiało się życie, a nurtowały spiski różnego kierunku i barwy. Już w r. 1836 wydalono resztę emigrantów, a rozciągnęło się to działanie i do Krakowa, który zajęło austrjackie wojsko. Emigracja, do której i kochany mój Walery Wielogłowski należał, nienajlepsze zostawiła pomiędzy ludem nasienie. Była pod wpływem skrajnego stronnictwa we Francji, dokąd nienaturalnie przeniosło się ognisko naszego umysłowego i politycznego życia, gdzie pisał Mickiewicz, Zaleski, Słowacki, Witwicki, że wielu innych pominę. Część III *Dziadów* Mickiewicza do głębi poruszyła wszystkie rewolucyjne uczucia, *Pan Tadeusz* — narodowe. Trudno opowiedzieć wrażenia: zacny bankier Jan Bochenek z niemałym hazardem sprowadzał tysiącami tomy, których wielka część u mnie się przechowywała. Wracałem pod wieczór sierpniowy do Ruszczy: na wsiadaniu daje mi egzemplarz *Tadeusza*. Ledwie wysiadłszy, z żoną zaczynamy czytać, herbata wystygła, o wieczerzy zapomniano, a my zalewamy się łzami i dokończyć pierwszej nie możemy księgi. Znałem ja i Kniaziewicza, który „rozkazy dawał z Kapitolu“, i tę postać kraju tak cudownie opisaną, pamiętam uczucia i nadzieje, które dzieckiem dzieliłem. Nie zapomnę zatem tego wieczora, a dodaję, że przyszłe pokolenia będą *Tadeusza* czytać, będą go oceniać — zrozumieć i użyć tylko nasze potrafi w pełni.

Takie publikacje oddziaływały na cały naród, a nie pozostały też nań bez wpływu i *Pieśni Janusza*. Ten wpływ był zbawienny. Ale był obok niego drugi, zabójczy.

Jak w Warszawie w czasie rewolucji, tak we Francji w emigracji dwa objawiały się prądy: narodowo-organiczny i demagogiczno-rewolucyjny. Działanie pierwszego zacne, ale ani polityczne, ani konsekwentne; drugi, zapuszczając korzenie w grunt rewolucji europejskiej, działał z całą bezwzględnością i wściekłością tego żywiołu. Bezpieczne zagranicą, umiało fanatyzować dusze prawdziwie podniosłe, jak Konarskiego, co poświęcając siebie, zapominał, że mu nie wolno poświęcać drugich. Konarskiego sprawa pogrążyła w nowe nieszczęścia liczne rodziny Litwy i Podola, a chociaż bohaterską śmiercią zakończył swe życie, nie usprawiedliwił jednak ofiar, które wywołał.

W tym to czasie spełnił cesarz Mikołaj na Unitach Litwy straszną zemstę schizmy i polityki swojej. Siemaszko sprzedawał sumienie i braci: liczni męczennicy, duchowni i świeccy, szli do więzienia i robót, albo na wygnanie. Bolesne to były duchowo dla mnie czasy. Co chwila wiadomość o nowych spustoszeniach przemocy, to w kościele, to w Ojczyźnie. Codziennie wiadomość o szaleństwach emigracyjnych we Francji, albo działaniu spisku w kraju. „Rozwiązali sumienia przez zbytek cierpienia", i powtarzały się mordy na ulicach Krakowa. Oddziałać na to pismem nie było sposobu; mową, pojedynczo, można prawdę wyznawać, rozszerzać trudno. W tych to czasach Lamennais ostatecznie zerwał z Kościołem, z niezmiernym moim bólem, bo zdawało mi się, że bezwzględną surowością popchnięto go do upadku. Sprawa Lamennais'ego dziś przebrzmiała, mało kto się nią trudni, mniej jeszcze rozumiana: ale jest przykładem niespożytej siły Kościoła i działania łaski. Z uczniów Lamennais'ego, tak namiętnie do niego przywiązanych, tyle mu obowiązanych pod względem naukowym i duchowym, ani jeden za mistrzem po błędnej nie poszedł drodze. Ogień, który w nich zapalił, światło, jakie w nich natchnął, działały w takich jak Montalembert, Gerbet, Lacordaire, Boré, Du Lac i t. d.; bunt nie zakradł się do ich duszy, i dlatego dzieło, w nim obumarłe, żyło przez tych ludzi; oni też głównie wywołali reakcję duchową, która we Francji zdobyła około 1840 r. wolność nauczania, — episkopat niezrównany, mający czynność i powagę, która uszanowanie dla wiary zaczęła wdrażać i warstwom ludowym na dole, i uczonym w górze. Jeżeli szalona literatura francuska tej epoki, jak dobrze nazwał ją Grabowski, razi potwornością — to w najwyższych powagach naukowych, jak Villemain, Guizot, Cousin, nawet Thierry, nie widać dawnej do katolicyzmu

niechęci. Kiedy Lacordaire każe, ogromny kościół Notre-Dame słuchaczów męskich objąć nie może. Takie to były skutki swobodnej dyskusji obok poświęcenia i talentów. Nie bez celu mówię: obok poświęcenia. Bóg tylko niepomnej siebie, a poświęconej błogosławi pracy. Nie sama tylko jednak zajmowała mnie Francja: ciszę w kościele niemieckim przerwała naraz sprawa biskupa kolońskiego, Droste-Vischeringa. Uwięziony przez rząd pruski za opozycję w sprawie małżeństw mieszanych, nietylko wywołał polemikę, w której pierwszorzędne talenta Niemiec, jak Görres, wzięły udział, ale obudził gorliwość w Kościele, która przygotowała siły do walki obecnej, a niemałe także skutki wywarła na Poznańskie; gdy bowiem arcybiskup Dunin poszedł w ślady biskupa kolońskiego, od tej chwili widzimy obudzenie się ducha katolickiego w mieszkańcach Wielkopolski. Tak to dziwnemi drogami Opatrzność gotuje przyszłość. Nad Renem rozpoczęta walka oddziaływa nad Wartą, a równocześnie prawie wydziela się z naszej polskiej emigracji we Francji żywioł zdrowy, dobroczynny, choć o jego przyszłości dziś nawet jeszcze orzec nie można.

W r. 1837 czy 38, nie pomnę, kiedy Towiański bróździć zaczynał, choć jeszcze pocichu, Jański, zrazu mistyk, wkrótce katolik szczery, zgromadził około siebie kilku zdatnych, ognistych, pełnych ideału młodych ludzi. Znany przebieg: Jański umiera, ale duch jego żyje, wcielił się w Kajsiewicza i Semeneńkę, którzy jadą do Rzymu, uczą się, dziwią swą zdolnością — myślą o założeniu zakonu. Już wówczas miałem listowne z Semeneńką stosunki, które w 25 lat potem dopiero miały być osobiście zacieśnione. Nie mając nic ważnego z dosyć jałowego życia do podania, zaciągam do pamiętników wypadki postronne, dalsze i bliskie, o których sąd współczesnego nie będzie kiedyś bez interesu.

W domu P. Bóg dawał dzieci: w r. 1834 bliźnięta Marcin i Marysia, w 1836 Jan, w 1837 Paweł, w 1839 Jadwiga; w tym to roku brat mój Ludwik odbył podróż do Włoch i był przy śmierci przyjaciela mego, Kazimierza Czertwertyńskiego. Leży on na cmentarzu św. Wawrzyńca. W życiu doświadczył zawodów, bo nie znalazł sfery, w którejby był mógł znakomite swoje rozwinąć zdolności, a zaspokoić podniosłe uczucia.

Na sejm Rzeczypospolitej ubiegałem się o poselstwo; pobił mię kupiec Treutler, była to już próba mojego politycznego powodzenia. Zato sejm wybrał mię sędzią pokoju, który to zaszczytny urząd pełniłem lat trzy. W r. 1840 otrzymałem od namiestnika Paszkiewicza

pozwolenie wjazdu na 6 miesięcy do Królestwa Polskiego. Natychmiast pojechałem do Warszawy, gdzie bawiłem miesiąc. Było to w karnawał: znalazłem nie tę Warszawę, którą znałem! Były jednak reszty dawnego społeczeństwa: Ks. Teresa Jabłonowska, której dla dobroci, uprzejmości i piękności przebaczano lekkomyślność; Stanisław Grabowski, niegdyś minister oświecenia, teraz kontroler generalny, prezes Izby obrachunkowej; dom zwany powszechnie „na Grzybowie", na którego miejscu dziś kościół Wszystkich Świętych, a w którym mieszkały stare panie Gutakowska i Sobolewska, nieoceniony Henryk Zabiełło, Gutakowscy Wacławowie, słowem cały klan Zabiełłów, Gutakowskich, Sobolewskich itd. W Warszawie w zamku, o cesarza nie pytano, Paszkiewicz był wszystkiem. Przyjął mnie uprzejmie i dał mi pozwolenie przebywania w kraju. O statucie organicznym, który cesarz Mikołaj wydał był dla Królestwa Polskiego po zniesieniu konstytucji, nie było mowy. Paszkiewicz rządził absolutnie. Miał na czele kancelarji cywilnej nieprzyjemnego, choć uczciwego człowieka, Eliasiewicza; na czele dyplomatycznej zdolnego, uprzejmego i dziwnie usłużnego radcę stanu Hilferdinga. Ten nikomu nie zaszkodził, dopomógł komu mógł. Był to ojciec młodo zmarłego, a z nauki i panslawistycznych dążności znanego później Hilferdinga. Duch kraju, upadły po pogromie r. 1831, zaczął się dźwigać. *Bibljoteka Warszawska,* pismo perjodyczne, powstała. Andrzej Zamoyski, przeniósłszy się na stałe do stolicy, budził ruch przemysłowy i moralny. Już był owym ośrodkiem, koło którego łączyło się działanie albo raczej podniosły umysłowy kierunek. Wspólny ucisk łączył społeczne warstwy. Spotykały się zaś osobistości najrozmaitsze usposobieniem, rodem, zatrudnieniem: w niedzielę na porankach u Leona Łubieńskiego, w poniedziałek wieczór u p. Niny Łuszczewskiej.[1] Zebrania te były charakterystyczne, dlatego o nich wspominam, jako o należących do historji towarzyskiej owych czasów. Prawnicy, literaci, artyści, panowie, przemysłowcy, począwszy od dyplomaty, jak ks. Kozłowski, pełnego dowcipu i nauki, ks. Wołkońskiej, Mickie-

---

[1] Córka jej, Jadwiga, znana w literaturze naszej jako Deotyma, miała wielki dar improwizacji, którym się matka chlubić lubiła. Posądzano ją o przygotowywanie tematów. Tak jednak nie było. Raz, na wieczorze u p. Łuszczewskiej, poprosiła ona P. Popieła, by córce dał temat. Podał dość trudny: Św. Augustyn na ruinach Kartaginy. Deotyma na chwilę wyszła z pokoju, a powróciwszy, wygłosiła jedną z piękniejszych swych improwizacyj (drukowana w zbiorze jej poezyj).

wicza protektorki, aż do biednych, początkujących poetów i dziennikarzy, przybywali tam regularnie.

Sądownictwo i korporacja adwokatów, mimo już zaprowadzonego Departamentu Senatu, w całej dawnej utrzymywały się hierarchji i powadze, choć już nieco obniżyły się moralnie. Koledzy moi uniwersyteccy: Majewski, Józefowicz, Szymanowski, Wołowski itd. świetne zajmowali stanowiska, to za kratkami, to na krześle sądowem. Niespożyta niczem sprężystość żywiołu polskiego w ucisku na nowo się objawiała. Czemuż brak mu tych warunków w powowodzeniu? Może kiedyś te szczegóły będą dla was ciekawe, jeżeli badać będziecie stan i historję wewnętrzną kraju, a zdaje mi się, że dobrze go znałem i prawdziwie oddaję. Żeby zaś obraz był kompletny, dodać muszę, że może najsłabszą jego stroną było życie kościelne. Brak dobrych biskupów z jednej strony, ciągła podejrzliwość i opresja rządu z drugiej, wywoływały niekarność a usprawiedliwiały opozycję, jaka rozwinęła się w duchowieństwie. Stary ks. Skulimowski, młody podówczas ks. Rzewuski, kapucyn O. Benjamin, utrzymywali w mieście ducha żarliwości przez konfesjonał i kazalnicę. W wyższych sferach było grono doktrynerów katolickich, na francuskich zaszczepionych zasadach i praktykach; mała liczba prawdziwie gorliwych o chwałę Bożą i rozszerzanie prawdy. Wspomnę Aleksandra Walewskiego, który, jakkolwiek z przekonania służbie dworskiej oddany, umiał jednak z godnością i przywiązanie swoje do wiary objawiać, i w każdej okoliczności być użytecznym.

W lipcu 1840 r., po strasznym pożarze, który nawiedził mnie w Ruszczy, a po śmierci brata mojej żony, Stanisława Sołtyka, człeka młodego a pełnego zdolności i nadziei, przeniosłem się do Kurozwęk.

ROZDZIAŁ VIII.

Życie w Kurozwękach. — Wychowanie dzieci. — Rok 1846.

W Kurozwękach nowe poniekąd zacząłem życie. Majątkowe i gospodarskie stosunki lepsze, rezydencja piękna; praca wielka w gospodarstwie rozległem przy urządzaniu łasów, stawianiu gorzelni, obok tego sprawy dosyć różnorodne z władzami, z sąsiedzkiem obywatelstwem i włościanami.[1] Najbardziej zajmowało mnie wychowanie starszych dzieci, a stałem o to, aby naprzód było z gruntu chrześcijańskie, a potem ściśłe naukowe. Plan wychowania był systematycznie obmyślany, a dostałem nauczyciela pedanta, ale akuratnego i sumiennego; dzieci były zdatne, nauka szła porządnie, a ułatwiała ją moja osobista praca. Sprowadziłem książki nowe, pracowałem umysłowo, stąd atmosfera była duchowa i podniosła. Mam przekonanie, że nic tyle na kierunek i rozwinięcie dzieci nie wpływa, jak atmosfera, w której są chowane. Tego żadna praca, żadna nie zastąpi nauka, bo, w miarę jak dziecko rośnie, uczucia, poglądy, zwyczaje wchodzą w krew i kości, i chociaż indywidualności nie zatrą, wycisną jednak piętno, które pozostanie na całe życie.

Pracowałem sam również, aby nie stać się obcym tak wypadkom, jak wyobrażeniom i walce duchowej, która w całej toczyła się Europie; wszakże praca moja nie była ani dosyć systematyczna, ani dosyć silna, żeby przejść do naukowych rezultatów takich, aby niemi Bogu i Kościołowi służyć. Wiele mam sobie tutaj do wyrzucenia, i jeżeli synowie moi czytać to będą w wieku, w którym korzystaćby mogli, usilnie proszę, aby starali się, co zawsze można, wpośród obowiązkowych, materjalnych zatrudnień znaleźć także czas na specjalną

---

[1] Względem włościan, jako jeszcze nieuwłaszczonych, obowiązki były liczne i poważne (*Przyp. wydawcy*).

naukę. W końcu życia wielki przychodzi żał straconego czasu, zdolności, które byłyby usposobiły do służby Bogu w walce za prawdę. Opuściła mnie też, a nie bez własnej winy, intencja, aby praca moja chwaliła tylko Boga i służyła prawdzie. Polityka, chęć stanowiska osłabiały ogień wewnętrzny, który już nie był ani tak czysty, ani tak silny. Z wielką jednak przyjemnością przypominam sobie te pierwsze ośm lat mojego w Kurozwękach pobytu. Niezrównany dar mojej żony utrzymywania domu w porządku, ludzi w karności, ułatwiał mi życie. Włożywszy się w warunki stanu małżeńskiego, byliśmy jedno drugiemu pomocą i pociechą. Żona, posiadając niemal cały majątek, była nad wyraz delikatna, a ciągła gotowość, aby służyć bliźniemu, ściągała na dom błogosławieństwo. Nie mogę pominąć, że silny umysł i nadzwyczajnie zdrowy rozsądek robił pożycie z nią nader pociągające, nie dopuszczając ani chwili napadającego, nawet dobre małżeństwa, znużenia. Dlatego zawdzięczam mojej żonie utrzymanie swobodnego i czynnego charakteru. Nie było nigdy w Kurozwękach nudów, a kiedy aż nadto częste interesa powoływały mnie do Krakowa, to do Czapel, to do Warszawy, z prawdziwą wracałem do domu rozkoszą. Tak płynęły jednostajnie lata dla mnie, ze zmiennemi kolejami dla świata i kraju.

Choćby nie wiem jaki panował w Polsce ucisk, zwolna po każdej katastrofie budzi się przecież ruch wewnętrzny. Kiedy w tych latach we Francji na drodze parlamentarnej wywalczano zaprzeczoną przez pseudo-liberalizm wolność sumienia i nauczania, kiedy król pruski Wilhelm IV, zacny i rozumny, stopniowo chciał przeprowadzić swych poddanych z rządowego, choć oświeconego, absolutyzmu do używania wolności pod formą Stanów: wówczas roboty podziemne, gotowane przez polską partję demokratyczną we Francji, cichaczem zapuszczały w kraju korzenie. W Królestwie, gdzie kilkunastu młodych ludzi, jak Ehrenberg, Wężyk, Levitoux, opłacali strasznem w cytadeli więzieniem zbrodnię podżegaczy a swoje bohaterstwo i niedoświadczenie, grunt był mniej do tego sposobnym. Mimo to jednak w r. 1845 pomiędzy wiejskim ludem powstał ruch głuchy, a objawił się na zewnątrz w apostołstwie ks. Ściegiennego po wsiach gór Świętokrzyskich. Ściegiennego złapano, badano, ukarano zesłaniem podobno na całe życie, nigdy jednak ani natura ani początek tego ruchu nie były zbadane: że nie był polski, to pewna, że miał cechy komunizmu, ani wątpić, czy był zapoczątkowany we Francji albo zwiastunem rosyjskiego nihilizmu, nigdy dojść nie mogłem. Chwila była

obrana wybornie, bo rok 1845 był nadzwyczajnie głodny: ciągłe deszcze zgnoiły zboże i ziemniaki, pasza dla bydła była zatruta, a rząd nietrafnie, kiedy ziemniaki gniły, zakazał wyrobu z nich wódki. Wtenczas napisałem po francusku memorjał do gubernatora Białoskórskiego przeciw temu postanowieniu. Była to, o ile sobie przypominam, jedna z najlepszych robót, jakie kiedykolwiek *currenti calamo* napisałem.[1] Rewołucyjne knowania, które sporadycznie tylko udawały się w Królestwie, szersze przybierały rozmiary w Poznańskiem, a bardziej jeszcze w Galicji i Krakowie. Zygmunt Krasiński, który śledził zagranicą i wiedział, co się dzieje, obraz tych robót przedstawił w *Nieboskiej Komedji;* kiedy widział, że dojrzewają, jak wieszcz przepowiadał, ostrzegał w *Psalmach Przyszłości.* Zakopany wówczas w gospodarstwie i wychowaniu dzieci, mniej pilnie mogłem śledzić i badać stan społeczeństwa, kiedy jednak w ostatnich dniach grudnia 1845, czy pierwszych stycznia następnego, przybyłem do Krakowa na dni kilka, na twarzach młodzieży, po obcych, nieznanych fizjognomjach widać było, że gotuje się coś groźnego. Henrietta Kuczkowska,[1] niegdyś żona mego szwagra, kobieta rozumna, będąca w ciągłych listownych stosunkach to z Krasińskim, to z Mickiewiczem, pokazuje mi wyszłe co tylko *Psalmy Przyszłości.* Przeciw Krasińskiemu byłem zawsze uprzedzony, ciężko wyrabiał wiersze, przeczyłem jego talentowi, — po raz pierwszy poczułem poetę i wieszcza. Mimo to nie obawiałem się bliskiego wybuchu.

Już napomknąłem wyżej, jak emigracja jeszcze przed r. 1840 zasiewała zgubne w Galicji nasienie. Zwolna kiełkowało ono w ludzie, a w obywatelskich i miejskich warsztatach Towarzystwo Demokratyczne, z siedzibą Wersalu, zyskiwało zwolenników, jednych z przekonania, drugich ze strachu. W Polsce nikt nie ma odwagi stanąć wpoprzek ruchu, który niby ma na celu zbawienie Ojczyzny. Bogatsi, zamożniejsi, czy przypadkiem, czy wiedzeni przeczuciem, jakoś pod ten czas Galicję opuścili. Bankruci majątkowi, a nawet moralni, radzi byli odbić się na narodowej sprawie. Mieszkańcy miast nie znali wcale ludu; obywatele wiejscy albo żadnych z nim stosunków nie mieli, choć obok mieszkali, albo, nie zalecając się podówczas ani moralnością, ani znajomością instynktów ludowych, nie wiem zaprawdę na co rachowali, bo nie zadali sobie pracy, aby lud poznać

---

[1] Drukowana w *Pismach* P. Popiela w 1893 r.

[2] Henrietta Ewa Ankwiczówna (Ewunia Mickiewicza) wyszła zamąż za Stanisława Sołtyka, a później za hr. Kuczkowskiego.

lub pozyskać, rozumiejąc glupio, że go popchną pochlebstwem lub teroryzmem. Wyszla podówczas książka bardzo rozpowszechniona: *Prawdy żywotne Narodu polskiego*, uczyła, jak kijmi może lud odebrać karabiny, karabinami armaty, armatami fortece. Autorem mial być Kamiński; zapomnial tylko o małej rzeczy, że w takiej sprawie lud należy mieć za sobą, bo lud posluszny tylko sile albo fanatycznemu uczuciu.

O tem nie zapomniała kasta urzędników; nienawidząca żywiołu polskiego, bo niemiecka, szlacheckiego, bo demokratyczna, z panowaniem Austrji w Galicji związana kwestją chleba i życia, śledziła w cichości nieostrożne działania, znała ich doniosłość i środki. Kiedy w zarozumieniu swojem szlachta na lud rachowała, biurokracja przez swoją policję, przez urlopników, rozciągnęła sieć po kraju i czekała gotowa, podwójnie na lud dzialając: przez urok monarszej, zawsze masom drogiej wladzy, i przez komunistyczno-agrarne obietnice.

Rządy sprawował podówczas nominalnie cesarz Ferdynand, dobry, ale zupełnie niedołężny; ks. Metternich, kanclerz i pierwsza osobistość w skladzie ówczesnego rządu, na którego całą składa się dziś odpowiedzialność, nie był zupelnie wszechmocny, bo wladza najwyższa spoczywała w pewnej „radzie“, napól jawnej, napól tajemniczej. Znający z gruntu rewolucję i jej sprężyny, już był jednak syt lat i chwaly, utracil energję i inicjatywę. Galicją, jak wspomniałem, rządził, pod nominalnem zwierzchnictwem arcyks. Ferdynanda, naczelnik rządu, Krieg, stary, zdolny urzędnik austrjacki. Czy przygotował straszny, mający się odegrać dramat, zapewnić nie mogę. Niepodobna jednak, aby bez wiadomości zwierzchnika tak wprawnego i absolutnego niżsi urzędnicy odważyli się na podobne kroki. Burzę bylo czuć w powietrzu. Kiedy p. Kownacka, czy też inna dama, bo tego dokładnie spamiętać nie mogę, zapytala Kriega w poczuciu trwogi: „Co to się gotuje? Co to będzie?“ — odrzekł: „Będzie trzy dni strachu, a 30 lat spokoju“. Zobaczymy, jak się przerachowal.

Zaczął się rok 1846 w gorączkowem oczekiwaniu przyszłości. Ja bawiłem w Kurozwękach, mniej na te wrażenia wystawiony. Dnia 20 lutego odebralem od Marysi Stadnickiej [1] podczas obiadu enigmatyczny list z Krakowa. Zrozumiawszy, o co idzie, natychmiast wy-

[1] M. Stadnicka, urodzona z Popielówny, siostry Konstantego Popiela, zm. 1860 r., wielkiego rozumu i dowcipu osoba.

jechałem: 21-go byłem w Czaplach, dowiadując się głucho po drodze o powstaniu w Krakowie, ustąpieniu wojska austrjackiego, itd. Mówią mi, że w Krakowie ogłoszono Rząd narodowy, że Michałowi Badeniemu pod karą śmierci dowodzić każą, Helclowi grożą. Mimo nalegania rodziców jadę do Krakowa. Na komorze w Michałowicach puścić mnie nie chcą, mimo paszportu tamtejszego i mimo że cały personal komory, złożony z Polaków, pijany, głośno sympatje rewolucyjne ogłaszał, trzymany tylko na wodzy przez komendę Kozaków, która w 100 koni nadciągnęła. Zanocowałem pod Michałowicami w nędznej karczmie, która po dziś dzień istnieje. Wczas rano, jeszcze pociemku, wziąwszy do kieszeni parę pistoletów, granicę parowami przeszedłem i pieszo dążyłem do Krakowa, zaturbowany, jak przejdę rogatkę, która, przypuszczałem, przez Rząd rewolucyjny musiała być obsadzoną. Nadchodzę równo z dniem, wszystko pijane, puszczają bez kontroli. Zrozumiałem odrazu z tego, co się dzieje. Chcąc sekret bytności mej utrzymać, do domu mego nie poszedłem, ale do Marysi Stadnickiej. Nie dosyć bezpieczny, bo mnie spostrzeżono, udałem się do Górnych Młynów, które trzymałem w dzierżawie. Stamtąd posłałem po Helcla i Badeniego. Od nich dowiedziałem się dopiero, jak garstka głupców i łotrów potrafiła opanować Kraków, który, jak się zdaje, w zdradziecko strategicznym celu wojsko austrjackie opuściło, zostawiając go na łup anarchji. Austrjacy, chcąc posiąść Kraków, zrobili swoje, ale jak wytłumaczyć, że miasto poddało się garstce podłych (bo nic tam szlachetnego nie było), niewyróżniających się ani rozumem, ani stanowiskiem, ani poświęceniem? Takie są tajnych spisków skutki: ludzie zacni, kraj, stają się ofiarą i narzędziem dla celów, których nie znają. Takie następstwa niesprawiedliwego zaboru. Każdy Polak, w poczuciu obowiązku stawienia się zawsze dla sprawy Ojczyzny, nie śmie rozważyć, czy wezwany w porę, czy nie, czy dla dobra kraju, czy na zgubę Ojczyzny. Spisek tak osłabił wszystkie powagi w kraju, że nie było komu stanąć przeciwko ruchowi i wybawić miasto od awantury, więcej nawet ohydnej, niż zgubnej. Znalazł się jeden człowiek, autor *Historji literatury polskiej,* profesor Michał Wiszniewski. Miał odwagę potępić tę szajkę uliczną; chciał ogłosić się dyktatorem, porządek przywrócić. Nie doznawszy poparcia, musiał w nocy uchodzić, a taki stąd poczuł do miasta i charakteru narodowego żal głęboki, że na zawsze Polskę porzucił i osiadł we Włoszech. Burza szalała, ale jak w kałuży błota; zabierano się do krwawych egzekucyj, bo to najłatwiejszy, a podobno najskuteczniej-

szy sposób do budzenia rewolucyjnego heroizmu. Tymczasem wojska austrjackie, które na chwilę opuściły Kraków, wracały, nie dopuszczając dalszej anarchji ulicznej, a przynosząc rządową. Nadchodziły też do Krakowa ochładzające zapał rewolucyjny straszne wiadomości. Zapaleniec Dembowski zginął pod Gdowem. Hołota, która władzę zagarnęła, jak Tyssowski, Gorzkowski itd., uciekła. A tymczasem sądny dzień nastał w cyrkułach: tarnowskim, bocheńskim, wadowickm, rzeszowskim i innych.

Od chwili zajęcia Galicji przez Austrję nie poprzestała biurokracja austrjacka budzić wszelkiemi sposobami antagonizmu pomiędzy szlachtą a wiejską ludnością, poddańczym stosunkiem związaną. Szlachta reprezentowała po zaborach legitymizm w Polsce. Ona była niejako wobec rządów pretendentem do tronu. Stąd główne władzy przeciwko niej zwrócone działanie. Nadto szlachta nie mogła się naraz pozbyć uczucia swego uprzywilejowanego stanowiska: traktowała z góry przybyszów urzędników, którzy z poczuciem siły politycznej, jaką posiadali, wzgardę odpłacali srogim uciskiem i nienawiścią; zaczęły się więc od Józefa II czasy, w których galicyjska szlachta odcierpiała za wszystkie grzechy, jakie kiedykolwiek popełnić mogła. Opresja ta najbardziej przejawiać się mogła na polu stosunków włościańskich. Tam też ustawiczne skargi, spory, niekończące się nigdy, jątrzone zdradliwemi obietnicami, utwierdzane prawie zawsze przyznaniem słuszności nie prawdzie, ale chłopu. Na grunt w ten sposób przygotowany padało nasienie naszej demokratycznej propagandy. Nie wydało ono tyle złego, ile było złej woli, bo chłop wierzył tylko urzędnikowi, który reprezentował władzę. Urzędnik ten z postępem czasu także zmieniał charakter. Począwszy od Józefa II, duch demokratyczny wstępował w niego, ale z ideą wszechwładztwa państwa. Biurokracja musiała szanować wielkich panów, z którymi dom panujący był zrośnięty, ale ich nienawidziła. Rekrutując się głównie ze stanu średniego, stawszy się niemal dziedziczną, przyszła do takiej potęgi, że, mając swoją politykę i swoich przywódców, była wszechmocną. Mówił do mnie w r. 1842 mały policyjny urzędnik Gut: *Der Kaiser und Herrn Minister mögen wollen, was ihnen gefällt; wenn es die Beamtenwelt nicht will, so dringen sie nicht durch.* Ta wszechmocna biurokracja, nienawidząca szlachty jako stanu uprzywilejowanego, nienawidząca Polaków, w obawie o kawałek chleba (a najtłuściejszy miała w Galicji), znając doskonale przygotowania szlachty i jej niedołężność, postanowiła nie — co jest

obowiązkiem każdego rządu — złe uprzedzić, ale zniszczyć i osłabić element polski, szlachecki, najstraszniejszą katastrofą, tj. rzezią. Wieczna zapewne okryje tajemnica cały piekielny plan tej rzadkiej zbrodni: ale o ile pamiętam jej szczegóły, opiszę.

Kiedy austrjackie wojsko pod dowództwem generała Castiglione do Krakowa na nowo wkroczyło, poznano dopiero cały ogrom nieszczęścia i zbrodni. Równocześnie z krakowskim wybuchem pewna liczba szlachty tarnowskiej, z braćmi Wiesiołowskimi na czele, zebrała się o milę od tego cyrkularnego miasta we wsi Lisia Góra, gdzie zgromadzili także znaczną ilość chłopów. Rachując, że ich potrafią pozyskać, podburzyć i poprowadzić na miasto Tarnów, w celu rewolucyjnym, przemawiali do nich z polskiego patrjotycznego stanowiska. Chłopi, doskonale wyuczeni, kierowani to przez urlopników, to przez przebranych urzędników, udawali, jakoby panom wierzyć nie mogli, kiedy panowie uzbrojeni, a lud z gołemi rękami, i mówili: Jeżeli istotnie z nami iść chcecie i uważacie za braci, dajcie nam broń waszą. Lekkomyślni, zaślepieni w głupstwie i zarozumiałości, ledwo broń oddali, chłopstwo rzuciło się na nich, wiązało i biło, jednych trupem kładąc na miejscu, drugich odwożąc półumarłych, jak bydło, na wozach do Tarnowa. I tak zaczął się dzień sądny, który trwał trzy doby. W cyrkułach tarnowskim, bocheńskim, wadowickim, części jasielskiego i rzeszowskiego ruszyły się masy ludu, a znalazły, jak zwykle, naczelnika, w osobie chłopa z dóbr Boguszów, Szeli. Rozpojone wódką, rozwścieklone widokiem krwi, zachęcone obietnicą bezkarności, nagrody i powagą urzędów, które szlachtę jakoby buntowników przeciwko monarsze wskazywały, szalały chłopy, bratobójczo a często mordując spokojnych panów, obywateli, kobiety i dzieci. Porabowano, albo popalono domy, pozabijano sług dworskich niemało, a warto zauważyć, co zresztą łatwo da się wytłumaczyć psychologicznie, że ofiarą tej zbrodni padali najlepsi i dla ludu najłagodniejsi panowie, jak Kotarski, Rey, Marcjan Żeleński, kiedy groźni a gotowi bronić się właściciele uchodzili zdrowo. Okrucieństwa popełniano straszne: łagodny charakter ludu naszego, który był przeszedł w przysłowie, zawiódł, bo zapomniano, że zasady, a nie charakter, mogą wstrzymać człowieka od zbydlęcenia. W urzędach płacono za dostawione trupy albo mniemanych spiskowców. Tak padli ofiarą najniewinniejsi i najzacniejsi obywatele. Zaprzeczano, jakoby premjum za szlachcica płacono, zaprzeczano fałszywie, a zresztą jeżeli to się nie działo z wiedzą i upoważnieniem organów rządowych,

to zbrodniarze krwią zbroczeni, łupiezcy obładowani zdobyczą, byliby karani. Tymczasem ani jeden do odpowiedzialności pociągniętym nie został, a zato skazano tych z obywatelstwa, którzy przeżyli, a dostawieni władzy na srogie badania, więzieni byli to we Lwowie, to w Spielbergu, to w Krakowie. Na pogardę i pomstę potomności niechaj zostaną imiona: Breindla, starosty w Tarnowie, Berndta w Bochni, Lozerta w Wadowicach, Zajączkowskiego i Herolda, sędziów w Krakowie.

Do tych spraw przyjdzie mi powrócić — a teraz kończę swoją krakowską wyprawę. Pożegnałem Badeniego i Helcla, wprzódy nim te straszne nadeszły nowiny, i znowu pieszo dostałem się przez granicę manowcami do mojej karczmy i koni, spotkawszy po drodze uciekających ze 100 koni, pseudo-krakowskich powstańców, którzy pod wodzą Grzegorzewskiego pierzchnęli od Michałowic na wystrzał z kilkunastu kozackich janczarek.

Zanocowawszy u rodziców w Czaplach i opowiedziawszy im, co w Krakowie się dzieje, a w Galicji rozpoczyna, jechałem do domu, dowiadując się po drodze na Powiślu, jak straszne na tamtym brzegu odbywały się sceny. Kilka dni ponurych, głuchych przepędziłem w Kurozwękach, wiadomości dochodziły zwolna, niewyraźne i niepewne: aresztowania w Podlaskiem Potockiego, w Warszawie spiskowych były nam już wiadome. A przecież Polaka, choć najprzeciwniejszego ruchowi, nigdy nie opuszcza ta myśl: A nużby też jaka ważniejsza z tego wywinęła się sprawa? W niepewności, na przypadek wszelki oddalenia przymusowego, napisałem dla żony mojej decyzję co do interesów i wychowania dzieci. A że nie ja sam miałem to poczucie, dowodzi fakt, że Aleksander Wielopolski, co dziś może mnie jednemu wiadomo, bawiąc w Wrocławiu, tak gwałtownie poczuł upokorzenie pochodzące dla narodu z takiego powstania, że powziął decyzję poruszenia swoich chłopów, aby przynajmniej zginąć z honorem; jakoż przyjechał, ale było już zapóźno. Wiem to od niego samego, a nie umiał ani kłamać, ani udawać. Przytaczam ten fakt, bo maluję epokę i człowieka. Chodziły za przykładem Galicji i pomiędzy ludem Królestwa złowrogie wieści i obawy. Już w Miechowskiem chłopi zaaresztowali pewnego obywatela; energja naczelnika powiatu, zacnego Piątkowskiego, złe przytłumiła w zarodzie, ale nie uwolniła od poczucia trwogi. Żona moja, z natury nader odważna, nietylko się nie zastraszyła, ale spokojem i swobodą dziwnej dodawała otuchy. Pierwszych dni marca pojechałem do Krakowa, bo

interesa Ruszczy, kamienicy, wreszcie obowiązek obywatelski, tam mnie wzywały. Jak opowiedzieć ten stan osłupienia, upokorzenia, przybicia, w jakim zastałem wszystkich i któremu sam uległem. Był Mann,[1] przyjechał Adam Potocki, przez Prusaków zatrzymany w Wrocławiu. Nastąpiły te „długie, nocne Polaków rozmowy“, o których mówi Mickiewicz, a nie było wyjścia. Potrójny garnizon protektorów zajął Kraków; aresztowania się mnożyły, znikąd pociechy, tem mniej nadziei, a dla ludzi moich zasad ból podwójny, pochodzący z oburzenia przeciwko łotrom, którzy takie wywołali nieszczęście, i przeciwko potęgom, które z taką nieludzką bezwzględnością karciły zło, jakie albo wywołały, albo na nie dozwoliły. Na takie cierpienia kilka razy w życiu skazany każdy Polak sumienny, a politycznie wykształcony. Dopiero wówczas otrzymałem dokładne szczegóły o rzezi: wrażenie było tak silne, że poczułem naruszenie serca, które długo trwało, a brałem je za anewryzm, do tego stopnia, że długiego nie wróżyłem sobie życia. Stosunki z ludnością wiejską się zmieniły, ponieważ jednak nigdy włościan rewolucyjnych nie uczyłem zasad i władze obchodziły się ze mną z uszanowaniem, porządek gospodarski mało był zachwiany w Ruszczy. T. zw. Rząd Narodowy w Krakowie zniósł pańszczyznę: gdziekolwiek jego wysłańcy ogłosili to postanowienie, robocizna ustała; nie było łatwo przyprowadzić, nie powiem do prawnego porządku, ale do jakiego takiego gospodarskiego ładu. Zasady agrarne mają to do siebie, że, rzucone na grunt, odrazu puszczają korzenie, krzewią się, i wypłewić już ich niepodobna. Przyjęła się w ludności wiejskiej myśl posiadania własności na mocy jakiegoś przedawnienia, a popierała ją teorja głoszona przez apostołów z emigracji. Ani rząd austrjacki ani rosyjski nie wszedł jeszcze podówczas na te tory. Austrjacki patentem zaprowadził niby zelżenia w pańszczyźnie, t. zn. zniósł *Landfuhren*, które w Galicji prawie nie były w użyciu; rosyjski w Królestwie ukazem zniósł d a r m o c h y, a odbytym spisem osad i gruntów włościańskich przez t. zw. tablice prestacyjne rozdzielił grunta, dotąd wyłączną i absolutną własnością dziedzica będące, na dominikalne i rustykalne. W Królestwie ogłoszenie tego ukazu odbywało się z wielkim aparatem: do każdej gminy zjeżdżał urzędnik i w mundurze ukaz ogłaszał. Chłopi kurozwęccy po odczytaniu ukazu głośno powiedzieli: Pan nam krzywdy nie robił, na niego się zdajemy, jak robiliśmy, tak dalej robić będziemy.

[1] Maurycy Mann, znany publicysta.

Kiedy to się wszystko dzieje, gruchła po całej Europie wiadomość o strasznych i krwawych w Galicji wypadkach. Z początku niedowierzanie; kiedy rzecz okazała się niewątpliwą, a rzeczywistość przechodziła wieści, obudziło się sumienie w narodach, których ferment rewolucyjny nie był jeszcze zatomizował i pozbawił, jak dziś, moralnego poczucia. W Izbach francuskich Montalembert w trzech mowach niezrównanych osądził rząd austrjacki, a kiedy droga polityczna i dyplomatyczna była zamkniętą, bo w wewnętrzną, obcą sprawę nie mogły rządy się wdawać, wprowadził ją przed trybunał opinji i moralności publicznej. Czytać te mowy jedyną dla nas było pociechą, zwłaszcza kiedy się znalazł w wysokim Schwarzenbergów rodzie (pod pseudonimem Landsknecht) człowiek, który wypadki galicyjskie tragikomicznie śmiał opisywać. Młody podówczas Adam Potocki, który wysokie miał w Anglji stosunki, pojechał tam natychmiast, aby ministerjum, w którem szanowany lord Landsdown zasiadał, o rzetelnym stanie rzeczy zawiadomić. Zwolna powstawała groza potępienia. Wówczas ks. Metternich, który czy nie chciał, czy nie mógł, czy nie umiał wstrzymać lub ukarać zbrodni, wydał notę okólną do dworów, w której tłumaczył i usprawiedliwiał wypadki, a tak wziął za nie odpowiedzialność.

Okólnik ten pośrednio, jak zobaczymy, poważne, choć wręcz przeciwne zamiarowi, miał rezultaty.

Kilkunastoletnie panowanie dobrego, a umysłowo niedołężnego Ferdynanda, rozprzęgło już dość luźne rządowe w Austrji stosunki. Władza niby w ręku jakiejś dworskiej kamaryli, właściwie i wyłącznie dostała się w ręce biurokracji. Firmę dawał ks. Metternich, a jednak niemal wyłącznie trudnił się sprawami zewnętrznemi; czy miał świadomość wielkich przeobrażeń, jakie się w społeczeństwie europejskiem dokonywały, — nie wiem. Rozumiem jednak, że umysł tak przenikliwy spostrzegł postęp idej rewolucyjnych, czuł może potrzebę przeobrażenia Austrji, ale nie miał już w podeszłym wieku odwagi wziąć się do tak trudnego dzieła, chciał umrzeć w nabytej chwale, a spokojnie. To się pojmuje i wybacza, ale wybaczyć nie można, że po galicyjskiej rzezi nie czuł się moralnie obowiązanym, aby ją potępić i ukarać, i że nie przeniknął następstw bezkarnego wstrząśnienia fundamentów społeczeństwa. Minister kraju, w którym szlachta przeważne zachowała stanowisko, obrońca hierarchji i organicznego ustroju, już z politycznego stanowiska powinien był ocenić, że nie można w prowincji jednego i tegoż samego państwa

zetrzeć na proch żywiołów organicznych i hierarchicznych, żeby to nie oddziałało z koniecznością na inne części składowe monarchji. Spostrzegł też to w rok później hr. Dollkop, i wytknął na sejmie stanowym Niższej Austrji. Ale wcześniej i groźniejszą odebrał ks. Metternich karę. Zaledwo okólnik jego stał się publicznym, w duszy jednego z najzacniejszych, a pewno najzdolniejszego syna Polski, zawrzało jak w wulkanie, który straszną buchnął lawą. Aleksander Wielopolski, człek gwałtownych uczuć, szlachcic, Polak, polityk i dotąd Metternicha admirator, we wszystkich zadrażniony przekonaniach, porwał za pióro i puścił w świat jedno z tych pism rzadkich, które istotnie, choć są słowem, stają się czynem. Krótka broszura: *Lettre d'un gentilhomme polonais au prince de Metternich* zostanie pomnikiem w literaturze politycznej, bo człowiek prywatny nietylko napiętnował, ale zwyciężył pierwszego ministra swojego czasu w Europie. Ks. Metternich nie podniósł się od chwili, gdy, jak powiedziano, na starość „noga we krwi mu się pośliznęła“.[1] Zapewniano mię, że ks. Metternich przeczytanie listu odchorował. O to mniejsza, ale list zrobił ogromne wrażenie, otworzył oczy na wewnętrzny stan Austrji, najważniejszy jednak wpływ wywarła na samego autora. W duszy Wielopolskiego zapanowała bezgraniczna nienawiść do Austrji i chęć zemsty. Dwa uczucia, które choć, jak tutaj, szlachetną natchnione pobudką, są niebezpieczne. Dokonał się przewrót w umyśle: Gdzie szukać mściciela? Tylko w Rosji. I od tej stanowczej chwili, wypowiedziawszy z właściwą mu bezwzględnością, że ucieka się po sprawiedliwość do cesarza Mikołaja, marzył o sojuszu Rosji z Polską. Taka jest geneza dalszej jego polityki, o której wiele jeszcze mówić mi przyjdzie.

Przyjechawszy do Wrocławia za interesem, widziałem się z Wielopolskim, który właśnie podyktował był swej żonie list. Wówczas także poznałem biskupa wrocławskiego, kardynała Dieppenbrocka, zapewne jednego z najznakomitszych biskupów i ludzi swego czasu. Wprost, nieznany, przedstawiłem mu stan moralny Galicji po rzezi i poteranie duchowieństwa. Zrozumiał, o co idzie: nie odmówił wielkich swoich wpływów, a duchowy i genjalny, przewidywał skutki zbrodni i błędu.

W bólu, smutku, upokorzeniu przebyłem ten rok, zresztą spokojnie, bo chłopi, mimo ukazów, dawali dowody przywiązania i zau-

[1] *Monseigneur, à la fin de votre glorieuse carrière votre pied a glissé dans le sang.*

fania. Życie rodzinne było rozwinięte, kochanych moich rodziców od czasu do czasu, zwłaszcza jeżdżąc do Ruszczy i Krakowa, odwiedzałem w Czaplach. Matka żony mojej, Sołtykowa, często przebywała u nas w Kurozwękach, a kobieta mądra, gospodarna, na miłosierne uczynki wylana, była dla mnie teściową niezrównaną. Dzieci kształciły się dobrze, pod kierunkiem sumiennego nauczyciela Kudasiewicza; choć ta dzieciarnia była młoda, w długie wieczory czytywano: to *Jerozolimę wyzwoloną* w tłumaczeniu Kochanowskiego, to *Dworzanina*, to Jana Kochanowskiego. Jedne słuchały, drugie zasypiały, ale skutek był ten, że wyrobiło im się ucho do toku polskiego zdania i wszystkie doskonale piszą ojczystym językiem. Umysły były ciekawe i otwarte. W Kurozwękach przybyło dzieci: Wacław, Kazimierz, Zofja, Aniela. Żona moja ułatwiała egzystencję dziwnym rozkładem głowy, a uprzyjemniała pewnem oryginalnem usposobieniem umysłu i charakteru, które dawało jej wielki urok, choć nie było bez uporu. Do tych lat życia z wielką powracam pamięci uciechą. Ład był w domu i harmonja, wypełnianie obowiązków, pilny na postęp literatury i polityki pogląd, i byłoby szczęście, „gdyby ono było w Ojczyźnie"; ale bolały wyroki śmierci w Warszawie, nieludzkie obchodzenie się z aresztowanymi w Krakowie, Lwowie i Spielbergu. Między nimi byli winni, więcej jednak było niewinnych, bo herszty, jak zwykle, umieli przed czasem uciec. Ginęli ludzie, to wciągnięci przez słabość charakteru, to fanatycy własnego błędnego ideału.

W tych czasach, choć bardzo wielu było ludzi z wiarą, nie było zastępu, któryby rozumiał, że ostatecznie w życiu ludzkości idzie tylko o panowanie prawdy, i że zbawienie jest jedynie w Kościele katolickim. W chwilach ucisku uznawano łączność sprawy narodowej z kościelną, zapominano jednak, że wiarą, Kościołem, jako narzędziem posługiwać się nie można: należy je uznać i ukochać dla wewnętrznej ich istoty, prawdy, a wówczas jako skutek przyjdzie i doczesna korzyść. Udawać gorliwego katolika dla celów narodowych, to zbrodnia, ale niewątpliwą jest rzeczą, że naród, byle był szczerze katolickim, i póki takim będzie, wynarodowić się nie da. Klasy bardziej oświecone pracowały nad tem, aby wiarę utrzymać; miały niejako podwójne sumienie: liberalizowały się, filozofowały w politycznych i kościelnych sprawach, a w chwilach niebezpieczeństwa żądały od duchowieństwa i ludu siły, którą poprzednio łamały, podając ją w wątpliwość. Nie wyłączam tutaj od ogólnej odpowiedzialności i siebie, bo, chociaż ani zapomniałem prawdy, ani się jej kiedykolwiek wy-

parłem, nie działałem jednak dla jej rozszerzania i uznania z tą gorliwością i czynnością, jak było obowiązkiem człowieka, który z łaski P. Boga zamłodu tyle zdrowego odebrał światła i nauki. Nauka ta uczyła mnie zdrowo patrzeć na wypadki i przyszłość gotującą się odgadywać, w każdym razie zrozumieć.

Sztuczne parlamentarne rządy we Francji utrzymać się nie mogły; partja rewolucyjna uważała je za przejściową formę. Monarchizm orleanistów nie miał żadnej siły, bo nie miał punktu oparcia ani w zasadzie ani w uczuciach, utrzymywał się tylko zręczną równowagą pomiędzy stronnictwami mniej wybitnemi politycznie, którym szło głównie o władzę i osoby, a które się wyrażały to w Thiersie, to w Guizocie; interes dynastyczny osłabiał na zewnątrz politykę Francji, stąd upokorzonej. Literatura, to pod formą romansu, to pod formą dramatyczną, toczyła ciało społeczne. Albo zmysłowa, jak w Balzac'u i Sand, albo wprost socjalna i antychrześcijańsko-rewolucyjna, jak w Sue, przystępnością formy a namiętną treścią docierała do warstw ludowych, które musiały mieć i innych kierowników. Katolicy rozumnem działaniem w Izbach, dziennikarstwie, a miłosiernem dla ubóstwa, obojętni o stanowisko polityczne, zdobywali wpływ także na niektóre warstwy społeczne, jak to się wnet pokazało w dniach lutowych. Grono niezrównanych biskupów, posiłkowane pisarzami i mówcami jak Montalembert, Falloux itp., imponowało rządowi i opinji, która jednak pod hasłem reformy wyborczej szła ku przewrotowi.

Straszne wypadki galicyjskie, wywołane mniej przez narodowe, jak rewolucyjne dążności, drażniły opinję europejską. Kiedy zamiary spisku europejskiego nie udały się w Polsce, należało na innym gruncie szukać szczęścia.

Nie pomnę już, w której z moich politycznych broszur zrobiłem słuszną uwagę, że instynkt tego stronnictwa umie doskonale odgadnąć, kiedy w jakim kraju napotkać może palne elementa. Od lat paru toczyła się w łonie związkowej Rzpltej Szwajcarskiej walka, niby o formę, w istocie sięgała gruntu rzeczy. Związkowa ta Rzeczpospolita, jak wiadomo, składała się z kilkunastu kantonów, w mniejszości katolicką wyznawających wiarę, a już niemal wskutek tego podzielonych na organiczno-konserwatywne i atomistyczno-liberalne. Wedle odwiecznej konstytucji każde z osobna tworzyły swobodne, z władzą na wewnątrz niezawisłą, państwa, a zatem używały absolutnej swobody politycznej i religijnej. Ponieważ kantony katolickie, głównie t. zw. małe kantony, były zamieszkane przez ludność prostą,

patrjarchalnie żyjącą, pełną silnej wiary i karności moralnej, którą wiara daje, było to niesłychanem zgorszeniem dla kantonów protestanckich, w których rewolucyjne zasady wzięły górę. Jak ścierpieć podobne zgorszenie, aby katolicy w spokoju używali swobody i aby katolicka, kościełna hierarchja mogła się rozwijać? Kierownicy stronnictwa antykościelnego, sekciarze wytrawni w sztuce podstępnej z Kościołem walki, umieją zdałeka przygotować ją, i tak zręcznie, że tylko wprawne dopatrzy ją oko. Z konstytucji federalnej wynikała konieczność szanowania autonomji kantonów. Chciano ją zgwałcić prawnie i pod hasłem narodowego patrjotyzmu, dla wzmocnienia niby przez centralizację potęgi na zewnątrz; na sejmie związkowym i w opinji poruszono zmianę konstytucji: władza związkowa miałaby wtenczas prawo regulować stosunki i pojedynczych kantonów w ten sposób, że, zostawiając im administracyjną niezawisłość, wydawałaby dla pojedynczych kantonów przymusowe prawno-polityczne zobowiązania. To wszystko w tym celu, aby móc narzucić katolickim kantonom antykościelne państwowe rozporządzenia. Dlatego nad tem rozwodzę się długo, abyście, moje dzieci, z tego przykładu nauczyć się mogli, z jak daleka, z jaką konsekwencją, spisek zakłada swoje sieci.

W kantonie i mieście Fryburgu założyli od lat kilkudziesięciu Jezuici kolegjum, które niesłychanie kwitnęło, wychowywało po chrześcijańsku tysiące francuskiej młodzieży; w innych kantonach odprawowali misje, mieli pomniejsze zakłady; w „małych kantonach“ istniał rząd prawdziwie republikański, teokratyczno-patrjarchalny. Trzeba było to wszystko zniszczyć. Ponieważ zwykle każde polityczne przeciwieństwo wśród walki jednem wyraża się hasłem, autonomiści twierdzili, zgodnie z historją, że Szwajcarja jest i być powinna *ein Staatenbund*, a republikanie, że rewolucyjny *Bundesstaat*. Sejm nakazał zwinięcie kolegjum w Fryburgu i wypędzenie Jezuitów. Kiedy tak dawna szwajcarska konstytucja została pogwałcona, a prawa katolików zagrożone, kantony katolickie złączyły się w swej i Kościoła obronie w osobny związek, *Sonderbund*. Stał wówczas na czele ruchu katolickiego i kantonów stojących w jego obronie obywatel miasta Lucerny, L e u. Prosty, świątobliwy, niesłychanej energji i zapału, skupiał w sobie wszystkie katolików dążności, kierował jednolicie i przez to dawał ogromną siłę. Tego człowieka płatna, zbrodnicza ręka strzałem przez okno we własnem zgładziła mieszkaniu. Tak niegodziwa, mogę powiedzieć bez przesady ohydna rewolucyjna partja, zarzucając kłamliwie Jezuitom zasadę, że cel uświęca środki,

sama tę zasadę ustawnie praktykuje. Śmierć Leu'a opłakałem wtenczas jak własnego brata, bo wiedziałem, jakie pociągnie skutki, i nie omyliłem się. *Sonderbund* upadł na duchu, a kiedy wkrótce armja federalna pod dowództwem starego masona, ale zdatnego generała Dufour ruszyła w pole przeciwko wojskom *Sonderbundu*, te ostatnie słabo się biły, i kantony katolickie poddać się musiały przewadze rządu federalnego, przyjąć nową konstytucję, utracić swoje przywileje, wolność Kościoła i Jezuitów. Należało bić się mężnie, bronić swoich praw, bo pod tym tylko warunkiem, kiedy człowiek gotów i życie swoje ważyć, można uchować nietykalność najdroższych praw swoich. Ciężko przebolałem ten upadek mojej sprawy: ale nie moją ona było tylko. W rządzie ówczesnym francuskim było poczucie niebezpieczeństwa, jakie stąd Francji zagrażało, ale że on sam stał na fałszywym gruncie, skądżeż miał mieć siłę do wystąpienia przeciwko ruchowi, który z Francji miał kierunek i we Francji licznych zwolenników, nawet w najwyższych rządowych i parlamentarnych sferach. Oddziaływały więc silnie wypadki szwajcarskie na bałwaniącą się już opinję francuską.

ROZDZIAŁ IX.

Stosunki rodzinne. — Wyjazd synów do szkół.

Przypatrując się zdaleka biegowi wypadków, których następstwa oceniałem, czułem zbliżającą się chwilę, kiedy dzieci z domu do publicznych szkół wyprawić wypadnie. Radbym był chował chłopców w kraju, i dzieciom moim radzę, aby swych nie oddawali do szkól zagranicznych, gdzie, chociaż nie utracą narodowości, nie zadzierżgną stosunków szkolnych krajowych, tak drogich na całe życie. Ale w Krakowie, świeżo przez Austrjaków zajętym, szkoły były zdezorganizowane, a wstręt nasz do Austrjaków po świeżo dokonanej rzezi był straszny, pociągały natomiast pruskie szkoły stopniem nauki, porządkiem. Zacząłem przeto od wiosny ćwiczyć trzech starszych chłopców w niemieckim języku. W tym też czasie budowałem nowe skrzydło do szpitala Sióstr Miłosierdzia, fundowanego przed rokiem w Kurozwękach przez matkę mojej żony, hr. Anastazję z Rudnickich Sołtykową. Była to kobieta rzadkich przymiotów. Prawdziwie mędrzec, kreśląc obraz niewiasty mężnej, jej obraz odmalował. Zostawszy wdową w 41 latach, choć pełna życia i powabu, nie poszła zamąż. Miała rozum, energję, nawet charakter męski, a dobroć kobiecą: ale nie tę, co się nad wszystkiem rozczula, przez słabość daje i zezwala, ale tę, która ze świadomością obowiązku działa. Z natury oszczędna, prawie ściśliwa, o tyle zachowala tych cech charakteru, ile było potrzeba do domowego rządu, a miłosierdzie chrześcijańskie, którego obowiązek wczas poznała, tak rozszerzyło jej serce, że było wylane na każdą potrzebę bliźniego. Ale umysłowi tak praktycznemu nie mogla wystarczyć taka zwyczajna jałmużna; potrzebowała stworzyć coś stalego na chwalę Boga i uslugę bliźniego, coby miało trwałość i przyszlość. Jakoż dala 160.000 złp. (40.000 złr.) i założyła szpital, przekształcając stary przy kościele w Kurozwękach klasztor,

i tam umieszczono 24 ubogich chorych: pierwszeństwo mieli włościanie z Kurozwęk i Wójczy. Zrobiła to z taką pokorą i w takiej cichości, że szpital stał, działał, a o nim nie mówiono. Bóg też poblogosławił to dzieło: brat jej, zacny Władysław Rudnicki, cały swój majątek szpitalowi zapisał, a erekcja tak szczęśliwie była napisaną, że rząd nie mógł ani zagarnąć go pod swoją administrację, ani zwinąć. Po dziś dzień kwitnie i jest zapewne najlepszym szpitalem w całem Królestwie Polskiem. Majątek p. Sołtykowej nie był wielki, ale tak wybornie administrowany, obrót pieniężny tak trafny, że fundując szpital, kupując Balice, prześlicznie restaurując w nich pałac, nabywając kamienicę na ul. Florjańskiej, zostawiła w chwili śmierci, oprócz legatów miłosiernych, znaczne kapitały. Była dla mnie dziwnie dobrą. Z głową wzorowo uorganizowaną i wprawą wielką do interesów, czy prawnych, czy finansowych, pragnęła rady i zawsze umiała jej usłuchać. Boże! daj jej wieczny odpoczynek! Szpital odnowił pamięć drogiej mi osoby.

W maju tegoż roku 1849 urodziła się ostatnia moja córka, Aniela, dziś Urszulanka pod nazwą matki Ludmiły.[1] Na św. Jan zaniemogłem ciężko. Ledwo pokrzepiony i z febrą jeszcze, puściłem się na Śląsk pruski szukać w szkołach umieszczenia dla trzech moich chłopców. Odwiedziłem Gliwice, Raciborz, Opole, Wrocław, Nissę. Z cierpienia, które mię nie opuszczało i tem bardziej powiększało trud poszukiwań, wnosiłem, że skutek będzie dobry, bo te tylko w życiu rzeczy u mnie wzięły koniec dobry, które w trudzie były poczęte. Jakoż w Nissie znalazłem i gimnazjum katolickie, wyborne, i zacnego profesora Köhnhorna, z którym, wezwawszy Ducha św., zrobiłem umowę celem umieszczenia u niego dzieci. Miesiące letnie były poświęcone ćwiczeniu w niemieckiem i łacinie wedle niemieckich gramatyk.

W tym roku straciłem mego nieocenionego ojca. Jak już wspominałem, była to zacność i prawda chodząca. Gdyby powiedzieć można, że ktoś był zanadto rzetelnym i prawdomównym, toby się to o nim powiedziało. Ojcem był dla nas niezrównanym; pokorny do zbytku, jeżeli miał miłość własną, to tylko w stosunku do synów i ceniąc ich nad wartość; uczynny dla bliźniego i miłosierny nad możność, podnosząc działy sióstr, opiekując się interesami ich dzieci i majątkiem, wielce interesa swoje i majątek zaniedbał. Niechaj

---

[1] Umarła w 1894 r.

to jednak będzie na zawsze dla synów i wnuków i rodziny nauką. Niewątpliwie ojciec mój zbytnią polubownością w układach rodzinnych za wielkie wziął na siebie ciężary, a jeżdżąc za interesami siostrzenic i czasu i pieniędzy niemało stracił; ale jakże hojnie P. Bóg nagrodził te jego cnoty. My, jego synowie, braliśmy to żony posażne, to spadały na nas sukcesje, i żadna jego praca nie byłaby tyle przysporzyła majątku, ile błogosławieństwo boskie, nagradzające jego cnoty. Usilnie proszę moje dzieci i wnuki, aby roztropnie obchodząc się z groszem, skrzętnie pracując i bardziej na skutki pracy niż na los rachując, nie dozwolili, by chciwość lub egoizm zakradły się do ich serca, aby w interesach, zwłaszcza z rodziną, bardziej rządzili się duchem poświęcenia i miłości, niżeli ścisłym przepisem prawa. Uważałem w długiem a doświadczonem życiu, jak szczodrze, a nawet dobytkiem, Bóg nagradza, jeżeli nie natychmiast, to w pokoleniu przyszłem, ofiarność dla drugich i niezbyt surowe przestrzeganie swojego interesu; dodaję jednak, że ta wyrozumiałość o tyle zasługą, o ile nie pochodzi ze słabości i niedołęstwa.

Z końcem września przyszło dzieci wyprawiać: bolesny to był ten pierwszy z Kurozwęk wyjazd. Sam odwiozłem Marcina, Jasia i dopiero 9-letniego Pawełka do Nissy, jadąc częścią dyliżansem, częścią niewykończoną jeszcze koleją. W przejeździe przez Kraków miałem długą naradę o sprawach krajowych z Helclem i Wielopolskim; przemawiał w duchu swego listu do ks. Metternicha, ale jeszcze nie było to stanowcze obranie drogi, jak o tem przekonamy się poniżej. W Nissie znalazłem gimnazjum obsadzone dobrymi profesorami, znakomitego katechetę, żyjącego dziś jeszcze u Jezuitów ks. Schneeweissa, duch wogóle katolicki, karność rozsądną, a chłopców umieściłem u profesora (Oberlehrer) Köhnhorna, dziwnie zacnego człowieka, którego żona i siostra przykładały się również do harmonji całego układu i wychowania. Aby została pamięć ówczesnych stosunków, notuję, że płaciłem rocznie od jednego chłopca za wikt, mieszkanie i dozór, z praniem i usługą, 200 talarów, czyli marek 600. Opłata gimnazjalna wynosiła 12 talarów, lekcje muzyki, rysunków, gimnastyki, pływania były bajecznie tanie, całe wychowanie mało kosztowne a dobre. Bawiłem w Nissie przeszło miesiąc, aby chłopców do roboty wciągnąć, uważać, jak sobie z kolegami poczynać będą, a praktyk religijnych przestrzegać. O to przedewszystkiem i ja i żona moja dbaliśmy, aby wiary i obyczajów nie utracili, o to gorąco Pana Boga prosiłem. W rzeczy samej wolno, nawet należy rodzicom

pragnąć i starać się, aby dzieci pod każdym celowały względem, ale naprzód powinni sobie jako główne postawić zadanie, aby w nich wiarę tak utwierdzić, by, będąc w życiu kierowniczką, pociechą, światłem, zachowała wartość moralną, a zapewniła żywot wieczny, o co ostatecznie idzie dla istoty nieśmiertelnej. Da Bóg, że dziecko, stając się człowiekiem, będzie obdarzone i nauką i rozumem i ogładą, Bogu wówczas dziękować! Ale to są dodatki; rzecz główna: wiara i zasady. Nie przeciążając dzieci praktykami religijnemi, zaleciłem głównie te, do których były włożone, a codzień kazałem czytać rozdział z *Doctrine chrétienne* Lhomonda: książka nieoceniona. Potrzeba koniecznie, aby umysł i dusza wśród wiru życia przypominały sobie te wielkie prawdy, które często przywodzone uderzają, zaniedbane robią się dla człowieka obce i mniej zrozumiałe.

Odwiedziłem kardynała Dieppenbrocka w zamku Johannisberg. Wspaniała ta, duchowna, pełna prostoty, świątobliwości i poezji postać na całe życie została mi pamiętna. Zdaje się, że czas obecny takich potrzebuje. Czy sama powaga dogmatyzmu byłaby wystarczyła w XIII-tym wieku? Św. Franciszek koniecznem był dopełnieniem św. Dominika. Tak i dziś podniosłe, żarliwe i poetyczne natury, których napróżno szukam, możeby łatwiej pociągnęły umysły, zwłaszcza młode, do Kościoła i wiary. Prawda, wiara ujęta w dogmata i karność przez Kościół wymaga od człowieka wielkiego poświęcenia, bo musi upokorzyć popędy duszy, a okiełznać chuci ciała, zwalczyć wszystkie narowy pokrzywionej przez grzech pierworodny natury. Lecz zato daje tyle pociech, tak jasną wytycza drogę, swobodę zapewnia duszy, tyle ma wzniosłego ideału i poezji, że nagradza niełatwe, tak dla rozumu, jak dla zmysłów, walki. W tem sztuka, aby młodych nie trzymać w zbyt ciasnem kole, które nie wystarczy ani dla serca ani dla umysłu, ale wskazać im te obszerne, jasne i świetlane horyzonty, które porywają duszę i w górne niosą przestrzenie.

Odwiedziwszy Berlin, w powrocie do Krakowa wstąpiłem do Opawy, do biskupa Skórkowskiego. W Krakowie zabawiłem krótko.

Ciągnął się proces uwięzionych, winnych i niewinnych, wskutek ruchu 1846 r. W komisji śledczej prezydował sędzia Zajączkowski. Był to najgorszy egzemplarz politycznego sędziego śledczego (a takimi tylko podówczas rząd austrjacki się posługiwał), bo nienawistny i łączący ironję z okrucieństwem. Szczegóły śledztwa nie były tajne: Zajączkowski drażnił do najwyższego stopnia gburowatem obejściem krewnych i przyjaciół, którzy bywali w interesie u niego. Miasto

wrzało nienawiścią do tego człowieka. Nazajutrz po mojem do Krakowa przybyciu, o 8 wieczór, kiedy wracał przez plantacje ze śledztwa, naprzeciw ulicy św. Anny strzał z pistoletu położył go trupem. Śladu żadnego, nigdy nie wiedziano, kto? Podobno jednak sprawcą był Gierzkowski, brat drukarza tego nazwiska. Skrytobójstwo jest zawsze straszną zbrodnią, bo spełnianiem wyroku bez sądu. Tak jednak wiele podówczas cierpiano, że wypadek ten wrażenia nie zrobił. Uważano śmierć Zajączkowskiego jakby za jakiś wyrok wydany, nie formalny, ale zasłużony.

Co prędzej wyjechałem do Kurozwęk, i od tej chwili, zwolniwszy ożywioną bardzo korespondencję z braćmi, rozpocząłem pisywać dwa razy tygodniowo do moich synów, co trwało lat 13; temu to przypisuję w znacznej części szczęśliwe skutki wychowania w Nissie.

Zimę 1848 r., rozpoczętą na wsi, przerwały huczne polowania u Adama Potockiego, w czasie których, aby zacnego, a tyle później użytecznego młodego człowieka obeznać w obywatelstwie, i ja dałem polowanie w Kurozwękach z licznym obiadem, na który zaprosiłem bliższych i dalszych sąsiadów: był tam i Józef Gołuchowski, zwany, i słusznie, filozofem, wielki domu mojego przyjaciel, i Erazm Różycki, już podówczas, a i dziś jeszcze, prezes Dyrekcji Towarzystwa Kredytowego w Kielcach, i Humnicki, który z czasów początku Królestwa Kongresowego używał reputacji literata i poety, i pułkownik Krzesinowski, dobry oficer, a zdobywający w obywatelstwie arogancją stanowisko, do którego nie miał prawa, zacny a skromny Rusocki Konstanty z Zaborowskim i starym a wielkim myśliwym Wasiutyńskim, słowem cała okoliczna szlachta, którą wymieniam dla pamięci osób, przebywających podówczas w tamtych stronach. Z panem Adamem przyjechali Poletyłłowie, Larisch, Bobrowski, bankier Wolf, Stefan Potocki, Potulicki itd. Było to w końcu stycznia: w końcu lutego przyszła wiadomość o lutowej rewolucji w Paryżu. Nowy przewrót, grożący zaburzeniem w całej Europie.

ROZDZIAŁ X.

Rok 1848 w Krakowie. — Założenie „Czasu“. — Uwięzienie Adama Potockiego. — Pierwsze odwiedziny cesarza Franciszka Józefa.

Z tego, co powiedziałem wyżej, łatwo odgadnąć rewolucji przyczyny; zresztą wypadki te należą do historji, ja wzmiankuję tylko to, co bliżej odbiło się na moim kraju i mojej osobie. Jakie były skutki wypadków r. 1846 i wartość ludzi, którzy je wywołali i niemi kierowali, nie chcę sądzić, ale odsyłam każdego do książki dziś rzadkiej Trentowskiego — *Ojczyźniaka.* Jużcić Trentowski ani ultramontanin, ani arystokrata, ani feudał: ale że to był umysł wyższy, choć bałamutny, a serce uczciwe, więc wychłostał tych ludzi, a raczej tych łotrów, jak należało. I Mierosławski i Zienkowicz i cała ta czereda patrjotów odebrała tam przyzwoitą odprawę, z werwą, którą mogły tylko natchnąć żal zmarnowanych sił krajowych i wzgarda ludzi, którzy dla teorji i próżności puszczali na los szczęścia ojczyzny przyszłość. Zdawało się, że w tym potoku żółci i pogardy uczciwej zatoną ci ludzie. Bynajmniej. Podówczas łatwo było publiczne czy prywatne błędy i plamy zmyć okrzykiem: *Jeszcze Polska nie zginęła.* Do tego przyczyniało się, że niektórzy byli pod śledztwem, a w Berlinie pod sądem, więc opromienieni opinją prześladowania. Sprawa polska ma to do siebie wskutek swej prawości, że budzi współczucie. Bettina Brentano wstawiała się publicznie do króla pruskiego za Mierosławskim. Zapewne tajemne we Francji sprężyny działały elektrycznie na „braci“ w Niemczech. Szlachta niemiecka, patrząc obojętnie na rzeź szlachty polskiej, niemal ją usprawiedliwiając, jak książęta Metternich i Schwarzenberg, kopała grób sobie i społecznemu porządkowi.

Warto się zastanowić, jak ciąg pewnych wypadków i postępowania konsekwentnie wywołuje następstwa. Rozbiory Polski wstrzą-

sają, nawet niszczą zasadę prawno-moralną w publicznem prawie europejskiem: aby Polskę zatrzymać, potencje rozbiorowe muszą prawnego posiadacza i główną siłę narodu, szlachtę, zniszczyć. Absorbują ją, atomizują, za pośrednictwem hołdującej nowym ideom biurokracji, która zrekrutowana w niższych, nienawistnych warstwach, nie mogąc na swojej, znęca się na polskiej szlachcie; kiedy wreszcie zadała jej ostatni cios w r. 1846 i wykopała pod nią przepaść, w tę przepaść musiała się zapaść i szlachta niemiecka, i cały organizm dawnej społeczności. Zbrodnie r. 1846, nieukarane przez rząd ówczesny, osłabiły uszanowanie mas dla władzy, czy niedołężnej, czy uczestniczącej w występku. Szlachta austrjacka milczeniem i potakiwaniem straciwszy powagę, bo do solidarności z Polską się nie poczuła, nie mogła utrzymać walącego się gmachu, który też runął 4 marca w Wiedniu. Rewolucja wiedeńska wywołała ruchy w Krakowie i Lwowie. Władze miejscowe, pozbawione punktu oparcia w Wiedniu, nie mogły się oprzeć parciu opinji i ludności miejscowej. Uliczne wzburzenie uwolniło więźniów politycznych w Krakowie i Lwowie, za zezwoleniem Deyma, gubernatora w Krakowie, i Stadiona we Lwowie. Uwolnienie więźniów w Krakowie miało być chwilą rozczulającą. Nie byłem obecny. Wiadomość o wypadkach odebrałem w Kurozwękach. Natychmiast ruszyłem do Krakowa. Zastałem wielkie wzburzenie, bez żadnego jeszcze wyraźnego kierunku. Jakaś chęć do czynu, a że uwolnieni, powracający z więzień ze Spielbergu i z Kufsteinu mieli tradycję r. 1846, ożyła więc myśl darowania pańszczyzny i gruntu włościanom. Opowiadano, że w Tarnowskiem niektórzy panowie darowali grunta. Było w tym celu zebranie u ks. Henryka Lubomirskiego; przychodzę: gęste za darowizną odzywają się głosy. W treściwej i bardzo szczęśliwej przemowie wyłożyłem, że darowizna będzie zmarnowaniem ogromnego kapitału, osłabieniem sił produkcyjnych kraju, w chwili, gdy najbardziej ich potrzebuje, zachwianiem własności. Dziwnie te słowa skutkowały. Na tem zebraniu, wyłącznie obywatelskiem, zmienił się prąd opinji, i myśl uwłaszczenia za spłatą przez uwłaszczonych kiełkować zaczęła. Rozpatrzywszy się, czując potrzebę i obowiązek udania się na czas dłuższy do Krakowa, a mając do załatwienia ważne sprawy w domu, powróciłem do Kurozwęk, a już w połowie Wielkiego Tygodnia byłem w Krakowie. Rzeczy tymczasem szły dalej.

W Berlinie rewolucja jakby dla Polaków i przez Polaków zrobiona. Mierosławski tryumfuje: zacny król Wilhelm IV, a w nim

majestat, przed tym chłystkiem upokorzony. U Niemców jakaś dziwna, chwilowa dla Polaków sympatja: Wielkopolska (Poznańskie) zbroi się. Kiedy się zdawało, że Austrja się rozpada, a Prusy jakby polskiej sprzyjały sprawie, cóż dziwnego, że emigracja we Francji, zawsze do nadziei pochopna, uczuciem własnem a Francuzów namową i pomocą pieniężną popchnięta, ruszyła tłumnie do Polski. Ks. Adam Czartoryski stanął w Berlinie, ale wnet zobaczył, że nie było co robić. Kraków zastałem pełen emigrantów, a kolej codziennie nowe wylewała transporta. Oczywiście ruszyła się naprzód demokratyczna warstwa, czy w nadziei formacji wojskowej, czy też, by w razie zamieszki mieć zastęp uliczny prostych, dawnych żołnierzy. Wynarodowione, wykolejone, z ludem naszym (osobiście przekonałem się) porozumieć się to nie mogło. Z przywódców Jan Ledóchowski, generał Schneide-Zienkowicz, itd. Z tym żywiołem Kraków był już nie do poznania. Atmosfera była gorąca, spiskowcy przybyli zorganizowani, dawnych zwolenników szeregowali, nowych wciągali. Naprzeciwko tego ruchu żaden, choć byli ludzie, nie stanął zastęp. Helcel, w tych rzeczach doświadczony, położył się jako chory, a mnie ostrzegał, aby się nie wystawiać, bo sprzątną, a nikt nawet bronić nie będzie. W sam dzień Wielkiejnocy miasto dało w redutowej sali święcone dla emigrantów; nie obeszło się bez scen istotnie czułych.

Przypływ emigrantów trwożył wiedeńskie władze; zakazały ich wpuszczać do Galicji. Zatrzymano ich na granicy. W Poniedziałek Wielkanocny straszne, sztuczne w mieście wzburzenie. Coś się gotuje Lud wpada do mieszkania Kriega, wicegubernatora, aby cofnął rozkaz niewpuszczania emigrantów. Gwałt, groźby; rozkaz cofnięty, Adam Potocki, nie pomnę z kim drugim, wyprowadzają Kriega z niemałem niebezpieczeństwem. Zaburzenie przenosi się na Rynek; tam wojsko wystąpiło, pod dowództwem generała Moltkego, naprzeciwko Krzysztoforów, gdzie obradował komitet czy jakiś Rząd narodowy, a skąd Ledóchowski przemawiał. Lud niby chciał, aby wojsko broń mu oddało. Czego chciano? niewiadomo: w istocie chciano starcia. Godzina była późna, ludzie się rozeszli; noc spokojna. Przerażony tym stanem rzeczy, szukam rano porozumienia z poważniejszymi żywiołami, Adamem Potockim, Kazimierzem Wodzickim. Nie było ich wielu. W poczuciu, że gwardja narodowa, ledwo co uorganizowana, nie spełniła swego obowiązku, komendant jej, zacny Piotr Moszyński, składa komendę, naczelnikiem naprędce wybrany A. Potocki. Postać miasta coraz groźniejsza: licznie przybyła emigracja ze swoimi

naczelnikami podburza ludność miejscową, która pamięta świeżo odebrane od rządu i wojska austrjackiego krzywdy, a położenia ocenić niezdolna. Nieznani a groźnej postawy ludzie przebiegają ulice, straszą pospólstwo, zagrzewając je do stawiania barykad. Gwardja narodowa, zebrana przed Baranami, nie wie, czy ma ruch wstrzymywać czy popierać. Po naradzie z Potockim biorę kilkunastu pewnych ludzi (był tam Oborski Maks, Kirchmayer, Benoe i i.) z poleceniem burzenia barykad; jakoż rozbieramy jedną na rogu Florjańskiej pod hotelem Drezdeńskim, drugą przed domem p. Sołtykowej. Tu już silny opór: Westfalewicz, złotnik, wypada w największem uniesieniu, broniąc barykady, jakiś emigrant prosto w łeb mierzy do mnie z pistoletu. Pamiętacie to może, moje dzieci, bo patrzyliście z okna od babki; żona zaś moja, a wasza matka, wypadła wśród zgiełku na ulicę, aby mię ratować. Rozebrawszy barykadę, wracamy na stanowisko gwardji przed Barany, a barykady na nowo powstają, bo rewolucyjna część emigracji chciała koniecznie starcia i krwi rozlewu, głupio wnioskując, że ruchami wywoła się powstanie, albo obalenie rządu jak w Paryżu. Wojsko występuje, daje ognia na barykady, na których kilkunastu ginie. Kiedy, stojąc pod Baranami, zagrzewam, aby czynnie wystąpić, uprzedzając uspokajającem obywatelskiem działaniem to, co wojsko bagnetami zrobi, kilku emigrantów z Zienkowiczem na czele otaczają mnie i chcą w Wiślną uprowadzić ulicę, mówiąc wyraźnie: Dać mu w łeb! Kiedy się szamoczę z nimi, a nikt mnie nie broni, dają Austrjacy pół-bataljonem ognia. Emigranci w nogi, gwardja się rozpierzchła, a resztki rozpędził szwadron dragonów, stojący pod komendą porucznika (dziś feldmarszałka) Neuperga, co było tem łatwiejsze, że z Zamku zaczęto miasto bombardować. Kule i race, choć nie gęsto padały na domy, oberwały dach na kościele Panny Marji, zabiły parę osób. Ulice opustoszały. W tej chwili, może około godz. 6-tej, z Jabłonowskim Stanisławem i Adamem Potockim postanowiliśmy iść na Zamek. Jakoż poszliśmy plantacjami od Wiślnej ulicy. Pod Zamkiem oświadcza oficer, że komenda przyjmie tylko dwóch parlamentarzy. Poszli Potocki i Jabłonowski, ja powróciłem do miasta uspokoić kobiety pod Baranami, i natychmiast w mieszkaniu żonę i dzieci zapewnić, że w tym dniu, istotnie dla mnie bardzo niebezpiecznym, wyszedłem za Boską pomocą cało. Nic mi się nie powiodło w tym dniu, ale jak byłem zeń kontent, spełniwszy mój obowiązek, tak i dziś, po latach 31, nie bez pociechy pamięcią doń powracam.

Wiadomo, że Adam Potocki, pod warunkiem, iż emigranci Kraków opuszczą, otrzymał wstrzymanie kroków wojska przeciw miastu. Pierwsze to było tego zacnego człowieka na polu publicznem wystąpienie. Kiedy on pozostawał jako zakładnik na Zamku, pod Baranami matka i żona urządziły ambulans, w którym dwudziestu kilku rannych i umierających znalazło najstaranniejszy opatrunek. Niełatwo zapomnieć, jak matka w całym majestacie wieku i powagi, a pani Adamowa w uroku młodości i piękna chodziły pomiędzy rannymi i umierającymi, przynosząc pociechę, ulgę, a zapewniając niektórym pomoc dla opuszczonych rodzin. Zaczynał dom ten pełnić na wielki rozmiar obowiązki przywiązane do świetnych rodów i stanowisk, a przez lat 30 nie ustał w tem pięknem powołaniu.

Emigracja musiała opuścić Kraków, a padło to na najliczniejszych i najmniej winnych. Hersztowie do czasu zostali. Bombardowanie zastraszyło miasto, małą mu jednak wyrządziło szkodę. Jak z obawą skutków patrzyło się na przybywający pewien odcień emigracji, tak z niezmiernym bólem widziało się rozpacz tych, co powróciwszy na ojczystą ziemię, znowu opuszczać ją musieli. Nie zapomnę rodziny, złożonej z męża, żony i dwojga dzieci, która w kościele św. Jana żegnała kraj w modlitwie, może na zawsze.

Kwestja uwłaszczenia, u nas podniesiona, a tak gorąca, wymagała załatwienia. W Galicji byli już tak nierozsądni lub trwożliwi, co darowali pańszczyznę. W Krakowie uznaliśmy potrzebę łącznego, rozsądniejszego działania. Darowski, podówczas prezes Komitetu Gospodarskiego, zwołał właścicieli dóbr: zebrali się niemal wszyscy. Obrano mię przewodniczącym. Po dyskusji dwudniowej, przeprowadzonej rozsądnie, postanowiono uwłaszczenie włościan, pod warunkiem, że wartość robocizny skapitalizowana przejdzie w $^1/_3$ części (dla uszanowania własności) na właściciela, w $^1/_3$ na włościanina jako darowizna, a w $^1/_3$ na fundusz gminny. Podobno był to najtrafniejszy sposób doraźnego załatwienia tej drażliwej sprawy. Prawo własności uszanowane, włościanie w części ofiarą dziedziców obdarowani, przyszłe gminy opatrzone znacznym funduszem, a zatem byt ich zapewniony. Do zredagowania w formę ustawy wybrani: Piotr Michałowski, Michał Badeni, Adam Potocki, Leon Chwalibogowski, pod mojem przewodnictwem.[1] Kiedy po trzech dniach uporczywej pracy przychodzimy z gotową robotą na zwołane zebranie obywateli, czy-

---

[1] Aneks II.

tamy na rogach ulic patent, dający darmo grunta na własność z zachowaniem prawa do służebności. Zrozumiałem odrazu doniosłość i intencję tego kroku, wyłącznie dla naszego koronnego kraju przeznaczonego. Wściekła, rozpadająca się biurokracja jak Part uciekający puściła tę zatrutą strzałę w sam środek naszego społecznego ciała. Lata ubiegły, zanim stosunki się ułożyły, nie bez strasznego zubożenia kraju, a jeżeli nie rozwinęły się socjalne choroby, to tylko dzięki dobremu usposobieniu naszego ludu. Operat nasz był porządnie sporządzony, projekt do prawa ujęty w artykuły zredagował Chwalibogowski, motywa mojej redakcji. Operat ten, ciekawy jako przykład kultury i usposobienia owych czasów, znajdzie się, w pierwszym rzucie, gdzieś w moich papierach.

Nie pisząc historji, nie mogę szczegółowo przechodzić wypadków i zmian zachodzących w Berlinie i Wiedniu, które na nas oddziaływały; dla pamięci jednak waszej, moje dzieci, powiem, że jak tylko zachwiana władza opamiętała się w Berlinie, wnet pierwsze swoje wywarła działanie na Poznańskie, którego ludność srodze musiała zapłacić za iluzję kilkotygodniowej narodowej organizacji. Już wówczas okazała się bezwzględność i zaciętość pruskiego regimentu krwawem pod Miłosławiem starciem, nieludzkiem postępowaniem z ludnością, piętnowaniem na uszach. Opisał to prawdziwie i ciekawie Jan Koźmian. W Wiedniu po ucieczce ks. Metternicha bezradność zupełna. Zachcenia i próby reakcji bezsilne i próżne, zdolne do wydania morderczego dla własności i mściwego patentu, jak ów z 5 kwietnia, nieumiejętne w obronie dynastji i społeczeństwa, a kiedy ruchy węgierskie komplikowały położenie, szukano drogi wyjścia ustępstwami w kierunku prowincjonalnych autonomij. Stadion, namiestnik Galicji, zasłabł; dano nam z Wiednia naczelnika Zaleskiego. Zaleski, długiej praktyki urzędnik, literat, wielkiej zacności i zdolności człowiek, gorący Polak, z tych wszystkich względów zdawał się być najwłaściwszym na namiestnika. W maju przybył do Krakowa, gdzie go witałem na czele wybranego obywatelstwa. Wprawdzie człowiek ten, jak się okazało, nie umiał rządzić wśród tak trudnych okoliczności, ale miał zmysł organizacyjny. Odrazu urządził władzę cywilną pod formą Rady Administracyjnej; miastu dał ordynację gminną, która wnet weszła w życie. Na czele Rady Administracyjnej postawił Piotra Michałowskiego: lepszego wyboru zrobić nie było podobna. Rada miejska powstała z wyborów. Miasto powołało mię do niej. Obok tych czynności jawnych urzędowych, działał komitet tajny, kierujący t. zw.

opinją, w rzeczywistości rewolucyjny: czuwal niby nad sprawą publiczną. Głównymi dzialaczami byli: sędzia Krzyżanowski, adwokat Golemberski, Karol Lange, Nurkowski i i. Kiedy generał Dembiński, który przybył do Wroclawia, zwołal poważniejszych obywateli z Księstwa i Galicji, zjechało kilkudziesiąt: byl tam Libelt, Mielżyńscy, Plater, Darowski. Zjazd nie mial praktycznego rezultatu, bo rewolucyjna partja zawsze zorganizowana i gotowa, a narodowo-organiczna dopiero w chwili potrzeby zaczyna się szeregować. Bawił podówczas w Wrocławiu Aleksander Wielopolski. Z czlowiekiem tego rozumu i charakteru znosili się ludzie najbardziej wpływowi różnych obozów, pragnący poznać jego zapatrywania. Upłynęło już dwa lata od listu do ks. Metternicha. Czy bral na serjo ostatnie swoje slowa w tem pamiętnem piśmie? Mojem zdaniem, jeszcze nie. Rachowal na rozbicie Austrji przez żywiol slowiański zachodnio-poludniowy, i dlatego pojechał do Pragi. Zjazd praski dlatego ciekawy, że na nim właściwie powstala myśl federacyjna. Znowu partja ruchu starciem z wojskiem udaremniła piękne usilowania, sformulowane przez Helcla; a śmierć księżnej Windisch-Grätz[1] byla punktem zwrotnym, od którego reakcja zaczęla się organizować w sferach wojskowych, choć rewolucja dlugo jeszcze szalala w sferach politycznych, a naturę swoją objawiala w mordach, jak Auerswalda i Lichnowskiego.

Panteizm, zastosowany do polityki, i będące na jego uslugi towarzystwo tajne, które ciągle rozczyn w moralny organizm ludzkości wprowadzają, rozumiały, jak się zdaje, że w r. 1848 dzielo ich dojrzalo. Przewroty, jak kaskada w większych i mniejszych państwach po sobie następujące, doprowadzały rzekomo ludzkość do atomizmu. Słyszalem sam spiskowych, chwalących się, że dzielo humanitarne, nad którem pracowali, spelnione, że tajemnica już niepotrzebna. Tak jeszcze nie bylo, gdyż szczątki jużto urzędowego mechanizmu, jak w Niemczech, jużto organizmu spolecznego, jak we Francji, istniały. Rosja stala groźnie i spokojnie w odwodzie, bo nie wykluly się jeszcze i nie rozwinęly, w zarodzie będące, nihilistyczne poczwarki, a cesarz Mikolaj żelazną ręką trzymal cugle. Dlatego, kiedy niecierpliwy a zdziczaly komunizm paryski zerwal się w dniach czerwcowych, sama Francja, oparta na wojsku i duchu prowincji, we własnej go krwi utopiła, a republikanizm francuski, z Cavaignac'iem u steru wladzy, przywracal rządy doczesne papieża w Rzymie. My, w kraju, pytaliśmy się, dokąd idziemy, jaki nasz obowiązek? Dokąd się

[1] Zabitej w Pradze podczas rozruchów.

idzie, odgadnąć trudno, — jaki obowiązek, to poniekąd łatwiej sądzić, bo zawsze należy obierać drogę sumienia, odpowiednią do zasad ogólnie moralnych, Boskich. Dla nas bezpośrednio te czasy nic nie przyniosły; pośrednio przygotowały wiele, przygotowały obecną chwilę. Nie byliśmy dojrzeli do bytu; walki i trudy pod obcym rządem były nam potrzebne, są nam potrzebne, aby się usposobić, jeżeli jeszcze nie do niezawisłości, to przynajmniej do tego stanu, w którym dziś jesteśmy.

Zadawałem sobie, a podobno nie po raz ostatni w życiu, pytanie: Jakże? czy moje zasady są prawdziwe, kiedy ludzkość im naprzekór idzie, działa, jak wicher przewraca wszystko, co jej na poprzek stoi, i na innej właśnie drodze bogaci się, rozrasta. Ta jest jednak niepożyta siła i pociecha prawdy, że wytłumaczy opaczne zjawiska, nie dopuści zaślepienia wobec chwilowych powodzeń, wkońcu, byle o niej nie wątpić, wszystko usprawiedliwi. a nawet dozwoli jakby proroczo, a raczej jak rozwiązanie matematycznego zadania, przepowiedzieć przyszłość. To też w świetle tej prawdy widziałem całą nicość usiłowań, przewidując kolej, którą sprawy iść miały: reakcję konieczną i wykwit instytucyj, wpośród których układały się do równowagi siły społeczne. W tych czasach, kiedy ludziom dobrej wiary nie z naszego obozu brakowało balastu i steru, kiedy własność już była zakwestjonowana, a upiór czerwony pokazywał rogi, szukano w naszych zasadach, w pismach de Maistre'a, aksjomatów, przeciwko panującym błędom.

Nie powołany do poselstwa w tym roku, pilnowałem nauki moich dzieci w Nissie. Tymczasem w Wiedniu położenie stawało się groźnem, Węgry gotowały rewolucję, lud miejski, przez miejscową i obcą propagandę podburzany, nie znajdywał kierunku w Izbach, które rozpadły się na dwa stronnictwa. Cesarz uchodzi, Lambert zamordowany, Windisch-Grätz na czele wojska szturmem bierze Wiedeń. Większość polskiej deputacji hołduje liberalizmowi. Wówczas, na zaszczyt imienia polskiego (którego nigdy nie uznają), najzdolniejsi, najszlachetniejsi, najpierwsi Polacy stają po stronie zdrowych zasad, choć podówczas nazywało się to trzymać z dworem, działać antynarodowo. Jerzy Lubomirski w rozdarciu wewnętrznem i szlachetnym zapale traci na czas zdrowie tego umysłu, co tak długo miał jeszcze służyć krajowi; Zdzisław Zamoyski z jawnem podaniem motywów składa mandat, Adam Potocki, kiedy rozwścieklona tłuszcza przynosi do Izby w procesji trupa studenta, jakoby pokłutego przez wojsko, nieu-

straszenie do niej występuje i głośno jej mówi, że wczoraj widział gorzej jeszcze poszarpane przez lud zwłoki generała Lamberta. To, co się działo w Wiedniu, oddziaływało na opinję w kraju, w Krakowie kierowaną czy bałamuconą przez *Jutrzenkę*, redagowaną przez Ulrycha i Szukiewicza, we Lwowie roznamiętnioną przez wpływy Ziemiałkowskiego, a za pośrednictwem Dobrzańskiego itp. Punktu oparcia nie było nigdzie. Leon Rzewuski, umysł śmiały i głęboki, ale paradoksalny i absolutny, rzucił nasienie socjalizmu, który po swojemu rozumiał, ale był brany poprostu i naprawdę małą liczbę (bo nań czas nie był nadszedł) fanatyzował, a większość oburzał. Meciszewski, talent wielki, głowa silna, pełen nie tyle odwagi, ile zaczepnego ducha, widział i rozumiał doskonale fałsz rewolucyjnego pędu, ale nie mając zasad politycznych wykształconych i na moralnym opartych gruncie, umiał tylko sarkastycznie, choć trafnie, negować, a tak drażnił, zamiast kojarzyć. Konieczna była potrzeba dziennika,—czułem to.

We wrześniu czy październiku przyjeżdża do Krakowa Lucjan Siemieński, wyleczony nauką i doświadczeniem życia z błędów, które na emigracji szerzył. Potrzebę dziennika odczuwali wszyscy; nie było redaktora. Skoro zjawił się Siemieński, powstaje myśl korzystania z niego. Spotykam go u Franciszka Wężyka, kasztelana, gdzie w celu narady kilku się zebrało. Nietrudno mi było z nim się porozumieć. Zgoda nastąpiła. Postaraliśmy się o składkę. Niewiele zebrało się: 17.000 zł., tj. 4.250 fl. Adam Potocki, podówczas w Wiedniu, do założycieli *Czasu* nie należał. Z takim mizernym zasobem początek. Do komitetu redakcyjnego wybrani: Wodzicki Kazimierz, Kirchmayer Wincenty i ja. Na pomocnika w redakcji i do prowadzenia materjalnej części powołany Litwin, emigrant, niewzruszonych religijnych i politycznych zasad, a wielkiej cnoty, zacności i szlachetności człowiek, Kołosowski. Z tym zasobem sił umysłowych i materjalnych rozpoczął *Czas* swój zawód 2 listopada 1848 r. Kilka wstępnych słów ja w pierwszym napisałem numerze. Dotąd, choć był chwiejny w r. 1863, nie sprzeniewierzył się tym słowom.

Zbierała się redakcja u mnie, niemal co wieczór, a było to potrzebne, aby zasady do niejakiej doprowadzić jedności, bo choć nie było zamiarem dziennika wystąpić zaraz z całym aparatem doktryny, ale zwolna pozyskiwać i urabiać czytelników, należało jednak redakcję doprowadzić do jedności i harmonji.

Tymczasem wiedeńskie Izby i rewolucja wzięły koniec przez szturm i zdobycie stolicy, w którem to zdobyciu ważną odegrały rolę

pułki słowiańskie, zwłaszcza z Pogranicza, pod wodzą Jelaczica, co dlatego tutaj podnoszę, że nie będzie bez wpływu na późniejsze ruchy słowiańskie, i nasze, na tych ruchach oparte, nadzieje. W stolicy, jak zwykle w takich chwilach, teroryzm. Ofiarą tego teroryzmu padli tacy, co niepowołani, obcy, wdali się w roboty rewolucyjnej partji, padł także najniewinniej Edward Jełowicki, brat dwóch moich przyjaciół, Aleksandra i Eustachego: padł, bo było potrzeba Polaka, niby o dążność do przewrotu przekonanego. Był on tam w Wiedniu zupełnie niepotrzebny, poprowadziła go ta wrodzona nam chęć czynu, gdzie tylko zdaje się, że dla narodowej myśli jest pole. Zawsze gotów do ratunku w potrzebie, Adam Potocki wywoził go jako służącego, ale nieszczęśliwe przywiązanie do wąsów, których ogolić nie chciał, zdradziło jego osobę. Była to piękna ukraińska natura, dużo od braci niższa umysłowo, w odwadze i poświęceniu równa.

Izby rozwiązane, nowy monarcha, nowe wybory.

Jak już podobno powiedziałem, na W. Księstwo Krakowskie, dawnej Rzpltej rejon, była zorganizowana Rada Administracyjna. Namiestnik Zaleski z wielką trafnością postawił Piotra Michałowskiego na czele. Rodzina Michałowskich, choć pieczętuje się Jasieńczykiem, pochodzi od Różyców Kurozwęckich i, jak rzadko w Polsce, ma swoje osobne piętno. Ludzie rozsądku, często nawet rozumu, charakteru nieugiętego; oszczędni, a mało o majątek stali: pełni godności, nie gonili za wysokiemi urzędy i stanowiskiem, stąd ani do wielkich dostatków, ani do potęgi nie przyszli. Była to, jak nazywano u nas, znakokomita wojewódzka rodzina, a choć zasiadali i w senacie, zwykle Michałowski deputat na trybunał, sędzia, podkomorzy. Piotr był drugim synem Józefa (urodzony z Morsztynównej), bratem żyjącego dziś 83-letniego kochanego pana Władysława, który wysłużywszy w roku 1830 zaszczytnie wojskowo, przekładał życie prywatne ojca wybornie wychowanej rodziny nad zawód publiczny, i po dziś dzień zachował *mentem sanam in corpore sano*. Piotr od lat najmłodszych odznaczał się szczególną do nauk pracą i zdolnością, ale odznaczał się także oryginalnością i ostrością dowcipu, która objawiała się nietylko słowem, ale i ołówkiem. Obok zdolności wszelkiego rodzaju, górowała zdolność do rysunku, który odrazu zdradzał genjalność. Wyćwiczony w Krakowie pod profesorem języków klasycznych Münnichem, jedzie do Gettyngi, skąd powraca znakomitym filologiem. Ani grecki ani łaciński język, ani hiszpański, ani angielski, nie przeszkodziły mu głęboko uprawiać muzykę, a nie przeszkodziły także rysunkowi i ma-

larstwu: pełne teki z owego czasu świadczą, jak ta wyjątkowa natura na wszystko starczyła. Wiadomo, że powróciwszy do kraju, wszedł do Komisji Skarbu pod ks. Lubeckim, jak został dyrektorem górnictwa, jakie tam położył zasługi, które w r. 1831 musiał odcierpieć, szkalowany przez podwładnych. Wyrzucony z urzędowego życia, zyskuje wolność oddania się sztuce: bawi 8 lat w Paryżu, i wtedy to powstały te niezliczone, genjalne, nieszczęściem rzadko płótna, częściej ze szkicami kartony, które podziwiano, rozrywano, a które dlatego mniej znane, że *pietas* czy zazdrość familijna trzyma je w zamknięciu. Kiedyś historyk sztuki polskiej osobny Michałowskiemu poświęci rozdział: pocobym się silił charakteryzować, że główną jego właściwością było chwytać naturę w ruchu, w całej swej oryginalności, i że żadna humorystyczna strona życia nie uszła jego oka i ołówka. Mnie tu obchodzi człowiek publiczny.

Z jasnością poglądu, jaką go Opatrzność obdarzyła, odrazu położenie osądził, właściwe środki przedsięwziął, powagą charakteru i rozumu wyższym władzom zaimponował, a tak w tych trudnych czasach stał się prawdziwym dobrodziejem tej małej części kraju. Dlatego tak się rozpisuję o Michałowskim, że to była oryginalna, choć zgoła nie sympatyczna postać. Obok złotego serca przekonań religijnych silnych, dostępny tylko w urzędowych czynnościach, czasem odtrącający nie z pychy, ale dziwactwa, zostawił po sobie wspomnienie jak mało kto.

Rządy jego jako prezesa, odznaczające się trafnością, rozsądkiem, prawdziwem o dobro publiczne staraniem, choć tylko czteroletnie, piękną po sobie zostawiły pamięć, a minister Bach, poznawszy osobiście Michałowskiego, rzekł: *Er ist kein Beamter, er ist nur ein Staatsmann; leider riecht er nach dem polnischen Edelmann.* Dlatego to zapewne, że czuć go było szlachcicem, został usunięty, a musiało to nastąpić ze zmianą całego systematu. Obok reakcyjnych rządów, kiedy Lwów bombardowano, Zaleski jako namiestnik nie był możebny: zacny ten, podniosły, rozumny człowiek nie miał też charakteru na takie czasy. Miał go Agenor Gołuchowski, doradca Stadiona niegdyś, dziś Zaleskiego podwładny, ale czujący słabe zwierzchnika strony, przewidujący jego upadek, a swoją siłę i przyszłość. W porozumieniu z nowem ministerjum, które swego odgadło człowieka, zajmuje miejsce Zaleskiego w rządach Galicji. Zaleski wkrótce po przejściu w stan spoczynku umiera.

Gołuchowski, który wstępnym bojem zdobył władzę, umiał jej używać. Wskutek zaufania, jakie miał u rządu, otrzymał zniesienie wojskowych rządów, stanu oblężenia; zuchwalstwem, a czasem i grubjaństwem, zdobył poszanowanie w obywatelstwie, które namiestnika rodaka radeby było za pan brat traktować. Rządził może nieprzyjemnie, ale jak na owe czasy roztropnie. Wtenczas to, kiedy Adam Potocki do Spółki *Czasu* przystąpił i nie żałował funduszów, aby go popierać, sprowadziłem Maurycego Manna z Poznańskiego na pomocnika w redakcji *Czasu*. Wymawiał się niedokładną znajomością języka, stylu i polityki. Skrupuły te usunąłem, wiedząc, co wart. Czem zaś stał się zczasem dla kraju, wiadomo.

Nie łatwe, dzieci kochane, miałem podówczas życie. Dozorować, to osobiście, to listami, wasze wychowanie w Nissie, pilnować gospodarstwa i domu w Kurozwękach, na sprawy publiczne i dziennik w Krakowie mieć baczność. Podówczas brat mój Wincenty przyjął duchowne święcenia, a w jesieni pod moją w Krakowie obecność zaaresztowano Adama Potockiego. Trudno wypowiedzieć, jak boleśnie dotknęło mię to, można powiedzieć, narodowe upokorzenie. Z początku pozwalano go odwiedzać: ani wtenczas ani później nie opuściła go szlachetność i odwaga. Naraz wiadomość, że młody cesarz chce odwiedzić Galicję. Policja pyta, kto jest odpowiedzialnym redaktorem *Czasu*. Każdy cofnął się, ja oświadczyłem, że odpowiadam.

Nie upłynęły dwa lata od strasznej i krwawej katastrofy, która zakończyła kampanję węgierską. Niewiadomo, co nam powie, jak przemówi do krwią zbryzganego ludu ten ostatni potomek Habsburgów, którego, wedle słów Wielopolskiego, kąpielą we krwi ludzkiej chciano odrodzić. A tu nawiasowo, choć o dwa lata zapóźno, przytoczę charakterystyczne wspomnienie. Już podniosłem, że Wielopolski chwiał się w swoich wielkorosyjskich nadziejach, w *Liście* wyrażonych. Mimo tego, co mówi Lisicki, na zjeździe praskim szukał nawspół z Helclem sprzymierzeńców. Kiedy wrzała najmocniej walka węgierska i Dembiński był wodzem — nagłe dokonuje się w nim przewrót, chce iść na Węgry. Z największem mojem zdziwieniem żąda, abym mu wyrobił w policji paszport. Czy bohaterska Węgrów walka, czy wzburzenie serca tak dziwną myśl natchnęło? Nie wiem. Paszport mi obiecano, od zamiaru odstąpił.

Powracam do odwiedzin cesarskich. Z Radą miasta przyjmuję go u Florjańskiej bramy; przyjęcie krzykliwe, bo chłopów było wielu,

ale zimne. Tegoż dnia zebranie obywateli w Towarzystwie Gospodarskiem dla ułożenia adresu. Po dyskusji redakcja moja przyjęta, przetłumaczona, aby podać w dwóch językach. Z Edwardem Stadnickim idziemy do Gołuchowskiego. Więzienie dowolne Adama Potockiego wpłynęło zarówno na usposobienie miasta, jak na ton adresu. Gołuchowski zmiarkował; dyskusja. My mówimy: „Krzywda zrobiona pierwszemu z obywateli, odczuta przez wszystkich". On: „Kiedy monarcha przybywa odbierać hołdy kraju, należy pomijać wypadki indywidualne". My: „Ale tu cała szlachta w osobie jednego ukrzywdzona". On: „Co szlachta! Dziś szlachty niema! Ale adres Panów oddam". Czy oddał, nie wiem, ale ja oświadczyłem, że skoro się dowiaduję, że niema szlachty, pójdę do cesarza z Radą miejską. Tak zrobiłem. Na obiad zaproszony nie zostałem i odtąd nigdy z Gołuchowskim do dobrych nie wróciłem stosunków.

Bolesne przebyliśmy chwile w czasie pierwszego pobytu cesarza w Krakowie. Adam Potocki na Zamku bardziej nas zajmował, niż Franciszek Józef w Spiskim pałacu. Nie zdobył on sobie jeszcze praw do wdzięczności Polaków, a musieliśmy patrzeć, jak pani Arturowa Potocka zarówno z gminem musiała czekać na audjencję. Przyjęto ją zimno i obiecano jej tylko sprawiedliwość, o którą prosiła.

Z różnorodnych tego roku wzruszeń zapadłem na zdrowiu — dojeżdżałem z Nissy do Wiednia, skąd groźne o procesie pana Adama przychodziły głosy: nienawidził go wszechmocny podówczas minister Schwarzenberg, natura mściwa, bezwzględna. Nie mogąc pogwałcić mojego uczucia, *currenti calamo* napisałem: *Lettre à l'Empereur d'Autriche sur l'arrestation du comte Potocki.*[1] Powiadają, że *indignatio facit versum*. Nie był to wiersz, ale cięta proza, która mi się powiodła. Wydrukowany w Berlinie bardzo tajemnie, rozesłany został dyplomacji i ludziom politycznym Austrji. Obawiali się przyjaciele, aby nie zaszkodził: zwrócił uwagę na tę sprawę, a gdy równocześnie ks. Schwarzenberg umarł, sprawa przybierała lepszą postać.

Już piąty rok dzieci moje uczyły się w Nissie. Jaś miał ochotę do marynarki, jechałem więc do Triestu, gdzie podówczas była szkoła, aby ją zwiedzić. Nie znalazłem dobrego zakładu, ale blisko Wenecji dojechałem i po raz pierwszy w życiu poznałem to cudowne miejsce, używając w pełni tego miasta, „co go stawiali Bogowie" (Sannazar). Powracałem ze strachem, bo chociaż zręcznie do druku był *List* po-

---

[1] Aneks III.

dany, przecież bałem się odpowiedzialności. Lato dosyć ciężkie, urozmaicone miałem listami od dzieci i pisaniem do nich, zwykle wieczorami, późno w noc. Panu Bogu dziękuję za wytrwałość, bo przyniosła owoce. Życie rodzinne utrzymane zostało, wprawa do stylu, konieczność sformułowania myśli, kierunek podniosły, te były skutki pisania częstego i bardzo obszernych listów, które starałem się zrobić zajmującemi.

Pod jesień pan Adam Potocki, skazany przez sąd na 6 lat fortecy za to, że chciał Polskę odbudować, jak była przed rozbiorami, został przez cesarza ułaskawiony. Dziwny koniec dziwnej tej sprawy, której do dziś dnia nie rozumiem. Czy to była osobista ks. Schwarzenberga zemsta? Czy biurokracja, przychodząc na nowo do władzy, chciała przykładem na wielkim panu i wpływowym człowieku dać dowód swojej potęgi? Nie wiem. Ale od tego czasu zasłużone już tego człowieka życie nabrało jakiegoś blasku, zapewne wskutek godności i podniosłego usposobienia, z którem zniósł cierpienie i prześladowanie, bo ani na chwilę nie utracił ducha, nie zgrzeszył zuchwalstwem lub udawaniem, i tak na uszanowanie prześladowców, którzy przez niższe organa złamać i upokorzyć go usiłowali, jak na wdzięczność swoich zasłużył. Piękna to była dusza! Z poczuciem praw i obowiązków, jakie na niego wkładało imię, które nosił, nie miał żadnej rodowej dumy. Wiedział, że Potocki, ale wiedział poto, aby żyć pracą i poświęceniem dla kraju, a spłacić winy, które ciążyły na jego nie ojcach i dziadach, ale na imieniu. Posądzano go o pychę najniesłuszniej. Bodaj miałby jej więcej i szukał wyższego stanowiska, na którem byłby umiał być użytecznym. Jemu wystarczało poświęcić się, powiedzieć prawdę, postawić instytucję, nie dbając, czy za to odbierze w zapłacie chwałę, czy wdzięczność. Przy jakiejś niby pańskiej impozycji niezmierna w głębi serca dobroć, przebaczanie; nic go tyle nie kosztowało, co zrobić komuś boleść. Usłużyć, pomóc, nikt nie umiał tak skutecznie i delikatnie. Miał usposobienie udzielające się i pełne zaufania, które zczasem zacna i urocza żona, Katarzyna z Branickich, potrafiła w kole rodzinnem zamknąć, bo wyłączność familijna jest cechą rodziny czy Branickich, czy tulczyńskich Potockich; nie ograniczało to jednak działania jego na publicznem polu, o którem przyjdzie mi jeszcze wspomnieć. Mam jednak takie usposobienie, że nie zapominam o bólu, który ustał. Nie tyle cieszyłem się jego uwolnieniem, ile nacierpiałem z powodu więzienia, a nacierpiałem wspólnie z nieocenionym Zdzisławem Zamoyskim, jednym ze siedmiu braci, a mającym najwięcej cnoty i uroku, którego pamięci niech te kilka słów posłużą.

ROZDZIAŁ XI.

Sprawy rodzinne. — Drugi pobyt w Paryżu. — Pożar Krakowa. — Odbudowa kościoła Dominikańskiego. — Ślub córki.

W roku 1852 oddałem syna mego Jana do szkoły inżynierów w Bruck. Każde takie nowe umieszczenie syna było połączone z pracą, bółem i obawą. Dlatego przesiedziałem czas jakiś w Bruck, aby się przypatrzeć, jak w nowe włoży się stosunki. Powracając, obchodziliśmy pięknie imieniny pani Adamowej w Krzeszowicach, a że dła wypoczynku, zdrowia, może i dopełnienia ślubu, pp. Adamowie wybierałi się na Wschód i do Ziemi Świętej, więc rozmowa, plan układany z mapami, podczas czego, zapaliwszy się, mówię: A gdybyśmy, tak jak tu jesteśmy, ja, Mann i Henryk Wodzicki, z wami jechałi? Pan Adam skoczył i zaczął mnie ściskać, p. Katarzyna prosić. Przez noc na serjo rzecz rozmyślimy, z żonami się naradzimy, i potem słowo stanowcze. Moja była w Kurozwękach, Henrykowa Wodzicka w Krakowie. Niełatwa z nią była sprawa: wzięła rzecz tragicznie: na mnie z góry, jako na autora projektu. Była to pocieszna scena, w której grała w tej zacnej pani główną rolę zazdrość. Wybaczyć: a była jeszcze piękna i osobliwie wdzięcznego układu, który po dziś dzień, mimo łat, zachowała. Moja żona natychmiast przystała na moją podróż, wiedząc, jaką dla mnie byłaby przyjemnością. Stosunki jednak były tego rodzaju, że mi puszczać się w tę drogę, jakkolwiek jedyna to dła mnie była sposobność, nie wypadało. Potrzebowałem nauczycielki dla moich córek. Pojechałem do Paryża. Z przyjaciół, oprócz Bailly'ego, zastałem pp. du Lac, d'Esgrigny, Gouraud, Thiebault. Niemała to była uciecha odwiedzić takich przyjaciół po 20 latach. D'Esgrigny ożenił się; zapoznał mię z młodą swoją żoną, która miała się stać kiedyś szanowną przyjaciółką syna mego Pawła. Niespodziewanem szczęściem Bailly dał mi córkę swoją za nauczycielkę dzieci.

W powrocie odwiedzając generała Skrzyneckiego w Brukseli, poznałem Montalemberta. Od lat dwudziestu kilku w jednych zasadach i dążnościach, słysząc nawzajem o sobie, nie spotkaliśmy się nigdy. Był już w pełni swej sławy i talentu; złamany w stanowisku politycznem przez rewolucję lutową i dopiero co ogłoszone Cesarstwo. Przykre już stan ówczesny Francji zrobił na mnie wrażenie. Pomieszanie stronnictw, dążności: szukałem czystego ruchu, nie mogłem się go dopatrzeć. Veuillot, owładnąwszy pismem *Univers*,[1] bezwzględnością swego charakteru i wyłącznością zasad, spotęgowanych do przesady, rozbił obóz katolicki. W obozie naszym, jak w każdym innym, ludzie krańcowi zdobywają stanowisko, bo bezwiedna a uczuciowa masa pójdzie, jak nurt wody, zawsze najgłębszym torem. W okolicznościach, podówczas danych pod cesarstwem, ani Falloux, ani Montalembert nie mogli działać, i zostawili mu plac wolny. Mówiłem to podówczas moim przyjaciołom. Du Lac się zżymał, — Gouraud, mądry, a niezawojowany, przyznawał, — Bailly, już złamany, głową kiwał, narzekając, że Veuillot opanował dziennik przez niego założony. Chciano się posługiwać cesarstwem, które rade było zasłonić się Kościołem, albo go użyć.

Ostrzegam was, kochane dzieci, i wszystkich naszych zasad ludzi: stronnictwo katolickie nie powinno być nigdy rządowem. Kościół stoi ponad wszystkiemi rządami, dynastjami; wszystkie, jeżeli prawe, uznaje, jeżeli dobre, uświęca, kieruje, oświeca, ale żadnego nie jest i stać się nie może narzędziem. Jest podporą władzy, ale nigdy bezpośrednią, i w tem cała polityka nasza i Kościoła, bo w tem prawda: pośrednio nieskończone, tak społeczeństwu, jak władzy, przynosi korzyści, ale nie powinien ani dworować, ani zbytniej wymagać protekcji.

Wiem ja bardzo dobrze, że na właściwych spocznie dopiero znowu społeczeństwo zasadach, kiedy władza działać będzie w harmonji z Kościołem, bo jak otrzymać plony, kiedy jeden wyrywa to, co drugi zasiał. Ale na to potrzeba powrotu do wiary, do czego daleko, a dziś, jak w pierwszych Kościoła wiekach, musimy walką, pracą, może krwią zdobywać dla siebie wolność, zwycięstwo. W tej chwili, kiedy to piszę, przywódcy Rzeczpospolitej socjalnej, opanowawszy władzę we Francji, gwałcą w prawie o wychowaniu sumienia katolików, odejmując możność przechowania wiary w przyszłem po-

---

[1] Dziennik paryski, bardzo głośny swego czasu.

koleniu. Jeżeli Pan Bóg da ten pamiętnik skończyć, to o tem obszerniej mówić będę, ale już dziś zaznaczam straszne skutki rozdziału, jaki pomiędzy katolikami we Francji nastąpił, a do tyla ich osłabił, że dziś bezkarnie można gwałcić ich prawa. Zakradł się między katolikami zwyczaj drobiazgowych praktyk, który na te czasy nie wystarcza. Dziś trzeba chrześcijaństwo przedstawiać jakiem ono jest, w całej wielkości, świetności, poezji, w związku nawet z moralnemi zmianami w ustroju społecznym. W epoce, w której kierunek rozumu ludzkiego jest krytyczny, należy podnosić te wielkie humanitarne strony Kościoła, i dlatego wielka nauka w połączeniu z wielką miłością i czynem mogą na nowo zaimponować upadającej ludzkości i podnieść jej godność. Że nie zaliczam do praktyk mniej czasowi odpowiednich używania Sakramentów św., mówić nie potrzebuję, boć tylko te znaki widome sprowadzają niewidomą łaskę, bez której ani utrzymać się w cnocie i wierze sami nie potrafimy, a tem mniej drugim użytecznymi być możemy. O tem powie się obszerniej w swoim czasie.

Zima przepędzona w Kurozwękach nie bez częstej korespondencji z redakcją *Czasu*, który był przeszedł na wyłączną własność Kirchmayera; bo gdy, jak twierdził, minister Bach chciał z jednym tylko, a nie zbiorowym mieć do czynienia właścicielem, a ja objąć nie mogłem ani chciałem, zgodziłem się, zastrzegając ciąg jednych zasad, aby nabył to tak długo piastowane dziecię.

Na wiosnę, kiedy już Marcin po świetnym egzaminie w Nissie wszedł na uniwersytet krakowski, panna Bailly przybyła do Kurozwęk. W domowem naszem życiu pamiętna chwila. Córka ta nieoszacowanego przyjaciela, a tyle wpływowego człowieka, przyniosła, obok wykształcenia naukowego, jakiego nie spotyka się u kobiet, wzór doskonałości chrześcijańskiej, jakiej drugiego nie widziałem przykładu. Łaska zwyciężyła była w tej duszy zupełnie naturę, i dlatego nie szukała w służbie P. Boga i praktykach religijnych zaspokojenia i zadowolenia siebie, ale spełnienia obowiązku stworzenia, i środków, aby tym obowiązkom podołać. Prosta i zawsze swobodna postawą praktyka cnoty tak silnie na cały dom oddziałała, że nie tylko dzieci rosły w moralnej karności i nauce i pojęciu prawdziwego przeznaczenia człowieka, ale i ja i moja żona byliśmy w potrzebie czuwania nad sobą i korzystali z takiego przykładu, który, chociaż trwał tylko 10 miesięcy, niezatarte zostawił ślady. W miesiącu marcu 1853 tyfusowa gorączka w kilku dniach pokonała silną tę, nawet fizycznie, naturę. Boleści, jakie stąd miałem, nie zapomniałem nigdy,

licząc stratę tej osoby i odpowiedzialność przed ojcem, który mi ją powierzył, do największych nieszczęść mego życia.

Były to lata ciężkie. Marcin do Bonn na uniwersytet pojechał i mocno zachorował, Jaś w akademji inżynierów się kształcił, brat Wincenty, powróciwszy z Rzymu i Lowanium, w seminarjum kieleckiem był wice-regensem i profesorem, aż tu w r. 1856 drugi brat mój, Ludwik, zachorował ciężko na wiosnę i po kilku tygodniach umarł. Nie powiem — najmilszy z braci, ale ten, z którym najwięcej żyłem, na którego najwięcej wpływałem, który moje dzieci jak swoje kochał, a dawał mi, co ja przedewszystkiem cenię, dowody nieograniczonego zaufania. Ożeniony z Aleksandrowiczówną, bardzo delikatnych uczuć kobietą, przy szczupłym majątku, miernem powodzeniu, licznej rodzinie, walczył z wielkiemi materjalnemi trudnościami, ale z taką ufnością w pomoc Bożą, a takiem miłosierdziem dla bliźniego, że choć chwilowo zasmucony, ba zatrwożony, wogóle dźwigał wesoło ciężar życia i pracy. Miłość jego dla bliźniego, poświęcenie dla drugich dochodziły aż do heroizmu, i kiedy strudzony opatrywaniem biednych chorych, albo również zasłużoną obywatelską posługą powracał, ani pomyślał, ani wiedział, zdaje się, o tem, że coś dobrego, niezwykłego zrobił. Cnotliwszego nie znałem; obficie też Bóg sprawdził na nim słowa mędrca: „Byłem młody i zestarzałem się, a nie widziałem dzieci Sprawiedliwego, szukających chleba". Trzymał go P. Bóg w ciasnych stosunkach i materjalnie w upośledzeniu, a dzieci jego wszystkie żyją w uczciwym wedle stanowiska dostatku, a co ważniejsze, wierne Bogu, poświęcone prawdzie, świadczą o cnotach rodzica. Odchorowałem tę stratę. Objąłem opiekę; rozdzieliliśmy dzieci, ale nie byłbym interesom podołał, gdyby nie pomoc i poświęcenie sąsiada i przyjaciela, żyjącego dotąd Jasieńskiego,[1] którego pamięć niech tu odbierze wdzięczności mojej świadectwo. W kilka miesięcy później umarła matka mojej żony, Anastazja z Rudnickich Sołtykowa. Świadectwo, jakie oddałem jej wyżej, wystarcza, aby ocenić osobę i wielkość straty, jaką poniosłem w tej rzadkiej teściowej. Majątek nasz podwoił się: moja żona wzięła w dziale Wójczę, majątek znakomity, ale nieco opuszczony.

Zimę przepędziliśmy na wsi, a że wdałem się w restaurację mojej kamienicy, więc i drugą przyszło w Kurozwękach przepędzić. W tym to r. 1857 rozpocząłem w Krakowie odbudowywanie spalonego i powtórnie zawalonego Dominikańskiego kościoła, który zgorzał był wraz

[1] Władysław Jasieński, dziedzic dóbr Boksyce w Sandomierskiem.

z klasztorem w pamiętnym pożarze Krakowa r. 1850, a o którym w swoim nie wspomniałem czasie, choć tak bardzo mnie dotknął. Dnia 3 lipca 1850, przy silnym zachodnim wietrze a pogodnem niebie, wybuchł z niewiadomej przyczyny pożar w Dolnych Młynach. Rozpalone gonty i leżące na składzie włoskie orzechy rozniosły ogień z niepojętą szybkością na inne dzielnice. Wnet zapalił się pałac biskupi, kościół św. Norberta, Franciszkański, św. Józefa, Dominikanie. Spłonęły ogromne gmachy ostatniego klasztoru, wspaniała budową i cenna zbiorami bibljoteka; dostał się ogień wewnątrz kościoła i zniszczył nieocenionej wartości stalle z rzeźbionemi obrazami z życia św. Jacka, ołtarze, ławki, a był tak silny, że przepalił z wapiennych ciosów olbrzymie filary i sklepienie głównej nawy. Sterczały tylko potężne szczyty z blankami, zlekka uginające się od wiatru. Poszła cała ulica Grodzka, część Rynku, zwrócił się nawet ogień na gmach Jagielloński z bibljoteką, i nadludzkie tylko usiłowania młodzieży akademickiej, kierowanej przez zacnego bibljotekarza Muczkowskiego, od zniszczenia go uratowały. Byłem podówczas w Kurozwękach. Natychmiast po odebraniu wiadomości, i jako radca miejski, i obywatel, pojechałem do Krakowa. Nie wypowiem nigdy żalu mojego po zniszczeniu pomników i pamiątek, z któremi od dzieciństwa zrosła się moja dusza. Dałem mu folgę w artykule *Czasu* pod napisem: „Nasze kościoły", który i do nadziei i do czynu pobudzał. Zaczęto też od kościołów. Dwa tygodnie nie ubiegło od ruiny, a zakładano i poświęcono już nowe ankry w kościele Dominikańskim, aby mury prezbiterjum, o ile się sklepienie nie zawaliło upadkiem szczytu zachodniego, ściągnąć. Byłem na tej i bolesnej i podniosłej ceremonji, a jak wszędzie tak i tu przodowała osobą i datkiem p. Arturowa Potocka. Szczyt wschodni, samopas stojący z wysokiemi blankami, groził co chwila upadkiem i zawaleniem sklepienia prezbiterjum. Znalazł się śmiałek, po dziś dzień żyjący Mikołaj Kralka, który postawiwszy drabinę lekką przy pierwszym blanku i zrównawszy go, oparł nań drabinę i dostał się na drugi. Tak od jednego do drugiego wszedł na najwyższy, po sznurku ściągnął sobie linę, krzyż przeszło półtora cetnara wagi wyjął, spuścił na dół, i cegły z blanków jedną po drugiej zrzucać, następnie i szczyt rozbierać zaczął; spuścił też piękny posąg św. Dominika w stylu romańskim, który po dziś dzień na nowym świeci murze.

Całe miasto wyległo, w największem milczeniu patrząc na człowieka, który z najzimniejszą krwią, 200 stóp nad ziemią, na chwiejnym

murze robotę swą odbywał. Byłem obecny. Nazajutrz daliśmy mu, miłośnicy sztuki, obiad.

Składki szły hojnie. Matka żony mojej, p. Sołtykowa, dała 2.500 fl., bo zawsze miała pieniądze i gotowość na dobry uczynek. Co dała pani Arturowa, tego nikt wiedzieć nie będzie; dała nadto zapał swój i usługę, stała się prawdziwą matką miasta.

Zapomniawszy w swojem miejscu dokładnie o pożarze mówić, tutaj dodatkowo wspominam, bo gdy zostałem w r. 1856 konserwatorem budowli pomnikowych, przyszło pod artystycznym względem czuwać nad odbudowaniem. Roboty około największej ruiny kościoła Dominikańskiego posunęły się o tyle, że filary wylatane żelaznemi obręczami pościągano, sklepienie podniesiono, dachem pokryto. Cała ta robota naraz w r. 1855 runęła. Pustka była straszniejszą niż z początku, poprzewracane filary, reszta sklepienia spadła. Zdawało się, że przyjdzie tylko uprzątnąć rumowisko a służbę Bożą ograniczyć na prezbiterjum, zamknąwszy je wysokim murem. Ja miałem do kościoła Dominikańskiego wielkie przywiązanie. Ówczesny przeor, O. Fabjan Webelun, człowiek podniosłego serca, zakonnik wzorowy, przychodzi do mnie: „I jakże, to tak kościół w gruzach zostawimy?“ „Jeżeli masz odwagę, Ojcze, weźmy się razem do roboty“. I tak się stało. Jako konserwator wniosłem do ministerjum prośbę o pozwolenie zawiązania komitetu, czyli, jak nazwaliśmy, prokuracji, i zbierania składek. Do składu prokuracji weszli: Potocki Adam, Paszkowski Franciszek, Kirchmayer Wincenty, Moszyński Piotr, Rutkowski kupiec. Nieoceniony Teofil Żebrawski przystąpił jako budowniczy. Niech tu jego pozostanie pamięć, i mularza Pawła, który ze szczególniejszą troskliwością i miłością fabrykę prowadził. Z tymi to ludźmi, mając 750 fl w kasie, rozpoczęliśmy d. 21 sierpnia, w dzień św. Jacka, r. 1857 fabrykę, która miała kosztować krocie a rozłożona była na lat 25. Biskup Łętowski, przytomny na skromnym tego dnia u Dominikanów obiedzie, żartował z naszego przedsięwzięcia. A kościół stanął nie w lat 25, ale w 20, a że wasz ojciec miał w tem udział, macie pamiątkę na pierwszym od prezbiterjum kamieniu kluczowym, na którym jest herb Sulima.

Wracam do ciągu opowiadania.

Na wiosnę 1858 r. zgłosił się o rękę mojej córki najstarszej, Marjanny, Feliks Rostworowski, pod każdym względem człowiek przyzwoity, znanej w kraju i zacnej rodziny; mnie z każdego odpowiadał względu, bo zasad doskonałych, wychowania starannego. Córka przy-

jęła jego oświadczenie. Syn mój Jan służył jako oficer w wojsku, Marcin w Gräfenbergu na kuracji. Wesele się odbyło przyzwoicie d. 8 września 1858 r., przy nader licznem zebraniu bliższych i dalszych krewnych w Kurozwękach. Moja matka po raz ostatni w Kurozwękach błogosławiła wnuczce, z jej tylko właściwą powagą i miłością. Było to prawdziwie szlacheckie wesele, z udziałem gromady krewnych dalszych i bliższych, przyjaciół. Odebrałem przy tej okoliczności dowody obywatelskiego szacunku.



ROZDZIAŁ XII.

Towarzystwo Rolnicze Warszawskie a p. Andrzej Zamoyski. — Śmierć matki. — Wypadki włoskie. — Wstąpienie syna do armji papieskiej.

Towarzystwo Rolnicze, założone w r. 1857, przybrało tymczasem wielkie w Warszawie rozmiary. Należałem do niego jako członek, a po dwakroć jeździłem na zebrania ogólne, jako delegat z Krakowskiego. Tej zimy p. Andrzej Zamoyski zjechał do Krakowa. Osiadły na zimę w mieście, przyjmowałem go u siebie licznym obiadem, na który wszystkie znakomitości miasta były proszone. Stanowisko jego w kraju było ogromne: łączył w sobie prądy wszystkie narodowego życia; na nieszczęście nad niemi nie panował. Długą bardzo z nim miałem rozmowę. Znając dobrze usposobienie i naturę umysłów, przedstawiałem mu, że, jeżeli wokoło swej osoby i pod swoim wpływem nie zorganizuje zastępu ludzi zasad pewnych i karnych, przez których mógłby trzymać na wodzy i kierować obywatelstwo i opinję, mogą powstać łatwo takie wpływy, które rzecz publiczną na szwank wystawią, a jego powagę obalą. Widziałem już początek tego ruchu. On czy nie spostrzegał, czy widzieć nie chciał.

Przypominając wrażliwość umysłów polskich, przepowiadałem, że, jeżeli nie użyje odpowiednich środków, które bezprzykładna popularność kładła w jego ręce, to podniósłszy tak wysoko poziom narodowych uczuć, nie potrafi ich okiełznać, a pierwszy lepszy entuzjasta albo intrygant wyzyska takie usposobienie. P. Andrzej nadto rachował na miękkość i polubowność polskiej natury, a za wiele także na wpływ i urok osoby. Przeciwne było otwartemu i rycer-

skiemu jego usposobieniu w tajemnicy układać cokolwiek, choćby w najlepszym celu. Pełen wiary w potęgę prawdy i sprawiedliwości, rozumiał, że dosyć podnieść ten sztandar, aby wokoło wszystkich zgromadzić. W tem chybił, i srodze to odpokutował: ale myśleć nie należy, aby (jak dziś moda mówić) był to charakter słaby, albo umysł pospolity. Jednolitość w postępowaniu, nieugiętość, nawet niezawsze bardzo polityczna, względem władz rządowych, świadczą o jego charakterze. Zrozumieć, zapełnić i objąć sferę działania, jak on przez łat 15, dowodzi, że był to umysł może ciasny, ale zawsze głęboki w poglądach. Genjalności nie miał, to prawda, lecz prowadził społeczeństwo po takiej drodze, że gdyby na niej było wytrwało, marzenie jego, iż Polska kiedyś jak owoc dojrzały odpadnie od rosyjskiego drzewa, spełniłby się mogło. O panu Andrzeju przyjdzie mi jeszcze mówić; chciałem już tutaj charakterystykę jego umieścić.

Już od lat kilku złowrogie stosunki Napoleona III z rewolucjonistami włoskimi budziły w wiernych obawę o przyszłość doczesnego panowania papiestwa. Wątpić dziś nie można, że stary konspirator i karbonarjusz, związany przysięgą, obietnicą, zastraszony przez bomby Orsiniego, musiał działać na rzecz jedności Włoch. Począwszy od misji pułkownika Ney'a i broszury La Guéronière'a, z niesłychaną konsekwencją działał w tym celu.

W r. 1859 wybuchła wojna włosko-austrjacka, w której jako oficer inżynierji austrjackiej brał udział syn mój, Jan. Właśnie kiedy odchodził do Lombardji, matka moja zachorowała. Choroba dolegliwa nie trwała długo; nie odstępowałem jej, ani żona moja. Trudno powiedzieć: umarła; raczej zstąpiła do grobu, bo pełna wiary, do ostatniego tchu odmawiając modlitwy, z całą przytomnością przyjęła wyrok śmierci. Ani wątpię, i są tego liczne przykłady, że są matki niepospolite, ale nie wiem, aby się powtarzały często osobistości jej podobne. Przy sile rozumu i charakteru taka miłość, dobroć i wesołość, przy niezachwianej wierze i praktykach taka miara i umiejętność w prowadzeniu synów, aby zaszczepione zasady same się krzewiły i działały, a to głównie przez zachowanie czystych obyczajów. Jakim sposobem matka umiała wrazić zaufanie bez granic, utworzyć obok powagi macierzyństwa stosunek przyjaźni, prawdziwie nie rozumiem; ale to wiem, że stosunek ten był szczęściem mojej młodości, że trwał bardzo długo, póki nowe związki małżeńskie, a następnie obowiązki ojcowskie nie rozdzieliły duszy na różne kierunki, i póki z biegiem życia napotykane trudy i zawody nie zamknęły zczasem serca, z natury otwar-

tego. Matka moja ugruntowała **rodzinę**. Zasiała zasady wiary prostej, mocnej, poddanej poprostu nauce Kościoła. Za łaską Bożą żyją i w drugiem pokoleniu te silne przekonania, a proszę Boga, aby nigdy nie osłabły. Pragnę przedewszystkiem, aby dzieci, wnuki i prawnuki służyły wiernie Bogu, posłuszne były Kościołowi i starały się być narzędziem wszelkiego dobra na ziemi. Trudno mi się rozstać z pamięcią tej matki niezrównanej: czem była dla mnie, tenby tylko wiedział, ktoby czytał kilkudziesiątletnią moją z nią korespondencję. Odnieśliśmy ją pięknie do grobu kościelnego w Czaplach, w cudowny wieczór majowy. Wincenty[1] prowadził, chłopi czapelscy, których przez tyle lat była opiekunką, nieśli trumnę, słowiki, które pasjami matka lubiła, przyśpiewywały. Śmierć jej rodziny nie rozbiła; po dziś dzień, ilu nas żyje, kochamy się serdecznie, a dzieci zmarłego brata Ludwika są nam jak własne.

Jak wspomniałem, kiedy moja matka umierała, toczył się straszny bój na polach Lombardji pomiędzy Francją a Austrją, rozstrzygał się pod Solferino, a kończył traktatem w **Villafranca**. Syn mój Jan przeniesiony został na Węgry, Marcin zaś równocześnie z powodu ciężkiej choroby podróżował po Francji południowej i Hiszpanji, skąd prześliczne, wielki talent pisarski zdradzające pisywał listy. Kiedy Paweł prawo uprawiał w Krakowie, najmłodsi, dziś nieżyjący, kończyli gimnazjum w Nissie.

Zbliżająca się coraz bardziej przy pomocy Napoleona jedność Włoch, gotowana przez Karbonarów i całą partję rewolucyjną europejską, oddziaływała i na kraj nasz także; postawiona niby przez Napoleona, podówczas wszechmocnego w Europie, polityczna teorja o narodowościach, dziwne u nas budziła nadzieje. Jakich spisek rewolucyjny używał w Polsce środków, nie wiem, ale to pewna, że już w r. 1860 popularność Napoleona i idei napoleońskich była wielka, namiętnie obstawano za jednością Włoch, mniej sobie ważąc niebezpieczeństwa, jakie stąd Kościołowi groziły. Prąd ten polityczny dostawał się w najniższe warstwy, a najlepszym tego dowodem była popularność, którą Garibaldi zjednał sobie w naszym kraju, tak, że znachodził się jego portret wszędzie, a jego imię służyło za hasło spiskującym dotąd bezwiednie i bez celu. Nie umiałem zdać sobie nigdy sprawy z obojętności, z jaką patrzał na to rząd rosyjski. Albo jego urzędnicy byli w spisku, albo, co podobniejsza do prawdy, nie-

---

[1] Brat Pawła, późniejszy arcybiskup warszawski.

nawiść schyzmy do papiestwa robiła ich wspólnikami prowadzonej przeciwko niemu kampanji. Już ścieraliśmy się ostro w dyskusjach. Mann pisał swoje znakomite o władzy doczesnej papieża broszury, kiedy w dalszem wykonaniu tajemnych a zdradzieckich swoich planów Napoleon dopuścił do najścia Sycylji przez Garibaldiego, a Państwa papieskiego przez rząd piemoncki. Co tylko miało uczucie katolickie, pojęło, o co idzie, a choć nie miano iluzji wyratowania ostatecznie sprawy, uważano za obowiązek zatwierdzić krwią wiarę i posłuszeństwo dla Głowy Kościoła. Kwiat młodzieży francuskiej, belgijskiej, pod wodzą Lamoricière'a [1] stanął do broni w wojsku papieskiem.

Wówczas doświadczyłem bodaj największej pociechy w życiu: syn mój Jan postanawia porzucić służbę w wojsku austrjackiem i wejść do papieskiego. Przyjechał mnie pożegnać do Kurozwęk, gdzie byłem sam. W kaplicy zamkowej dałem mu moje błogosławieństwo na tę wyprawę. Chwilę tę i uczucia serca pamiętam, jakby wczoraj. Pojechał, doświadczył najlepszego od Lamoricière'a przyjęcia, a wiele niesmaków od ministerjum wojny, zanim mu przyznano w wojsku stopień oficera i dano komendę w Ankonie. Przetrwał to, a zaprzyjaźniwszy się z komendantem Ankony, Quatrebarbes, z pociechą dla swych przekonań a zaszczytem sobie poczynał, jak świadczy raport Lamoricière'a, książka Quatrebarbes'a [2] i dekoracja wojskowa.

Od niego mało dowiedzieć się można było, bo w opowiadaniu skromny, a do pióra leniwy, ale, jak zobaczymy, na innej dowiedziałem się drodze, że dobrze sobie poczynał.

Lato oczywiście przepędzone w trwodze i pracy, bo wojska piemonckie zajmowały E m i l j ę, przeprowadziły nie bitwę, ale rzeź zdradziecką pod C a s t e l f i d a r d o, w której zginął bohaterski P i m o d a n, i Ankonę szturmowały od lądu i morza. Wówczas wytrzymać już nie mogłem, pojechałem do Włoch. Tu winienem dać świadectwo waszej matce, że w tych dniach ciężkich na chwilę nie straciła odwagi, spokoju, nadziei, gotowa wszystko poświęcić dla sprawy wiary i Kościoła. W Wiedniu dowiaduję się, że Ankona wzięta; tem większa moja obawa, jadę natychmiast do Triestu. Statki wschodnie Lloyda, zwykle dotykające Ankony, nie chodzą. Kilka dni strasznych, bez wiadomości i możności wyjazdu, przepędzam w Trieście, wreszcie godzę statek żaglowy. Wprzódy jednak telegrafuję wieczór do Ca-

---

[1] Jenerał francuski, dowódca wojsk papieskich (ur. 1806 † 1865).
[2] *Le Siège d'Ancone.*

vour'a: czy na liście więźniów wojennych, zabranych w Ankonie, mój syn się znajduje. Nazajutrz rano odbieram od tego ministra, tak w tej chwili zajętego, telegraficzną odpowiedź, że Jan Popiel na liście wojennych jeńców się nie znajduje. Nie zapomnę tego nigdy ministrowi, który, choć krętemi drogami dążył do zgubnych celów, miał coś podniosłego w postępowaniu. W chwili tak dla niego stanowczej mieć wolę i czas, by dać odpowiedź stroskanemu ojcu, i to zasad nieprzyjaznych, to dowód szlachetności, którą i w nieprzyjacielu uznać należy. Tymczasem przy śniadaniu spotykam oficera, który mówi, że wraca z Ankony, i zapewnia mnie, że Jaś żyje. Jakkolwiek niewielkie wzbudzał we mnie zaufanie, natychmiast puściłem się statkiem do Wenecji, a przez Canal Grande na stację kolei. Mimo troski i obawy, widok Wenecji w jasny dzień jesienny rozweselił duszę. W Padwie, czekając na dyliżans, bo kolei jeszcze nie było, odwiedziłem Św. Antoniego, pokłoniłem się Donatellemu w osobie Gattamelaty, — i dalej popod to cudowne Monselice i koło Villa Caretta do Rovigo i Ferrary. Czy był kto kiedy w Ferrarze, aby nie myślał o Tassie i całym rodzie świetnym a okrutnym książąt d'Este? Już fizjognomja samego zamku ich maluje. Śniadałem, i tam po raz pierwszy spotkałem w tryumfie oprowadzanego po mieście, w czerwonej koszuli, pijanego trunkiem a bardziej szałem Garybaldczyka. Vetturino do Bolonji. Droga ciekawa, pola żyzne, zasiane głównie konopiami, uprawiane bardzo głęboko, bo w 6 dużych wołów na 10 cali. Popas w Osteria della Cucina, i tam wyborne, w samej kuchni podane potrawy włoskie. Ku wieczorowi pod słońce czerwone góry bolońskie i wieża Asinelli i Garisenda, pochylone ku sobie. Wysiadłem w hotelu Pellegrino, a żałowałem, że nie w Al Angelo, gdzie 300 lat temu Krzycki popasał. Wzruszony, bo tu miałem się dowiedzieć o losie syna, idę już mrokiem do Palazzo della Ragione, gdzie po świeżem przez Piemontczyków zajęciu tymczasowo gubernatorował niejaki Mayer. Po szerokich schodach tego cudownego pałacu wychodzę samotnie na I-sze piętro; ogromny, wysoki, złocisty krużganek, skaljolą wyłożony, po której każde stąpnienie nogą echem się odbijało, prowadzi mnie do otwartych drzwi. Jest światło, wchodzę. „Czy tu gubernator Mayer?" Tutaj. Meldować — przyjmuje. Z obawą opowiadam może 40-letniemu mężczyźnie, że będąc Polakiem i mając syna w wojsku papieskiem, boję się o jego los po wzięciu Ankony i proszę, aby pozwolił telegrafować. Ani wymawia, ani pyta, dlaczego mój syn służył w rzymskiej armji, i najuprzejmiej udziela pozwo-

lenia, a widząc, że nie dam sobie rady z włoskim językiem, sam dyktuje telegram i przez woźnego posyła. „Przyjdź pan jutro, będzie odpowiedź“. Ten Mayer, podobno Genueńczyk, prawdopodobnie żyd, a pewno karbonarjusz, rozczulił mnie jednak uprzejmą usłużnością, i wdzięcznie chowam jego pamięć.

Miasto pełne było piemonckiego wojska, bersagliery leżały na stopniach kościoła S. Petronio, który po księżycu oglądałem. Nazajutrz rano, mimo serca ściśnionego, namiętność do sztuki wypędziła mnie na zwiady. S. Petronio, gdyby był ukończony, byłby największym kościołem na świecie. Tylko prezbiterjum istnieje, zakończone pionową ścianą, bogatą w rzeźbę z epoki przechodniej z romańskiego w gotyckie. Obrazów pięknych kościół ten nie posiada, ale szalona wysokość sklepienia, rozpiętego na ogromnych filarach, światło znakomicie rozdzielone, robią go nader ciekawym, a życzę każdemu obejrzeć w zakrystji plany różnych wielkich mistrzów do wykonania w częsci tylko skończonego gmachu. O 10 godzinie nie było jeszcze telegramu z Ankony; wpadam na myśl, aby pójść do generała komenderującego. W jednym z najpiękniejszych pałaców, w pysznym od złota i jedwabiów apartamencie, przyjmuje mnie pańskiej i wojskowej postawy generał; z uprzejmością człowieka światowego, z ojcowską niemal troskliwością wchodzi w moje położenie. Jużcić w rozmowie z nieznajomym nie wdawałem się w politykę, ale łatwo było przeczuć, że jeżeli jako żołnierz odbywał kampanję, to cała ta polityka piemoncka była mu przeciwną. Nie umiał o Janie dać mi wiadomości, ale naraz powiada: „Ot, w tej chwili odbieram raport, że jeńcy wojenni z armji papieskiej, w Ankonie zabrani, przybyli. Rozlokowani w Certosie. Jedź pan, może się czego dowiesz“. Natychmiast o jakie pół mili za miasto ruszyłem, a dojeżdżając, spotykam leżących pod murem, strudzonych i, jak to bywa po nieszczęśliwej kampanji, zdemoralizowanych żołnierzy; a byli Włosi, Niemcy, Francuzi. Na zapytanie moje wnet zaczęli się gromadzić, bo wielu było podkomendnych Jasia, i nuż opowiadać. Upewniłem się, że żyje, bo po ostatnich strzałach z nim się rozstali, i dowiedziałem się także, jak go kochali. Życzę każdemu ojcu takiej pociechy, bo wypowiedzieć nie mogli, jak był o nich dbały, jak gardzący swojem życiem, jak odwaga jego dodawała każdemu męstwa i otuchy. U prostych ludzi taka, mogę powiedzieć, egzaltacja, może być jedynie natchniona przez heroiczne poświęcenie. Wracam pocieszony, a od gubernatora Mayera

otrzymuję telegram, że Jaś w zupełnem zdrowiu na okręcie C a v o u r odpłynął do Genui.

Nim on opłynie but włoski, ja dalej zwiedzać mogę. Podziękowawszy najprzód P. Bogu, puściłem się po mieście, już swobodny. Oglądam piękny u Franciszkanów ołtarz, a tu zakonnik po francusku: „Pan łubisz sztukę? To ja pana po naszym oprowadzę kościele“. Był to O. Dumont, Francuz, wielki i znany archeolog, który mi też w Bolonji pokazał naukowo, co było najciekawszego. Dziś podobno, choć dobrze młodszy odemnie, nie żyje. A miał i polityczne zdrowe poglądy, będąc w stosunkach ze znakomitościami miejscowemi, nawet przeciwnego obozu. Dał mi tak doskonałą Minghettego charakterystykę, że późniejsze jego publiczne działanie zupełnie ją usprawiedliwiło: To ludzie próżni; w duszy nie są nieprzyjaciółmi Kościoła, ale chcą znaczyć; weszli do spisku i dalej pójdą niż zamierzyli. Toż Pepoli. Ałe oto starożytny tej rodziny pałac. Prawda, że pałac niełada, ogromny, wysoki, czarny, bardziej do więzienia lub fortecy niż do pałacu podobny. Co to za dziwny kraj te Włochy! Rozczłonkowany na miasta i państewka, z których każde miało swoją historję, politykę, charakter, wielkich ludzi; wszędzie rozwijało się życie bujne, nawet tak bujne, że pojąć niepodobna, skąd brały się siły i bogactwo, aby takie stawiać kościoły, gmachy i roboty publiczne, a wszystko natchnąć artystycznym kształtem, którego w tym stopniu nawet Rzymianie nie umieli. Tu zapoznałem się lepiej z dawniejszą i nowszą bołońską szkołą, tutaj spotkałem oryginał S. Cecylji Rafaeła, który jednak nie odpowiedział mojemu oczekiwaniu. Więcej zajęły fryzy Carraccich, nie pomnę już w jakim opuszczonym pałacu.

Po trzech dniach do Parmy. Są mistrze, których sądzić nie można, kiedy się ich nie widziało w mieście, gdzie żyli. Kto nie był w Antwerpji i Kołonji, ten nie zna Rubensa, kto nie był w Parmie, niechaj mi o Correggiu nie mówi. Sława *Nocy* wiedeńskiej głośna w całym świecie, ale kto bez uprzedzenia zobaczy *Dzień* w Parmie, ten przyzna mu pierwszeństwo. Rozpatrywałem się po freskach, nie pomnę już jakiego żeńskiego klasztoru, a żałowałem, że dzień pochmurny nie dozwolił mi dokładnie obejrzeć malowań w kopule katedry. Nacieszywszy się Baptysterjum i Teatrem Farnezów, jechałem ku granicy podówczas austrjackiej, to pocztą, to wózkiem najętym, a było mi pilno, bo człowiek z austrjackim paszportem mógł łatwo wystawić się na szykany albo niebezpieczeństwo. Udawałem Francuza,

a żałowałem pośpiechu, bo kraj cudowny, każde miasteczko, każda wieś ciekawa. Casale nad Po prześliczne, nie pamiętam już gdzie cudowne baptysterjum; wieczorem ściągnąłem do Mantui, już o siebie bezpieczny. Dzień poświęciłem temu pałacowi, w którym Gonzaga ugaszczał Myszkowskich. W Palazzo freski Juljusza Rzymskiego na całe życie zostawiły wyrytą w pamięci postać Heleny. Stamtąd już jednym pociągiem do Krakowa, dokąd dosyć znużony przybyłem.

Obałamucenie umysłów było wielkie, mało kto oceniał szlachetną syna mego odwagę w obronie praw Stolicy Apostolskiej. O to mniejsza, dla mnie i mojej rodziny niezrównany zaszczyt i pociecha, że jeden z nas ważył krew i życie dla zatwierdzenia praw Kościoła. Z Maurycym Mannem cieszyliśmy się nawzajem; nadjechał też i Jaś. Nie czekając więcej, razem ruszyliśmy do Kurozwęk.

ROZDZIAŁ XIII.

Rok 1861 i 1862.

Administracja znacznego szlacheckiego majątku niemało zajmowała czasu, wobec częstych podróży do Nissy i Krakowa niewiele można było umysłowo pracować, ani na chwilę jednak nie straciłem poczucia biegu wypadków i kierunku opinji. W grudniu interesa powołały mnie do Krakowa. Równocześnie margrabia wyprawił tam syna Zygmunta, aby wyrozumiał wybitniejsze osobistości, gdyż powiadał, że jakiś krok w tych czasach zrobić wypadnie. Pan Zygmunt ze mną się nie zetknął. Na zebraniu jednak u Adama Potockiego przyszło do rozmowy stanowczej o politycznem położeniu; zwracałem znowu uwagę na wielkie niebezpieczeństwo coraz gwałtowniej powstającej opinji namiętnej, bez rozumnego kierunku, i przekonałem się, że prąd porywał najlepsze głowy. Umiałem zawsze mimo groźnych objawów zachować niezawisłość przekonania, ale wiara tak ogólna, już nietylko w rewolucyjnym czyli spiskującym obozie, ale pomiędzy ludźmi wytrawnymi, przewodnimi, w pomyślność jakiegoś koniecznego ruchu zachwiała moje nawet sumienie. Zasada narodowości, postawiona i wprowadzona w praktykę na Zachodzie, rozstrój wewnętrzny Rosji na Wschodzie, równoczesne zmiany polityczne w Austrji, kwestja włościańska, w dobrej czy złej mierze oddana Tow. Rolniczemu: wszystko to naraz a tak silnie działało na umysły, że wydawało się, jakby — *vox populi, vox Dei.* Mówię tutaj o tych, którzy byli niedostępnymi podmuchom spisku.

Bez żadnego zetknięcia ze spiskiem, gardząc i jego zasadą i narzędziami, gotów na wszelkie gromy opinji, pytałem jednak sam siebie: Czy w sumieniu mogę odepchnąć i tę nadzieję, te okoliczności i środki? czy cały kraj mylić się może, i czy to nie wskazówka Opatrzności? Jakże musiała być naprężona atmosfera, kiedy w tej sferze,

w której żyłem, bez żadnego wpływu zewnętrznego, takie myśli ważyły się w mojej duszy.

Pojechałem w końcu stycznia 1861 do Nissy i tam przez kilka dni w samotności rozmyślając, przyszedłem do tego rezultatu, że, kiedy ogólne poczucie krajowe uważa chwilę za stanowczą i do działania wskazaną, poczucie to omylić nie może i należy jako początek działania podać adres do cesarza. Myśl adresu była, pokazuje się, w powietrzu, bo podówczas nie znosiłem się z Wielopolskim. Adres zredagowałem; żałuję, że mi zginął. Wychodząc, jak margrabia, z Konstytucji 1815 r. i odwołując się do Statutu Organicznego, tak zaostrzał jednak tonem, zasadami, stosunek z Rosją, że mógł być nie, jak adres Wielopolskiego, początkiem do zlania, ale początkiem zręcznie obmyślanym do dalszych żądań i nieporozumień. Ani zaszkodził, ani pomógł, bo zgłoszonym nie został; przywodzę tylko jako dowód mego usposobienia i przykład, jak niełatwo sądzić bezstronnie po 15 latach i ludzi i wypadki. W ciągu życia mojego był to jeden wypadek, w którym omyliłem się w politycznem przewidywaniu: pomyłka ta nie miała złych skutków, bo wkrótce przyszło otrzeźwienie; ale stąd nauka, aby sądzić łagodnie.

W końcu lutego byłem w Warszawie. Stan umysłów opisałem dobrze w liście do ks. Adama Sapiehy.[1] Tu dla was niektóre szczegóły, o ile pamięć po 20 latach posłuży.

Nazajutrz po przyjeździe widziałem Wielopolskiego. O adresie mówił, chciał widzieć mój projekt. Zarówno jak jego, wychodził z praw nabytych r. 1815, ale zrozumiał doskonale, że dążył do innego celu. Nie wierzyłem (a dalszych mi swoich nie objawił celów), aby projekt jego, w obecnem usposobieniu umysłów, dał się przeprowadzić. Jakkolwiek znałem działanie spisku, dopiero jednak wtedy mogłem ocenić jego potęgę. Kiedy obywatelstwo zaczęło tracić głowę i równowagę, studenci kijowscy, poprzednicy dzisiejszych nihilistów, przyszli lać olej na rozżarzone węgle, a groźne zbiegowisko na Starem Mieście usiłowało wywołać starcie z policją albo wojskiem, wtedy osądziłem, że każdy adres w tej chwili niebezpieczny, a Wielopolskiego niemożebny, wszelkiemu też adresowi byłem przeciwny, w tem tylko z p. Andrzejem będąc zgodny.

Wielopolski, zaprawdę nie wiem jakim sposobem, tracąc coraz więcej stanowisko u szlachty, zyskiwał wówczas zwolenników w mie-

[1] Wyszedł w r. 1864 p. t.: *Kilka słów z powodu odezwy ks. A. Sapiehy*, w osobnej broszurze; następnie wydany w *Pismach* P. Popiela (1893).

ście. Miał jednak i w obywatelstwie nielicznych, ale gorących stronników; pojedynczo, to wymową, to powagą charakteru i wpływem rozumu, pozyskał kilkunastu, a między innymi Wacław Popiel, brat mój, tej przewadze oprzeć się nie mogąc, adres podpisał. Zaledwie jednak to zrobił lekkomyślnie, popadł w straszne polityczne skrupuły, obawiając się bezcześci. Tłumaczyłem mu, że, kiedy pobudki czyste, to w polityce trudno być pewnym swego kierunku.

Uważając każdy adres w tej chwili za szkodliwy, a Wielopolskiego za niemożebny, zwołałem dosyć poważny liczbą i charakterem zastęp obywateli do naszego mieszkania, aby całą grozę położenia przedstawić. Była to niedziela, a tegoż dnia zebranie u Tomasza Potockiego, który mieszkał na Foksalu. Tam wziąłem do drugiego pokoju Zygmunta Wielopolskiego, który miał wielką nad ojcem przewagę, w długiej rozmowie moje zapatrywania na działanie ojca jego wyłożyłem, wróżąc mu koniecznie niepowodzenie. Pan Zygmunt zapewne ojcu powtórzył moje słowa; w poniedziałek rano p. Aleksander przychodzi do mnie z wyrzutami, że mimo tyloletniej przyjaźni odwodzę stronników, wiarę w niego osłabiam. Ja znowu wymawiam, że brata mojego wciągnął do podpisu. Rozchodzimy się skwaszeni, mając zejść się i porozumieć w południe. Jakoż zastałem margrabiego w hotelu Angielskim. Rozprawa była przykra; przytomnym był p. Zygmunt.

— Należało otwarcie ze mną postępować!

— Postępowałem otwarcie, mówiąc z twoim synem, a nie należało brata mego do podpisu znaglać.

— Brata zwolniłem już z podpisu, ale przystałeś do Zamoyszczyzny.

— Do nikogo nie przystałem, a wiesz najlepiej, jak mam niezawisłe i zdanie i przekonanie.

— Dawne stosunki nie wstrzymały cię od tajemnego przeciwko mnie działania.

— Proszę o dowody?

— Dam je później.

Na to wstałem, i rozeszliśmy się bez podania ręki. Ostatnia to była w życiu moja rozmowa z Aleksandrem Wielopolskim po 30 latach bliskich, a nawet przyjacielskich stosunków. Mam sobie do wyrzucenia, że nie żądałem odrazu wytłumaczenia zarzutu, bo później już nie mieliśmy się na jednej spotkać drodze. Dlatego mały ten

szczegól tylko dla moich dzieci opisuję, bo pytano często, co moglo mię z margrabią poróżnić.

Bylo fatalnego coś w mojem z Wielopolskim zerwaniu. Kiedy później, nie na drodze adresu, ale na drodze genjalnego pochwycenia władzy próbowal urzeczywistnić swoje myśli, podziwialem to działanie, w jego skutek ostateczny niebardzo wierząc; ale to pewna, że gdybyśmy nie byli zerwali, bylby znalazl we mnie najgorliwszego wspólnika, a zdaje mi się, że potrafilbym i dla niego i dla rzeczy być użytecznym. Cale usposobienie charakteru i rodzaj zdolności wskazywaly mi zawsze nie pierwsze, ale drugie miejsce. Z silnemi przekonaniami, jakie mialem, z cywilną odwagą, rzetelnem, ile razy idzie o zasady, zapomnieniem o sobie, móglbym się był wiele przyłożyć do powodzenia dziela, które rozpoczął. W każdym razie, jak zobaczymy, nie przeszkadzalem mu w dzialaniu.

Straszne to były dnie, zwlaszcza dla tych, co już calą potęgę spisku widzieli. Widząc naocznie zbiegowisko ulożone na Starem Mieście, a pomiędzy tłumy wyprawiwszy syna Jana, przekonalem się, jak rozmyślnie i mądrze prowadzono lud bezwiedny, a nader na warszawskim bruku patrjotyczny. Zwolna wprawiano go do stawiania czola policji, tego dnia jakby jeszcze unikając starcia.

Przyszedł dzień ostatniego zebrania Towarzystwa Rolniczego; proch i krew byly w powietrzu. Obradowano w Palacu Namiestnikowskim. Okolo 11 godziny p. Andrzej, blady, wzruszony, zagail posiedzenie, które na slowa jego żadnej nie zwracalo uwagi, bo co chwila glosy, choć więcej ciche niż glośne, odzywaly się. Jedni: Chodźmy na ulicę... Inni: Broń Boże! Prowadzić dalej rozprawy, aby pokazać, że nic wspólnego z zaburzeniem nie mamy. Wtem wpada ktoś i w największem uniesieniu wola: „Naszych rzną na ulicy, a wy tu radzicie?“ Zrobil się w sali poploch, p. Andrzej nie ruszyl się z miejsca, zgromadzenie wysypalo się na ulicę. Co się dzialo od strony Starego Miasta i na Placu Zygmuntowskim, nie wiem, ale widzialem, jak kompanja piechoty szla ulicą Czystą na Krakowskie Przedmieście, i jak dom Tow. Dobroczynności i kościól Bernardynów okrążając, stanęla frontem do ówczesnego pałacu Wasilewskich. Krakowskie Przedmieście pomiędzy ulicą Bernardyńską a placem Reformackim bylo podówczas bardzo wąskie i napelniali je ciekawi, glównie czlonkowie Tow. Rolniczego. Tam nie bylo żadnej do starcia ochoty, tylko prosta ciekawość, dla mnie studjum. Zgraja uliczników oddzielala od szeregów wojska tłoczącą się publiczność, pchaną na-

przód przez tych, co tłumnie od Namiestnikowskiego tłoczyli się pałacu. Czy uliczników wyuczono i nasadzono, czy też rozzuchwaliła ich łagodność policji i radzi byli Moskałom się stawić, nie wiem, ale stojąc naprzeciw wojsk (a zdaje mi się, że widziałem tam sotnię Kozaków), kamieniami rzucali a zbliżali się do szeregów, pchani tłumem przepełniającym ulice, w którym tłumie i ja się znajdowałem pod samym Wasilewskich pałacem. Oficer krzyknął, aby się nie przybliżać; — napróżno. Pluton dał ognia, padło pięciu. Spodziewając się drugiej salwy, cofnąłem się i stanąłem za rogiem domu ulicy Bednarskiej. Zabici padli niedaleko odemnie. Uciekanie, krzyk, u jednych ze strachu, u drugich z tego bezwiednego oburzenia, jakie powstaje w masach, u niektórych spiskowców mowy roznamiętniające, bo właśnie nastąpiło to, czego pragnęli. Krew się polała, Moskale strzelali do Polaków, więcej nie było im potrzeba.

Wskutek pochodu ze zwłokami zabitych i umieszczeniu ich w domu hr. Zamoyskiego na widok publiczny, powstaje myśl adresu, któremu p. Andrzej zawsze przeciwny. W mieszkaniu jego zbierają się licznie członkowie komitetu Towarzystwa Rolniczego, znakomitsi obywatele z kraju i miasta, literaci, jak Kraszewski i inni. Najrozmaitsze tutaj działały czynniki. Jedni, z myślą adresu przez Wielopolskiego oswojeni, żądali go, i żądali w duchu margrabiego. Drudzy szli dalej. Od lat kilku przejęci myślą odzyskania swobody, choć nie chcieli powstania, teraz widząc osłabienie Rosji, oraz t. zw. narodową politykę Napoleona, głównie zaś dzieląc jakąś ogólną wiarę, że, jeżeli nie w tej chwili, to w tych czasach odzyskanie wolności Ojczyzny możebne, jakkolwiek z gruntu spiskowi i dążnościom rewolucyjnym przeciwni, adresem politycznym chcieli rozpocząć walkę, którą przygotowany przypadek objawił na ulicy. Ostatni wreszcie, bez planu, bez myśli, w obawie, że w takiej chwili mogliby niedopisać niejako patrjotycznej powinności, wyzyskiwania przez prawdziwych spiskowców, powiększali chaotyczne żądania.

Dyskusja ciągnęła się długo, bez porządku i ładu; nie pomnę, kto chciał odczytać projekt adresu Wielopolskiego. Zakrzyczano go. Wielopolski pragnął powrotu do spraw politycznych z r. 1815, — tu jakaś bezwiedna siła pchała do zerwania, a adres miał być tak napisany, aby stał się do tego narzędziem. Stawiski, człek zacny, uczony, zdolny, ekonomista, ale bez żadnego politycznego poglądu, przygotował adres. Czytają znane to pismo bez politycznej donioslości. Dyskusja krótka. Było bardzo późno, — przyjmują. Zamoyski stanow-

czo adresu podpisać nie chce, mówi: „Odpowiedzialności za ten krok nie biorę". Ci, którym szło o jego podpis, nasyłają syna Władysława, który około godziny 3-ej zrana na zmęczonym i tyłu strasznego dnia tego wrażeniami skołatanym ojcu wymusić to potrafił. Był to ostatni dzień pięknego żywota. Jedno co należało zrobić temu, co do ostatniej chwili sprzeciwiał się adresowi, a zarówno nie chciał powstania, było cofnąć się od działania i życia publicznego. Podpis na adresie związał go z przyszłością.

Nie pisząc historji, ale własne wspomnienia, dodam, że tego wieczora, kiedy się kłócono i radzono, Józef Zamoyski, brat ordynata, podówczas bardzo młody, a jako taki mający styczność z młodszem i ruchliwszem pokoleniem, mówił mi co następuje: „Spisek jest uorganizowany, a spiskowi poznają się po małej iłości szarpi z kroplą czerwoną, w dziurce od guzika. W tej chwili jest ścisłe porozumienie między partją przewrotu, belgijską a polską; zamiarem jednej i drugiej socjalne zmiany, a naprzód zniszczenie hierarchji kościelnej. Umówiono się użyć teraz duchowieństwa katolickiego jako sojusznika, a wymierzyć łączne usiłowania przeciw katolicyzmowi".

Opowiadanie to miało wszelkie cechy prawdy. Jeżeli potem, po upadku powstania, rewolucjoniści rosyjscy rzucili się z całą wściekłością przeciwko nam, to dlatego, że ruch polski nie był dość skrajny, że jakkolwiek świętokradzko używano wpływu Kościoła, ruch ten fałszywy obrócił się w części na rozbudzenie uczuć wiary: kierunek zgubnego dla Polski powstania nie stał się, mimo teorji narodowej, mimo skrytobójstw, przewrotem społecznym.

Rozpoczęto ruch, a kierowało nim mieszczaństwo, ale podówczas nie dało się nic jeszcze przeprowadzić bez szlachty. Wciągnięto ją, dała mu też poniekąd swoją barwę, w najwyższym stopniu wstrętną duchowi rosyjskiemu. Różnica i celu i środków wystąpiła niebawem, z czego rząd potrafił skorzystać, a Rosjanie srodze powetowali sobie ten zawód, gdy pod kierunkiem Czerkaskiego przypisywali taki obrót sprawy szlacheckiemu żywiołowi.

Nazajutrz, 28-go lutego, adres licznie podpisywano; spiskowi przyjęli jak oznakę obwódkę na kapeluszu i zmuszali każdego do jej przyjęcia.

Łagodny namiestnik Królestwa, ks. Gorczakow, pozwolił na publiczny pogrzeb pięciu ofiar dnia wczorajszego, bez udziału policji, pod kierunkiem Towarzystwa Rolniczego. Dnia 2-go marca wyjechałem do Krakowa. Wielopolski, ofiarowawszy usługi cesarzowi, wy-

jechał także do Krakowa; tu czekał wezwania z Petersburga, które też nadeszło. Objęcie urzędowania, postępowanie jego, walki, które staczał, tutaj nie należą. Nie bezstronnie, ale prawdziwie podał je Lisicki. Mój sąd o postępowaniu Wielopolskiego wypowiedziałem w liście do ks. Adama Sapiehy.

Niełatwo określić ówczesne położenie Królestwa. Polityka narodowościowa Napoleona, którego miano za wszechwładnego, ruchliwość i ambicja rozbudzona w umysłach przez Towarzystwo Rolnicze, rządy Gorczakowa pod Aleksandrem II, osłabienie istotne lub mniemane Rosji po wojnie krymskiej, Rosji zajętej sprawą poddaństwa a nurtowanej spiskiem, — wszystko to razem, nie wskazując kierunku, budziło aspiracje nieograniczone. Jest to nieszczęściem polskiego charakteru, że każde, choćby najmniejsze, powodzenie obudza w nim nadzieje i zaufanie w sobie. Uczucia te działały na pokolenie, które krwi za Ojczyznę nie przelewało. Ale wszystkie te przyczyny, które tłumaczą powstanie, nie byłyby wywołały czynu, gdyby nie spisek. Spisek, choroba narodów w upadku, oddawna gotował przewrót. Nie był to spisek narodowy, ale kosmopolityczny, który dąży do zniesienia ustroju społeczeństwa chrześcijańskiego, a zaprowadzenia czysto humanitarnego. Im bardziej anormalne są warunki w społeczeństwie, tem grunt dla niego lepszy: dlatego tak bujnie u nas się rozwinął. W roku 1861 działał głównie na klasy średnie i na szlachtę, a teroryzując ją, zrobił swojem narzędziem. A jednak ta szlachta, to duchowieństwo, którego wpływu tak bardzo używał i nadużywał, dali taką barwę narodową i katolicką powstaniu, że ani wolnomularze we Francji, ani nihiliści w Rosji bratać się z nim nie chcieli. Dziwny to był i groźny czas. Po lasach roili się ludzie, którzy badali puszcze i przesmyki, po dworach emisarjusze, którzy odbierali przysięgi od czeladzi, tak, że nieraz dziedzic był w rękach sprzymierzonych. Działanie to dotarło do miast i dworów, — lud wiejski był nieporuszony, jak skała. Niebawem zjawiły się odezwy Komitetu, który całym kierował ruchem, ale jeszcze nie przemawiał rozkazująco.

Wielopolski w Krakowie czekał wyniku narad z ks. Gorczakowem i programu, który postawił. Kiedy współobywatele odrzucili drogę, jaką wskazywał, on śmiałą inicjatywą zdobył władzę, aby kraj na tej uratować drodze. To rzecz obojętna, kto zbliżył margrabiego do namiestnika, dość, że od pierwszej chwili zdobył nieograniczoną nad jego umysłem przewagę. Zawdzięczał to niezaprzeczonej i genjalnej wyższości, ale okoliczności dopomogły. Bezradność rządu wobec wy-

padków była wielka, wobec wstrętu, jaki wówczas i cesarz i namiestnik mieli do środków gwałtownych; Polak rozumny, ze stanowiskiem obywatelskiem, dający rękojmię rządowi, był w najwyższym stopniu pożądany, i jakkolwiek warunki przedstawione pierwiastkowo przez Wielopolskiego szły bardzo daleko, to jednak wprost ich nie odrzucono, ale zmodyfikowano. Nie powtarzam ich, bo nie piszę historji, ale zaznaczam, że dawały one przecież krajowi, prócz niezawisłości, wszystkie środki zorganizowania społeczeństwa, wykształcenia przyszłych pokoleń, zachowania wiary i języka. Uzyskane, zostały przyjęte nietylko obojętnie, ale niechętnie. Margrabia, obejmując wspaniałą przemową ministerjum oświecenia d. 27 marca, zaufania nie wzbudzał, a odbierał pogróżki.

Koncesje otrzymane były ogromne, zbawienne. Czemuż ich nie przyjmowano? Wielopolski chciał zorganizowaną Polskę ze wszystkiemi warunkami rozwoju utrzymać w wierności monarsze. Spisek, nie rachując się ze środkami, a ufając wszechmocy rewolucyjnych prądów, chciał zerwać z Rosją i wydać jej wojnę. Ale czego chciał kraj? Bolesno powiedzieć: — sam nie wiedział czego. Nie był jeszcze dotąd (marzec 1861) pod teroryzmem spisku, ale obok rozdmuchanych aspiracyj narodowościowych, obok obudzonej przez Towarzystwo Rolnicze parlamentarnej gorączki, i obok tego strachu, który ma każdy Polak, że mógłby niedopisać obowiązkowi względem Ojczyzny, zauważyć należy, że nawet ludzie rozumni iść z margrabią nie chcieli, pod pozorem, że nikomu nie powiedział, dokąd prowadzi. Wielopolski, mając w głowie organiczny plan ratowania przez odpowiednie instytucje Kościoła, języka, zacności, poczucia polskiego obywatelstwa, nie przypuszczał, żeby sobie nie miał zdobyć stronnictwa, żeby nie znalazł grona ludzi, gotowych zrozumieć jego zamiary. Nie znał kraju! Wiadomy przebieg wypadków i heroiczna zaprawdę walka Wielopolskiego w Warszawie ze spiskiem i opinją, a w Petersburgu z moskiewską partją.

Całe lato bawiłem na wsi, śledząc pilnie wypadki i wpływ ich na opinję. Opinja nie była swobodną, była pod presją spisku, której ulegały i wykształcone warstwy. Wielopolski nie dał za wygraną. Nietylko, obejmując dyrekcję sprawiedliwości, wybawił kraj od wojskowych rządów, ale wspaniałą, prawdziwie monumentalną przemową powinien był zdobyć poparcie narodu, gdyby ten był podówczas zdolny myśleć i czuć samoistnie. Prawda, że czasem, co zbudował jedną ręką, niszczył drugą, — np. przemowa do duchowieństwa, bar-

dziej jeszcze, niż podniesienie stanowiska żydów, była błędem pierwszym, ale nie ostatnim, tego znakomitego człowieka. Rozpoczynając działanie w sferze wychowania, otaczał się zdolną młodzieżą, poruszał prasę krajową, a nawet i zagraniczną, wynajdywał ludzi takich jak Miniszewski, co umiał z talentem, jużto publicystycznie, jużto humorystycznie podejmować walkę ze spiskiem. Spisek, który przyjmował nazwisko Komitetu jako rząd narodowy, zrozumiał niebezpieczeństwo, i chwycił się właściwej sobie broni, skrytobójstwa. Padł odważny, zdolny, uczciwy Miniszewski, którego pamięć klamliwie oczernić usiłowano. Morderstwo wywołało nie tyle oburzenia, ile strachu. Pomijam tutaj zmianę namiestników i nieporozumienia Wielopolskiego z nimi, dwukrotną jego do Petersburga podróż, pomijam zbawienne, a niemal gorączkowe, działanie w przekształceniu szkół, zaprowadzenie Rady Stanu, oczynszowanie włościan, itd. Kto ciekawy, znajdzie to w historji. Dotknę tylko stanowiska p. Andrzeja Zamoyskiego wobec tej potężnej akcji.

Jak zwykle bywa z lekkomyślnemi sądami prądów opinji, pan Andrzej, ubóstwiany bałwochwalczo przez lat dwadzieścia, ma odpowiadać za niepowodzenie rozpoczętego wielkiego politycznego dzieła.

Niejednokrotnie o p. Andrzeju mówiłem, i w liście do ks. Sapiehy, i w nekrologu Zamoyskiego, oddał mi nawet sprawiedliwość Lisicki, — a jednak tutaj muszę o nim jeszcze pomówić. Jakie zaszły zmiany w przekonaniach i uczuciach Wielopolskiego po r. 1846, 1849, głównie po wojnie krymskiej, trudno powiedzieć. Miłości dla kraju został zawsze wiernym, może zmienił zdanie co do środków i dróg, na jakich służyć mu można. Symptomatem usposobienia była służba w wojsku rosyjskiem syna jego, Zygmunta. Jeżeli wszystko to zbliżało go wewnętrznie do Rosji, to usposobienie polityczne kraju, wstrętne jego praktycznej naturze, wdrażało mu przekonanie, że kraj o swoich siłach zorganizować się nie potrafi. Łagodne usposobienie ówczesnego cesarza Aleksandra, gwałtowny ruch narodowościowy w Europie, rozstrój wewnętrzny w Rosji, zdawały się wskazywać do tego porę. Przybył do Warszawy z gotowym programem, do którego przeprowadzenia pierwszym krokiem miał być adres, żądający powrotu do konstytucji r. 1815. Pan Andrzej, choć na realnym angielskim wychowany gruncie, był idealistą. Działanie jego na upadłe społeczeństwo było zaprawdę błogosławione, — innego wyrazu użyć nie mogę. Obudził je, moralizował, uczył pracować, a tak wzmacniał

wewnętrzne jego siły. Nie widziałem w nim innej ambicji jak miłość dobra publicznego. Z nadzieją odbudowania Polski niepodległej nie rozstał się nigdy. Podczas gdy brat jego, Władysław, na emigracji starał się dyplomatycznie Rosji szkodzić, on nigdy o tajnem działaniu wiedzieć nie chciał, i lubił powtarzać: „Wyrabiać się wewnątrz, wzmacniać moralne siły narodowe, i czekać, póki Polska od Rosji jak jabłko dojrzałe nie odpadnie". W tym celu krzewił przemysł, zawiązał Towarzystwo Rolnicze w myśli społecznej, nie politycznej. W tej myśli je prowadził, ale wpośród materjału palnego, który się gromadził w atmosferze, przerosło go Towarzystwo. Ktoby uwierzył? — nie wiedział, że kraj spiskuje! Kiedy mu to mówiłem w lipcu 1858 r., nie wierzył, ale musiał przekonać się w grudniu, kiedy na przygotowawczem zebraniu członków Komitetu w naradach o oczynszowaniu tak został podkopany, że upadł ze swemi wnioskami, a byli tacy, którzy już o innym prezesie marzyli.

Takie było usposobienie umysłów, takie i Andrzeja Zamoyskiego w chwili wypadków r. 1861, a drastyczny on dał tego dowód, kiedy zapytany przez Gorczakowa, coby rząd rosyjski miał do czynienia, odpowiedział, więcej szczerze niż politycznie: „Wynieść się z tego kraju". Że tej rady nie usłuchano, dziwić się nie można.

W ten wir wypadków p. Andrzej Zamoyski wciągnięty naturalnie, niemal bezwiednie, w tem tylko ponosi winę, że kiedy spisek przyjął odznakę (jeża), zezwolił na to i przyjaciołom oporu odradził.

Ale mnie tu nie idzie o wypadki dobrze znane, ale o psychologiczne wytłumaczenie postępowania p. Andrzeja. Dwudziestoletnią pracą i miljonami majątku doprowadził kraj do poczucia godności i siły. Wierzył tylko w Polskę samoistną i powstającą przez rozkwit własnych, wewnętrznych żywiołów. Spisku nienawidził, gardził nim i sile jego nie wierzył, a przez podpisanie adresu i przewodnictwo w Towarzystwie Rolniczem stawał się jego narzędziem bezwiednie, bo sam chował w duszy najczystsze ideały, które miał nadzieję, choć nieuzasadnioną, zrealizować. W takiem położeniu, oparty na rządzie margrabia odbiera mu kierunek, wiodąc do celu, który, politycznie czy niepolitycznie, był zawsze Zamoyskiemu wstrętny. Trzeba nie znać serca ludzkiego, trzeba nie mieć stałych przekonań, aby czegoś podobnego żądać. Zamoyski mógł cofnąć się absolutnie od spraw publicznych, — iść z Wielopolskim nie mógł. Czy mu utrudniał położenie, nie wiem. Może nieraz z przekąsem o działaniu jego mówił. Wyraźnie mu nie szkodził, ale niewątpliwie, szczerze albo nieszczerze,

wielu tę abstencję na niekorzyść margrabiego tłumaczyło. Jeśli tak patrzy się na rzeczy, pomniejszym już epizodem jest brutalne, choć konieczne, rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego.

Nie pomnę kiedy, w maju czy czerwcu tego roku, przychodzę przypadkiem do p. Arturowej Potockiej, zastaję syna, panią Aleksandrową Branicką i Leona Rzewuskiego. Rozmowa o usiłowaniach i prawdopodobieństwie powodzenia margrabiego, bardzo ożywiona. Na to Leon Rzewuski: „Mon cher, il joue le rôle qu'ont essayé nos grands pères avant 70 ans, et il s'en trouvera de même". Prognostyk był prawdziwy, ale porównanie niesłuszne. Targowiczanie z pomocą Rosji chcieli utrzymać dawny nierząd, Wielopolski usilował przeprowadzić reorganizację kraju zapomocą rosyjskiej władzy, bo innej w 1861 r. nie było — a zatem ci, którzy na innej drodze chcieli urządzenia kraju, chcieć go mogli tylko na drodze rewolucyjnej, i na tej drodze działali. W sprawach ludzkich kombinują się najważniejsze przez mniejsze wpływy: pominięci albo zrażeni przez margrabiego, gromadzili się koło Zamoyskiego, co dawało pozór opozycji, a była ona w uczuciach, ale nie w czynie.

Wobec odmiennych przekonań wspólne działanie było zupełnie niemożliwe, zwłaszcza u człowieka tak skrupulatnego sumienia jak pan Andrzej. Projektowane dla niego kanclerstwo byłoby absorbcją jego stanowiska, na co też, zapewne, nie byłby się zgodził. Jedno było wyjście: opuścić Warszawę, a tego nie dopuszczali przyjaciele. Rozumiem, że ten długi wywód powinien was, kochane dzieci, utwierdzić w przekonaniu, że zarzuty robione p. Andrzejowi Zamoyskiemu są niesłuszne, bo nie utrudniał z umysłu margrabiemu położenia, ale nie mógł też wyzuć się i zaprzeć przekonań i dążności całego życia.

— ·⊱⊰·

ROZDZIAŁ XIV.

Pobyt w Rzymie. — Zdanie sprawy Piusowi IX o stosunkach kościelnych w Polsce. — Stan kraju w drugiej połowie 1862 r.

Z początkiem 1862 r. byłem już w Krakowie. W organizacji nowych Rad Powiatowych nie znalazłem miejsca. Już nie Komitet, jako rząd narodowy, ale wprost Rząd Narodowy przemawiał, i był słuchany jak może nigdy żadna władza w Polsce. Ja nie stosowałem się do jego rozkazów, odbierając od włościan czynsze, które nakazywał darować. W Krakowie niemałe było ożywienie, a z dwóch szło kierunków: od Warszawy rewolucyjne, od Wiednia konstytucyjne, w duchu patentu październikowego. Zjawili się ludzie z wszystkich części Polski, jak Jan Działyński, Łączyński, Doniemierski. Rok był dla mnie finansowo dobry; ugaszczałem przybyłych. Z jednej strony bojąc się zmian wielkich, z drugiej pragnąc poznać Włochy i wyświetlić w Rzymie stanowisko naszego duchowieństwa wobec wypadków — postanowiłem jechać do Włoch z żoną i córką Jadwigą.

Przedtem pojechałem do Warszawy, aby zbliska wypadkom się przypatrzeć i móc Ojcu św. przedstawić kierunek wyższego duchowieństwa. Kościoły były zamknięte; było to wielkie nadużycie, jeśli nie świętokradztwo, że w celach politycznych wyzyskano wypadki uliczne, aby zamknięciem świątyń i zawieszeniem nabożeństwa lud wierny podburzyć. Po profanacjach krzyżów i kościołów administrator, party przez spisek, wahał się, kiedy — wstyd powiedzieć — Kronenberg wpadł na niego i ostatecznie dekret zamknięcia wymusił. Nastała żałoba, śpiewy, pielgrzymki, stawianie krzyżów.

Nowy pasterz przybył w osobie księdza Felińskiego. Mój brat Wincenty już był powołany na rektora Seminarjum głównego (Akademji duchownej).

Nazajutrz po moim przyjeździe arcybiskup postanowił otwarcie kościołów. Byłem obecny otwarciu katedry. Po odpowiednich modlitwach i śpiewie otwarto drzwi wielkie, arcybiskup procesjonalnie szedł od wiekiego ołtarza, kościół był przepełniony, ale nie pobożnymi. Wrzało cicho jakieś złowrogie usposobienie. Arcybiskup wszedł na ambonę, blady, i wzruszonym głosem zaczął mówić. O ile pamiętam, zaczął od tego, że widział monarchę i od niego, z jego upoważnienia, przynosi przyrzeczenie porządku prawnego, a z drugiej strony on za spokojność kraju ręczy; że zatem wobec instytucyj krajowi nadanych powinny ustać manifestacje i śpiewy; że on ręczył cesarzowi, a teraz wzywa wiernych, aby czynem zatwierdzili jego słowa. W tym duchu mówił, stawiając ciągle obok obietnic, za które swoje dawał słowo, obowiązek spokoju i wierności. Tu z ławek zuchwałe odezwało się zaprzeczenie, które pominął, i skończył mowę modlitwą. Kazanie to, zacne, szczere, nie było może zręczne, ale podówczas takie było opętanie umysłów i parcie Rządu, który już przybrał miano narodowego, że choćby anioł z nieba przemawiał, nie byłby skutku osiągnął. Arcybiskup, powołany przez Wielopolskiego, zaczął łącznie z nim działać, ale wpadłszy w nowe żywioły w Warszawie, nie mógł długo opierać się ich wpływom, tem bardziej, że wielu najzacniejszych kapłanów, jak np. Rzewuski, uważało ruch objawiający się pod formą religijną za zbawienny dla Kościoła. Było w tem nieco prawdy. Ja sam, tak przeciwny stawianiu krzyżów, konspirowaniu księży, świętokradzkim przysięgom, uważałem potęgujące się uczucie religijne. Ci, co w złej wierze chcieli go użyć tylko za narzędzie, popełniali hipokryzję, ale skutek był odwrotny od tego, którzy zamierzali.

Natychmiast po powrocie z Warszawy wyjechałem do Rzymu z moją żoną i córką Jadwigą. Nuncjusz w Wiedniu dał mi do kardynała Antonellego ważne depesze. Opisywać wrażenia podróży, rzecz próżna; co żywsze znajdą się poniżej. W Rzymie, w Watykanie, sprawa polska żywo zajmowała najwyższe sfery. Leon Rzewuski, który już oddawna bawił w Rzymie, uprzedził, że ma przyjechać taki, który najlepiej zna stosunki kraju i na którego zdaniu polegać można. Nie dał mi spokoju, nalegając, abym natychmiast żądał audjencji u Ojca św. Nazajutrz po przyjeździe oddałem kardynałowi Antonellemu depesze od nuncjatury wiedeńskiej i miałem z nim rozmowę, której treść spisaną tutaj dołączam.[1] Przez monsignora Pacca, mi-

[1] Aneks IV.

strza ceremonji, zażądałem audjencji u Ojca św. Kilka dni upłynęło, zanim ją otrzymałem. Miałem czas rozpatrzeć się w położeniu, głównie co do naszej sprawy. Czuć było walkę dwóch prądów w otoczeniu papieża. Kardynał Antonelli, wytrawny polityk, osobie papieża oddany, może obojętniejszy na sprawy Kościoła, pragnął utrzymać stosunki z Rosją. Wobec ustępstw, które rząd rosyjski robił polskiemu i katolickiemu żywiołowi, pragnął uregulować stosunki z tym rządem ustanowieniem nuncjatury w Petersburgu, na co się car zgadzał; negocjacje pod tym względem były nawet o tyle posunięte, że w Rzymie naznaczono przyszłego nuncjusza w osobie monsignora Berardi. Wybór zdawał się niebardzo właściwym; nadto obawiano się, aby nuncjusz, raz przez rząd oszukany, albo pozyskany, nie działał szkodliwie na duchowieństwo. Prócz tego miano mu zakazać bezpośredniego stosunku z biskupami.

Bawił podówczas w Rzymie u swej ciotki, ks. Odeschalchi, młody 28-letni Polak, Włodzimierz Czacki, słabowity, odludek, który miał kiedyś odegrać ważną rolę. Przez ciotkę zbliżył się do Piusa IX-go. Gorliwością, rozumem, dowcipem pełnym soli attyckiej, choć gryzącej, pozyskał serce i zaufanie Ojca św. Miał przyjaźń z kardynałem Reisachem, który już stał na wysokim stopniu, a nie lubił kardynała Antonellego. Czacki Antonellego nienawidził. Zaczęła się skryta, choć napozór nierówna, walka. Antonelli polskiej sprawie przeciwny, Ojciec św. dla Polski łaskawie usposobiony, choć, zasmucony niektóremi objawami, nie umiał zdać sobie z nich sprawy. Wpośród takich to krzyżujących się prądów wypadła moja u Ojca św. audjencja.

Przyjęty sam na sam, w małym gabinecie, po zwykłem potrójnem przyklęknięciu, zacząłem od podziękowania, że syna mojego, Jana, który w wojsku papieskiem służył, odznaczył orderem. Następnie — ponieważ był uprzedzony, że wprost z Warszawy przyjeżdżam, — zacząłem mówić o wypadkach, arcybiskupie, i prosiłem o pozwolenie odczytania memorjału. Gdy zezwolił, odczytałem część memorjału, który tutaj dołączam [1] wraz z treścią rozmowy, spisaną zaraz po wyjściu z audjencji. Pius IX zrobił na mnie wrażenie człowieka rozumnego, gwałtownych uczuć, niezmiernej w boską swoją misję wiary, przenikliwego, a z wielkiem wewnętrznem uznaniem dla uczucia religijnego w Polsce.

[1] Aneks V.

Z osnowy pism moich widać, jak sam w poglądach nie mogłem się oprzeć ogólnemu prądowi opinji. Słowa były zgodne z przekonaniem, ale na przekonanie wpływała chęć dopomożenia sprawie narodowej przez Kościół, a wzmocnienia tem samem sprawy Kościoła w narodzie. Szczerze powiedzieć mogę, że ostatni powód był głównym bodźcem mojego działania. Młody podówczas i świecki jeszcze Czacki Włodzimierz działał w tymże duchu; osobliwy człowiek, w Paryżu wpośród wpływów Krasińskiego i Branickich, w bliskich stosunkach z wszechmocnym podówczas hr. Morny, zachował swoje zasady. Bez urzędu, choć młody i świecki człowiek, miał już w Rzymie stanowisko, które wzmacniała poufała przyjaźń z monsignorem, później kardynałem Franchim. Gotująca się solenność beatyfikacji męczenników japońskich gromadziła niezmierną ilość biskupów i duchownych w Rzymie. Spotykałem wielu dawnych znajomych: kochanego du Lac,[1] Gerbet, biskupa z Perpignan, Williama Vaughan z Courtfield, biskupa Plymouth. Poznałem Veuillot'a, Manning'a, kardynała Wiseman'a, Haynald'a, kardynała Marini, może najbardziej politycznego człowieka w Rzymie, biskupa orleańskiego Dupanloup. Niełatwo było wydołać obcowaniu z takimi ludźmi i zwiedzaniu obcego miasta. Zajęte, a raczej trzymane w karności przez garnizon francuski, miało ono jeszcze nietylko rząd papieski, ale odwieczną swoją, nie stolicy Włoch, ale stolicy świata, fizjonomję. Może brudne, może niedbale utrzymane, ale oryginalne, malownicze, wyjątkowe. Zastałem jeszcze kozy na Forum, *mercanti di campagne*, pędzących dzidami stada wołów, sznury powózek ze sianem, na których czele Matka Boska, piperajów i kuchnie pod gołem niebem w okolicach Panteonu. Cała służba Watykanu ze szwajcarami, liberją, szambelanami na służbie to w pałacu, to u św. Piotra. Słowem zewnętrzne szczątki całego średniowiecznego ustroju. Jeździł papież po Rzymie ośmioma końmi, w szklanej karecie, z forysiami w perukach, przed nim krucyfer na białym mule. Lud się korzył, a spisek zgrzytał i agitował. Sam słyszałem mówcę ludowego, jak opłakiwał upokorzenie Włoch, a utyskiwał na przewagę duchowieństwa. Większość ludności była niewątpliwie katolicka i papieska, ale co znaczy większość wobec zorganizowanego spisku, zwłaszcza we Włoszech, gdzie odwaga cywilna rzadsza, niż w innych społeczeństwach. Na triduach[2] pełno kobiet w kościele, ale odezwać się śmiało nie było komu, a nawet wysoko

[1] Długoletni redaktor bardzo wpływowego dziennika *L'Univers*.
[2] Nabożeństwo trzechdniowe.

położeni duchowni mówili mi, że niepodobna ludu użyć do obrony, jakoby dłatego, że raz rozbudzona jego namiętność nie zna granic. Mimo to dziękuję Bogu, że widziałem jeszcze Rzym prawdziwy i Papiestwo w całej swojej, nawet doczesnej, świetności. Cokolwiek się mówiło lub działało, było w odniesieniu do tej władzy, która obejmowała lądy i morza, a w Rzymie była jedynym ośrodkiem życia i interesów. Stara rzymska szlachta wiernie tron papieski otaczała, choć nie brakło już tu i ówdzie odstępców; tak książe Sermonetta, z prastarego Gaetanów rodu, czynił opozycję Ojcu św. i gromadził około siebie wolnomyślnych. Ciekawa to była osobistość, a że w pierwszem małżeństwie pojął był sławną z rozumu Kałikstę Rzewuską, siostrę moich przyjaciół, więc zawarłszy znajomość, bywałem w Palazzo Gaetani, gdzie Momsen, Gregorius, bywali też częstymi gośćmi. Szwagrowie zacięte prowadzili dysputy, bo Leon był papistą. Oprócz księżnej Odescałchi i hrabiny Malatesta innych domów nie odwiedzałem. W ostatnim spotykałem sławnego fortepianistę Liszta i historyka Reumont'a. Nie było czasu ani chęci do światowego życia. Duchowe skupiało się w stosunkach ze znakomitym dominikaninem, O. Bianchi, artystyczne w wspólnem zwiedzaniu Rzymu. Najlepsze zwiedzanie, a największe użycie zwiedzać samemu bez żadnego przewodnika, odnajdywać to, co nieznane, chować wrażenia w sercu i pamięci. Ale na to trzeba mieć dużo czasu, spędzać w Rzymie lata całe. Na miesięcy parę potrzeba przewodnika. W podziemiu św. Klemensa spotykam Czecha Barvitiusa, architekta ambasady austrjackiej, zawiązuję wobec sławnych fresków znajomość, i odtąd był nam niezrównanym przewodnikiem, a został przyjacielem. Ceremonje rzymskie niebardzo mnie pociągały, choć układ ich, przez Rafaela naszkicowany, niezrównanego wrażenia. Do badania sztuki i starożytności miałem zawsze za mało czasu. Zato użyłem zwiedzając Kampanję rzymską, to pieszo z kawalerem Rosa, to konno z Barvitjusem, to powozem, jak do Subiaco i Albano. Nic Kampanji rzymskiej nie dorówna, a nikt jej tak nie opisał jak Lamennais w swoich *Affaires de Rome*, i to kiłku szkicami. Odnowione znajomości z ludźmi, których poznałem w Angłji i Francji, rozszerzyły sferę poglądów, choć w tym czasie była ona ograniczona naszą sprawą.

Powracałem przez Florencję, Genuę, Lago di Como, Via Mala, przez Szwajcarję, Norymbergę, którą, na nieszczęście, oglądaliśmy po Florencji. Mimo miłości dla niemieckiej sztuki, wydała się ciężka, niedość duchowa, choć Niemcy więksi spirytualiści niż Włosi.

W Dreźnie zabrałem córki, będące tam chwilowo na pensji, i przez Nissę wróciłem do Krakowa, w sam dzień kiedy mój syn, Paweł, biret doktora prawa otrzymał. Przyjechawszy zmęczony, bo wycieczka do chorego Manna do Ems była bardzo nużąca, zastawszy umysły wzburzone ciągłą agitacją i biegiem wypadków, dostałem zawrotów głowy. Przeszły, powróciłem do Kurozwęk, świetnie pod ten czas przez syna mego, Jana, gospodarowanych. Równocześnie kiedy Marcin dzierżawił Ruszczę i dom tam budował, Paweł rozprawą konkursową zdobył katedrę prawa rzymskiego w Szkole Głównej w Warszawie i udał się na rok do Lipska, aby jeszcze w swoim doskonalić się przedmiocie.

Wielopolski przeprowadził swoje reformy, Rada Stanu już funkcjonowała; organizował Rady Powiatowe, mimo zaciętej opozycji Rządu Narodowego, przeprowadził oczynszowanie, a pragnąc podnieść w godności i rzeczy autonomję Królestwa, sprawił, że namiestnikiem został brat cesarski, W. Ks. Konstanty. Wielki Książę nietyłko z radością przybył, ale uprzejmością obejścia wskazywał, jak bardzo mu szło o pozyskanie popularności w kraju, który mógł się stać dla niego *secundo-geniturą*. Spisek, który skrytobójczo chciał pozbyć się Wielopolskiego, a kraj teroryzował, próbował zamordować przybywającego brata cesarza. Dziwne usposobienie w Petersburgu i to wyrozumiało, fakt ten jednak zachwiał stanowisko Wielopolskiego, skoro zrozumiano, że kraj za nim nie stoi, a koncesje nową tylko wywołują zuchwałość. Tu warto zapytać, jaki mógł być cel Rządu Narodowego, gdy odtrącał najzbawienniejsze instytucje i polityczne konstelacje? Chciał powstania. Ale czemu go chciał, ani nie przygotowawszy sprzymierzeńców, ani nawet nie uprzedziwszy cesarza Napoleona? Powstanie kraju otoczonego przez rozbiorowe rządy, wobec armji zorganizowanej, jakież mogło mieć nadzieje? Na coś rachować musieli, — czy na rewolucję w Rosji? Piszą wiele o tem, dotąd na to nie odpowiedzieli pytanie. Głupstwo nadęte próżnością, natchnione sekciarskim fanatyzmem, na swoją rękę samobójcze rozpoczęto dzieło, a ponieważ powaga i stanowisko szlachty było już podkopane, zwróciło się do klas średnich, których zdolności właśnie były do miary tych usiłowań. Szlachta naraz poczuła się osaczoną, bez gruntu pod nogami. Należało stanąć z rządem albo ze spiskiem; na pierwsze brakło odwagi. Jednych straszył teroryzm, liczniejszych trwożliwe sumienie, obawa, żeby nie dopisali obowiązkom względem Ojczyzny. Kiedy po zamachu na Wielopolskiego zredagowałem adres do niego, aby go Rada Powiatowa podpisała, nie znalazłem ochotnych.

Tak wyczekiwano w bezczynnej trwodze wypadków. Zdawało się, że kiedy Wielopolski uzyskał współudział ludzi jak Aleksander Ostrowski, kiedy złożył Radę Stanu z obywateli najświatlejszych, bez względu na ich pochodzenie, — zdawało się, mówię, iż poprą go stronnictwa. Próżna — jak opowiem — nadzieja. Spisek usiłował rozpędzać zgromadzenia wyborcze do Rad Powiatowych, a członkowie Rady Stanu nieśmiało stawali obok tego, który ich powołał. Aby zdać sobie sprawę z położenia, pojechałem w grudniu do Warszawy. Obok Komitetu czerwonego utworzył się (bo trudno powiedzieć: zorganizował) Komitet biały. Poco, nie wiem, bo nie poto, aby Wielopolskiego popierać, ale chyba poto, aby pod pozorem miarkowania Komitetu czerwonego dodawać mu siły. Licznie złożony, liczył ludzi zacnych, jak Górscy, Kurz, Gruszecki, Węgliński, i zapalonych, jak Tadeusz Lubomirski itp. Zręcznie, a jak zwykle podstępnie, utrzymywał z tem gronem stosunek Kronenberg, spowinowacony z Rządem Narodowym. Taki stan narzekania i bezradności zastałem w Warszawie. Była to właśnie chwila, kiedy nastało pewne nieporozumienie pomiędzy W. Księciem a Wielopolskim. Przypisywano Węglińskiemu chęć zajęcia stanowiska margrabiego; co pewna, — to że Węgliński narzekał, iż Wielopolski, nieufny względem wszystkich, żądał nieograniczonego zaufania a odtrącał każdą samodzielną indywidualność. Widząc tak szkodliwe rozdrażnienie, chociaż od lat dwóch żadnych nie utrzymywałem z Wielopolskim stosunków, otrzymałem od Węglińskiego przyrzeczenie, że natychmiast pójdzie do naczelnika rządu, w jak najłagodniejszem usposobieniu, z prośbą, aby mu wskazał cel, do którego dąży, a z przyrzeczeniem szczerej pomocy. Po godzinie Węgliński wraca rozdrażniony oświadczeniem, że „albo jest zaufanie, albo go niema, a jeśli jest, pytanie zbyteczne". Czy Wielopolski podejrzywał Węglińskiego, czy myśli swej odkryć nie chciał? Czy nieujeżdżony a zirytowany ten charakter nie zniósł zapytania od człowieka, który mu był wstrętny? Dość, że krok ten nie zbliżył, ale oddalił. Każdy pytał: będzie powstanie, czy też nie? Ja czułem, że nieuniknione. Pana Andrzeja nie było już w Warszawie. Powołany do Petersburga, w rozmowie z cesarzem dał wyraz swej otwartości i odwadze, ale nie politycznej zręczności.

ROZDZIAŁ XV.

Powstanie 1863 r.

Wracałem do Kurozwęk przed samemi świętami, a razem ze mną jechał Wrotnowski. „Czy będzie powstanie? Ja rozumiem, że nie". „Ale czemuż te ruchy nieustające". — „Co pan chcesz? od r. 1860, im więcej żądają, tem więcej dają". Oto było usposobienie najmniej gorących ludzi.

W początku stycznia liczne obywatelstwo zbliska i zdaleka chciało zebrać się u mnie w Kurozwękach na naradę. I owszem. Wobec trzydziestu może zebranych wyłożyłem moje zapatrywanie, i widziałem, że nie było ani jednego spiskującego. Wtem nieproszony i niespodziewany nadjechał Gołemberski, ajent Rządu Narodowego. Nie zmieniłem tonu dyskusji, ale zaraz kiłku zebranych w poufną wdało się z nim rozmowę.

W kilka dni potem wybuchło powstanie koło Kielc, w lasach kozienickich itd. Zaledwie wiadomość przyszła do miasta powiatowego, Stopnicy, żandarmerja i Kozacy opuścili miasto. Czy z obawy, czy aby wywołać ludową reakcję? Dla mnie było jasne, że szlachta powinna była z ludem wiejskim stanąć przeciwko ruchowi; powtarzam: nie z wojskiem ani żandarmerją, ale z ludem. Na zebraniu w Zborowie głośno to postawiłem. Nie było ani dosyć odwagi, ani politycznego poglądu. Pobyt na wsi był straszny; rząd gdzieś się utajał, wiadomości skąpe, kierunku żadnego. Gdzieś jakiś Langiewicz zbiera kupy koło Opatowa, wysyła emisarjuszów. Jeden z takich, w osobie reformata, przybywa do Kurozwęk; pożywiony, odprawiony został, jak należało; miał jednak czas ludzi moich buntować, groźby na mnie miotać i zemstę Langiewicza obiecywać. Toteż kiedy zbliżył się do Staszowa i szukać mnie kazał, odjechałem do Wójczy. Dwa szwadrony huzarów wyparli powstańcy ze Staszowa: taki jednak jest dua-

lizm w poczuciu serc naszych, kiedy widzimy choćby pozór narodowej sprawy, że miotała mną ochota, by rzucić się w tę walkę i znaleźć w niej koniec. Powstańcy ruszyli ku Małogoszczy, a ja do Warszawy. Tę samą bezradność spotkałem pomiędzy moimi.

Na jednem zebraniu, podobno u Górskiego, powracam do myśli, by z ludem stanąć przeciwko powstaniu. Przeciw temu występuje Tadeusz Lubomirski z największą pasją: uznaje ruch, jako już dziś konieczny i białym popierać go każe. Na zebraniu byli obecni: Górscy, Kurz, Węgliński, Golz, a zatem wielu członków ówczesnej Rady Stanu. Że powstanie Napoleonowi III wypadło nie na rękę, każdemu wiadomo; wysyłano agentów i z jednego i z drugiego Komitetu, bo jedni mieli dostęp do cesarza, drudzy do ks. Napoleona. Takim, zdaje się, był Rembieliński. W pośród narad jeden z radców stanu oświadcza, iż od cesarza francuskiego jest wskazówka, aby wszyscy radcy stanu podali się do dymisji, bo to będzie dopiero dowodem, że kraj pod żadnemi warunkami z rządem rosyjskim porozumieć się nie chce. Na to zabieram głos, twierdząc, że to być nie może, że jeżeli cesarz chce pomóc, to dziś potrzebuje jeszcze utrzymania stosunków prawnych w Królestwie. Powstaje dyskusja. Ha! gdyby kto mógł dotrzeć do Paryża i stanowczą mieć wiadomość? Na to ja: „Mam paszport w kieszeni i natychmiast jadę; czekajcie z dymisjami, aż wam telegraficznie dam wiadomość".

W dwa dni byłem w Paryżu. Niebardzo było łatwo znaleźć stosunki. Pan Drouyn de Lhuys nie był obecny. Pierwszy radca ministerjum spraw zagranicznych był człowiekiem ograniczonym, doniosłości sprawy nie rozumiał, o stosunkach w Królestwie nie miał wyobrażenia, a ponieważ nie wiedział, jakie żywioły ruch rozpoczęły, kładł nacisk na to, aby wielkie imiona dały firmę. Tu nie było co mówić i robić. Pan Andrzej Zamoyski nie miał stosunków, w otoczeniu ks. Czartoryskiego rozumiano, że przyjeżdżam od margrabiego.

Udałem się do Walewskiego. Przyjął mnie bardzo zimno, zapytał, od jakiego grona przybywam i co mam powiedzieć? Wyłożyłem spokojnie całe położenie i jego grozę, stanowisko ludzi uczciwych w obu wypadkach, które rozum i prawdziwy patrjotyzm potępia, a z któremi fatalność liczyć się każe. Opowiedziałem, jakie zaprowadzono instytucje, czem jest Rada Stanu, i że przyszła z Paryża taka wskazówka: ponieważ urzędowanie ludzi poważnych jest dowodem, iż kraj godzi się z obecnym porządkiem, przeto cesarz jest zdania, że powinni podać się do dymisji. Zapytują przeto za mojem po-

średnictwem, czy istotnie takie jest zdanie i wola cesarza? Na to minister: „Mogę pana zapewnić, że nigdy myślą cesarza nie było, by uważać udział obywateli w rządzie Królestwa Polskiego za szkodliwy i dawać wskazówki, aby z Rady Stanu występowali. Może zajść wypadek, kiedy byłoby to potrzebne, — dziś byłoby to niepolitycznie, i możesz pan zapewnić, że cesarz nie insynuowałby tego nikomu".

W ciągu rozmowy minister stawał się poufalszym, mownym, i tak się dalej wyraził: „Powstanie wypadło dla nas niespodziewanie, nawet niewcześnie, ale starajcie się, aby ludzie porządku mieli w nim udział i kierunek, bo jeżeli go pochwyci partja skrajna, rewolucyjna, toć niepodobna, żebyśmy uznawali nad Wisłą tych, z którymi tu walczymy nad Sekwaną". Zapytał o osoby wchodzące w skład grona, które mnie wysłało, a dowiedziawszy się, tak dalej mówił: „Z panem rozmawiam jako prywatny człowiek; tajników polityki cesarza nie znam, anibym o nich mówił, ale panu powiem, że jakkolwiek ruchy to małoznaczące, jednakże od rozbiorów kwestja polska nie była nigdy tak postawiona jako europejska jak dzisiaj". Kiedy widział moje zdziwienie, dodał: „Ażeby pana przekonać, jak dalece to prawda, opowiem, o czem nikt w Paryżu dotąd nie wie, że dziś ks. Metternich wyjeżdża do Wiednia z propozycjami cesarza". Moje zdziwienie rosło. „A więc czegóż możemy się spodziewać?"—„Królestwa z konstytucją r. 1815 z ujściem do morza *(avec un débouché sur la Baltique)*".

Zapewniwszy ministra, że w Paryżu słowa o tem nie powiem, a w Warszawie tylko ludziom pewnym (co też dotrzymałem święcie), telegrafowałem do Warszawy i śpieszyłem się opuścić Paryż, przedtem jednak chciałem widzieć ks. Władysława Czartoryskiego.

Było to mniej łatwo niż z ministrem, bo książe był otoczony ludźmi, którzy mnie podejrzywali. Wkońcu miałem z nim długą rozmowę. Ciężki był stan tej zacnej, poświęconej i podniosłej duszy. Słów cesarza mu nie powtórzyłem, ale stały się one przyczyną klęsk długich, a w następstwach strasznych. Sprawiły, że nikt nie skorzystał z amnestji ogłoszonej w kwietniu, nawet ludzie najpoważniejsi nie śmieli doradzać, aby w związku z amnestją, kiedy jeszcze Wielopolski był u steru, rozpocząć ugodową z rządem rosyjskim akcję.

Powróciwszy do Warszawy, nie zastałem już w Radzie Stanu tych, na których prośby i w których interesie jeździłem do Paryża. Nie mogli wytrzymać presji spisku.

Zanim było wiadomo, jaki był skutek misji ks. Metternicha i los depeszy lorda Russel, wstrzymanej telegraficznie, zanim kurjer zdo-

lal je w Petersburgu oddać, pod wpływem zwierzeń Walewskiego i słów cesarza Napoleona do ks. Czartoryskiego przypuszczałem możność i obowiązek działania naszego obozu. Rząd rosyjski okazywał się chwiejnym i osłabionym, stanowisko Austrji zagadkowem, Francja i Anglja sprzyjające, Prusy na głowę nieprzyjazne, ale jeszcze cała potęga polityczna ks. Bismarcka nie była znana. W takiem położeniu, po haniebnej rozsypce powstańców pod Grochowiskami, zwołałem w Krakowie około trzydziestu najpoważniejszych ludzi i przedstawiłem całe położenie, z konkluzją, aby, skoro honor oręża polskiego został zakwestjonowany, wziąć udział w walce, choćby gardła przyszło nadstawić, ale pod warunkiem, że rozwiąże się Rząd Narodowy a kierunek wezmą ludzie, którym kraj i zagranica zaufać mogą; przytem oświadczyłem wkońcu, że w każdym razie nie poddam się Rządowi Narodowemu: czy w licznem gronie, czy choćby sam, oponować mu będę. Zgoda — i uchwalono posłać do Warszawy Chwaliboga z takiem od nas oświadczeniem i żądaniem, aby się Rząd Narodowy rozwiązał.

Równocześnie kiedy w Krakowie ukonstytuował się komitet, złożony z Koźmiana, Wodzickiego, Lewieckiego, Tarnowskiego, Bauma, Milewskiego, Benoego i innych, który choć kierunkiem Rządowi Narodowemu przeciwny, ulegał mu i powstanie popierał, w myśli, aby nie wszedł na bezdroża, — wstąpił do organizacji wojskowej syn mój, Jan.

Już Wielopolski postawił był kwestję gabinetową, a Berg przysłany. Powstanie styczniowe, walka rozpoczęta, mordy skrytobójcze, rozdrażniły opinję w Rosji. Ruch nasz przybierał coraz bardziej barwę narodową: przeciwnicy Wielopolskiego u dworu, wskazując na nieudane jego dzieło, zyskiwali stanowisko i zaczęli oddziaływać na opinję, — nie wiem, czy za pośrednictwem organizacji spiskowej, zawiedzionej przez nas w swoich nadziejach, czy za pośrednictwem narodowego patrjotyzmu. Na całym obszarze rozlegało się olbrzymie *hurra!* zręcznie podtrzymywane przez liczne broszury, które miały budzić i budziły patrjotyzm i fanatyzm. (Najciekawsza p. t. *Prawda polska i krzywda ruska,* w tysiącach egzemplarzy rozsypana).

Rozbite, zwaśnione stronnictwa w Rosji zaczęły się łączyć i porozumiewać, to, co się rozpadało, jednoczyć; choroba toczyła ją wewnątrz, ale postęp choroby wstrzymywało żelazo rozpalone, które przyłożyliśmy do ciała Rosji, uzdrawiając ją w ten sposób i do jednolitej siły przywracając na własną naszą szkodę. Tylko w rozkładzie

i w fazie przekształcenia mogła nam dać koncesje z r. 1862. Ludzie r. 1863 uleczyli ją, podnieśli do żywotności, którą odtąd okazuje, i usposobili do skutecznego działania na upadek społeczeństwa naszego za pośrednictwem Komitetu Urządzającego.

Krakowski Komitet był, jak wzmiankowałem, złożony z ludzi młodych, którzy, różniąc się co do zasad z Rządem Narodowym, nie chcieli jednak dać mu się prześcignąć w patrjotyzmie. Skrytobójcze jego wyroki potępiał, starał się jednak o organizowanie wypraw, które Królestwo niepokoić, a powstanie, wedle cesarskiej rady, utrwalać miało. Tak więc podówczas, na wiosnę r. 1863, istniały w Krakowie dwa rządy: Narodowy, ze swoją policją, naczelnikiem (aptekarz Aleksandrowicz) i żandarmerją, i Komitet krakowski, mający dawać barwę czysto narodową ruchowi i organizować oddziały. Komitet krakowski sprowadził Zygmunta Jordana, który w wojnie tureckiej, w Azji, dał dowody talentu. Przybyli w Wielki Tydzień do Krakowa ks. Sapieha i Rogier Raczyński. Z obydwoma zszedłem się pod Baranami. Raczyński był to genjalny warjat, żyjący frazesami i chęcią wywołania wrażenia, — zresztą szlachetny. Sapieha, więcej praktyczny, nie mniej pałał chęcią odegrania roli. Z Raczyńskim nie było co mówić. Sapieha wspomniał o organizacji korpusów w Galicji wschodniej; na to ja: „A poco?" Zacząłem dokładnie przedstawiać nieużyteczność i niebezpieczeństwo wywoływania albo popierania jakiegokolwiekbądź ruchu, na Wołyniu lub Podolu. W tej fazie naszej sprawy nazywałem nawet wszelkie działanie w tym kierunku zbrodniczem. Wkońcu uznał to Sapieha i przyrzekł, że ręki nie przyłoży do organizowania wypraw do zabranych krajów. Czy dotrzymał?

Komitet krakowski gotował pod kierunkiem Jordana wielką wyprawę w Krakowskie. Mój syn Jan, wojskowy, wskutek wiadomości czy obietnic, jakie przywiozłem z Paryża, uważał zgodnie ze mną, że nie może bezczynnie patrzeć na wypadki. I to jest prawdziwie tragiczna w naszych powstaniach sytuacja: Gdy krew się leje, choćby bezużytecznie, gdy jedni poświęcają się w szale i giną, czy wolno obwinąć się w płaszcz roztropności i patrzeć bez udziału? Zwycięża tu więc nie rozumowanie, ale uczucie, i dlatego należy każdą niewczesną sprawę przytłumić, odosobnić, powagę ludzi, co jej przewodzą, potępić, poświęcając bezwzględnie tych, co dla swej próżności lub szału gotowi cały kraj narazić.

Sześć tygodni zupełnie wystarczyło, aby zorganizować, wyćwiczyć (choćby zgrubsza) i uzbroić t. zw. korpus Jordana. Główny od-

dział miał prowadzić mój syn, Jan. Już kilka tygodni bawił to w Chorzelowie, to w innych miejscowościach, ucząc i organizując tę zbieraninę, którą miał prowadzić na nieprzyjaciela karnego i wyćwiczonego. Rząd austrjacki niejasną i niezrozumiałą odgrywał tu rolę. Niby ścigał powstańców, kazał do nich dać ognia, kiedy Wisłę przechodzili, ale patrzał przez szpary na gromadzenie ludzi, sprowadzanie broni, itd. Pojechałem w połowie czerwca z żoną do Chorzelowa pożegnać Jana. Moja żona zawsze była pełna męstwa, choć całą sprawę uważała za szkodliwą i szaloną. Błogosławiliśmy mu oboje; trudno powiedzieć, z jakiem uczuciem. W nocy z 19 na 20 czerwca ruszyła wyprawa: Wisłę przeszedł korpus brodem. Uformowany jako tako, ruszył ku Komorowu. Tam spotkano oddział rosyjski, skoncentrowany głównie w stodole. Mój syn Jan, chcąc ten punkt zdobyć, a zaprawić młodego żołnierza, prosi Jordana, by pozwolił uderzyć bagnetem; ochotników kilkudziesiąt staje, idą do ataku. Rosjanie z za płotu sypnęli z karabinów, i z tych, którzy dotarli do stodoły, padło mnóstwo — Jabłonowski, Brockhausen. Juljusza Tarnowskiego, stojącego obok mojego syna, położył z rewolweru Jeremief, porucznik komenderujący oddziałem; porwał go Jaś z drugim żołnierzem i unieśli umierającego. Rozpoczął się bój nierówny wojska regularnego z ochotniczem; mniejszość, natchniona, z zapałem ginęła, większość w rozsypce dążyła w odwrocie ku Wiśle. Stracił konia Brodzki, kapitan austrjacki, ledwo z tyfusu powstały, i bezsilny czeka śmierci albo niewoli. Jaś go spotyka, zsiada ze swego konia i oddaje mu go; sam piechotą. Opuszczony, po dwóch nocach bezsennych, twardym snem zalega na trawie. W parę godzin żołnierze rosyjscy obdzierają, żyjących dobijają. Budzi się, a nad nim stoi żołnierz, zamierzający się kolbą w jego głowę. Dobywa z kieszeni imperjałów dziesięć i ruble w pularesie, daje żołnierzowi, który mówi mu: „budiesz żyw" i woła na kolegów, że ten już umarły i obrany. Jaś tak był zmęczony, że obrócił się na drugą stronę i twardo zasnął. Dopiero chłód nocny go zbudził; doszedł do chałupy, w której pożywiony kazał się doprowadzić do Oleśnicy, gdzie mieszkał mój przyjaciel Zaborowski.

Działo się to w sobotę. W niedzielę rano głucho o wyprawie Jordana w Krakowie; koło południa wieści coraz gorsze; w Komitecie nic nie wiedzą. Ku wieczorowi słychać, że Jordan pobity, Jaś ranny. Wieczór wyjeżdżam do Tarnowa koleją, ze mną Tadeusz Lubomirski; w rozmowie przypominam mu, jak gorąco w Warszawie za powsta-

niem gardłował. „Ja nigdy nie wierzyłem ani wierzę w jego powodzenie, ale jestem Lubomirski i popierać powstanie muszę“. Po tem oświadczeniu lat dwadzieścia do niego nie gadałem.

Z Tarnowa ruszyłem ku Wiśle pośród złowrogiej łuny palącego się przy drodze dużego folwarku. Pod Szczucinem zboczyłem do Woli Szczucińskiej, aby języka zasięgnąć. Wiedziano o porażce nie więcej niż ja. Przeprawiam się. W Żabcu dużo rannych. Wstępuję, a we dworze leży kilkunastu umierających i trupów; Jasia niema, ani o nim wiadomości. W Beszowej na cmentarzu leży wiele umarłych: przyjeżdżam, znajduję ciało Juljusza Tarnowskiego i innych. Jasia niema. Dowiaduję się, że podobno u Zaborowskiego. Jadę ku Oleśnicy i spotykam go jadącego do Wójczy. Rozmowy nie było żadnej. W Wójczy przeprzągłem konie i natychmiast ku Wiśle. Straszny był kwadrans na komorze, bo na Jasia paszportu nie było. Z umysłu spojony naczelnik straży był nieobecny: na Ratajach puszczono. Dopiero na promie odetchnąłem. Stanąwszy na austrjackim brzegu upadliśmy na kolana, dziękując Bogu, że zachował życie a wybawił od niewoli. Niech tu zostanie ślad i głupstwa naszego, i mojego bólu, i pięknej syna mojego odwagi.

Wyprawa, tak zwana J o r d a n a albo wyprawa pod K o m o r ó w, organizowana w Galicji przez ludzi względnie roztropniejszych (boć w Komitecie zasiadał Koźmian, Stanisław Tarnowski, Baum i i.), była podjęta w myśli utrwalenia powstania aż do chwili interwencji zagranicznej, czyto na dyplomatycznej, czy na innej drodze. Misja od Napoleona do Wiednia, za pośrednictwem ks. Metternicha, nie powiodła się. Niewątpliwie w związku z nią była nota lorda Russel do gabinetu petersburskiego, dosyć stanowczo przemawiająca w polskiej sprawie, tak jak ją były postawiły traktaty. Że ta nota nie doszła, że kurjer, który ją wiózł, został w drodze telegraficznie wstrzymany, wiadomo. Czemu? Zapewne wpłynęło na to dwuznaczne stanowisko Austrji i bardzo stanowcze Prus. O tem nie wiedzieli kierownicy powstania; a może, choćby wiedzieli, nie byliby mieli woli ani mocy wstrzymać szalonego ruchu, z którym, ponieważ trwał sześć miesięcy, zaczynało się rachować i sumienie narodowe. Mieli na tyle rozumu, aby wiedzieć, że takie wyprawy muszą kończyć się klęską, a postawa ludu wskazywała, że z niemi łączyć się nie będzie. Tłumaczyć ich można chyba nadzieją interwencji, albo, co gorsze, tem usposobieniem człowieka, który raz wszedłszy na drogę fałszywą, nie ma odwagi cofnąć się, ale jeszcze drugich za sobą ciągnie. Jak-

kolwiek było, Komitet organizował, przez maj i czerwiec, na wielką skalę korpus Jordana, spodziewając się pod takiem dowództwem ważnych skutków. Zygmunt Jordan, starszy brat Władysława, a syn Jordana z Jaroszowic pod Jędrzejowem, należał do tych, którzy zapoczątkowali ruch 1846 r.; od dziecka spiskował. Wszedłszy w służbę turecką, odznaczył się podobno w wojnach z Rosją w Azji i dosłużył stopnia pułkownika. Z partją rewolucyjną nigdy stosunków nie zarwał, był jednak niewątpliwie i zdolnym żołnierzem, i człowiekiem nieskończenie wyższym od czeredy, która za naczelników uważała Mierosławskich i Wysockich; wyższym zwłaszcza od brata Władysława. Korpus, zrekrutowany to ze zbiegów z Królestwa, to z ochotników galicyjskich, przedstawiał zbieraninę ludzi bez wojskowej wprawy, bez wyższego poczucia i karności. Formował się około Tarnowa, Pilzna, Chorzelowa, gdzie odbywał ćwiczenia w marszu, ale bez ręcznej broni. Pod Jordanem mieli dowodzić: mój syn, Jan, Niewiadomski, Neusser,[1] Zajkowski, oficerowie z wojska austrjackiego. Blisko osoby Jordana zajęli miejsce Ludwik Wodzicki, Juljusz Tarnowski, Jabłonowski, Dobrzański. Tego samego dnia Jordan po porażce cofa się ze swojem otoczeniem ku Wiśle; w braku łodzi Ludwik Wodzicki i Dobrzański przepłynęli rzekę i przysłali im z galicyjskiej strony łodzie. Opłakany wynik tej wyprawy nie wstrzymał nowych usiłowań, które podobny miały skutek.

W Rządzie Narodowym, który potrafił utrzymać tajemnicę, działały różne wpływy a powstawały burze; to najskrajniejsze, to łagodniejsze panowały w nim żywioły. Nie słabło jednak parcie, a objawiało się właśnie w tym czasie, przez lipiec i sierpień, częstemi skrytobójstwami, które powtarzały się i na krakowskim bruku od lipca do grudnia. Istnienie i władza Rządu Narodowego jest jedną z najciekawszych zagadek psychologicznych i politycznych. Jakiego i jak długiego było potrzeba anormalnego bytu, aby mógł nastąpić taki w umysłach i sumieniach przewrót, żeby cały naród, a przynajmniej jego część najprzedniejsza, poddał się władzy, której nie znał, w celach, które mu były ukryte, za pośrednictwem środków wstrętnych i zbrodniczych. Na jednych działał fanatyzm spiskowy, na wielu postrach, ale byli także ludzie do pewnego stopnia uczciwi, którzy sądzili, że Rząd Narodowy w sumieniu obowiązywać może.

---

[1] Ciężko ranny pod Komorowem, wyleczony w szpitalu w Kurozwękach i stamtąd przeprawiony do Galicji.

Ten tak zwany Rząd Narodowy tyle popełnil zbrodni, tyle na kraj sprowadzil nieszczęść, tak dalece podkopal nadzieje przyszlości przez obudzenie potęg demonicznych w Rosji, że zasłużył na przekleństwo u wspólczesnych i potomności. Ale członkowie jego mieli zaprawdę pomysly śmiałe, a zamiary swoje — mniejsza już, czy na dobre czy na złe — przeprowadzili po mistrzowsku. Już myśl sama uzurpowania wladzy w narodzie zdradza niezmierną znajomość jego charakteru. W rozkazywaniu Rząd nie waha się, byle być usluchanym; przed zbrodnią nie cofa się; w tajemnicy organizuje wszechwiedną policję. On — czego żaden rząd regularny nie dokonał, — szacuje własność nieruchomą i ruchomą i odpowiednie ściąga podatki. Wystarcza mu jego pieczątka, aby każdy obywatel podatek zapłacil, służyl za ajenta, poborcę, kurjera. Temu prądowi nie mógl oprzeć się człowiek indywidualny, bo prąd go zewsząd ogarnial. Proboszcz, sąsiad, oficjalista, służący, jednym tchnęli duchem, bo w tych sferach, które politycznie sądzić nie umiały, uczucie narodowe bylo wszechwladne. Bylo to trochę jak w Soplicowie: hejże na Moskali! Co do mnie, mimo zakazu Rządu Narodowego czynsz od włościan pobralem; mimo nakazu, osobiście doręczonego, aby go zwrócić, nie zwrócilem; a groźby były surowe. Każą płacić podatek; a byly chwile, w których znowu artykuły urzędowych gazet francuskich budziły nadzieje. Trudno stać zupelnie samemu. Naradzam się z politycznymi przyjaciólmi, czy placić, pytam Adama Potockiego. „Zaplaćmy, kiedy tamci krew leją". Raz zaplacilem, ale — mogę prawdę powiedzieć — tylko dlatego, że polityczni przyjaciele moi tego byli zdania.

Niestrudzony Komitet krakowski zapragnąl raz jeszcze urządzić wyprawę, pod wodzą mego syna Jana, a ponieważ cała mlodzież powąchała prochu, Waclaw, mój syn czwarty, gwaltem z nimi poszedł. Sromotnie opuszczeni przez oficerów, należących do ich wyprawy ale innego stanowiska, wpośród poplochu holoty, która do skladu ich korpusu należala, zaledwie z życiem i honorem powrócili. Rzadko w życiu tak ucierpiałem, jak w tych dniach, a może nigdy tyle nie doświadczylem milosierdzia Bożego.

Waclaw, chcąc ratować honor wyprawy, stanąl tak, że go nawet Rząd Narodowy w swoim rozkazie dziennym pochwalil. Straciwszy konia, goniony przez Kozaków, w domu szczególnie przetrząsanym, cudem ocalal, a niemniej szczęśliwie przez granicę do Krakowa się dostał.

Sam dojeżdżając od czasu do czasu do Kurozwęk, bawiłem ciągle w Krakowie, gdzie pod tę porę kilka skrytobójczych nastąpilo mor-

derstw. Walka, szalona ale heroiczna, słabła, zbrodnia, jak zwykle w takich chwilach, rosła; nie mogąc zwyciężyć rządu rosyjskiego, chciała mścić się na jednostkach, winnych lub tylko podejrzanych. Do dziś dnia nie znana mi jest liczba ofiar tego dzikiego fanatyzmu, ofiar podstępnie i niewinnie zabitych. Ohydny t. zw. Rząd Narodowy, obałamuciwszy sumienia, wykształcił sobie seidów, którzy na jego słowo i odpowiedzialność wykonywali wyroki, ściągające na kraj i Boskie niebogłosławieństwo, i hańbę u obcych, i zemstę Moskali. Czy zbytek cierpienia rozwiązywał tak sumienia? Nie; panowanie Aleksandra II po rok 1863 nie zostawiło śladów nietylko okrucieństwa, ale surowości, była to więc teorja terorystyczna fanatyków bez sumienia i moralnego poczucia. Że tacy się ludzie znajdą, cóż dziwnego? — serce człowieka nieokiełznane zasadami, to straszny potwór, ale byli tacy, skądinąd uczciwi, którzy usprawiedliwiali, jeśli nie pochwalali, tę aberrację; niewielu było, którzy mieli odwagę śmiało ją potępić.

Obłęd, jaki opanował część duchowieństwa, tłumaczy poniekąd to zjawisko. Byli księża, co jeździli z rozkazami Rządu Narodowego, na spowiedzi zapał ku sprawie zagrzewali; jakże się dziwić, że ludzie prości, poświęceni a wyegzaltowani udziałem w wielkiej sprawie, uzbrajali rękę sztyletem i trucizną. Znalazł się jednak w najcięższych chwilach kapłan, który i w Warszawie i w Krakowie, śmiało, bezwzględnie z ambony występował w obronie prawdziwych zasad moralności i patrjotyzmu. Był nim ks. Zygmunt Golian, na kazalnicy i z piórem w ręku bodaj czy nie najzdolniejszy ze współczesnych. Wśród podłych na Wielopolskiego zasadzek nie opuścił go ani na chwilę, ostrzegał kraj i młodzież, że na fałszywą wchodzą drogę, piorunował na skrytobójstwa, a zaprawdę trzeba było do tego odwagi. Nie znałem też człowieka odważniejszego, choć nieraz ze swoją odwagą nietrafnie występował; ale podówczas miał tem większą zasługę, bo nie pomnę, aby kto obok niego i ks. Bronisława, Kapucyna, śmiał publicznie karcić to, co w duszy swej potępiał.

Najstraszniejsze następstwa skrytobójstw tych leżały w tem, że całe powstanie 1863 r., politycznie szalone, narodowo zgubne, wojskowo upokarzające, okryły hańbą występku a usprawiedliwiały wściekłość Murawiewa. Weźmy przykład: Jeżeli przebito sztyletem takiego człowieka, jak marszałka Domejkę, to pytam się, czy ten czyn, jeśli nie usprawiedliwia, to czy nie może wywołać okrucieństw, które działy się w Wilnie w XIV pawilonie. *Abyssus abyssum invocat.* Jeden

teroryzm wywoływał drugi, i rozpoczęła się walka o lepsze, w której oczywiście zwyciężył ten, który większą rozporządzał siłą. Gdyby nie zbrodnie wywolane przez Rząd Narodowy, gdyby nie ten prąd niczem niewstrzymany a krwawy, który udało mu się wywołać, Murawiew nie bylby otrzymał pełnomocnitw do takiego postępowania. Cesarz Aleksander nie był początkowo srogi; jak każdy słaby, choć dobroduszny, raz skwaszony i zrażony, głównie charakterem krwawym, jaki powstanie na Litwie przybrało, oddał ją na pastwę człowiekowi czy zwierzęciu, którego instynkt doskonale pojmował, jak się wziąć do dziela zniszczenia. Poprzestajemy na obelgach dla jego pamięci: mało kto uważa, że jego systemat, jego środki, jego wskazówki panują na Litwie od lat dwudziestu, a kto wywolał Murawiewa, ten wywołał wszystko, co się na Litwie dzialo i dzieje.

Kiedy to piszę, obchodzi krakowska mlodzież uniwersytecka dwudziestą trzecią rocznicę powstania. Czy ślepi, czy szaleni? Czy nie widzą, co się dzieje na Litwie, w Warszawie, jakie padają ciosy z Berlina, ciosy, które nie byłyby możliwe, gdyby nie rok 1863; jak z korzeniem i bezwzględnie wyrywają żywioł polski, że istotnie zadać sobie możemy pytanie: czy wytrzyma to narodowość stosunkowo nie dość liczna, a mówiąc prawdę, w walce niebardzo dotrzymująca placu?... Gorzej niż ślepi i szaleni, — bo obałamuceni! Uczucie rwie się do obowiązku względem Ojczyzny, ale ono nie jest już tak czyste, jak bywalo. Zatrul je ferment rewolucyjno-demokratyczno-socjalny. Sprawy sobie z tego zdać nie umieją, czegoby chcieli, nie wiedzą, — wiedzą, czego nie chcą. Nie chcą hierarchji w społeczeństwie, powagi w wierze, prawa nakazującego obowiązki. Nie młodzież ta winna, ale winni ci, którzy ją psują, a w znacznej także części systemat nauczania.

Wracam do r. 1863. Ogrom nieszczęścia miotał silnie mojem sercem: powiaty ukraińskie we krwi tonęły; ks. Adama Sapiehę we Lwowie zaaresztowano, nie mogłem pohamować wezbranego uczucia i napisałem *Kilka słów do ks. Adama Sapiehy*.[1] Druk ciągnął się długo. Później powiem o tej publikacji; pisałem to we wrześniu, kiedy ostatki korpusów tułały się po świętokrzyskich lasach.



[1] Rzecz drukowana 1864 r., w osobnej broszurze, a później w *Pismach*, t. I.

ROZDZIAŁ XVI.

Stan kraju po powstaniu. — Komitet Urządzający. — Ks. Czerkaski. — Stosunki polityczne na Węgrzech i w Galicji.

Mój brat Wincenty został nominowany biskupem płockim. Rząd Narodowy zakazał go święcić i biskupi nie śmieli przestąpić tego zakazu, który dlatego tylko skutku nie otrzymał, że Plater, biskup *in partibus*, za pozwoleniem Stolicy św. sam jeden udzielił mu święceń.

Jadąc w odwiedziny do ks. Wincentego do Płocka, doświadczyłem ostrożności przez Rosję przedsiębranych, a patrzyłem także na płonące domy miasteczka Mrzygłód, w którym spaliło się kilkunastu powstańców. Mimo tej grozy czuć było, że służba na kolei w porozumieniu z powstańcami, a z wagonu można było widzieć wedety powstańcze na brzegach lasów. W wagonie spotykam agenta, zda mi się ważnego, Rządu Narodowego. On wiedział, kto ja jestem. Rozmowa i dysputa. Spiskowi, choć mnie potępiali, wiedzieli w duszy, że jestem dobrym Polakiem, mieli dla mnie względy, a może i szacunek. Kiedy chyliło się ku upadkowi powstanie, szukali pomocy ludzi politycznych i poważnych, których zrazu odtrącali. Mój ajent narzekał, że umiemy potępiać, a nie umiemy radzić i pomagać czynem. Wkońcu robi mi propozycję, abym wszedł do Rządu Narodowego, a nawet grozi za obojętność w udziale. Niebardzo mnie zatrwożył, ale dowiódł, że w tej fazie i chwili stronnictwo czysto rewolucyjne, zrazu tak harde, czuło niemoc. Ruch stał się narodowym, a jako taki był spiskowcom rosyjskim wstrętny; rząd rosyjski potrafił także wszelkiemi sposobami budzić w ludności wielkoruskich gubernij fanatyczną do Polaków niechęć; miały do tego służyć publikacje popularne, tysiącami rozrywane; posiadam sam broszurkę ludowym napisaną stylem pod tytułem: *Polska prawda i ruska krzywda* — prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju.

Do Płocka z trudnością dojechałem; napotykałem to na korpusy powstańcze w największym nieładzie ciągnące, to znowu na posterunki rosyjskie. Jechało się pod strachem kuli lub aresztu. W Płocku ks. Wincenty z niemałą trudnością utrzymywał swoją powagę, nachodzony przez ajentów i ajentki Rządu Narodowego, którym właściwą dawał odprawę. Trzeba było na nowo przywrócić powagę hierarchji, którą Rząd Narodowy w swojej omnipotencji podkopał.

Po kilku dniach, a było to już w październiku, zastałem w Krakowie reszty ruchu. W Komitecie, który jeszcze istniał, rozterka. Koźmian bardzo śmiało odzywał się przeciwko dalszemu ruchowi, najwierniejszym pozostał mu Ludwik Wodzicki. Jak w chorobie, która kończy się śmiercią, bywają spazmatyczne napady, tak i tutaj objawiało się niknące życie to skrytobójstwem, to podpalaniem, to groźbą. Ja sam odebrałem nowy nakaz zwrotu pobranych czynszów, a podobno był na mnie wydany dekret śmierci, który jednak doręczonym mi nie został. Z początkiem r. 1864 w Królestwie dogorywało powstanie; w lasach litewskich wskutek położenia i charakteru ludności trwało dłużej.

List mój do ks. Sapiehy został wydrukowany. Oburzał zwolenników powstania; moi przyjaciele niebardzo się doń przyznawali. List był, a raczej jest, zdrowy, właściwie napisany. Gdybym go miał dziś pisać, nie pisałbym inaczej, nie zmieniłbym słowa. Rząd austrjacki, który dopuszczał do organizacji oddziałów, którego policja tolerowała skrytobójstwa, czy ze strachu, czy z polityki, teraz, kiedy powstanie wygasało, wystąpił przeciwko skompromitowanym. Wodzicki Ludwik wyjechał, Tarnowski Stanisław, szlachetny jak zawsze, poszedł na kilka miesięcy do fortecy, z której niełatwo się wydobył. Bólem, niepokojem zmęczony, potrzebowałem wypoczynku; z bratem Wacławem i córką Jadwigą na dni kilkanaście wyjechałem do Wenecji i Włoch północnych. Na chwilę zapomniało się więc o przeszłości i teraźniejszości, bez myśli o przyszłości wpośród cudów sztuki i wspomnień szczupłej rozmiarem a wielkiej polityką Rzeczypospolitej. Taką zawsze miałem namiętność do sztuki, że porywała całą moją duszę w najkrytyczniejszych chwilach życia. Tak było, kiedy, szukając Jasia, zwiedzałem Bolonję, tak teraz, kiedy po raz trzeci oglądałem kościół św. Jana i Pawła, posąg Coleoniego, szpital św. Marka, kościół Franciszkanów, zwany *dei Frari*. Nie wiem, czy może być większa rozkosz, jak bez planu błądzić po Wenecji, niespodziewanie wynajdywać dzieła sztuki albo pamiątki historji.

Do każdego kanału, do każdego domu, znajdzie się legenda. Tylko zawsze mało czasu; można dobrze widzieć, niepodobna dostatecznie użyć. Gdybym dziś mógł, mimo osłabionego wzroku i podeszłego wieku pojechałbym na trzy miesiące do Wenecji, a gdybym był bogaty, zabrałbym kilku Czwartkowych.[1] Wracaliśmy z Wacławem na Weronę, na Insbruk, z przecudownym Maksymiljana pomnikiem.

W Wiedniu dowiedziałem się o śmierci kochanej Alinki, wdowy brata mojego Ludwika. Przyśpieszyło to powrót nasz do Kurozwęk, bo trzeba się było natychmiast zająć uporządkowaniem interesów. Niebardzo było to łatwe: w Chocimowie pisaliśmy inwentarz, a w Świętokrzyskich górach i Bodzentynie stał jeszcze z oddziałem Chmieliński. Ze wszystkich dowódców był on może najbardziej sfanatyzowany, ale z pewnością najmężniejszy. Zaledwo załatwiwszy interesa i urządziwszy wspólny Chocimowa zarząd z p. Władysławem Jasieńskim, unikając spotkania z powstańcami, u których źle byłem zapisany, wróciłem do Kurozwęk. Muszę tu jednak wspomnieć obszerniej o p. Władysławie Jasieńskim. Przyjaciel i sąsiad mojego nieboszczyka brata, podjął się wspólnej ze mną administracji. Skutek jej był taki, że załatwiwszy sprawy z włościanami i Komitetem Urządzającym, oddał po kilku latach najstarszemu synowi Ludwika, Antoniemu, majątek urządzony, w kulturze wysokiej, z intratami, które postawiły p. Antoniego w sytuacji niemal świetnej. Pamięci p. Jasieńskiego i jego dzieciom należy się od całej naszej rodziny wdzięczność, zwłaszcza odemnie, który bez jego pomocy nie byłbym nigdy, mimo dobrej woli, wyprowadził tak świetnie interesów. Dopomogło do tego, że rodzina rozebrała liczne dzieci p. Ludwika, a Rembielińska, ciotka moich synowic, zapisała im niemal cały swój majątek.

Ale wracam do r. 1864, w którym jechałem w lutym do Warszawy. List mój do ks. Sapiehy był wydrukowany i dosyć w Warszawie rozszerzony. Przyjęto mnie z aplauzem. Margrabia, jak mi wiadomo, uważał mój sąd za sprawiedliwy. Oberpolicmajster Warszawy, generał Trepow, doradzał wtedy zwrócenie się do cesarza, aby, jak mówił, uniknąć wielkiego niebezpieczeństwa. Nie było już czasu na to, jak nie było i wielkiej ochoty. Spadły też niebawem na kraj ukazy marcowe i z gruntu przemieniły tak postać kraju, jak ustrój społeczeństwa. Były dla nas tem, czem dla Francji wielka rewolucja. Wa-

---

[1] Wzmiankuje tu Paweł Popiel mimochodem wieczory, na które przez lat wiele zbierał w Krakowie przyjaciół.

runki własności i warunki socjalne zostały zmienione, a wprowadzenie nowych ustaw powierzono Komitetowi Urządzającemu, pod przewodnictwem księcia Czerkaskiego. Była to epoka panowania Milutynów w Rosji. Jeden brat ministrem wojny, drugi, więcej wpływowy i genjalniejszy, — ministrem spraw wewnętrznych. Ludzie niskiego pochodzenia, wielkiego rozumu, właśnie w tej chwili przychodzili do wpływu, a już się byli odznaczyli przy naradach i rozprawach nad uwłaszczeniem włościan, które odbywały się w Petersburgu. Nadarzała się wyborna sposobność zniszczenia szlachty i całego ustroju społecznego w Polsce, a zarazem pozbycia się żywiołów, które nadto wczas rozbudzono. Przybył więc książe Czerkaski z licznym orszakiem humanistycznych cywilizatorów i absolutną władzą.

Ukazy są znane, nie wszystkie godne potępienia. Ukaz o gminie, jej atrybucjach, sądownictwie ma wiele rzeczy dobrych. Inne były ukute jako narzędzia zniszczenia; nie ich rozporządzenia jednak, ale sposób ich wykonania był straszny, bo zostawiający najzupełniej pole samowoli. Dlatego w zastosowaniu niezmierna rozmaitość, stosownie do usposobienia komisarza. Książe Czerkaski był zapalonym, nietylko rusyfikacyjnym, ale niwelacyjnym fanatykiem; zdolny, nad wyraz pracowity, o ile mi wiadomo nieprzedajny, był jednym z najsroższych dla nas ludzi, o jakich historja wspomina. Oparty o Milutynów, z szaloną czynnością i bezwzględnością przeprowadzał ukazy. Nie wszyscy przybyli z nim towarzysze równie byli zaciekli; Koszelew, Artymowicz, byli ludźmi poglądów sprawiedliwych. Pozbył się ich niebawem, aby mieć zupełnie wolne ręce. Pomiędzy komisarzami przedajnych było bardzo mało, przeważnie byli to rosyjscy patrjoci, ale jedni idący w socjalistycznym, drudzy, choć nieliczni, w konserwatywnym kierunku. Spotkałem zacnych; zdolni byli prawie wszyscy. Bolesne były przejścia na komisjach; mnie wiele niesprawiedliwości nie zrobiono. Dwóch braci Chłopowów uczciwie w Wójczy i Kurozwękach postąpiło. W Chocimowie Sinookow tak zacnie starał się urządzić małoletnich majątek, że miło mi tu imię jego dla pamięci rodziny zachować.

Ciężkie to były na wsi czasy; nigdy dnia spokojnego: to interes z powiatu, to z gminy, to od komisarza, — a zawsze nieprzyjemny. Noc tylko była spokojna, i dlatego nabyłem zwyczaju czytania w łóżku, czego dawniej wystrzegałem się bardzo. Karność w robotach gospodarskich przypisuję bardzo wczesnemu wstawaniu. Ludzie robotni, nawet najemnicy z gromady, przychodzili wczas, bo

zawsze przededniem byłem na gumnie. Nie obeszło się jednak bez potrzeby odwoływania się do Komitetu.

Był wówczas w Warszawie konsulem austrjackim br. Ludolff, wyższego zakroju dyplomata, później ambasador w Madrycie, a dzisiaj w Rzymie; prosiłem, aby mię przedstawił księciu Czerkaskiemu. Spotkałem człowieka miernego wzrostu, silnie zbudowanego, z dość ordynarną twarzą, ale z wyrazistemi, żywemi oczami. Po francusku mówił łatwo, prędko. Przedstawiłem interes, a stąd rozwinęła się już nie rozmowa, ale dyskusja, przybierająca charakter ostry, z głosem podniesionym. Ludolff był trochę w obawie, a Leontiew, pierwszy sekretarz Czerkaskiego, zaglądał przez drzwi, co znaczy tak długa i głośna audjencja.

Przedmiotem była teoretyczna rozprawa o skutkach politycznych takiego postępowania rządu z jednej strony z ludem, a z drugiej z własnością ziemską. Rozmową tą Warszawa parę dni się trudniła; mnie nauczyła ona, z kim mamy do czynienia, i pobudziła do napisania broszury: *Le prince Czerkaski, étude psychologique et politique.*[1] Broszura, drukowana w Lipsku, trafiła do Warszawy. Hrabia Berg był w najgorszych stosunkach z Czerkaskim, raz dlatego, że było między nimi przeciwieństwo zasad, powtóre, że Czerkaski usuwał się z pod kontroli namiestnika. Pojechał Berg do Petersburga, aby Czerkaskiego obalić. Karnicki Jan mówił mi, że namiestnik pokazał cesarzowi drukowaną w Lipsku broszurę o Czerkaskim, aby mu dowieść, co on w Polsce robił. Karnicki nie wiedział — jak dzisiaj nikt nie wie, — kto pisał o Czerkaskim. Nie myślę, żeby moja broszura miała spowodować decyzję cesarską, ale zawsze ciekawe, a dla mnie pocieszające, że moja praca nie przeszła bez zwrócenia uwagi, a pomogła może do niełaski względem Czerkaskiego. Tak w przeciągu dwóch lat wydałem dwie polityczne broszury: jedną po polsku do ks. Sapiehy, drugą po francusku o Czerkaskim. Zdaje mi się, że pierwsza, choć bardzo zwięzła, będzie najzdrowszym poglądem na ówczesne wypadki, a może nawet za lat kilkadziesiąt przyda się do zrozumienia wypadków, ludzi i prądów, które sumiennie, a zdaje mi się prawdziwie przedstawiłem. Z ulotnych pism moich bodaj czy nie najlepsze, co jeszcze kiedyś mogą być czytane z ciekawością i pożytkiem.

Lata do 1886 spędzałem głównie w Kurozwękach. Syn mój Paweł, zdobywszy na konkursie katedrę prawa rzymskiego w uniwersytecie

[1] Aneks VI.

warszawskim (zwanym Szkołą Główną), w naukowych celach podróżował po Niemczech i Francji, gdze odnowił dawne moje z rodziną d'Esgrigny, z p. du Lac i Veuillot stosunki. W r. 1864 rozpoczął świetnie swój kurs prawa, z największą dla mnie chlubą i pociechą. Prawdziwe to błogosławieństwo Boskie patrzeć na syna, który wierny swoim zasadom, w czasach ogólnego zwątpienia i upadku pracował nad młodzieżą w duchu miłości chrześcijańskiej, a zarazem zdobywał w społeczeństwie i kraju zaszczytne stanowisko. W rok później syn mój Marcin pojechał w zimie do Warszawy, a spotkawszy tam p. Natalję Jezierską, otrzymał jej rękę. Tak ten mój syn najpierwszy się postanowił, a wprowadził do rodziny istotę wyjątkową. Po 23 latach codzień dziękuję Bogu za taką synowę, która nietylko zapewniła szczęście mojemu synowi, ale przyniosła do rodziny zasób zasad, miłości, pracy i niezrównanej w charakterze harmonji, która całe nasze rodzinne życie uczyniła, jeżeli podobna, jeszcze bardziej serdecznem i zjednoczonem, co, ani wątpię, P. Bóg jej na dzieciach nagrodzi.

Kiedy Królestwo Polskie przechodziło okres zmian, które — jak zwykle to, co bardzo złe — zdawały się przechodnie, Austrja i Galicja przekształcały się zupełnie. Już wojna włoska i jej następstwa zmusiły do zmiany Bachowskiego systemu. Nastąpił patent październikowy, z inicjatywy Gołuchowskiego zmodyfikowany patentem Schmerlinga. Zakrój federalistyczny pierwszego, zcentralizował drugi; mimo to system parlamentarny puścił korzenie w Przedlitawji, i Galicja otrzymała Sejm i organizację wewnętrzną. Formy polityczne były; — nie było jeszcze ani drogi wskazanej, ani ludzi, coby nią kroczyli tak, aby nie doprowadzić do przepaści. Namiętności, nadzieje, poruszone wypadkami lat 1863 i 64, stworzyły w wyobraźniach i umysłach zamęt, spotęgowany przez stanowisko Rusinów. Wówczas, przed samemi wyborami do Sejmu, którym przewodniczyłem, a które mnie pominęły, napisałem *List otwarty do ks. Jerzego Lubomirskiego*, z którym łączyła mnie przyjaźń i zasady, wskazując, jaka droga przystała krajowi i Sejmowi, potępiając ruchy 1863 r., poniekąd usprawiedliwiając Wielopolskiego.

List wywołał ogromne wrażenie. Posypały się nietylko krytyki, ale paszkwile. Trzecieski odezwał się głupio, Kraszewski złośliwie (bo rozumu miał dosyć, aby pojąć, o co mi chodziło), Szujski, jeszcze rozgorączkowany następstwami 1863 r., a niewytrawiony, w znakomicie napisanym artykule w *Haśle*, nie podejrzywając czystej intencji,

z zapałem potępiał wsteczny kierunek, a niesprawiedliwie sądził działanie Wielopolskiego.

Przeczekawszy burzę, napisałem w lutym 1866 r. *Kilka słów*, i z listem prywatnym posłałem je Szujskiemu, którego dotąd osobiście nie znałem. Zacny i rozumny ten człowiek odrazu pojął, o co mi idzie, co nas dzieli i co zbliża. Był to początek stosunków, co miały stać się tak drogiemi, a mogły być i daleko ściślejsze, gdyby nie różnica wieku, i osobne mego charakteru już podówczas usposobienie, które i mnie w wielu rzeczach szkodziło, a polegało na tem, że, jak nikomu, tak i młodszym a już wziętym nie lubiłem się narzucać. Sejm dobrze krajowi się zasłużył, główną i najużyteczniejszą rolę odegrała na nim partja tak zwana krakowska z Adamem Potockim na czele, w otoczeniu Helcla, Henryka Wodzickiego, Mikołaja Zyblikiewicza. — Była to chwila poprzedzająca wojnę z Prusami, Belcredi był prezydentem ministrów, a mimo abstencji Węgrów zdawało się, że prowadzi monarchję do ustroju federalnego. Rozumiałem oddawna, bo od 1848 r., że taki zlepek rozmaitych narodowości, jak państwo Habsburgów, może istnieć tylko albo jako autokracja, albo — w pośród aspiracyj do wolności i narodowego poczucia — pod formą federacji. Bawiąc pod ten czas, jak zwykle, w Kurozwękach, patrząc na opór Czechów, obawiając się dualizmu Węgrów, napisałem dwa artykuły do *Czasu*, wydane potem w broszurze p. t. *Austrja, monarchja federalna*. Artykuły zrobiły wrażenie w Wiedniu, lecz zbliżająca się wojna innemi sprawami zajęła rząd i opinję.

Bitwa pod Königgrätzem zmieniła z gruntu stanowisko zewnętrzne monarchji i domu panującego. Austrja przestała być państwem niemieckiem. Już po strasznych przegranych 1809 r., kiedy Niemcy zachodnie, pod formą konfederacji nadreńskiej, usunęły się z pod wpływu Austrji, wielu polityków zmieniło poglądy dotychczasowe, a nawet cesarz Franciszek I, czyniąc rozbrat z Niemcami i swoją tradycją, chciał ogłosić się cesarzem Wschodu, *des Ostreiches*. Wiadomo, że wpływ ks. Metternicha przeważył szalę. Po 1866 r., kiedy ks. Bismarck odciął zupełnie Austrję od wpływu na Niemcy, faktycznie cała waga, dążność i potęga Austrji zmierza ku Wschodowi, jak to zwięźle, ale dobitnie wykazywałem w owej broszurze *Austrja, monarchja federalna;* pokojowo mogła i powinna była anektować Serbię, Bośnię, a może Bułgarję, do których to krajów wolna droga Dunaju naturalnie prowadziła. W tym ustroju przy-

puszczałem równorzędność Węgier z innemi koronnemi krajami, przy zachowaniu, jak się w federacji rozumie, ich historycznych i politycznych właściwości. Węgry od wieków zachowały swój ustrój wewnętrzny i unję osobistą z Austrją. Czy zerwaniem stosunku tego w 1848 r. nie utraciły swych praw? Ze stanowiska prawa publicznego utraciły. Ale w rzeczach ludzkich faktem jest, że stanowisko, jakie człowiek lub naród umie zająć, rozstrzyga o przyszłości. Węgrzy od pogromu pod Kapolną umieli cierpliwie i z godnością znosić faktyczne rządy za ministerjum Bacha: w milczeniu odmawiali udziału w ogólnych sprawach. Może była jedna chwila, aby ich na grunt wiedeński sprowadzić, chwila narad we wzmocnionym Reichsracie, do których Barkoczy należał. Patent Schmerlinga inne postawił warunki, a niewątpliwie poczucie siły i wagi podniosły u Węgrów niecne zabiegi, czynione przez ks. Bismarcka, które miały kusić wierność narodu. Mało wtajemniczony w sprawy państwa, dotąd nie rozumiem, co mogło spowodować powołanie hr. Beusta na kanclerza i ministra spraw zagranicznych. W każdym razie pobyt swój na Ballplatzu zaznaczył podzieleniem monarchji Habsburgów na dwa państwa, osobistą tylko połączone unją. Wówczas to napisałem po francusku broszurę do Belcrediego, po jego ustąpieniu z urzędu, z konkluzją, że wszystkie kraje koronne, do cesarstwa należące, z uszanowaniem osobnego historycznego ustroju, ale równorzędnie, powinny być połączone w federację pod powagą rodziny panującej.

Stało się inaczej; Węgry, oddzielone od Austrji, połączone zostały z nią jedynie unją osobistą. Do tego rezultatu przyczynili się także i nasi politycy sejmowi, których po drodze na wiedeński Reichsrath umieli Węgrzy ściągnąć do Pesztu i do swoich usposobić interesów. Uważałem długo dualizm jako główne nieszczęście Austrji, które i na nas oddziaływa. Niepodobna jednak nie podziwiać zdolności i energji, z jaką naród ten od lat 20 pracuje nad ekonomicznym i politycznym rozwojem. Różnorodny, madziaryzuje i asymiluje wszystkie narodowości; od Austrji o połowę mniej ludny, prowadzi niemal jej politykę, znajduje ludzi, jak Deak, Andrassy, Tisza i postawą swoją zuchwalą imponuje zagranicy.

Ciężkie lata pędziłem w Kurozwękach, porządkując wstrząśnione ukazami stosunki. Dobra czyniły mało, nieco zachwiane interesa podparła niespodziewana sukcesja dóbr Ściborzyce, po ciotce mojej żony p. Żuchowskiej. A bardzo się przydały, bo syn mój, Paweł, profesorując z zaszczytem na uniwersytecie warszawskim, otrzymał w 1868 r.

rękę panny Marjanny Zamoyskiej, córki hr. Augusta, urodzonej z Tyzenhauzównej. Piękny ten związek odbył się w Warszawie 16-go lipca. Parę miesięcy przedtem powrócił syn mój Wacław z zagranicy, kędy szukał a nie znalazł zdrowia. Była to natura szlachetna, odważna, syn niezrównany, postawy dziwnie urodziwej. Niezadługo po swoim powrocie zapadł na tyfus i z niezmiernym moim i rodziny żalem umarł 9-go kwietnia 1868 r. Po 35 latach małżeństwa traciłem pierwsze dziecko. Trudno to uczucie wyrazić, bo, rzecz dziwna, z latami staje się coraz boleśniejsze.

Synowi Pawłowi oddałem na własność Ściborzyce, sam dalej gospodarując na Kurozwękach i Wójczy z niewielkim na te czasy, co nie dziwno, skutkiem. Należało ograniczyć wydatki domowe, które, choć nigdy zbytkowemi nie były, wpośród tych stosunków na zwykłą nie wystarczały gościnność, a to tem bardziej, że równocześnie Marcin trzymał niemal za darmo Ruszczę, a Wacław i Kazimierz bawili — jeden dla zdrowia, drugi dla nauk teologicznych — zagranicą. Przy tej sposobności winienem dzieciom z doświadczenia mojego naukę, iż wszelkie wydatki spowodowane albo upozorowane czy godnością mniemaną domu, czy nawet szlachetną datnością, są niestosowne, jeśli nie odpowiadają dochodom. Ja gościnność lubiłem, mogę szczerze powiedzieć, dla mojej własnej przyjemności, nie z próżności, moja żona także była nadzwyczaj gościnną, przy wielkiej rządności, a mimo to za wiele wydawaliśmy na ugoszczenie, skutkiem czego nie zostawiłem dzieciom moim tyle majątku, ile należało przy szczęśliwych dla mnie okolicznościach. Nie sztuka nie roztrwonić majątku, ale przy licznej rodzinie należy go przyrobić, zwłaszcza w czasach, w których materjalna podstawa dla każdego potrzebna. Tylko ten godzien zaszczytnego miana rządnego człowieka, który corocznie coś z intraty na kapitał odkłada. Niełatwo mi to było, bo żadnego przywiązania do pieniędzy rozniecić w sobie nie umiałem, a bez tego nikt majątku nie zrobi, a to dla bardzo prostej przyczyny, bo kto kocha pieniądze, niełatwo się z niemi rozstaje.

Pod ten czas właśnie restaurowałem z konserwatorskiego mojego obowiązku bardzo uszkodzony grobowiec Kazimierza Wielkiego na Wawelu. Jak odrestaurowanym został, każdy dziś jeszcze przekonać się może. Nie było zgoła tradycji, gdzie spoczywają zwłoki króla, a przypuszczano, że w ziemi, głęboko pod grobowcem. Właśnie wszystkie tafle marmurowe pokrywające tumbę były zdjęte, stała sama z cegły zmurowana. Badając tumbę, przyszło natchnienie, czyby

zwlok nie zawieraly. Sam, własną ręką, kilofem wyjąłem cegłę. Próżnia; wpuszczam kaganek — coś się świeci; wyjmuję drugą cegłę i widzę, świeci ostroga; przypatruję się lepiej: kości, materją pokryte. Dech we mnie się zaparł. Założyłem otwór ceglami, zamknąłem na klucz obudowanie, a przepędziwszy w gorączce noc bezsenną, zaprosilem rano godnych tego ludzi, aby wspólnie zbadać odnalezione zwłoki. Był tam Matejko, byl Łuszczkiewicz. Zdjąwszy ceglany wierzch z tumby, znaleźliśmy we wnętrzu rozpadniętą trumnę drewnianą, która początkowo leżała na dwóch poprzecznych żelaznych sztabach. Kości ułożone tak, jak spadaly. Korona, berlo, guzy, ostrogi, sprzączki miedziane pozłacane kształtów dość pospolitych. Całun aksamitny, wyciskany w kwiaty, dziwnie dobrze zachowany. Skoro się rozeszla w mieście wieść o odkryciu, zrobila wielkie wrażenie. Przyszło mi się porozumieć z kapitułą, Towarzystwem Przyjaciół Nauk, co do opisu, skonstatowania i pogrzebania na nowo zwlok Wielkiego prawodawcy. Postanowiono kości i prochy zlożyć do nowej miedzianej trumny. Znowu wobec zaproszonych przezemnie świadków protokularnie opisano stan grobu, zwłok, ozdób. Dr Kozubowski determinowal każdą część kościotrupa, przyczem z niemalym zachwytem znaleziono piszczel lewego golenia zlamany na polowaniu pod Chrobrzanami. Zwloki *processionaliter* odniesiono do kaplicy Wazów. Kiedy tak uszanowano szczątki, a nie uroniono żadnej z pamiątek, zdawalo się, że pobożnem zlożeniem napowrót do tumby rzecz się zakończy. Ale szlo o to, aby wyzyskać tę sprawę na rzecz manifestacji pseudo-patrjotycznej, a przeciw niepopularnemu konserwatorowi, który nie zawiadomił (bo nie miał do tego obowiązku) prezydenta Dietla. Zatem Dietl obrażony i dziennik *Kraj*, reprezentujący nieprzerwalność powstania, wystąpili przeciwko mnie, co było tem latwiejsze, że ja, zabezpieczywszy moją pieczęcią nienaruszalność zwlok, wyjechalem do Kurozwęk.

Skorzystano z tego, aby, protestując przeciw memu postępowaniu, wyprawić pochód uroczysty do kościola P. Marji do Zamku, poczem zwłoki przeniesiono z kaplicy Wazów, złożono do grobowca, którego restauracja w kilka miesięcy dopiero ukończoną zostala. Sprawa ta jest dowodem, jak z naszem spoleczeństwem latwo z najniedorzeczniejszego powodu zrobić awanturę: wszystko, obok zaslugi odnalezienia zwlok, zrobilem jak należało, aby uszanować Wielkiego króla, a uchronić zabytki. Mimo to potrafiono podnieść wrzawę, z której byłbym się śmial, gdyby szlo tylko o moją osobę; ale to bylo

przykre jako symptomat niezdrowia społeczeństwa. Takie krytyczne usposobienie, taka zawiść, jakby jakaś chęć odwetu, panowała, a może panuje jeszcze, w klasach pośrednich, które, pracą i rozumem nie umiejąc się podnieść, usiłują ściągnąć albo zbeszcześcić to, co się podnosi pracą, cnotą, poświęceniem.

Ale obok tego społeczeństwo zwolna lecz nieustannie podnosiło się co do wartości poglądów i siły. Namiestnik Gołuchowski, człowiek obdarzony niepospolitą zdolnością umysłu i siłą charakteru, wychowany w rutynie biurokratycznej i umiejący użyć środków, które dawała, przebywał rozmaite fazy. Uniemożliwiwszy rządy namiestnika Zaleskiego, a objąwszy je po nim po rozbudzeniu powstaniem namiętności patrjotycznych i rewolucyjnych, ujął kraj ręką tak silną, że jednych zatrwożył, z drugich zrobił sobie posłuszne narzędzia (mameluków). Sam wyszedłszy ze szlacheckiej rodziny, ścigał zrazu nieubłaganie rodziny historyczne, a kraj i urzędników trzymał w karności. Jeżeli z początku swoich rządów nie dał krajowi wolności, uważając zapewne, że jeszcze jej znieść nie potrafi, to porządną administracją utrzymał ład, przeprowadził, ku wiecznej wdzięczności kraju, służebności, urzędy obsadzał Polakami, a umiał ich do pracy i akuratności przyzwyczaić. Krótki na czele ministerjum pobyt w Wiedniu upamiętnił patentem październikowym. Upadłszy pod zawiścią Niemców, użył lat w prywatnem życiu na zrobienie i uporządkowanie dużego majątku, a kiedy powrócił do steru namiestnika, był to inny człowiek. Czy lata, czy życie obywatelskie rozbudziły w nim na nowo uczucia narodowe. Mam przekonanie, że ich nigdy nie utracił, ale polityka nakazywała je ukrywać, a był to nawskróś polityczny człowiek, i dlatego, choć trudno dopatrzyć u niego podniosłości ducha, choć przebija się małość w ściganiu przeciwników, w grubem nieraz obejściu się, dokonał jednak także wiele dobrego (służebności, prawo gminne, urzędy polskie), a utrzymał się do końca życia w łasce monarchy, w powadze u ministerjum, w szacunku u współobywateli. Jest to dowodem, że praktyczny pogląd, znajomość swojego kraju i społeczeństwa obok siły charakteru, więcej znaczą u politycznego człowieka, aniżeli genjalność.

Równocześnie wydał naród polski dwóch ludzi niepospolitych, którzy w porozbiorowej epoce zaznaczyli głębokiemi rysami działanie swoje na korzyść Ojczyzny. Wielopolskiego z Gołuchowskim porównywać trudno, o tyle przewyższa go genjalnością, wszechstronnem wykształceniem, odwagą i darem owładnięcia sfer najwyższych

a najnieprzyjaźniejszych. Kiedy Gołuchowski zastał ustrój administracyjny gotowy, Wielopolski musiał go stworzyć, i mimo podejrzliwości najwyższych sfer rządowych, a nieprzyjaźni swoich, potrafił przekształcić cały aparat wewnętrzny kraju pod względem wychowania, samorządu i ekonomicznym. Tylko nieprzyjaciel albo człowiek ograniczony może nie uznać olbrzymiego dzieła, którego s a m j e d e n dokonał. A jednak nic z tej pracy nie pozostało. Umiera na dobrowolnem wygnaniu, a wokoło jego imienia i dobrej sławy walczą zaciekle, jak obok ciała Patrokla Grecy i Trojanie. Gołuchowski powraca do władzy; z biurokraty staje się obywatelskim namiestnikiem, umiera żałowany przez swoich, szanowany przez swego monarchę. Prawda, każdy z nich miał z innym elementem do walczenia. Położenie Wielopolskiego było o wiele trudniejsze: niedowierzanie Rosjan, zajadła wściekłość spisku, małoduszność ludzi uczciwych, wszystko związało się przeciw niemu. Ale muszę powiedzieć prawdę, w takich położeniach należy albo ugiąć przed sobą ludzi i prądy krajowe, albo pozyskać w swojej sferze działania i wyobrażeń ludzi przewodnich, czego Wielopolski nie potrafił. Gołuchowski był człowiekiem nawskroś praktycznym, Wielopolski był — czemu mało kto uwierzy — idealistą. Pełen uczciwych zamiarów i poświęcenia, z gotowym planem, o którym nie przypuszczał, aby go nie zrozumiano i nie oceniono, oburzony tchórzostwem jednych, łotrostwem drugich, miotał bez potrzeby obelgi, i nieraz słowem lub czynem własne podkopywał dzieło. Nie myślę tu usprawiedliwiać własnego społeczeństwa, ale słusznie żąda się od człowieka publicznego, który wielkie dzieło zamierza, aby obrachował żywioły, których ma użyć, i umiał się z niemi obchodzić. Bądź co bądź, jakakolwiek będzie przyszłość Ojczyzny, spiżowa postać Wielopolskiego pozostanie w historji porozbiorowej jako objaw potęgi i charakteru, jaki to społeczeństwo wydać ze siebie potrafiło.

ROZDZIAŁ XVII.

Prześladowanie Kościoła w Królestwie. — Podróż do Rosji.

Tymczasem nieporozumienia pomiędzy moim bratem Wincentym, biskupem płockim, a Rządem przybrały coraz to drażliwszy charakter. W końcu musiał biskup postawić ówczesnemu namiestnikowi hr. Bergowi *non possumus*. Berg posłał z napomnieniem i groźbą Muchanowa. Groźba ta, którą zresztą Muchanow w najgrzeczniejsze oblókł słowa, nie pomogła, i ks. Wincenty został natychmiast zesłany do Nowogrodu, ostatnich dni sierpnia 1868 r. Wywiezienie odbyło się z formami przyzwoitemi. O jego tam pobycie później. W każdym razie zesłanie to wzięło obrót mniej tragiczny, niż biskupa augustowskiego. Ks. Konstanty Łubieński, syn Henryka, odbył seminarjum razem z moim bratem w Kielcach. Ruchliwy, jak wszyscy Łubieńscy, dowcipny, dobrze wyuczony i gorliwy, został biskupem augustowskim. Namiestnik Berg i jego żona, kobieta wielkiej zacności, mieli dla niego dużo przyjaźni. Biskup sądził zrazu, że wrodzoną sobie zręcznością zdoła i Rząd zadowolić i sumienia swego nie narazić, i wbrew wskazówkom Rzymu i przykładowi biskupa płockiego, Wincentego Popiela, wysłał delegata do Kolegjum duchownego w Petersburgu. Skoro jednak Pius IX postępowanie jego zganił, a delegata odwołać polecił, biskup Łubieński zaraz to uczynił, za co Rząd, jak się tego można było spodziewać, natychmiast go wywiózł. Czy był już cierpiącym, czy walka i wzruszenie wywołały chorobę, czy — jak wiele mówiono i powtarzano — postarano się o tę chorobę, dość, że w drodze zmarł, mając lat czterdzieści trzy. Ogólnie mniemano, że został otruty; czy to prawda, nie wiem. Chociaż rząd rosyjski, gdy tego potrzebuje, nie cofa się przed tym środkiem, nie widzę jednak przyczyny, dla której mianoby tu popełnić zbrodnię zupełnie

niepotrzebną. Rodzina podejrzywała ją jednak tem więcej, że służący, który był przy śmierci, szczegółów nigdy opowiedzieć nie chciał.[1]

Biskup Wincenty Popiel siedział w Nowogrodzie, a ja w Kurozwękach, przebywając czasem zimę w Krakowie, gdzie jeszcze żyli i zwykle mieszkali Adam Potocki, Lubomirski, Leon Rzewuski, Mann, Helcel. Schadzki i narady z ludźmi tej miary utrzymywały wewnętrzny rozwój zasad i działania na opinję w ich kierunku.

Od lat dwudziestu zgromadzeni koło *Czasu*, wydając to broszury, to artykuły, to życiorysy, pracowaliśmy sumiennie a bezinteresownie podla dobra kraju. Z Rządem nie było prawie żadnych stosunków; popierało go się, albo napominało, wedle sumienia. O Rzewuskim, Helclu, Mannie, pisałem obszernie. O Adamie Potockim radbym kiedy napisał, a byłoby co, bo wspanialszej duszy nie spotkać. Zdolność, urok, postawę, wszystko dał mu P. Bóg; posądzano go to o pychę, to o miłość własną — najniesłuszniej. Bodaj był miał więcej pychy! Ale jemu wystarczało chcieć dobrze, przykładać się do tego, a czy dobro miało się stać przez niego, czy przez kogo innego, to mu było obojętne. Nic jednak w tych latach dziesięciu nie stało się bez jego udziału. Szanowany i kochany, zostawił pamięć jak nikt w tych czasach; miejsca też jego nikt nie zajął, ale dziś (1888) tak sobie jego syn, Artur, postępuje, że bodaj czy go nie zapełni. Jak już wspomniałem, ludzie ci w Sejmie zajmowali stanowiska ważne, ale zaczęli też występować ludzie młodszego pokolenia.

W Liście pisanym w 1863 r. do ks. Sapiehy wychłostałem młodych ludzi, to w Paryżu, to w Krakowie trudniących się po amatorsku tak niebezpieczną, jak ówczesna, polityką. Byli to jednakże młodzi ludzie, zacni i zdolni, choć opętani zasadą (która tyle rzeczy zgubiła), że w sprawę, którą wzięli w rękę lotry, można i należy się wdać, aby nie dopuścić do zła i zguby. Po katastrofie 1863 r., którą przedłużyli swojem działaniem, doświadczenie, rozum, sumienie, cierpienie, wygnania albo więzienia rozjaśniły głowy, bo czyste były sumienia. Stanisław Tarnowski, Koźmian, Szujski, Ludwik Wodzicki, że *minorum gentium* pominę, zdrowo patrzyli na ruiny nagromadzone w Królestwie i Galicji, w części przez ich czynną albo bierną robotę. U takich ludzi musiał nastąpić zwrot, ekspiacja.

---

[1] Najdokładniejsze sprawozdanie całego przebiegu tej sprawy, jak wogóle stanu Kościoła w Polsce pod rządem rosyjskim w monumentalnem dziele O. Boudou T. J., *Le St. Siège et la Russie*.

Podobno w 1866 r. mówi mi Henryk Wodzicki: „A wiesz? — ma wychodzić pismo perjodyczne w naszym kierunku. Już są na to pieniądze". (Dawał je Stanisław Tarnowski). „I owszem, będę się cieszyl". Jakoż niebawem pokazał się pierwszy zeszyt *Przeglądu Polskiego*. Równocześnie Szujski, z którym prócz polemiki, która skończyla się przyjaznym listem, nie mialem żadnych stosunków, wydal *Kilka prawd z dziejów naszych*. Zaczyna tam od przyznania, że wymiana pism dosyć ostrych sprawila niejaki zwrot w jego przekonaniach. Zwrot to byl taki, jaki tylko w duszach takich, jak jego, zdarzyć się może. Zostal też przewodnią w *Przeglądzie* osobistością. Podczas gdy Wodzicki do pióra nie był nigdy tęgi, a Koźmian niezrównany w uchwyceniu i ocenieniu polityki bieżącej, to Szujski mial pociąg do ironji trafnej, gryzącej, umiejącej trafić w najslabszą stronę przeciwnika. Pychę i próżność inscenizatorów 1863 r. należalo ośmieszyć, bo bądź co bądź są tacy, którym pycha zawsze imponuje. Wyszly w *Przeglądzie* pierwsze *Listy Stańczyka*. Wielcy ludzie 1863 roku pienili się ze złości, publiczność czytala z ciekawością, ale jeszcze ze strachem. Listy nie ustawaly, zdarly nimb z wielkich ludzi i wielkich frazesów, ale zostawily w publiczności gorycz. Ironja tam, gdzie krew strumieniami się lała, kiedy jedni w kazamatach a drudzy w kopalniach okupywali błędy przywódzców, nie byla może stosowną. Prawda — przywódzcy byli przyczyną wszystkich cierpień i początkiem nie jednej, ale wszystkich zbrodni, zapewne, ale ludzie, tak rzeczy nie biorąc, ujęli się za hołotą, przed którą drżeli, i z tego też skorzystali epigonowie 1863 roku.

Tymczasem Tarnowski, Szujski, Wodzicki Ludwik, Stadnicki, Gorayski weszli do Sejmu.

Ludzie ci pragnęli dobra publicznego szczerze, nie wladał nimi osobisty interes, ale niewątpliwie chcieli robić sami i wedle swej myśli. Są dowodem naprzód — co wielki zaszczyt im przynosi, — iż lat dziesiątki umieli wytrwać w zgodnem działaniu z wielkiem nawzajem poświęceniem, a następnie, jaki wpływ przeważny może wywrzeć kilku bodaj ludzi razem związanych na sprawy krajowe, kiedy łącznie, ciągle dzialają w jednym kierunku i w jednych zasadach. Oto początek nazwiska i ery Stańczyków, nad którymi dlatego zastanawiam się dłużej, że kiedyś niebardzo będzie latwo zdać sobie sprawę z dzialania ich, początku sympatyj i antypatyj, jakie obudzili. Zobaczymy ich dalej, a teraz powracam do moich spraw osobistych i poglądu na stan kraju.

Prawodawstwo polityczno-socjalne, wprowadzone przez ukazy z roku 1864, zmieniło stosunki wielkich właścicieli czyli szlachty, nietylko zmniejszając ich majątki i warunki gospodarstwa, ale może głównie zmieniając ich stanowisko. Bądź co bądź, było ono do tego czasu uprzywilejowanem, choćby dlatego tylko, że właściciel wsi był zarazem wójtem gminy. Nowe prawo gminne wtłoczyło go do gminy, a że prawo to miało na celu zniszczenie wpływu szlachty, jako najsilniejszego reprezentanta tradycji polskiej, więc mimo że majątkiem, kulturą, stanowiskiem nieskończenie górował nad innymi członkami gminy, prawo przyznało mu taki sam wpływ jak najuboższemu. Takie zdemokratyzowanie społeczeństwa odrazu odczuć się nie da, ale instytucje, działając ustawicznie, wkońcu i w stosunkowo krótkim czasie zmieniają cały ustrój moralny społeczeństwa. Tak też się stało: urok szlachty coraz bardzie niknął, fortuny rozpadały się w okruchy, powstawał proletarjat szlachecki, bo do urzędów coraz mniej Polaków przypuszczano, a ostawały się, i podobno ostoją na przyszłość, tylko wielkie pańskie fortuny, to jest zamiast równości szlacheckiej — magnacka oligarchja. Tak rewolucjoniści nasi otrzymali rezultat wręcz przeciwny swoim zamiarom, zniszczyli wprawdzie szlachtę, ale wytworzyli zaród arystokracji prawdziwej. Bo choć dziś, wobec niezmiernej przewagi rządu, największe stanowiska nic nie znaczą, to zczasem z konieczności wielkie fortuny, grupując się obok siebie, to obok władzy, wytworzą początek arystokratycznego ustroju. Taki jest zawsze skutek wielkich fortun: ci, którzy je posiadają, uznani czy nieuznani przez rząd, wytworzą sobie wyłączne stanowisko, które zczasem otrzyma sankcję prawa. Do tego nadzwyczajnie przyłączyło się usamowolnienie włościan i indemnizacja za pańszczyzny. Majątki wielkich panów, zwykle źle administrowane, przynosiły małe intraty, ale indemnizacja pańszczyzny z tych dóbr ogromnych zaopatrzyła wielkich panów w kapitały, których przedtem nigdy nie mieli, a których procenta przewyższają dawne dochody z dóbr pańszczyznianych.

Kilkakrotnie w tym przeciągu czasu, jakkolwiek mieszkałem w Królestwie, byłbym chętnie przyjął wybór na posła do Sejmu. Uprzedzenia czasów dawnych, popularność ludzi nowych nie dopuściła, abym kiedykolwiek przeszedł przez wybory, z niejakim moim żalem, bo wówczas, młodszy i pełniejszy politycznych zasobów, byłbym mógł być użyteczny. Do wymowy doraźnej nie miałem nigdy zdolności; mógłbym jej był nabyć, ale należało wcześniej zacząć. To

pewna, że posiadanie majątku w Królestwie Polskiem i konieczny tam pobyt utrudniły i mnie i moim dzieciom wstęp do życia publicznego. Nie przestawałem jednak pilnie śledzić tego, co się działo w Austrji i Galicji. Oprócz listu do ks. Lubomirskiego i kilku słów do Szujskiego, drukowałem w 1866 r. po francusku broszurę do hr. Belcredi, o której wspomniałem wyżej, w przedmiocie federacyjnego ustroju państwa austrjackiego, a przeciwko separatystycznym dążeniom Węgrów. Równocześnie drukowałem niemal potajemnie w Lipsku pamflet na ks. Czerkaskiego.

W tym czasie także mój wuj rodzony, Sebastjan Badeni, syn wojewody Marcina, umarł w Cieplicach, dokąd przybywszy, już go nie zastałem. Jak, zdaje mi się, wyżej wspomniałem, rozumny ten i zacny, choć do dziwactwa skłonny człowiek miał wpływ znaczny na moją młodość, bo z częstych swoich podróży zagranicą, z licznych stosunków ze światem politycznym i literackim przynosił w zacisze czapelskie żywioły, działające mocno na wyobraźnię i uczucia moje.

Tęsknota do ks. Wincentego powołała mnie do podróży do Nowogrodu; potrzebowałem też tej pociechy, straciwszy (1870) najstarszą i niezrównaną moją córkę, Marjannę Rostworowską, która pozostawiła sześcioro dzieci i niepocieszonego męża. Pragnąłbym dać świadectwo tej wysokiej cnocie, podniesionej przez urok osobisty.

W lutym 1871 r. ruszyłem z moją córką Jadwigą do Nowogrodu. Przejechawszy Petersburg, dojechaliśmy koleją do Pskowa, skąd resztę drogi zrobiliśmy w nocy, w nieznanym kraju, z nieznanym woźnicą, mil kilkanaście saniami. Nad ranem powitały nas złocone kopuły cerkwi nowogrodzkich. Wkrótce uściskałem ukochanego brata. Zabawiłem w Nowogrodzie około trzech tygodni, używając ile można tego czasu na poznawanie stosunków miejscowych. Pomijam starożytności cerkiewne, skądinąd znane, ale zaprawdę zaimponował mi lud rosyjski i cały ustrój społeczny, różny od naszego, napół wschodni, ale zgoła nie barbarzyński. Śledziłem pilnie organizację pracy w artelach i dziwiłem się przemysłowi miejscowemu, któremu napatrzeć się nie można na tygodniowych targach. Zachodzi ta różnica od przemysłu zachodniego, że pewne gatunki przemysłu koncentrują się w pojedynczych miejscowościach: jedna dostarcza koszyków, druga narzędzi drewnianych, inna rękawiczek, tu znowu leją na całą Rosję dzwony, wszędzie bez wyjątku robią rogóżki, ów najbardziej zapotrzebowany przemysł handlującej i przemysłowej Rosji.

Uprzejmie przyjęty przez miejscowego gubernatora Lerche'go, odwiedzałem Polaków osiadłych na urzędach w Nowogrodzie, przekonywując się z bólem, jak łatwo zapominają swej narodowości. Niedawno zaprowadzone sądy przysięgłych obudziły moją ciekawość, pilnie chodziłem na posiedzenia i widziałem, jak prości zwłaszcza ludzie łatwo się w tę procedurę wprawiają. Zwiedziłem także dokładnie tamtejsze gimnazjum i z niemałem zdziwieniem mojem znalazłem nauki klasyczne bardzo porządnie prowadzone. Niedaleko od Nowogrodu, w Cholmowie, był zakład dla obłąkanych i seminarjum nauczycielskie. Na czele zakładu zastałem majora Kosińskiego, który, będąc profesorem w szkole artylerji, porzucił tę karjerę, poświęcając się wychowaniu nauczycieli wiejskich. Był to, jak zmiarkowałem, entuzjasta, nowych prądów zwolennik, który za zasadę uważał, że tylko syn chłopa może być nauczycielem w wiejskiej szkole. Prowadził swoich uczniów, nie używając kar, jedynie środkami moralnemi. Sądząc po wyrazie twarzy tych 50 olbrzymiej budowy uczniów, nie mogłem wierzyć w skuteczność jego metody. Podobno też następne objawy doprowadziły do zamknięcia szkoły, do przeniesienia zapalonego pedagoga do innej służby.

Kilka mil od Nowogrodu osiedli byli przed kilkunastu laty koloniści niemieccy, katolicy, którzy odwiedzali ks. biskupa i zasilali go jarzynami swego gospodarstwa. Zaproszeni przez nich, pojechaliśmy ich odwiedzić. Znalazłem się w gospodarstwie, w rodzinie, w domu, jakby nad Renem. Zegar, fortepian, książki, sztychy, kuchnia — wszystko niemieckie. Szczególny naród, który tak łatwo ojczyznę swoją opuszczać może, bo wszędzie niesie ze sobą mowę, zwyczaje i tradycje. Nadto prędko przeszły tygodnie w Nowogrodzie ze wspólnym żalem rozstania; znowu droga aż do kolei saniami, a na popasie w chłopskiej chałupie ciekawe badania. Dom, jak zwykle w Wielkiej Rosji, na piętrze, nad stajnią i spichrzem. Dwie izby bardzo porządne, okna duże, samowar, filiżanki. W pierwszej — warsztat tkacki — słowem, wszystkie dowody dobrobytu i cywilizacji. Z rozmowy z prostą gospodynią dowiedziałem się, że myśl indywidualnej własności zaczyna w ludzie rosyjskim kiełkować. W Moskwie zabawiłem z córką moją Jadwigą blisko tydzień. Miasto, lud, zakłady, zajęły nas daleko bardziej niż na Zachodzie, gdzie tak zwana cywilizacja zatarła miejscowe cechy.

Społeczeństwo nie było nam dostępne, ale kościoły, klasztory, śpiew zajmowały nas bardzo. Zwiedziliśmy dokładnie Kremlin; ze

swojemi cerkwiami, starożytnościami i wspaniałością dzisiejszą tłumaczy jedność i potęgę Rosji. Najbardziej jednakże uderzył mnie posąg Minina i ks. Pożarskiego: pokazuje on historję rozwoju i potęgi Rosji. Kiedy Polacy zajęli kraj i miasto, wprowadzili Dymitra, wówczas naczelnik ludu, rzeźnik Minin, i pierwszy z bojarów, ks. Pożarski, podali sobie ręce, Polaków wyrżnęli i oswobodzili stolicę. A chociaż kłuszyńskie zwycięstwo znowu nas tam doprowadziło, to ostatecznie nasz indywidualizm uległ organizacji społeczeństwa rosyjskiego.

Po powrocie z Nowogrodu obchodziłem wesele synowca mego, Antoniego, z Marją Jędrzejowiczówną. Córka moja Jadwiga oddała rękę szwagrowi, zacnemu Feliksowi Rostworowskiemu, a syn mój Jan pojął za żonę Jadwigę Borkowską. Równocześnie rozpoczęła się bolesna choroba mego syna Kazimierza. Może najzdolniejszy ze wszystkich moich synów, skończywszy świetnie gimnazjum w Nissie a prawo w Krakowie, obrał stan duchowny. Nauki teologiczne w Rzymie odbywając, dostąpił z łatwością stopnia doktora teologji. Zapalony do sztuki i starożytności, zbierał książki, obrazy, ale czy praca, czy klimat, czy jakaś wewnętrzna organiczna wada podkopały jego zdrowie, dość, że po długiej chorobie zakończyl życie 3 lutego 1873 r. Trzecie moje dziecko pełnoletnie umierało, — wszyscy troje pełni cnoty i wiary i, można powiedzieć, zasługi. Ksiądz Kazimierz był, zdaje mi się, najzdolniejszy, miałem nadzieję, że w winnicy Pańskiej wielkie położy zasługi, Bóg rozrządził inaczej.

Tymczasem wojna francusko-niemiecka, zakończona tryumfem Prus, sprowadziła zupełną odmianę w stosunkach międzynarodowych i politycznych Europy. Już zaledwo została tradycja dawnej Pentarchji; wewnętrzna polityka Anglji wyłączała ją coraz bardziej z wpływu kontynentalnego, Francja malala w wewnętrznym nierządzie, — zostały tylko dwie potęgi: Niemcy i Rosja. Nie mogę pominąć tutaj uwagi, że u człowieka genjalnego, jak ks. Bismark, trudno wytłumaczyć sobie niezmierny błąd, jaki popełnił wywołaniem *Kulturkampfu;* że to był błąd, najlepszym dowodem, iż go się wyrzeka dzisiaj i naprawia go. Ale pytam, czy Bismarcka do tyla zaślepiła namiętność, czy też w 1870 r. zaciągnął zobowiązania względem tajnych towarzystw i przyrzekl im zniszczenie Rzymu? To pewne, że prawdziwą unifikację Niemiec, do której kroczyl przez strumienie krwi, o wiele opóźnił.

ROZDZIAŁ XVIII.

Osiedlenie w Krakowie. — Wybór do Sejmu. — Stan Sejmu i społeczeństwa w Galicji.

Już dawno zamierzałem dobra nasze w Królestwie Polskiem rozdzielić pomiędzy dzieci, a samemu osiąść w Ruszczy i Krakowie. W 1873 r. dopełniłem tego zamiaru, oddając Kurozwęki Marcinowi, Wójczę Janowi, Ściborzyce Pawłowi. Pożegnawszy na uroczystym obiedzie sąsiadów kurozwęckich, opuściłem po 23-letnim pobycie to miejsce nie bez żalu. Działy pomiędzy dziećmi zrobiłem, ile się dało, z uwzględnieniem równości, postępując wbrew moim zasadom, wedle których należało jednemu jako naczelnikowi rodziny dać większe stanowisko. Ale w kraju, gdzie karjery niemożebne, gdzie zawód wojskowy jednego syna, a profesorski drugiego został przerwany, zdawał się dział równy wskazanym. Niema jednak wątpliwości, że takie równe działy doprowadzają rodziny szlacheckie do ostatniej nędzy, atomizując z jednej strony ziemie, a z drugiej odejmując każdemu synowi zosobna pobudki do pracy i wysileń koniecznych, kiedy się nie można oglądać na kawałek ziemi.

W Ruszczy rozpocząłem nowe życie, nowe gospodarstwo, przeplatane spędzaniem zimy w Krakowie. Dom wygodny, rząd jaki taki, wielka mojej żony gościnność, robiły nasz dom niemal ośrodkiem społeczeństwa krakowskiego, bo, prawdę mówiąc, ugaszczaliśmy równem sercem osoby i skromnego i wyższego stanowiska, byle zacne. Kraków już był stracił Adama Potockiego, Jerzego Lubomirskiego, Leona Rzewuskiego, Helcla. Niełatwo było nawiązać nowe stosunki. Mann żył jeszcze, choć mniej czynny i świetny, Józef Badeni zapowiadał pierwszorzędnego człowieka, Józef Michałowski, mniej świetny, ale człowiek pewnych zasad, odważnego charakteru, a nasz najwierniejszy przyjaciel, — oto co tworzyło koło, będące tradycją

przeszłości, obok zorganizowanych i zdolnych Stańczyków. Nie było antagonizmu, boć jedne były zasady i cele, ale u nas więcej duchowe i na zasadach oparte, u nich więcej praktyczne, oportunistyczne i dążące do władzy.

Po roku pobytu w Ruszczy i Krakowie, kiedy przyszło wybierać jednego posła z większej własności, proponowano mi wybór, który lat temu dziesięć byłbym przyjął z zapałem. Mimo mego oporu, ogółem głosów wezwany, poszedłem do Sejmu. Chociaż miałem jaką taką znajomość spraw publicznych i natrafiłem na dobrą wolę kolegów, czułem, że nie zajmę stanowiska, jakie człowiek mego wieku i moich zasad powinien zająć. Już były nici ponawiązywane, stosunki porobione, — wobec absolutności moich zasad niepodobna było zgromadzić koło siebie stronnictwa. Doświadczałem jednak ciągle najlepszej woli kolegów. Może nie od rzeczy będzie tutaj charakterystyka Izby, jaką zastałem.

Podług ówczesnego prawa wyborczego, więcej niż trzecia część Izby składała się z posłów z wyborów włościańskich; wybierały bowiem wówczas gminy swoich, a nie, jak dziś, przeważnie szlachtę. Wielu raziła tak znaczna liczba posłów w siermięgach i bez politycznego wykształcenia. Między innymi Mann zrażony był, jak mawiał, anomalją polityczną. Mnie to zgoła nie raziło, bo uważałem, że u naszego ludu często spotykamy ten tak trafnie nazwany chłopski rozum, który prawie zawsze odgadnie, gdzie jest prawda. Uważałem zastęp ten jako balast, który ułatwiał kierunek Sejmu i nie pozwalał mu pójść na bezdroża. Z tymi posłami włościańskimi porozumiałem się łatwo, a ważny miałem referat komisji administracyjnej o kontroli Rad Powiatowych nad pisarzami gminnymi. Wnioski moje nie przeszły, referat objął kto inny, a ja moich zapatrywań broniłem w Sejmie, —i to było moje pierwsze publiczne, dość pomyślne, wystąpienie.

Opracowałem także wniosek o zaprowadzeniu internatu dla nauczycieli wiejskich; wniosek, dobrze przez Izbę przyjęty, nie przeszedł dla braku czasu. Ale najważniejszą sprawą tej sesji sejmowej był po raz pierwszy wniesiony t. zw. wniosek Dunajewskiego o gminach okręgowych i wogóle o zmianie całej administracji krajowej.

Do tego przedmiotu wrócę w swoim czasie, tutaj tylko zaznaczam, że kadencja moja sejmowa kończyła się z okresem prawodawczym Sejmu. Z mojego działania zdałem sprawozdanie w liście *Do wyborców*, a że zbierały się już chmury zapowiadające starcie na Wschodzie i właśnie odbywała się w Wiedniu t. zw. misja generała Sumaro-

kowa, ułożyłem z mego stanowiska notę do cesarza i chciałem w tym samym kierunku zmodyfikować politykę *Czasu.*

Wychodziłem z zasady, podówczas prawdziwej, że głównym nieprzyjacielem Austrji były Niemcy. Usiłowania o traktat handlowy, dawniejsze knowania na Węgrzech, wszystko utwierdzało mnie w tem mniemaniu, i dlatego uważałem za mniejsze niebezpieczeństwo posuwanie się Rosji ku Bosforowi, niż zaprzedanie się Austrji w zależność od Niemiec i przeważnego kanclerza. Nota była w tym kierunku zredagowana, a obmyślana w przekonaniu, że w żadnym razie Anglja do zajęcia Konstantynopola nie dopuści. Tej polityki, jako w kraju niepopularnej, Mann popierać nie chciał, noty komunikowanej Windischgrätzowi i radcy tajnemu Meisenbuchowi (którzy obydwaj na treść jej się zgadzali), żaden oddać cesarzowi nie śmiał. Rzecz została bez skutku; notę, jako pamiątkę moich pomysłów, dołączam.[1]

Na nowych wyborach do Sejmu otrzymałem ogół głosów, prócz jednego żydowskiego. Gotowaliśmy się pilnie do Sejmu. Przez całą zimę co tydzień schodzili się u mnie: Szujski, Tarnowski, Paszkowski, Henryk Wodzicki, Dunajewski, Krzeczunowicz, Majer, Józef Badeni. Już podówczas kwestje wychowania, Rady Szkolnej, szkół średnich, zajmowały nas mocno; posiadam protokoły tych narad, które były podstawą tych wniosków Komisji później wysadzonej z Akademji, a nie mogły być zużytkowane w następnym Sejmie z powodów, które poniżej poznamy.

Rozpoczęła się wojna rosyjsko-turecka, zajęła wszystkie umysły, jak każde wzburzenie europejskie wzbudziła u nas nierozsądne nadzieje, a wywołała to werbunki w Galicji, to znów nieporozumienia z Węgrami za angielskie pieniądze, do czego ks. Adam Sapieha miał rękę przykładać. Pośród takiego usposobienia, kiedy na Bałkanach wrzała najstraszniejsza walka, a echa armat rosyjskich odbijały się się niemal o mury Lwowa, powstała w Sejmie pod laską Ludwika Wodzickiego myśl adresu, natchniona przez partję skrajną. Sejm nowy odznaczał się naprzód tem, że prawie wcale w nim nie zasiedli posłowie włościańscy; odznaczył się także rozbiciem t. zw. partji krakowskiej, która dotąd w Sejmie rej wodziła, a wodziła dlatego, że posiadała najzdolniejszych ludzi, jak Potocki, Helcel, Tarnowski, Szujski, Badeni i inni, którym głównie powierzano referaty, bo pomiędzy galicyjskimi posłami nie była się jeszcze rozwinęła ta zdolność poli-

---

[1] Aneks VII.

tyczna, którą dziś uznać należy. W miejsce partji krakowskiej powstała, więcej osobistością niż zasadami związana, koterja Stańczyków. Znana już ich i kilkakrotnie przezemnie określona charakterystyka; aby zaś nie być źle zrozumianym, winienem tu dodać, że i zdolności i zamiary tych ludzi i skutki ich pracy uznać i uszanować należy. Mieli tylko tę wadę, że chcieli, aby dobro, którego sumiennie pragnęli, działo się tylko przez nich. Spotężnieli przez Marszałka, Ludwika Wodzickiego, rozsadzili, jak powiedziałem, partję krakowską, już i tak przez śmierć przerzedzoną i zaczęli rządzić Sejmem, a niemał krajem. Sądzę, że gdyby dawna organizacja partji krakowskiej chciała, przebieg Sejmu miałby inny kierunek i koniec.

U nas p a r t j a r u c h u zawsze jest żywotną, ma sobie za zasługę utrzymywać teorję nieprzerwalności powstania i choć się napozór rozwiązuje, zatrzymuje kadry. Stąd tak łatwe zorganizowanie, przygotowanie do ruchu, stąd przemoc wobec bezwładnego stronnictwa t. zw. konserwatystów. Ta partja ruchu, która w ogrodach na Łyczakowie rejestrowała bandy powstańcze, zaproponowała adres do cesarza w kierunku narodowym. Adres ten, zmodyfikowany przez Grocholskiego, był, według mego zdania, nierozsądny, niepotrzebny i szkodliwy. Występowałem przeciw niemu, bez skutku. Ale kiedy ważyły się głosy nad przyjęciem lub odrzuceniem adresu, nadszedł z Wiednia najwyższy rozkaz zamknięcia Sejmu. Tak uniknionо niepolitycznej dyskusji, ale zmarnowano zarazem dla czczej polityki przygotowane nasze prace i wiele spraw użytecznych.

Opuściłem Lwów w największem rozdrażnieniu i natychmiast po powrocie do Ruszczy wydrukowałem *List* do moich wyborców, śmiało i bezwzględnie piętnując politykę rewolucyjną, konstatując, że nie było adresu, i nawołując do organizacyjnego działania przeciwko anarchicznym zapędom. List mój wywołał niesłychaną burzę. Giller wystąpił z całą zaciekłością sekciarza w *Gazecie Narodowej*, Rewakowicz z grubjaństwem ordynarnego i podłego demagoga w ratuszu lwowskim. Nie kończyły się artykuły to w krajowych, to w zagranicznych pismach, nawet włoskich. Nie odpowiadałem zgoła, ufny w prawdę słów wyrzeczonych. Ukołysały się rozhukane fale, a ja — jak zwykle, kiedy człowiekowi nie można zarzucić ani osobistego interesu, ani trwogi, ani pochlebstwa, — wypłynąłem po tem całem wzburzeniu bez szwanku, i kiedy po traktacie w San Stefano zebrał się kongres w Berlinie, grono wspólnie myślących, jak ks. Władysław Czartoryski, Radziwiłł, Tarnowski, Koźmian, Szujski, wezwali



PAWEŁ POPIEL
(WEDŁUG FOTOGRAFJI Z OSTATNICH LAT ŻYCIA)

mnie, aby napisać memorjał do kongresu w sprawie polskiej. Memorjał napisałem po francusku. Osłabiony niewczesnemi poprawkami, podany został przez Artura Potockiego lordowi Beaconsfield i innym ambasadorom zgromadzonym na kongresie.

W ciągu tego roku (1876) umarł Maurycy Mann. Urodzony z Niemki i urzędnika galicyjskiego, obdarzony niezwykłą powierzchownością a wielkiemi zdolnościami, charakteru nieskazitelnego i odważnego, przechodził różne koleje, zanim powołałem go w 1850 r. do *Czasu*. Tu dopiero, choć nie zaraz, rozwinęły się wielkie polityczne i osobiste zalety tego człowieka, o którym słusznie powiedzieć można, że przekonania miał najzdrowsze i nigdy się ich nie wyparł; utrzymał niezawisłość dziennika, a wspomnieć warto, że ówczesny właściciel *Czasu*, Wincenty Kirchmayer, zgoła mu nie przeszkadzał, co niech będzie pochwałą tego człowieka, który jeżeli jako bankier, może nawet bezwiednie, zawiódł wielu ludzi, politycznie był człowiekiem uczciwym i pożytecznym.

O Mannie więcej tutaj nie powiem, bo napisałem jego życiorys; jakikolwiek on jest, uważam go za jedną z najlepszych prac moich. Ale zaznaczyć trzeba, że z jego śmiercią *Czas* przestał być tem, czem był, dziennikiem zasad o jednym wyraźnym kierunku, a zupełnie niezawisłym. Miałem ochotę wziąć rzecz w rękę, ale uważałem, że zacny Dębicki byłby to miał za uchybienie. Poprowadził przez parę miesięcy dziennik porządnie, ale źle obrachował, bo większość komitetu redakcyjnego pragnęła mieć Koźmiana. Stanisław Koźmian, syn Andrzeja a wnuk Kajetana, odznaczył się w 1863 r. niezawsze trafną, ale zawsze śmiałą czynnością w związku z Tarnowskim, Szujskim, Wodzickim. Pisał w *Przeglądzie Polskim*, a niezwykłą bystrością umysłu wpływał na wielu ludzi. Powierzchowności ujmującej, polubowny w zdaniu, nie miał nauki, ale miał więcej, bo niesłychaną przenikliwość i trafność w ocenianiu ludzi i wypadków. Taki człowiek nigdzie nie będzie obojętnym, czy mu będzie dane, zająć pierwsze stanowisko, czy nie. Że zaś, o czem tu w szczegóły wchodzić nie chcę i nie mogę, w prywatnem życiu był lekkomyślny, robiło to niesłychaną ujmę tym prawdom, które — winienem powiedzieć — w dobrej wyznawał i w dobrej bronił wierze. Dlatego, choć w najlepszych żyłem z nim stosunkach, założyłem *veto* przeciw daniu mu przewodniego stanowiska w *Czasie*. A miałem tę odwagę i dobrą wiarę wręcz mu moje wypowiedzieć powody, co tem bardziej uważałem sobie za obowiązek, że tradycyjne stosunki łączyły mnie z jego ro-

dziną, a osobisty urok pociągał. Większość komitetu redakcyjnego oddała Koźmianowi polityczny kierunek dziennika; posypały się też świetne i użyteczne artykuły, które chwilowo *Czas* podniosły, ale niestety nie dały mu sankcji moralnej, boć stosunki osobiste politycznego redaktora nietyle raziły opinję publiczną, dość wyrozumiałą dla innych, ile były powodem zarzutów podnoszonych przez ludzi nielepszych co do prywatnych obyczajów, a gorszych co do zasad i kierunku. Zatrzymuję się nad tym przedmiotem, bo wywarł niemały wpływ na politykę całego kraju. Stronnictwo, które postawiło jako główny postulat wiarę i polityczną uczciwość, winno mieć za swój organ pismo, kóremu co do niezawisłości i wartości moralnej redakcji nic zarzucić nie można. Tego teraz brakło, a nadto, kiedy Wodzicki został marszałkiem Sejmu i, jak już uważałem, towarzysze jego brali kierunek spraw publicznych, kiedy dalej stronnictwo to, postępując w urzędach, w stanowisku, stawało się bardziej od rządu zawisłem; zawisłość ta objawiała się i w dzienniku. Prawda, że jeżeli ministerjum działa w interesie kraju, toć trudno robić mu opozycję (a u nas niezawisłość tylko pod formą opozycji rozumieją), niemniej jednak należało *Czasowi* występować i przeciw organom rządu.

Dwa po sobie następujące sejmy nie przyniosły dla kraju owoców, ani też nie dały mi pola do obszerniejszego działania. Popierając sprawę nauczycielskiego internatu, miałem sposobność wystąpić przeciwko równouprawnieniu żydów. Sejm w 1880 r. poprzedzał zapowiedzianą bytność cesarza w Galicji. Kiedy różne korporacje gotowały się na jego przyjęcie, uważałem, że szlachta, jakkolwiek niemająca stanowiska prawno-politycznego, wierna dawnej tradycji powinna korporacyjnie powitać monarchę. Napisałem odezwę, która dobrze została przyjęta. Niemało zaszło trudności przy redakcji przemowy, a jeszcze więcej, aby przeprowadzić, że będzie po polsku. Zjechało się do 400 obywateli, i na ich czele tak powitałem monarchę:

„Najjaśniejszy Cesarzu, Królu i Panie nasz miłościwy!

„Szlachta Polska Twojego Królestwa Galicji, pomna historycznej swej przeszłości i społecznego stanowiska, przychodzi złożyć u stóp Monarchy Swojego wyznanie wierności, miłości, wdzięczności i najgłębszego uszanowania.

„Twoja sprawiedliwość, mądrość, zaufanie i niezliczone dobrodziejstwa sprawiły, że możemy i chcemy stać się podporą Twojego Tronu i społecznego porządku. Oby Bóg błogosławił Tobie i dostojnemu Twemu Domowi.

„Widzisz tu, Najjaśniejszy Panie, przed sobą rody, które przez wieki dzieliły losy Ojczyzny. Dziś pragną, abyś Najjaśniejszy Panie ten kraj zawsze ojcowskiem sercem otaczać raczył, a my abyśmy umieli zawsze odwdzięczać Twoje łaski i dobrodziejstwa.

„W tem uczuciu staropolskim obyczajem wołamy: Niech żyje Najjaśniejszy Pan!"

Piękny to był widok — około 400 szlachty w polskich strojach, witających z powagą monarchę: dla mnie miłe wspomnienie, że na jej przemawiałem czele. Pobyt cesarza dostatecznie opisany; więcej szczegółów nie potrzeba.

Zasiadałem jeszcze w Sejmie w 1881 r., ważnym z tytułu rządowego przedłożenia, pod którem ukrywało się podniesienie wniosku Dunajewskiego. Dziwnym a zrozumiałym wobec rozbicia u nas stronnictw zwrotem, jedni nie rozumieli myśli rządowej, drudzy chętnie ją sfałszowali. Powinna się była wysnuć potężna polityczna akcja, ale wystąpiły tylko stronnictwa, osobiste walki. Mojem zdaniem, nazbyt zwarta i w tajemnicy działająca partja Stańczyków przesadą utrudniła przeprowadzenie sprawy. Od tej chwili rozbił się t. zw. Klub reformy, kóry istotnie wytknął sobie jako cel reformę administracyjną kraju.

Na tym Sejmie także udało mi się w podwójnem przemówieniu przeprowadzić prawo o internatach dla nauczycieli wiejskich. Mimo to doświadczenie tej sesji przekonało mnie, że niema już dla mnie miejsca w sejmie. Człowiek moich zasad, mego wieku, powinien albo zgromadzić koło siebie stronnictwo, albo w dawniej ukonstytuowanem zająć przewodnie stanowisko. Nie potrafiłem ani jednego ani drugiego. Nie będąc żądnym tytułów, bez wpływów, postanowiłem złożyć mandat poselski.

Tegoż roku (1881) wydałem w Lipsku *Considérations sur l'état de l'Eglise unie en Pologne.*[1] W r. 1885, wobec ówczesnego położenia politycznego napisałem dla cesarza memorjał w sprawie polskiej.[2]

Pisząc te wspomnienia, chciałbym przedewszystkiem zostawić dokładny obraz stanu społecznego. Nie można powiedzieć, żeby doświadczenie ostatnich lat dwudziestu nie zostawiło śladu. Wyrobiło się wielu ludzi, duch negacyjno-opozycyjny osłabł, a było stronnictwo i ludzie, którzy śmiało po stronie rządu stawali. Kierunek ten jednakże panował we wyższych warstwach społeczeństwa, gdzie korzystano albo z nauki, albo z doświadczenia; w sferach miejskich

[1] Aneks VIII. [2] Aneks IX.

t. zw. inteligencji galicyjskiej dwa wpływy wybitnie się odznaczały: żydowski i rewolucyjny. Żydowski z tradycyjną zręcznością łączył się z rewolucyjnym, ile tylko razy było mu to potrzebne do osobistych celów. Gardłował wtenczas za wolnością, równością, postępem, za potrzebami ludu, które niby brał w opiekę, a którego nie przestawał wyzyskiwać. Obóz postępowy, liberalny, albo (jak powiedziałem) rewolucyjny, nasiąkł duchem dawnych konspiracyj, duchem 1863 roku, wpływowy dlatego, że zachował kadry dawnej organizacji spiskowej. Kierownicy wiedzą, dokąd dążą, ale u większej liczby poplatne to polityczne, to patrjotyczne zdania pędzą w jednym kierunku trzodę bezwiedną, karmioną przewrotnem a miernem dziennikarstwem i mowami na lwowskim ratuszu. Jeżeli zauważymy, że pyszałkowatość przeciętnej szlachty, jak np. Reya, Wł. Koziebrodzkiego, Męcińskiego, odciąga ją od poważniejszego, a jej własnego obozu to zrozumiemy, czemu *Reforma* ma dziś więcej prenumeratorów niż *Czas*, a wybory do Rady Państwa są coraz to wątpliwszej wartości. I dzieje się tak, że np. cesarza, następcę tronu, przyjmuje obywatelstwo w najlepszej wierze, serdecznie, ale mimo to rachować nie można, aby w razie potrzeby stawiło czoło prądom niebezpiecznym. Gdyby tak nie było, jakże utrzymałyby się pisma takie, jak *Reforma, Gazeta Narodowa, Dziennik Polski, Kurjer Lwowski*? W istocie zatem jeżeli pod powagą rządu obcego można jeszcze rachować na zdrowszy kierunek, to faktycznie w razie, nie mówię już zupełnej swobody, ale naprzykład zajęcia innych części Polski przez Austrję, gdzie szukać balastu, któryby okręt wśród burzy w równowadze utrzymał? Chyba w ludności wiejskiej, ale i ta już poniekąd została nadpsutą. Chłop galicyjski był to „chłop cesarski", jako taki karny, posłuszny, gotów nawet do poświęcenia, bo mu wyperswadowano, że jedynie rząd broni go od szlacheckich nadużyć. Otóż ten chłop, który ustawicznie chodzi na wybory, który słucha sprawozdań posłów, który słyszy, że podatki nakłada reprezentacja, że cesarz odpowiedzialny przed Izbami — ten chłop stracił to uszanowanie dla monarchy, a nie nabył uszanowania prawa. Jakie byłoby usposobienie tego ludu na przypadek wojny albo ruchów socjalnych, nie wiem, bo wchodzą tu w rachubę dwa elementy nieobliczalne: Żydzi i Rusini. Czego można oczekiwać po Rusinach? Wskazała to dobrze sprawa w Hniliczkach;[1] ukrócona wewnętrznie, tleje pod popiołem, a choć

[1] Głośna w swoim czasie sprawa przejścia całej parafji na prawosławie.

istotnie w ludzie wiejskim zaledwo tleje, dmuchają przecież na to zarzewie trzy ruskie obozy. Kiedy zaszła sprawa w Hniliczkach, przerażony wypadkiem zredagowałem krótki ale dosadny memorjał i oddałem go cesarzowi; przyjął łaskawie.[1] Konkluzja memorjału zawierała się w pięciu wnioskach, które wszystkie zostały wykonane. Czy dlatego, że je proponowałem? Nie twierdzę, ale w każdym razie musiały być zgodne z położeniem. Przyniosły względny skutek. Sprawa Hrabarowej, która była w związku z sprawą w Hniliczkach, poprowadzona miękko, nie wywarła tego przerażającego skutku, jaki usiłowanie zdrady stanu sprowadzić powinno. Wypadki jak te, które zaszły, albo trzeba było puścić mimo, albo tak surowo ukarać, by odjąć ochotę dalszego w takim kierunku działania. Łagodne ukaranie rozdrażni, nie przestraszy; w danym wypadku winowajcy znaleźli jużto schronienie, jużto nagrodę pieniężną w Rosji. Chociaż, jak to w memorjale moim przedstawiłem, i metropolitę usunięto, i starostę zasuspendowano, i proces wytoczono, i wójta do odpowiedzialności pociągnięto, wszystko to odbyło się zbyt łagodnie, nie wywarło przestrachu, który głównie byłby zbawienny przez wrażenie na lud.

Pisałem wówczas obszernie do ministra Ziemiałkowskiego, który, zdawało mi się, te kwestje rozumiał, ale napróżno oczekiwałem skutku. Czyby to już było takie obecne usposobienie?

Sprawa ruska składa się z kilku elementów; pomijam dawne świętojurskie działanie, które ustało, albo rozłożyło się na inne stronnictwa. Mam przekonanie, że na Rusi warstwa ludowa jest spokojna, jest austrjacka, jest katolicka, a w gruncie nieprzyjazną polskości nie jest. Ale ponad tą warstwą pływają szumowiny, niby jakaś inteligencja, która mieni się być narodu ruskiego reprezentacją, a praw jego historycznych stróżem. Ta warstwa rozpada się na dwie części i dwom ulega wpływom. Jedna jest poprostu na drodze rosyjskiej, z Petersburga bierze rozkazy i pieniądze, harda, bo zaufana w rosyjskie wpływy i obronę, dla której rząd austrjacki ma zawsze względy. Druga, istotnie partja ruska, zabarwiona socjalizmem. Ideałem jej Ruś cała, Czerwona, Mała, Biała i Czarna, zlana w jedną i niezawisłą, — jak się wyrażają, olbrzym ośmnasto - miljonowy. Stronnictwo to utrzymuje stosunki z Kijowem i Odessą i wierzy w byt przyszły Rusi samoistnej, niepomne, że Ruś, — pominąwszy czasy

---

[1] Autor Pamiętników, jako Tajny Radca, mógł każdej chwili otrzymać posłuchanie; mówił wtenczas, że raz mu się ten tytuł na coś przydał.

Włodzimierzowskie — wobec gwałtu, który na niej popełniali książęta moskiewscy miała historyczny byt tylko w połączeniu z Polską — Rzecząpospolitą ziem polskich, litewskich, ruskich. W tem też połączeniu wszystkich używała swobód politycznych, językowych i religijnych, dzieliła sławę Rzeczypospolitej. Prawodawstwo było zredagowane w języku ruskim, archiwa rodzinne utrzymywane po rusku, do Unji nikt przynaglonym nie był; najlepszy dowód, że Ruś Czerwona o wiek cały później do Unji przystąpiła. Uprzedzenie biskupów łacińskch nie dopuściło ruskich do Senatu, kler ruski uważano za niższy, słowem, jak zwykle w Polsce, skutki wielkiego religijno-politycznego aktu stały się połowiczne. Jeżeli na ogromnych ukraińskich stepach, zajętych częściowo przez polskich magnatów, a będących pod bezpośrednim wpływem Zaporoża, działy się gdzieniegdzie nadużycia, to były wyjątkami, i kiedy mówimy o zupełnem uprawnieniu Rusi polskiej, to, ma się rozumieć, mówimy o Czerwonej Rusi. Te ogromne bezludne pustynie nie znały stanu prawnego, jak go np. nie znają puszcze Ameryki pomiędzy Mississipi a Oceanem Spokojnym. Tu się mogły dziać sporadyczne bezprawia, a skoro im polska nieporadność nie położyła tamy, nastało powstanie kozackie i straszne jego skutki.

Wracając do Galicji, dwa określone dopieroco stronnictwa walczą ze sobą zaciekle, ale zawsze się łączą w wygadywaniu na Lachów. W tej chwili, kiedy to piszę, mam mocne przekonanie, że energiczne działanie ze strony rządu częścią rozstroiłoby, częścią zneutralizowało i Rusofilów i Ukrainofilów. Z metropolitą, niedość energicznym, ale uczciwym i katolickim, jak Sembratowicz, z biskupem jak Pełesz, wywarłszy trochę administracyjnego teroryzmu, zwłaszcza na urzędników, położyłoby się koniec podwójnej akcji partji ruskiej, ale powtarzam: konieczna tu jest akcja rządowa. Obywatelstwo, kraj, powinni dopomagać, — zastąpić jej nie potrafią.

Mojem zdaniem, niemniej groźną, a z pewnością trudniejszą jest kwestja żydowska. Ludność ta, rozrośnięta do liczby 800.000 t. j. tak, że każdy siódmy człowiek w Galicji jest żydem, zachowała te zdolności i właściwości, któremi się odznaczała od trzech tysięcy lat; taką, jaką jest u nas, była w Persji, w Egipcie, Rzymie, a później w Hiszpanji. Stanowisko, jakie jej nadał w Polsce Kazimierz Wielki, a które rozwinęła później niedołężność szlachty (obacz Decjusza), wytworzyło tę potęgę rozkładową, którą słusznie Iłowajski w przedmowie do *Sejmu Grodzieńskiego* uważa jako jedną z głównych przy-

czyn upadku Polski. Z natury rzeczy, w nienormalnych stosunkach pod każdym obcym rządem musiał ten element stać się daleko jeszcze niebezpieczniejszym i pod każdym zaborem przybiera inny, a zawsze wrogi charakter. W Poznańskiem germanizuje, na Litwie mówi po rosyjsku i chodzi w kaftanie, w Warszawie patrjotyzuje od czasów Wielopolskiego, ale ostatnią swoją myśl wyrzekł w pamiętnym memorjale warszawskiego komitetu giełdowego.

W Galicji obchodzi ostatni swój tryumf równouprawnieniem politycznem i stanowiskiem, jakie mu jedna przeważnie dziennikarstwo wiedeńskie i wszechmocny skutek finansowej przewagi, wpływ Rotszyldów. Przezorna i polityczna *Alliance Israélite* upatruje zapewne Galicję za punkt najważniejszy, na którym można przewagę żydowską doprowadzić do rzeczywistości, i dlatego to przez swych wysłańców organizuje szkoły. Baron Hirsch daje 5 miljonów, i w Galicji z upoważnieniem, niemal z aplauzem rządu rozpoczyna się (właśnie w tym roku) czynność najniebezpieczniejsza. Zważywszy, że (zapewne wskutek naszej osobistej winy) kapitały skoncentrowały się w rękach żydowskich, że znaczną liczbę dóbr ziemskich nabyli, a nie mniejszą dzierżawią, że propinacje i myta drogowe wszystkie w ich ręku (co już Decjusz w 1516 r. jako anomalję wytykał); zważywszy, że obok równouprawnienia zachowali jeszcze przywilej kahałów, szkół (chederów), sądownictwa; zważywszy, że w każdej sprawie występują solidarnie, którą to solidarność utrzymuje karność religijno-polityczna; zważywszy, że każdy żyd jest wykształcony moralnie przez Talmud, a umysłowo przez wychowanie w chederach, których metod lekceważyć nie należy — wypływa stąd, że ludność krajowa musi koniecznie ulec plemieniu tak mnożnemu, a tak przemyślnemu.

Prawda, jesteśmy niedołężni, ani w handlu, ani w przemyśle nie dotrzymujemy im kroku. Ale bądźmy i dla siebie sprawiedliwi: walka jest utrudniona tam, gdzie solidarny interes spotyka się z interesem pojedynczym, a już to samo na naszą korzyść powiedzieć musimy, że prawem o lichwie, założeniem uczciwych instytucyj kredytowych, zmniejszyliśmy do pewnego stopnia wpływ pieniężny żydowski. Mimo to Kraków, który niedawno obfitował w tak szanowne bankierskie firmy, jak Kirchmayerów, Helclów, Wolfów itd., nie ma dziś ani jednego bankiera katolika. Pamiętam handel zbożowy w ręku chrześcijańskiem, kupowali na tysiące korcy Kirchmayer, Helcel, Milewski; z Białej i z gór przyjeżdżali w poniedziałek zamożni kupcy, (głównie znany Wojciech na czele) i z Kleparza zabierali z krakow-

skiego województwa dostawy. Nie inaczej było z handlem żelaza; liczne żelazne sklepy na rynku zapewniały dobrobyt wielu rodzinom, w rękodziełach zaś nie istniała zgoła konkurencja żydowska. Dopuszczenie pod firmą patrjotyzmu żydów do miasta w 1848 r. (czemu jako członek Rady miejskiej byłem na głowę przeciwny), zniszczyło obywatelstwo, a dało pięknym ulicom naszego miasta tę tandeciarską cechę, tak bolesną dla tych, co lepsze pamiętają czasy. Przechodzą też i kamienice w ręce Izraela, który tak dumnie po trotuarach naszych chodzi i zaledwo dawnym obywatelom miejsce zostawia. Jaki zaś wpływ mają na szkoły, do których licznie uczęszczają, a w których — trzeba powiedzieć — celująco się uczą, dowodzi najlepiej duch, który panuje w młodzieży akademickiej. Obecnie, jak wiem od profesorów, wpływ żydowski zmniejszył się wśród młodzieży.

Ten stan rzeczy, który odmalowałem bez żadnej przesady, nie jest wielką tajemnicą. Jakże się dzieje, że kiedy w Niemczech, w Wiedniu, nawet we Francji, objawia się antysemityzm, w Galicji, tak zagrożonej, niema go ani śladu.Naprzód tolerancja, a raczej uległość dla żydów jest dowodem postępu. Jakżeby Polak mógł być nie postępowym! Powtóre przemysłowcy nasi, choć nieliczni, są zawiśli od żydów, nie mówiąc już o właścicielach ziemskich, którzy dla mizernego zysku przypuszczają ich do propinacji. Ale oprócz tych powodów odgrywa tu znaczną rolę obawa przed żydami. Ludzie boją się żydów; boją się politycznie, aby nie szkodzili w wyborach, boją się finansowo, aby nie rzucili klątwy, boją się osobiście, a niema nic dziwnego po procesie Rittnerów[1] i bezkarności, której wszędzie żydzi używają w sądach. Cóż tedy? Dwie są drogi: albo wydać im na drodze politycznej wojnę (boć krwawych instynktów ludu przeciwko nim pobudzać nie można), albo, jak chcą niektórzy, połączyć się z niemi przez małżeństwa i równouprawnienie socjalne. Niebaczny to kierunek: równouprawnienie socjalne żydzi wyzyskaliby dla siebie, by podniósłszy się, móc tem łatwiej strawić nieprzyjazny element, a do tego

[1] Sprawa Rittnera (r. 1878 czy 1879) głośna była nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Rittner, pachciarz z Lutczy w Jasielskiem, miał stosunek z dziewczyną chrześcijańską. Została zamordowana, a mord miał być rytualny. Rittner uwięziony i w trzech kadencjach sądów przysięgłych skazany. Chłop z Lutczy (nazwiska nie pomnę) główny świadek i zapewne współwinowajca umarł(?) w więzieniu. Sprawa przeszła do Najw. Trybunału w Wiedniu, który Rittnera uwolnił. Wiadomość ta przyszła do Krakowa jeszcze przed wydaniem wyroku, a współwyznawcy zgotowali Rittnerowi uroczyste przyjęcie.

tak słaby, jak polski. A zatem co? Wydanie żydom wojny na polu politycznem, zaczynając od przywilejów, których używają, a kończąc na ograniczeniach, których właściwie opinja publiczna zażądać musi. Jeżeli też opinja, czyto ulegając podejrzanemu dziennikarstwu, czy też zastraszona, nie zdobędzie się na to, za lat kilkadziesiąt despotyzm Izraela ciężko zaważy nad tym krajem.

Mojem zdaniem, tylko rząd rosyjski zrozumiał dokładnie ważność tej sprawy i, jak dotąd, nie dopuszcza żydowskich wpływów do wnętrza państwa. Czy element polski w Galicji, w tym stanie, w jakim jest, moralnie, finansowo i socjalnie wytrzyma walkę z żydami i Rusinami? Czy rozdzielony na stronnictwa może ją nawet przeprowadzić? W takich sprawach nic przewidzieć nie można, bo może znaleźć się człowiek albo kilku ludzi, którzy wskażą społeczeńswu niebezpieczeństwo; gdyby się nawet tacy nie znaleźli, to, mojem zdaniem, stronnictwo choć napozór nieliczne, ale podniesione do potęgi przez wiarę i tradycję, jako tako zorganizowane, może wejść wprost w styczność z masą jeszcze niezepsutego ludu. W każdym kraju, w każdem społeczeństwie, liczba ludzi cnotliwych, o zdrowych zasadach, mała, ale mimo to są oni jak rosa niebieska, która nieznacznie żywot roślin budzi. Tutaj nie mała liczba utrudnia działanie, ale brak ducha organicznego w działaniu tej małej liczby. Wymawiam sobie, i słusznie, że — czy przez brak energji, czy lenistwo — nie pracowałem więcej nad wytworzeniem stronnictwa, co w górze byłoby połączyło umysłowe i polityczne siły, a w dole weszło w stosunek z ludem, którego ogromna większość do dziś dnia jest zdrowa.

Myśl ta zajmowała mnie całe życie; czy moja wina, że nie przyoblekła się w ciało, czy też nie było do tego żywiołu? A jednak w tym czasie żyli ludzie jak Adam Potocki, Helcel, Leon Rzewuski, Józef Badeni, Michałowski, że innych pominę. Może nietyle brak żywiołów, jak brak silnej woli i ręki był powodem, iż się to nie powiodło. Rzecz jest możebna, dowiedli tego Stańczycy, niewiele od nas różni zasadami, może w głównych punktach zgodni, a jednak przez lat 20 przeszło nietylko wspólnie działali, ale przyszli do przeważnej siły. W innem miejscu, w Żywocie Józefa Szujskiego,[1] dokładnie opisałem ich wartość, cele i środki, a przyznaję tutaj, że ich lekce nie ważę. Pozyskawszy — po śmierci Adama — Artura Potockiego, wywierali niemal

[1] Tytuł brzmi: *W drugą rocznicę śmierci Józefa Szujskiego.* Rzecz ta drukowana w *Przeglądzie Powszechnym* 1885 r. Wywołała wielkie oburzenie w stronnictwie t. zw. Stańczyków. W *Pismach* przedrukowana nie była.

nieograniczony wpływ na ówczesnego namiestnika, Alfreda Potockiego, i niezupełnie niesłusznie. Marjan Sokołowski mówił przed kilku laty, że Stanisław Koźmian rządzi Galicją. Że myśli St. Koźmiana za namiestnikostwa p. Alfreda odbijały się w rządach, niema kwestji, nieradbym jednak, by ktokolwiek stąd wnosił, że p. Alfred Potocki był tylko narzędziem. Tak nie było. Potocki przyjął namiestnikostwo nie z pychy, ani z próżności, ale z miłości kraju. Przy jego stanowisku urząd ten był ciężarem, — godności i zaszczytu dodać mu nie mógł. Nie przeszedłszy stopni administracyjnych, nie był urzędnikiem fachowym jak np. Gołuchowski, ale brak ten zastępował poświęceniem, najzupełniejszą bezstronnością i tą powagą, którą daje charakter, imię i majątek. Coś z tej wielkiej szlachetności, którą miał w sobie, tchnęło na cały ustrój administracyjny i podniosło jego godność. Uważam też kilkoletnie jego rządy za zbawienne, a kraj winien mu szacunek i wdzięczność.

Dwa lata później hr. Potocki złożył namiestnikostwo. Ludwik Wodzicki złożył marszałkostwo, obejmując posadę w Länderbanku wiedeńskim. Miejsce p. Alfreda zajął wiceprezydent namiestnictwa Zaleski, kierownictwo Izby i Wydziału krajowego dotychczasowy prezydent miasta Krakowa, Zyblikiewicz. Niepodobna było znaleźć kombinacji mniej szczęśliwej, niż marszałkostwo Zyblikiewicza i namiestnictwo Zaleskiego. Pierwszy wyszedł z niższych warstw społeczeństwa: syn ubogiego kuśnierza z pod Sambora, ogromną zdolnością i wytrwałą pracą zdobył naukę szkolną. Naprzód suplent gimnazjalny w Tarnowie, potem adwokat w Krakowie, od chwili pierwszej praktyki zdobył reputację nietylko prawnika, ale człowieka niezrównanej prawości. Mając zajście z moim szwagrem, prosiłem go, aby się podjął interesu: wręcz odpowiedział, że nie podejmuje się nigdy procesów w rodzinie, a dopiero kiedy się dowiedział, że pragnąłem zgody, podjął się i doprowadził. Rosła też dobra o nim opinja w mieście tak, że w 1882, przewodnicząc Kołu wyborczemu w Krakowie, z łatwością przeprowadziłem jego wybór i powiedziałem mu: „Może dziś jeszcze Sejm obszedłby się bez twych zdolności, ale ty się nie obejdziesz bez większej sfery politycznej, aby twe znakomite zdolności wykształcić". Przyznał, i był mi dobrym przyjacielem. Znane jego działanie, jego wymowa w Sejmie i w Radzie Państwa. Zostawszy prezydentem krakowskiej Rady miejskiej, złożył mandat do parlamentu, nie przestając zasiadać w Sejmie. Prezydenturę swą zaznaczył uporządkowaniem miasta, stawiając szlachtuz, przeprowadzając

restaurację Sukiennic. Tak doszlo do skutku dzielo, zamierzone lat temu sześćdziesiąt przez Senat Rzeczypospolitej.

Mialem w tem dziele znaczny udział, bo przedlożylem jeszcze Dietlowi projekt restauracji Sukiennic, a zdecydowalem wybór projektu wypracowanego przez Prylińskiego. Z wszystkich byl on niewątpliwie najlepszy, należalo tylko odrzucić monstrualne przybudowania, co też nastąpilo. Odbylem kilkanaście posiedzeń z Matejką i Łuszczkiewiczem w tym przedmiocie, dopóki się nie przyszlo do kształtów i rozmiarów, które obecnie w restauracji uwzględniono. Otaczające Sukiennice sklepienie gotyckie w pierwotnym projekcie bylo beczkowe, a kolumny romańskie byłyby, mojem zdaniem, więcej odpowiadaly budowli. Ówczesny budowniczy miejski, Moraczewski, zwichnął ten plan, i jemu przypisać można, co pod względem stylu w calej restauracji wadliwego. Moraczewski byl to doskonaly konstruktor, ale żaden estetyk; musialy więc runąć ciekawe bardzo jatki szewskie, aby jednostajność zapanowala w calym gmachu. Usilowalem przekonać konserwatora Łepkowskiego, że gmachy tego rodzaju jednolitości nie znoszą, że zalamanie od ulicy Szewskiej będzie malowniczem — napróżno. Tak, napracowawszy się dużo, nie mialem pociechy, że przeprowadzilem w zupelności mą myśl, ani (co mniejsza) pamiątki, że wielki udzial w tej sprawie bralem.

Zyblikiewicz, objąwszy marszalkostwo, spotkal się w Wydziale krajowym z niechęcią i opozycją. Ostatnią zlamal swą energją i gwaltownością, pierwszej ulagodzić nie potrafil. Obdarzony nieslychanie bystrym rozumem, odwagą i energją wielką, nie byl wychowanym. Nie wiedzial przeto, że drażnić nie potrzeba, a rachować się z niechęcią należy. Brak bylo u niego tej roztropności, dlatego potulni wobec niego czlonkowie Wydzialu nieublaganie ścigali poza nim usterki jego lub rzadkie blędy. Byli też tacy w Sejmie, którzy rozumieli, że są godniejsi, by dźwigać laskę.

Po objęciu namiestnikostwa przez Filipa Zaleskiego niechęć ta znalazla tam odglos. Niepodobna bylo dobrać dwóch charakterów bardziej przeciwnych do jednej czynności, boć ostatecznie namiestnikostwo i marszalkostwo winny mieć za cel wspólny dobro kraju. Zaleski, syn Waclawa, którego Goluchowski po 1848 r. potrafil z namiestnikostwa usunąć, przy boku tegoż Goluchowskiego, który krzywdę ojcu wyrządzoną chcial na synie nagrodzić, wyrobil się na urzędnika wytrawnego. Zdolności przeciętne, wschodnia, z krwią odziedziczona przebiegłość, z początku wielka pracowitość, otwarly

mu pole do dalszej zasługi. Przydzielony do ministra Ziemiałkowskiego, przechodzi niebawem na delegata do Krakowa, a stamtąd na prezydenta gubernjalnego do Lwowa. Układny, pełen taktu, ożeniony z Suchodolską, kobietą obdarzoną tym niewieścim węchem i tym niewieścim urokiem, który tak bardzo bywa mężom pomocny, zostaje po Alfredzie Potockim namiestnikiem. Administracja cywilna w Galicji rozluźniła się; powiem prawdę: żywioł polski, który wszystkiemi stanowiskami owładnął, jakkolwiek pod względem zacności i uczciwości trzyma pierwszeństwo, nie odznacza się ani karnością, ani pracowitością, ani akuratnością. Umiał mu dać te zalety Gołuchowski, ale uczeń jego i wychowaniec Zaleski za mało miał na to energji. Galicja od lat kilku, można powiedzieć, nie jest administrowana, prawa, przepisy źle wykonywane, policja wiejska żadna, interesa zalegają — słowem, daje się czuć wielki rozstrój.

Jeżeli się zastanowimy, że w tym kraju istnieje spisek rosyjski, że troistość ludności polskiej, ruskiej i żydowskiej wymaga więcej niż gdziekolwiek rządowego działania, łatwo pojąć, w jakim stanie obecnie znajduje się ten kraj koronny. Te wszystkie niedostatki oceniał bardzo dobrze Zyblikiewicz; potęgowały one jego osobistą niechęć do Zaleskiego, a niepohamowany w swej namiętności, często nawet publicznie wyrażał się o nim z lekceważeniem. Żaden rząd nie może być obojętny na osłabienie wpływu najwyższego urzędnika w kraju. Zwolna podniecane uprzedzenia przeciw Zyblikiewiczowi zyskiwały grunt w sferach najwyższych. Marszałek upadł pod niechęcią Wydziału a wpływem Namiestnika. Podał się do dymisji. Pisałem wówczas osobiście do hr. Taffego, przedstawiając wielką szkodę dla kraju, jeżeli Zyblikiewicz będzie usunięty. Odpowiedział grzecznie, że nie może nikogo zmusić do zostania w urzędzie. Zrozumiałem, jak stanowisko Zyblikiewicza było podkopane. Wybrany po nim Jan Tarnowski. Niepodobna było zrobić lepszego wyboru: zacny, pełen poświęcenia, bezinteresowny, wielki miłośnik kraju, nie potrafi jednak nigdy zastąpić Zyblikiewicza i przeprowadzić zadań, które po nim odziedziczył.

W 1881 r. złożyłem mandat poselski, zapóźno wszedłszy w życie parlamentarne. Po mnie wybrano syna mego, Jana, który aż do dzisiejszego dnia (t. j. 8 października 1888 r.) posłuje.

Tak skończyłem krótki mój publiczny zawód.

———✕———

ANEKSY

I. Memorjał do trzech Dworów w obronie Uniwersytu Jagiellońskiego w Krakowie (1832)[1]

(Do str. 84)

Mémoire Justificatif

Sire,

Au milieu des ruines qui couvrent le sol Polonais et son ancienne capitale, il n'y a que le sanctuaire de Dieu et le sanctuaire des Sciences qui sont restés debout. L'Eglise et l'Université catholique de Cracovie ont été respectés jusqu'à ce jour malgré les révolutions qui ont tant de fois changé la face de ce pays. Lors du Congrès de Vienne une idée religieuse semblait avoir inspiré aux Souverains qui décidaient alors sur le sort de l'Europe, de confier la garde de ce double sanctuaire à un Gouvernement séparé et national qui saurait apprécier tout ce que ce dépôt avait de sacré et de respectable. C'est du moins ainsi que les citoyens éclairés et vertueux de cette République conçoivent le but de son existence, et c'est pourquoi un culte religieux s'attache au maintien de l'Institut scientifique qui se trouve dans leur capitale, et qui'ils regardent comme le palladium de leurs destinées. C'est aussi la raison, pourquoi ils osent signaler les dangers qui le ménacent à l'auguste Souverain dont jadis le gouvernement, et plus tard la protection paternelle, les avait toujours couverts de son égide.

L'expérience ayant découvert de graves défauts dans la constitution politique, l'administration et l'ordre judiciaire de ce pays, ses citoyens mêmes avaient demandé à leurs augustes Protecteurs d'ordonner les

---

[1] Memorjał zachował się w papierach Pawła Popiela, ale bez zakończenia. Rzecz dziwna, pisma tego niema w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego. — Gdy po śmierci autora niniejszych *Pamiętników* dziennik *Nowa Reforma* w zjadliwym artykule szkalował jego pamięć, Konrad Wentzel, radca miejski, zacytował w odpowiedzi m. i. działalność Pawła Popiela w sprawie ratowania przyszłości krakowskiego uniwersytetu (*Czas*, z 11 marca 1892 r.).

changements nécessaires. Ces changements étaient d'autant plus urgents, qu'à la suite de dissentions intérieures un ordre de choses illégal et provisoire s'était introduit dans le sein même du gouvernement. Aussi la Commission d'organisation que les souverains Protecteurs ont daigné déléguer, et les changements qu'elle a introduit dans les différentes branches du gouvernement, furent-ils regardés comme un nouveau bienfait et comme une preuve que la bienveillante sollicitude des augustes Souverains auxquels ce pays doit son existence n'avait pas changé à son égard.

Mais indépendamment de ces innovations salutaires leurs Excellences Mrs les Commissaires prétendirent faire subir à l'Université de Cracovie une nouvelle organisation, mesure, qui n'a été provoquée par aucun voeu légal du pays. Ayant nommé à cet effet un comité spécial de citoyens dont ils voulaient consulter les lumières locales, ils lui firent part d'un projet d'organisation dont l'esprit est loin d'être en harmonie avec les intentions bienveillantes des Souverains protecteurs et même avec les autres actes de la Commission.

Dans ce projet, à part les dispositions de discipline intérieure qui pouvaient même devenir salutaires, il en est d'autres qui plus ou moins portent atteinte aux privilèges de l'Université.

Une d'entre elles prive cette institution du droit que la constitution de 1816 lui avaint accordé, celui de choisir dans son sein deux membres pour le Sénat dirigeant. Mais comme ce droit ne dérive pas de ses anciens privilèges et n'influe pas décisivement sur son existence, cette privation, bien que douloureuse, ne peut pas être regardée comme trop importante. Il n'en est pas ainsi de deux autres dispositions qui sont tellement contraires aux droits de l'Université, qui menacent jusqu'à un tel point son existence et son avenir, que c'est sur elles que nous osons appeler toute l'attention bienveillante de Votre Majesté.

La première a pour but de retrancher plusieurs chaires qui existent maintenant et de confier à un même professeur les soins de faire plusieurs cours. L'autre mesure doit priver cette institution du droit de choisir par elle-même les professeurs pour les chaires vacantes et la soumettre dans ce cas à l'opinion des universités étrangères.

Le but de ce mémoire est de prouver que ces deux mesures sont contraires aux droits et privilèges de l'Université et même qu'elles sont pernicieux au bien de ce pays. Pardonnez Sire, si dans ce double but nous osons représenter à Votre Majesté Impériale l'esprit dans lequel l'Université de Cracovie fut fondée, quels sont ses privilèges, et quels sont les besoins scientifiques de ce pays.

La Pologne, encore barbare dans le X-e siècle, dut en même temps au Christianisme et la lumière de la foi et la lumière des sciences; c'est sans doute pourquoi elle n'a plus voulu les séparer. Son clergé remplissant ce double apostolat érigea dans les couvents et auprès des églises des écoles qui répandirent dans le pays les premiers éléments des sciences et des arts. Bientôt ces ressources ne parurent pas suffisantes, et depuis le XI-e s. on vit de nombreux pèlerins qui allaient puiser la science aux universités de Paris et de l'Italie, tandis que d'autres couraient, les armes

à la mains, délivrer le tombeau du Seigneur. C'est pour satisfaire à ce noble besoin de sa nation que Casimir le Grand érigea à Cracovie vers le milieu du XIV-e s. la plus ancienne Université du Nord de l'Europe. Mais en civilisant son pays il voulut en même temps à l'aide de son Université porter le flambeau de la foi parmi les populations de la Lithuanie. Sa petite-fille la reine Hedvige accomplit la grande idée de son aïeul, sa main fut le prix de la conversion du Souverain de la Lithuanie, et ses prières porterent son époux à relever l'Université de Cracovie, tombée en décadence à la suite des malheurs du pays. Le but religieux de cette institution paraît aussi dans le privilège de restauration et dans la lettre que Ladislas Jagellon écrivit à ce sujet au Pape. Il y avoue, qu'ayant reçu en même temps par la grâce divine le baptême et une couronne éclatante, il ne pouvait reconnaître d'une manière plus digne ce double bienfait, qu'en restaurant l'Université de Cracovie pour la plus grande gloire de Dieu et la conversion des Lithuaniens[1].

Ce n'était donc pas une institution mondaine qu'il prétendait fonder, ce n'était pas dans un but matériel et temporaire qu'il voulait faire enseigner des sciences pratiquement utiles ou agréables, c'était dans un but religieux et sublime; c'était un sanctuaire qu'il croyait ériger pour élever à Dieu les peuples qui étaient soumis à son sceptre, c'était pour le salut de son âme et pour fléchir la miséricorde de l'Eternel en faveur du fondateur qu'il a voulu assurer à sa fondation une durée perpétuelle. Plein de cette pensée, il appelle la colère et la vindicte divine sur la tête de chacun qui porterait la main sur sa fondation chérie[2].

Par une bulle de Jean XXIII les immunités de l'Eglise furent étendues à son enceinte, aussi dès son origine était-ce plutôt un établissement spirituel que séculier. Comme celles-ci elle offrait un saint asile à ceux qui s'y réfugiaient. Les chaires des professeurs furent remplies presque exclusivement par les ecclésiastiques, et les anciens jurisconsultes polonais mettaient les droits et immunités de l'Académie à côté des droits du clergé.

Tous les rois de Pologne inclusivement jusqu'à Stanislas Auguste ont non seulement respecté les privilèges de l'Université de Cracovie, mais chacun d'eux s'est empressé à son avénement de les ratifier et de les augmenter. Ces privilèges sont donc restés dans toute leur vigueur jusqu'au dernier partage de la Pologne, et alors même le gouvernement de Votre Majesté Impériale les avait conservés, en n'y introduisant que les

---

[1] Ex quo Aeterni Regis dispositio, ineffabili cuncta disponens ratione, Nos de gentilitatis eduxit erroribus et ad Regalis dignitatis fastigium quamvis Nostris insufficientibus meritis dignata est evocare, ad hoc praecipue sedula meditatione propositorum nostrorum studia dirigimus... ut terrarum nostrarum Lithuaniae Indigenas... quos socios tenebrarum habuimus... ad scientiam piorum operum, sine quibus ipsa Fides est vacua, in Lucis Filios convertamus.

[2] Si quis autem has nostras... Literas de successoribus nostris aut quibuscumque violare et infringere praesumpserit, iram vindicem Districti Judicis et miserabilis infelicitatis horridum et inopinatum eventum se noverit incursurum.

modifications qui étaient nécessaires pour mettre cette institution en harmonie avec le système d' éducation suivi dans toute la Monarchie. Le gouvernement du Grand Duché de Varsovie n'a rien statué au détriment de ces privilèges, et enfin les trois Cours protectrices de la nouvelle République de Cracovie ont daigné les confirmer dans l'art. XV du Traité additionel de Vienne, et la première Commission chargée d'organiser ce pays, en rédigeant le Statut organique de l'Université, a même conservé, conformément à volonté de Leurs Majestés, tous les anciens usages de cet institut, en ne retranchant que ce qui n'était pas en rapport avec les lumières et les exigences du siècle.

L'Université de Cracovie est donc depuis cinq siècles dans la jouissance pleine, entière, continue et loyale de ces privilèges, et il suffira d'en citer les dispositions pour prouver, combien la réforme projetée leur est contraire.

Il appert par le privilège de fondation de Casimir le Grand ainsi que par celui de sa restauration de Ladislas Jagellon, que l'Université de Cracovie doit posséder des cours dans toutes les branches des sciences licites[1].

Le Pape Jean XXIII, en confirmant les clauses du privilège de Ladislas, rappelle cette disposition[2] et n'excepte aucune science licite. Il résulte encore du privilège de Casimir le Grand, que les Professeurs de l'Université doivent être élus à l'unanimité ou à la pluralité des voix de l'Académie[3], et le Pape Urbain V en ratifiant ce privilège ajoute même, que les grades acquis dans cette Université seront reconnus par toutes les autres[4].

Il est donc évident, que toute réunion de plusieurs chaires en une, toute dérogation à la spontanéité intérieure de l'Université en fait de choix légitimes de ses Professeurs, seraient manifestement contraires à l'esprit et à la lettre des privilèges susmentionnés, ainsi que de l'art. XV du Traité additionnel, qui les a confirmés dans toute leur étendue. Ces mesures en abaissant en même temps la plus ancienne Université du Nord au rang d'une école d'arrondissement et la soumettant d'une manière ignominieuse et inouïe à la dipendance d'autres Universités étrangères, équivaudraient même à son abolition, mesure qui ne serait ni méritée, ni

---

[1] In Cracovia locum ubi Studium vigeat generale, in qualibet licita facultate nominandum, eligendum... duximus. Sitque ibi Scientiarum praevalentium margaretha ut viros producat consilii maturitate conspicuos... Fiatque ibi fons doctrinarum irriguus de cuius plenitudine hauriant universi litteralibus cupientes imbui documentis.

[2] Ut deinceps in eisdem S. Theologia, utroque Jure, Medicina et artibus et quibuslibet aliis licitis facultatibus perpetuis temporibus vigeret huiusmodi Studium generale.

[3] Item Doctores et Magistri ad sedes salariatas praedictas eligantur per scholares illius facultatis, in quam Doctor vel Magister fuerit assumendus, et si forte in eligendo discordes fuerint, is electus sit, qui a majori parte fuerit nominatus.

[4] Illi vero, qui in eodem Studio... docendi licentiam et honorem huiusmodi obtinuerint, ut est dictum, extunc absque examine et approbatione alia legendi et docendi... in singulis aliis Generalibus Studiis... plenam et liberam habeant potestatem.

juste, et qui n'a pas d'antécédents dans les actes du Gouvernement de Votre Majesté Impériale.

Quant aux besoins scientifiques de ce pays, ils sont immenses, par suite de la forme du gouvernement qu'il a plu à ses Augustes Protecteurs de leur destiner. Cette forme étant républicaine, les citoyens étant appelés à se gouverner eux-mêmes, beaucoup de places étant éligibles, une instruction arriérée et le manque de moyens de l'acquérir dans le pays même ne saurait répondre aux exigences du pays.

Si dans un gouvernement monarchique le manque d'une instruction complète, à la portée de tout le monde, a, d'un côté, ses désavantages, d'un autre le souverain, sachant choisir pour son gouvernement les individus qui sont parvenus à se la procurer d'une manière quelconque, cette supériorité de lumières de ceux qui gouvernent sur le peuple gouverné et obéissant donne de la force et de l'unité au système, et devient par là une compensation et même un avantage. D'ailleurs la personne du Souverain y est tellement élevée au dessus des partis et des passions, qu'Elle devient le point de ralliement de tous les pouvoirs et de tous les intérêts. Le Monarque y représente virtuellement la vérité pure et impartiale, il décide des destinées du pays, protège les classes moins éclairées contre l'oppression, distingue les mérites et les talents, et s'entoure de toutes les sommités morales de la nation.

Il n'en est pas ainsi dans une République. Le peuple peu éclairé qui dans une monarchie est passif et docile, devient ici entre les mains d'intrigants adroits un instrument d'autant plus dangereux qu'il est plus aveugle. Il n'y a qu' un civisme éclairé qui soit en état de mettre une barrière au débordement de l'égoïsme et de intérêt. La bonne volonté, la vertu même, ne suffisent pas pour déjouer les menées secrètes de ces passions, pour délibérer sur l'intérêt du pays, diriger son gouvernement et choisir ses employés. Ce n'est donc qu'une instruction complète donnée dans l'Université de Cracovie qui est en état de fournir à ce pays ces citoyens éclaires, qui seuls peuvent le porter à un état de prospérité dont il possède toutes les conditions.

Ce n'est pas d'ailleurs une instruction solide et complète qu'il faudrait craindre pour la République de Cracovie, et pour le monde; c'est bien plutôt cette instruction superficielle qu'un système incomplet entraîne après soi, et qui même se répand à l'aide des journaux, des brochures, et de l'esprit du jour, sans avoir besoin de cours académiques. C'est précisément la décadence des Académies et des hautes sciences en France au commencement du XVIII-e siècle qui a donné naissance à cette impulsion littéraire et encyclopédique, tendance légère et vague, dont le bel esprit fait le fond et les frais, et qui dénuée de toute base religieuse et philosophique s'est acharné contre toutes les institutions et a ébranlé jusque dans ses fondements l'édifice social. Contre cet esprit de vertige, contre cette grande maladie morale les moyens de force matérielle et gouvernementale ne suffisent pas encore; ils ne font que l'exalter et que lui donner une apparence de martyre. Il n'y a que la véritable science qui soit en état de détrôner celle, qui a usurpé son nom.

Aussi en France, malgré l'exaltation des partis, malgré la licence de la presse, ce n'est que depuis que la nation s'est nourrie d'une instruction solide et complète, que le faux philosophisme du XVIII-e siècle perd de jour en jour plus de terrain, et que des publicistes éclairés, qui ont puisé leurs principes dans les hautes sciences, la philosophie et l'histoire approfondie des institutions humaines commencent à s'opposer avec succès au torrent révolutionnaire. Aussi les dénominations de doctrinaire, de partisan de l'Ecole historique, sont-ils auprès du parti révolutionnaire les équivalents d'une injure.

Mais pour que l'Université de Cracovie soit en état de s'associer à l'oeuvre méritoire que des savants d'autres nations ont entrepris, afin que pour sa part elle puisse combattre et refouler la tendance superficielle et encyclopédique, tâche qui sera d'autant plus importante qu'elle est maintenant la seule Université polonaise, il faudrait, loin de supprimer des cours qui existent, laisser à l'Université les moyens nécessaires pour les augmenter, afin que ces sciences forment un tout organique et complet. La vérité étant la base de toutes les sciences et Dieu étant la Vérité suprême, les sciences, approfondies dans leur particulier comme dans leur ensemble, ne peuvent que mener à la conquête de la vérité. Aussi loin de réunir plusieurs chaires, et d'exiger qu'un professeur enseigne plusieurs sciences, il faudrait trouver de ces gens spéciaux, qui ayant fait d'une science l'étude de leur vie, soient en état de présenter les résultats lumineux d'une connaissance approfondie.

Pénétrés d'une juste confiance dans les assurances que les Augustes Protecteurs viennent de renouveler par l'organe de leurs Commisaires, que c'est la prospérité de l'état et le maintien des traités qui le concernent qui sont toujours l'objet de leur haute et bienveillante sollicitude, les habitants de Cracovie ne sauraient croire, que les deux grandes réformes projetées dans le système de l'éducation, réformes illégitimes et oppressives à la fois, émanent de la volonté des trois grands Monarques. Ils ne peuvent les attribuer qu'à des insinuations faites par des personnes mal intentionnées ou mal instruites, et ils sont d'autant plus portés à le croire, que dans les mesures choisies par L. L. E. Mrs les Commissaires par rapport à l'Université et dans l'exposé même de leur Mémorandum, soumis à la délibération du Comité académique, il y a des contradictions qui ne sauraient aisément s'accorder. Mrs les Commissaires, tout en ayant déclaré qu'ils désirent s'adjoindre un Comité spécial académique pour qu'il leur fournisse des renseignements qu'ils seraient en cas de demander, se sont trouvés, ainsi qu'il appert par le-dit Mémorandum, munis de renseignements minutieux et peu exacts, dont la source ne saurait être officielle.

Messieurs les Commissaires reprochent à l'Université que depuis 18 ans elle n'a pas contribué aux progrès des sciences. Si ce reproche était même mérité, ce n'est pas en supprimant des chaires qu'on pourrait parvenir à corriger l'Université d'un tel défaut, mais bien en recherchant les causes de son peu d'importance scientifique et en tâchant à y remédier.

Tout en manifestant leur sollicitude pour les intérêts les plus chers de la Société, ils voudraient que les sciences exactes, ces sciences qui pré-

sentent sans doute beaucoup d'avantages pour la vie pratique, dès qu'elles sont traitées exclusivement, ont le défaut de mener au matérialisme, et cependant ce n'est pas la matière, mais l'âme, qui est le sujet des plus chers intérêts de l'humanité.

Messieurs les Comissaires voudraient adapter la somme et l'action des sciences qu'on devrait enseigner dans la République aux dimensions et à l'étendue du petit pays pour lequel on les destine. Sa culture intellectuelle ne serait pas très brillante dans le cas qu'une pareille (...) soit possible, et d'ailleurs il faudrait que cet état soit séparé de toute relation avec l'Europe et ne put recevoir ni donner aucune impulsion morale aux nations qui l'entourent.

L'Université de Cracovie n'a aussi nullement mérité le sort qu'on lui prépare. Il ne serait pas difficile de grossir en sa faveur ce mémoire d'une foule de témoignages respectables. Chaque Souverain confirmant les privilèges de l'Université donne des éloges les plus flatteurs à l'esprit qui l'anime et aux services éminents qu'elle a rendu en fournissant à l'Etat des hommes distingués et vertueux. Les Souverains Pontifes, les Synodes et les évêques du pays lui ont aussi souvent témoigné leur estime et augmenté ses fonds. Depuis le XV-e siècle cette Université s'est distingué dans la controverse avec les sectaires de ces temps, et durant la Réforme elle n'a cessé de combattre pour l'Eglise catholique. Pendant les discussions civiles elle a toujours fait preuve d'une grande prudence, enfin les passions politiques et les théories de la Révolution française n'ont jamais trouvé d'écho dans son sein...

II.

Protokół

narady obywateli, posiadaczy dóbr ziemskich, w przedmiocie zniesienia pańszczyzny

(Do str. 116)

Zebrani, niżej podpisani obywatele w dniu dzisiejszym zgodnie postanowili co następuje:

1-o. Pańszczyzna ma ustać z dniem 3 maja b. r.

2-o. Pańszczyzna i czynsze z gruntów włościańskich mają być zniesionemi w obwodzie krakowskim, z zastrzeżeniem wynagrodzenia tej ofiary właścicielowi ziemi przez kraj cały z ogólnych funduszów i dodatkiem umiarkowanej opłaty przez włościan, któraby, wnoszona do kasy publicznej, stanowiła pomocniczy fundusz na wynagrodzenie straty przez właściciela poniesionej.

3-o. Do ułożenia projektu do postanowienia, któryby w praktykę rzeczone zasady wprowadził, zebrani obywatele powołali pp.: Adama hr. Po-

tockiego, Piotra Michałowskiego, Michała Badeniego, Chwalibogowskiego Leona, Zapalskiego, Florkiewicza, Pawła Popiela, którzy w dniu 27 b. m. powierzoną sobie pracę zebranym obywatelom do przyjęcia lub odrzucenia przedstawić mają.

19 kwietnia 1848 roku.

Prezydujący: *Paweł Popiel.*
Sekretarz: *Ludwik Straszewski.*

III.

Lettre adressée à Sa Majesté l'Empereur d'Autriche par un gentilhomme polonais [1]

Berlin, 1852. Chez F. Schneider & Comp.

(Do str. 124)

Sire!

Un gentilhomme polonais avait adressé en 1846 une lettre au Prince de Metternich à l'occasion de sa circulaire diplomatique sur les massacres de la Galicie. — Jamais la justice Divine n'est venue punir plus instantanément de grands forfaits et de grands coupables. L'année 1848 a été pour le Gouvernement et les hommes publics de l'Autriche la punition de 1846. Le gentilhomme polonais s'est adressé au Prince de Metternich, qu'à tort ou à raison on considérait alors comme la personnification du pouvoir; aujourd'hui, Sire, c'est Votre Majesté Elle-même qui a pris la responsabilité des actes de l'autorité, c'est Votre Majesté qui doit en répondre devant Dieu et devant les hommes, c'est donc à Votre Majesté qu'avec tout le respect que nous portons à un Souverain jusqu'au milieu de ses plus grandes erreurs et de ses faiblesses les plus humiliantes, nous demandons raison d'un acte, sans doute moins cruel quant à la forme, moins exécrable dans son exécution mais également inique quant au principe, qui l'a inspiré. — Nous voulons parler de l'arrestation arbitraire du Comte Adam Potocki.

L'intérêt que nous portons au Comte Potocki nous aurait peut-être commandé le silence: nous savons fort bien que cet appel public que nous faisons, Sire, à Votre justice, disons le mot, à Votre honnêteté, peut lui être fatal, mais l'intérêt de l'individu disparaît devant l'intérêt de la vérité. Souffrez, noble jeune homme, mourez s'il le faut, ce sera une couronne magnifique dans une vie si courte et déjà toute de sacrifice — toute de dévouement.

On s'étonnera peut-être, que nous attachions une aussi grande importance à un fait individuel, et qu' au milieu des grandes rêvolutions, qui

---

[1] Aneks III, VI i VIII podają tu tylko po raz pierwszy przedruki pism politycznych, które ze względów cenzuralnych wydane były zagranicą, bez nazwiska autora, i z tego powodu nie mogły wejść do wydania *Pism* Pawła Popiela.

ébranlent la societé, nous occupions le public des souffrances d'un homme, d'une famille. Mais ce fait révèle tout un système d'action; ces souffrances ne sont pas celles d'une famille, elles sont celles de toute une race que la justice Divine a placée sous le joug Germain. On se tait, car on est las de plaintes inutiles, mais que l'on ne s'y trompe pas: il n'y a pas un coeur de gentilhomme, un coeur honnète depuis l'Oder jusqu'à la Düna, qui ne se soit senti blessé du coup qui a frappé le Comte Potocki. Sire, le corps de la noblesse a reçu Votre Majesté avec bienveillance en Galicie, car malgré les erreurs des temps, les grandes traditions sociales n'ont jamais péri dans ce corps — malgré le soufflet appliqué sur sa joue en la personne du Comte Potocki, il a voulu faire comprendre à Votre jeune Majesté, qu'il savait distinguer la personne sacrée du Souverain de ses actes. Votre Majesté n'a point compris cette leçon élevée; Elle a cru nous intimider, et ses courtisans lui ont fait croire peut-être qu'Elle a réussi. Depuis 80 ans on a pu se convaincre, je pense, qu'on ne nous intimide ni par la corde, ni par le cachot, ni par l'exil. On nous gagne par le coeur, ou bien on éclaire notre raison sur nos intérêts et nos devoirs. Mais nous faire peur, en vérité, la chose n'est pas facile, et il faut des hommes, comme ceux que l'on a vu accompagner Votre Majesté en Galicie, pour s'en flatter.

Oui, avons nous dit, ce fait révèle tout un système. On arrête sans forme de procès l'homme le plus illustre de la province, par sa naissance, sa fortune et sa valeur personnelle. On le retient dans la citadelle de Cracovie pendant trois mois, sans que ni lui ni personne de sa famille sache le motif de cet acte de rigueur. Cet acte s'opère en pleine paix, non pas dans ces circonstances difficiles, qui expliquent, quand même elles n'excusent pas, des mesures préventives. Par un luxe de persécution vraiment incroyable, on opère cette arrestation dix jours avant les couches d'une femme adorable et adorant son mari. Votre Majesté arrive 15 jours après, et pour la première fois, dans l'ancienne capitale de la Pologne. — Une mère, et quelle mère, demande justice. Votre Majesté la promet prompte, Elle la promet sur Sa parole Impériale. — 5 mois s'écoulent, le Comte Potocki est toujours arrêté.

On prétend, Sire, que Votre Majesté aurait accordé grâce, si on l'avait demandé. Elle ignore donc que le devoir d'un Souverain est d'être juste avant d' être généreux. Ignore-t-Elle qu'un homme qui demande grâce se reconnaît coupable? — Ne jouons pas sur les mots: Justice veut dire équité, non pas formules judiciaires. Votre Majesté veut-Elle le faire condamner en toutes formes? Elle trouvera toujours dans son armée un tribunal militaire pour porter un verdict de condamnation motivé, comme Elle a trouvé des assassins judiciaires pour Dessöffy ou Batthiany. Mais ce n'est pas cette justice qui selon la dévise de Votre Illustre Maison est le fondement des Empires. — On arrête un homme dans des vues politiques, et puis on cherche un corps de délit, on accueille les plus basses dénonciations, on poursuit ses lettres, on tourmente des phrases mal comprises, pour leur faire déposer sur les intentions du prévenu, on fouille dans son passé à des époques d'une effervescence générale pour trouver le reflet d'une culpabilité qui n'existe pas, le tout pour assouvir une misérable vengeance, ou parce qu'on n'a pas le courage de convenir d'un

tort. — Infâme principe que celui que le Gouvernement ne doit jamais avouer qu'il a eu tort.

Sire, que Votre Majesté fasse ce qu'Elle veut; qu'Elle donne des chartes et les déchire, qu'Elle impose ses sujets comme bon Lui semble: mais au nom de Dieu, Sire, ne jouez pas avec les choses Saintes, si Vous ne voulez pas ruiner dans Vos peuples les fondements de la morale. Le Comte Potocki est innocent, nous le savons et Votre Gouvernement le sait. Ne permettez pas, Sire, que l'on cherche et forge un crime, là où il n'en existe pas. L'existence de Comte Potocki était trop indépendante, l'influence de sa personne et de son caractère trop grande, pour ne pas faire ombrage non pas à Votre Gouvernement, mais à quelques misérables, qui croyent la majesté du pouvoir personnifiée en leurs personnes. — Voilà son crime; en vérité, il n'y peut rien. Mais jamais il n'a fait opposition systématique au Gouvernement, tout au contraire, toujours il a considéré le pouvoir comme l'instrument organisateur de la société. Comme tel, toujours il l'a respecté, toujours il l'a soutenu à la tribune, et vis-à-vis des barricades. Que lui veut-on? Sa vie si jeune encore ne s'est point écoulé das les ténèbres des conspirations, mais au grand jour. Avec le caractère qu'on lui connait, il n'aurait voulu et n'aurait pas pu jouer double jeu. N'a-t-il pas au péril de sa vie fait abattre les barricades à Cracovie? — N'a-t-il pas voté contre l'admission des députés hongrois à la diète de Vienne? N'a-t-il pas eu le courage de stigmatiser en paroles énergiques devant le peuple furieux de Vienne l'assassinat du brave Général Latour? N'a-t-il pas toujours et partout combattu le parti anarchique? Encore une fois, que lui veut-on? Votre Majesté ignore peut-être ces détails, mais quand un Souverain veut pouvoir tout faire, c'est à Sa charge de ne rien ignorer. Que lui veut-on? Je le dirai à Votre Majesté. On lui en veut, parcequ'il porte un de ces noms illustres qui retentissent dans le passé d'une nation et lui promettent un avenir. On lui en veut, parcequ'il a une fortune indépendante. On lui en veut, parceque, champion courageux de l'ordre, il est incapable d'entrer dans une combinaison politique qui n'a pas les sympathies de son coeur ou l'assentiment de sa conscience.

Un homme comme lui, qui ne demande rien, qui, sûr de sa conscience, ne craint rien, est une pierre de scandale pour l'esprit nivellateur de Votre Gouvernement. C'est cet esprit nivellateur, c'est cette haine démocratique des fonctionnaires de Votre Majesté, qui ont provoqué les sentiments hostiles que cette caste porte à tout gentilhomme. Ce système nivellateur serait-il dans l'esprit du Gouvernement de Votre Majesté? — les supériorités sociales Lui seraient-elles importunes? Mais alors, pourqoi combattre le socialisme avec tant d'éloquence et d'héroisme, pourquoi combattre la Révolution, qui ne veut pas autre chose? Et pourtant quand nous voyons le Comte Potocki traité comme on ne ferait pas du dernier des sansculottes, et d'un autre côté quand nous voyons les véritables fauteurs de l'anarchie la plus dégoutante promener avec orgueil leurs fronts impudents, on est forcé de se demander: y aurait-t-il un compromis tacite entre les rouges d'en haut et ceux d'en bas pour ruiner tout ce qui s'élève au dessus du niveau conventionnel?

Et ici je m'adresse à toute la Noblesse de l'Autriche; non pas à cette Noblesse de cour, ruinée par le luxe et tarée par la licence des moeurs, qui supportera la dégradation la plus absolue, l'absence de tous les privilèges de leur position, pourvu qu'on lui laisse celui de l'insolence, — mais à cette Noblesse qui, disseminée dans le pays, y conserve encore la tradition de l'esprit chevaleresque, et de l'ancienne liberté allemande, qui souffre de la position que lui a faite naguère la *Staats-Kanzlei* et que le règime actuel a saturée encore des principes révolutionnaires, — aux hommes comme p. ex. MM. de Wolkenstein, Josyka, Appony, et je leur demande: comment après l'expérience de l'année 1846 — où une seule de vos voix ne s'est pas élevée pour demander vengeance de saturnales commises sur vos frères en Galicie — comment ne comprenez-vous pas qu'il y a une certaine solidarité qui unit les corporations? Feu Mr. le Conseiller Aulique de Weiss avait dit alors à quelqu'un de mes amis: „Sans doute c'est un malheur que beaucoup d'innocents aient péri avec quelques coupables — mais il fallait statuer un exemple, et ne voyez-vous pas ici (à Vienne) les hommes, qui voulaient nous dominer, actuellement à nos pieds?"

Il en est de même dans l'affaire du Comte Potocki: on a voulu statuer un exemple. Ce n'est pas le corps de la noblesse Polonaise seul, c'est, je le répète, la noblesse qu'on a frappée et conspuée en sa personne. Dans un pays, où il y a une ombre de justice et de légalité, on ne traite pas un vanupieds, comme on a fait avec lui. — L'état de siège n'est pas une excuse; l'état de siège n'est pas un instrument d'injustice, mais un instrument de justice prompte et instantanée. Si parmi Vous il n'y a plus ce sentiment de dignité qui se révolte à la vue de l'abus du pouvoir, exercé contre un d'entre Vous, il n'y a plus de noblesse en Autriche; si une femme adorable, une mère qui ne tient à la vie que par un enfant, livrées dans leurs sentiments les plus chers aux basses vengeances de l'envie bureaucratico-démocratique, n'excitent ni votre compassion ni votre action, il n'y a plus d'esprit chevaleresque.

Sire, celui qui prend la liberté d'écrire cette lettre, n'a pas l'honneur d'être sujet de Votre Majesté. Il appartient à une combinaison politique dans laquelle, tôt au tard, tout ce qui est Polonais, même tout ce qui est Slave, viendra se fondre. — Il a lu assez longtemps le livre de la vie et il lui est arrivé d'aventure, de lire avec attention quelques autres livres encore; les chimères ont peu d'action sur son esprit. Mais depuis l'année 1846 il est patent pour toute intelligence politique, que le centre de gravitation pour tout l'élément Polonais c'est la Russie. Le Comte Potocki est puni, par où il a péché. Seul, il n'a pas voulu comprendre cette nécessité, et s'est obstiné à vouloir trouver dans l'Autriche non pas l'instrument de la résurrection de sa patrie, mais une combinaison politique, au milieu de laquelle notre élément national aurait pu vivre et se développer conformément à sa nature et à ses besoins. — Les mois de réflexion que le Gouvernement de Votre Majesté lui a ménagés, ont-ils suffi pour dissiper ses illusions? — je l'ignore; mais ce dont je puis assurer Votre Majesté, c'est que l'iniquité dont Mr. Potocki est la victime, est une nouvelle preuve que les Habsbourgs, comme les Bourbons, n'ont rien oublié

et rien appris, que s'il y avait autrefois en Galicie des aristocrates, des démocrates, des socialistes — aujourd'hui il n'y a que le parti Russe et le parti Autrichien. — Votre Police Vous dira, si elle le sait, lequel des deux devient plus nombreux de jour en jour. Votre Majesté a fait de bonnes études historiques. Elle ne peut pourtant pas connaître les détails de notre histoire dans les derniers temps. — Mr. Leopold Neumann dira, s'il le faut, à Votre Majesté, que plusieurs de nos grandes familles ont, lors de partages, avec bonne ou mauvaise foi, cherché le salut de leur patrie et de leurs personnes dans de coupables transactions avec les cours copartageantes. Ces familles ont été, les unes enrichies, les autres élevées ou flattées par ces cours: Les faveurs pleuvaient comme elles pleuvent aujourd'hui sur les Lanckoroński et les Jabłonowski. He bien, la justice providentielle poursuivant cette erreur, ou ce forfait. a fait de ces mêmes cours l'instrument de la vengeance nationale.

Les confiscations, l'exil, ont frappé sur tous les Potocki, les Sapieha, les Branicki, comme pour rappeler qu'il y a des fautes, qui pèsent sur les générations, et donner la mesure de la reconnaissance que les grands coupables ont pour leur complices.

Sire, c'est un grand mystère que celui de la réversibilité du châtiment sur les générations: mystère qui mérite surtout d'être médité par les familles régnantes. Sur ces familles pèse une solidarité qui seule explique les expiations sanglantes qui presque toujours viennent frapper des innocents. Pourquoi? Parceque des crimes accumulés exigent souvent une satisfaction tellement grande, que la vertu souffrante peut seule les expier. Louis XVI, Marie Antoinette, Md. Elisabeth, ces âmes héroiques et adorables, voilà les victimes expiatoires de je ne sais quelles violations des lois Divines et humaines. Sire, assez de sang et assez des larmes pèsent sur Votre famille pour ne pas augmenter le poids qui repose dans la balance. On a cité avec raison à une autre occasion la célèbre sentence de Votre Poète: „Le sang est une essence à part" *(Blut ist ein besonderer Saft.* Goethe), et bientôt l'Autriche a pu en constater la verité; sachez, Sire. que les larmes de la vertu et de l'innocence ont aussi la faculté d'attirer les foudres de la justice Divine, et respectez celles d'une mère et d'une femme, c'est à dire des deux plus grands mystères d'amour dans toute la Création. Et encore une fois, quelle mère! Si dans l'humanité on pouvait parler de perfection idéale, jamais, non, jamais on n'aura vu rien comme cette femme.

Sacrifier au milieu de l'existence la plus opulente non pas sa fortune seulement, mais tous les instants de sa vie, son travail, ses goûts, au bien du prochain, y mettre autant d'intelligence que de suite, ne pas se décourager par l'importunité et l'ingratitude, bâtir des églises monumentales, fonder des hôpitaux, venir au secours de chaque misère, aider chaque talent et conserver avec cela une simplicité angélique et une humilité indicible, s'il ne suffisait, pour la qualifier, de l'appeler de son nom: chrétienne, — voilà tout son existence. Et c'est un coeur comme cela, que Votre Majesté, fils lui-même d'une mère auguste et respectable, viendra attrister, viendra briser peut-être. Pourquoi? Parcequ'une politique stupide ou infernale l'exige, parcequ'on veut intimider la noblesse en Ga-

licie. et prouver. qu'aucune existence n'est assez élevée, pour ne pas avoir à redouter les coups du pouvoir. Maudite soit cette politique! On s'est laissé entraîner par des subalternes, on a fait une gaucherie et on la justifie par un crime. Si nous sommes bien informés, et nous croyons l'être, Mr. de Kübeck aurait dit à l'occasion des mesures prises à l'égard du Comte Potocki: „Voilà encore un pas de clerc que notre sotte administration nous a fait faire". En vérité, Mr. de Kübeck est assez homme d'esprit et d'état, pour le comprendre et le dire. Sire, Votre Majesté veut être Souverain absolu. — A la bonne heure, c'est peut être la seule chose qu'Elle ait à faire dans les circonstances actuelles; mais Votre Majesté sait-Elle à quelle condition on est Souverain absolu? C'est quand on a le courage et la force de tout faire par soi-même; quand on a su se placer si haut, qu'impunément on peut convenir d'une erreur. Ayez le caractère de l'Empereur Nicolas, et puis soyez despote, si Vous le voulez.

Avant deux années le Prince Irenée Ogiński, compromis par de fausses dénonciations, est arrêté. Les enquêtes durent plusieurs mois, le coup d'oeil impérial pénètre l'iniquité, il ne craint pas l'aveu d'une erreur, il ne s'obstine pas à trouver un coupable, il ne lui suffit pas de le mettre en liberté; publiquement, par un rescript Impérial, il déplore l'erreur commise, justifie le prévenu, punit l'intrigue, et donne ainsi satisfaction loyale et honorable à l'homme de bien, victime des chances de la justice humaine. Voilà un acte de Souveraineté!

Votre Majesté aura-t-Elle le courage de suivre un pareil exemple? Je le sais. il n'est ni dans les principes, ni dans les traditions de Votre Gouvernement. Mais c'est à ce prix qu'on est Souverain absolu. C'est quand les sujets ont une telle confiance dans l'esprit d'équité du Souverain, qu'ils sont convaincus, que s'il fait le mal, c'est par erreur: la patience n'a pas alors de bornes, car on ne demande pas l'infaillibilité. Mais nul ne se soumettra moralement, et un chrétien moins que tout autre, à l'arbitraire et à l'injustice gratuite, quand même on essayerait de la justifier par une maxime d'état comme celle, que le Pouvoir ne doit jamais avoir tort. — Tout au contraire. Si l'on voit que l'innocence et la vertu, unies à une position rélevée par tout ce qui fait la grandeur humaine, ne sont pas des garanties contre la force brutale du pouvoir, un découragement immense saisit les âmes. On demande, où allons nous? Avons nous échappé à l'anarchie. pour tomber dans l'arbitraire? Où allez-vous, Sire? Vous combattez la révolution et Vous en pratiquez le premier dogme, la négation de tous les droits; Vous combattez la révolution et Vous ignorez l'influence des supériorités sociales; Votre Majesté veut s'appuyer sur les masses. — Qui s'appuie sur les masses, en devient le jouet ou la victime, ou bien il est forcé de les maîtriser par la force armée, et alors commence le règne des Prétoriens. Mais l'humanité échappe par un moyen ou par un autre à la perpétuité du mal — lui refusez-Vous les garanties de l'ordre et de la sécurité, Vous reconnaissez la loi de la corde ou de l'écharpe. — Choisissez. — L'Empereur Nicolas comprend avec un génie admirable les instincts de son peuple, il est tout-puissant: mais Votre Majesté n'ignore pas, qu'il est suivi de l'oeil vigilant d'un tribunal, qui ne balancerait point à faire justice de lui comme de beaucoup de ses ancêtres. Vous parlez

d'avoir sauvé la société de la barbarie: c'est possible, mais ne la poussez pas dans le néant. Combien d'années ont séparé les saturnales du tribun Claudius du règne de Tibère? Est-ce là l'ordre sociale et la sécurité qu'on nous prépare? nous connaissons le néant des doctrines de la révolution. — Mais quand Vous condamnez la chose, n'adoptez pas les principes. Que veut-elle? ce que Votre Majesté paraît vouloir. Abattre tout ce qui s'élève au dessus du niveau vulgaire.

On établit avec cela un pouvoir éphémère, on ne reconstitue pas une société: les passions viles battent des mains, elles se plaisent dans le nivellement, mais le pouvoir s'avilit en proportion. Mais quand le pouvoir s'avilit, c'est à vous, hommes d'église, noblesse, restes d'un passé illustre, à vous aussi, que la science, le commerce, l'industrie ont élevé et placé au milieu de la société actuelle dans une position respectable, à lui rappeler son devoir.

Il ne s'agit pas ici de prévention nationale; quand un vaisseau est à sombrer, les antagonismes sont plus que ridicules, on travaille en commun à le sauver. Elevez donc tous la voix pour réclamer non pas en faveur du comte Potocki, mais du principe violé en sa personne. — Quant à Vous, noble jeune homme, la Providence Vous a choisi pour donner une utile leçon à l'humanité, pour montrer, qu'aucune position, si élevée qu'elle soit, ne met l'homme à l'abri des coups de la fortune. Souffrir est sa condition: riche ou pauvre, grand seigneur ou roturier, honnête homme ou canaille. Voilà la seule et la plus juste égalité que Dieu ait établie, et qui, si l'homme était sage, suffirait seule à désarmer l'envie.

Celui qui prend la liberté de parler ainsi à un Souverain, n'est pas assez ignorant des choses du monde, pour avoir l'illusion que Votre Majesté aura connaissance de cette lettre ou bien qu'elle aura un résultat pratique autre qu'un acharnement plus violent encore à trouver le comte Potocki coupable. Mais il a considéré toujours comme devoir de proclamer la vérité et puis — advienne que pourra. Une vérité exprimée n'est jamais stérile, il est en elle une force divine. Que le comte Potocki souffre, il est homme; l'infortune qui l'a frappé, en a frappé bien d'autres dans ce monde. Les souffrances de la vertu et le triomphe temporel du crime ne nous étonnent pas, comme Votre puissance ne nous fait pas peur; elle a des bornes que nous savons et que Vous ignorez, et de Votre tribunal, Sire, s'il est mensonger, nous en appelons à un autre, où nous paraîtrons tous, Votre Majesté et nous, pauvres gens de ce monde, pour y trouver cette justice, qu'il est du devoir de Votre Majesté de rendre sur la terre, — car si le pouvoir vient de Dieu, sachez aussi qu'Elle n'est autre chose, que le Ministre de Dieu pour le bien.

IV.
Audjencja u Kardynała Antonellego
(Do str. 153)

Rzym 16 marca 1862.

Wracam od kardynała Antonełłego, któremu nosiłem depesze Nuncjusza. Przyjęty jak najuprzejmiej; — układ kardynała pełen swobody i wdzięku. Trzymałem się w rezerwie, czekając, co powie: zaczął od kwestiji Felińskiego. Nie zdawało mi się, by był dobrze poinformowany, a co więcej, by nim być pragnął. Toteż, nie szafując szczegółami, wywoływałem raczej zapytania. Przedstawiłem dwie sprawy, które mi Fełiński polecił podać do wiadomości Stołicy św. *Primo*, że Rząd rosyjski, przyjmując (godząc się na) Nuncjusza, nie cofa zobowiązania nałożonego biskupom: porozumiewania się z Rzymem jedynie za pośrednictwem Ministerjum Spraw Zagranicznych...

Tu przerwał kardynał:

— Wiem o tem, ałem już temu zapobiegł; powiedziałem ambasadorowi, że nie nato Nuncjusza posyłamy, by był skrępowanym i nie mógł swobodnie stykać się z biskupami i duchowieństwem. — Na to ambasador: „A to czemu? Któż broni biskupom znosić się z Stolicą św. za pośrednictwem Nuncjusza?" — Ja na to: Prawa. Są przecież trzy ukazy, Katarzyny, Pawła i Alexandra, wzbraniające bezpośrednich stosunków duchowieństwa z Rzymem? — Ambasador twierdzi, że o nich nie wie, — a jeżeli są, że zostaną zniesione. Wobec tego z naciskiem dałem mu do zrozumienia, że o tyle tylko Nuncjusz zostanie wysłany, o ile będzie zupełnie swobodnym i o ile warunki gwarantujące godność Kościoła św. i bezpieczeństwo wiernych będą dotrzymane.

Zaaprobowałem jak najmocniej to wystąpienie kardynała i zatrzymałem się jeszcze na wiełkiej trudności wyłaniającej się w wyborze osoby na to stanowisko, wobec znanej perfidji i wymagań Rosji. Objawiłem też obawę, czy powaga biskupów u nas i karność pomiędzy duchowieństwem nie poniosą szwanku, z chwilą gdy Nuncjusz pojawi się w Rosji.

— Istotnie — odrzekł kardynał, — wybór jest tak trudny, że decyzja ostateczna jeszcze nie zapadła.

Uważałem, że kardynał tak był sprawą nuncjatury pochłonięty, że nawet nie zapytał, jaka była druga sprawa, którą mi ks. Fełiński poruczył. — Toteż cokolwiek zrażony tem słabem zainteresowaniem, nie wysuwałem tego przedmiotu, a nawet nie wyczerpałem tematu, który szczegółowo obrobić zamierzałem. Wyraziłem tylko całe uznanie dla gorliwości biskupa Fełińskiego i prawowierności duchowieństwa, które (mimo całego patrjotyzmu — czasem, niestety, aż nazbyt głośnego) okazuje niezmienną gotowość posłuszeństwa swemu biskupowi, i to tak jednomyślnie, że nie należy obawiać się odstępstw. Być może, że duchowieństwu temu jest niejedno do zarzucenia pod względem zachowania — ale co do nauki wiary i oddania całkowitego Kościołowi żadnemu innemu nie ustępuje. Kardynał przyjął to z uznaniem i wykazywał różnicę między usposobieniem patrjotycznem a rewołucyjnem. Wogóle nie zauważyłem u niego żywszego

interesu dla naszej sprawy, lub niepokoju o stan Kościoła w Polsce, — mało się właściwie informował, dużo mniej niżbym sobie był życzył. Toteż nie chcąc go męczyć zwykłem utyskiwaniem nad naszym losem, zastrzegłem sobie możność powrotu innym razem, by mu przedstawić położenie, które dobrze znałem i ofiarować mu moje usługi, na co się kardynał chętnie zgodził.

V.

Audjencja u Ojca św. Piusa IX.

(Do str. 154)

Monsignor Pacca po zamienieniu paru słów z Ojcem św. wprowadził mnie do gabinetu. Po trzykrotnym ukłonie i ucałowaniu ręki zacząłem od podziękowania Ojcu św. za udekorowanie mego syna Jana, kapitana artylerji pod Ankoną, poczem przeszedłem do spraw Kościoła w Polsce, a mianowicie poruczonych mi przez ks. biskupa Felińskiego zleceń.

— Widziałeś Pan ks. Biskupa? — zapytuje Ojciec św. — Jakżeż mu tam idzie?

— Szłoby dobrze — odpowiadam, — gdyby nie to, że biskup Feliński, działając zawsze z prostotą gołębią, nie zawsze równocześnie ma i roztropność wężową; ale że kieruje nim stale czysta intencja i prawdziwa gorliwość, nawet to, co nam się czasem wydaje nieroztropnem, dobry powinno mieć koniec. Dwie rzeczy polecił mi przedstawić Waszej Świątobliwości: Pierwsza, to stosunek jego wobec władz i wobec ludności. Dla ścisłości zanotowałem sobie jego słowa, które mógłbym odczytać, o ile W. Świątobliwość rozkaże.

— Czytaj Pan — odrzekł.

Na to odczytałem ustęp z memorjału, odnoszący się do tej sprawy.

— Dobrze — rzekł nakońcu.

Wślad czego, już nie zachęcony do czytania, przeszedłem do drugiego punktu, a mianowicie do oświadczenia Cesarza, że mimo zaprowadzenia nuncjatury biskupi nie będą zwolnieni od przymusu porozumiewania się z Rzymem za pośrednictwem ministra spraw zewnętrznych.

— W takim razie — odezwał się Pius IX żywo — nie poślę nuncjusza — poco im nuncjatury? Nuncjusz musi przedewszystkiem mieć ruchy swobodne i stosunki z duchowieństwem swobodne; musi, o ile zechce, mieć wolność przebywania bądźto w Petersburgu, bądź w Moskwie, bądź w Warszawie; — o ileby tak nie było, nuncjusza nie wyślę.

Tu Ojciec św., widocznie poruszony, mimo swej wielkiej dobroci i słodyczy charakteru, stanowczo twierdzi, że od tego warunku nie odstąpi. Wchodząc w myśl jego, i ja obstaję usilnie przy konieczności zapewnienia zupełnej wolności Kościołowi w Polsce, gdyż na tym terenie dopiero wzmocni się znaczenie biskupów i partji katolickiej, — nigdy bowiem nie wzywamy poparcia Rzymu w kwestjach narodowych, ale wyłącznie tylko religijnych. Na to Ojciec św.:

— A jednak demokraci, wszczynając ruch wolnościowy, posługiwali się pobudkami religijnemi.

— Nie przeczę — odrzekłem — ale to jedynie tego dowodzi, że demokraci, wszczynając ten ruch, wiedzieli, że naród jest tak głęboko wierzący, że, aby go poruszyć, muszą użyć tych środków... (Uwaga ta uderzyła najwidoczniej Ojca św.). — Pokazało się jednak wkrótce, że ta broń obróciła się przeciwko nim samym: *mentita est iniquitas sibi ipsi*. Ruch nosił znamiona coraz bardziej religijne; przybywało codzień Komunij św., wkońcu ci, którzy wchodzili do kościoła tylko jako patrjoci, wychodzili zeń wierzącymi. Zresztą w Polsce przez ciąg lat trzydziestu rząd używa tychże samych środków przemocy przeciw narodowości, jak i przeciw religji; stąd zlały się te dwa pojęcia, nie nadwerężyły jednak ducha i karności duchowieństwa. Najlepszym tego dowodem, że mimo ujemnego wrażenia, jakie pierwsze przemówienie arcybiskupa Felińskiego wywarło, nikt go nie odstąpił, — owszem, tego samego dnia byłem na zebraniu przedstawicieli rozmaitych obozów, gdzie wszyscy się zgodzili na jedno, t. j. by arcybiskupa poprzeć i działanie jego uznać. Tłumaczy się to tem, że duchowieństwo, trzymając się silnie Rzymu i swego episkopatu, imponuje tem opinji, która musi się z niem liczyć. — Kończąc, starałem się jeszcze wyjaśnić Ojcu św., zaniepokojonemu działaniem naszej demokracji, że u nas nie ma ona tego charakteru rozkładowego, jaki posiada w krajach ościennych, i że często uniesienie patrjotyczne mylnie jest uważane jako wrzenie demokratyczne.

Arcybiskup Feliński z chwilą przybycia do Warszawy zastał tam, mimo podstępnych działań partji rewolucyjnej i koryfeuszów rządu, usposobienie przychylne; sama osoba jego jeszcze to usposobienie spotęgowała. Prócz wyższych sfer towarzystwa zjednał sobie tak znaczące warstwy literatów, urzędników, przemysłowców, a tylko w niższych napotykał na trudności, obawiano się tam bowiem zakapturzonego prawosławia.

W stosunku swoim do władz zaznaczył arcybiskup odrazu stanowisko, odpowiadające jego godności: lojalnego poddanego w sprawach politycznych, niezależnego od nich w sprawach religijnych. — Pod względem narodowym opierał się na niezaprzeczonych prawach każdego narodu do zachowania języka, umiłowania przeszłości, przestrzegania przywilejów, wynikających bądźto z prawa naturalnego, bądź na mocy otrzymanych obietnic, czy układów międzynarodowych. Prawa te sam Cesarz obiecał uszanować, zwracając te, które krajowi czasowo były odjęte. — Opierając się zatem na tych trzech przesłankach: wiernego poddanego, przedstawiciela Kościoła, który zasadniczo uznaje władzę faktyczną, członka społeczeństwa, polegającego na obietnicach danych przez Cesarza — pragnie arcybiskup na przyszłość móc utrzymać charakter zwierzchnika nad wiernymi, niczego nie odwoływać, spokój sumienia zachować, nie wdając się w kompromisy i zastrzeżenia, jednem słowem, być w prawdzie tak wobec władzy, jak wobec narodu. I oto jak arcybiskup zastosował od samego wejścia w urzędowanie powyższe maksymy. Silny obietnicą cesarską, że

nie będzie krępowanym w zakresie życia kościelnego, mianuje na stanowisko wikarjusza generalnego Pawła Rzewuskiego, perłę duchowieństwa warszawskiego, mimo wyraźnego życzenia Namiestnika, by nim został Zwoleński.

Podobnież w sprawie rekoncyljacji sprofanowanych kościołów; mimo usiłowań władz, by się ceremonja jak najciszej odbyła, nadał jej całą okazałość wymaganą rytuałem — choć było to stwierdzeniem faktów tyle razy przez władze zaprzeczanych. Jakoż w dniu na to wyznaczonym, w asystencji bardzo licznego duchowieństwa, na widoku całego miasta i wśród olbrzymich tłumów oddał świadectwo prawdzie. Po ceremonji wstąpił na ambonę i na temat słów: *Chwała na wysokości Bogu* etc. rozwinął myśl, jak na ziemi niepodobna jest dostąpić pokoju, jeżeli się najpierw nie szuka chwały Bożej; jakie są warunki pokoju — i czemu na naszej ziemi pokój od tak dawna nie zagościł. Powodem tego nie co innego, tylko z jednej strony zaprzeczenie praw, a z drugiej nadzieje i namiętności zbyt podniecone. Dotykając kwestji narodowościowej, stwierdza, że jest Polakiem z krwi i kości, że domagać się praw należnych, a zwłaszcza języka, nigdy nie przestanie, oraz przedstawia potrzebę modlitwy za Ojczyznę, o jej byt i szczęście. „Swoboda tej modlitwy jest niezbędną, i wolałbym — dodaje w uniesieniu — nie zaznać tego urzędu, niżby ta wolność kiedyś odjętą być miała, a wtedy bodajby raczej niewiasty nasze niepłodnemi zostały! Wszakże pamiętajmy, że modlitwa wspólna, na głos, o ile drażni władze rządzące, nie jest krokiem roztropnym. Władzy kościelnej tylko przysługuje prawo wydawania zarządzeń w tej mierze. Toteż w imię tego prawa zaklinam was, bracia, byście niewczesnemi śpiewami nie drażnili naszych władz. Pieśni te, z których niektóre potwierdzone są przez władzę kościelną, inne wprost zakazane, miały swoją rację bytu, gdy nie było innych sposobów objawiania wobec władz pragnień narodu; dziś, gdy te pragnienia mogą być podane panującemu w drodze legalnej, są one zgoła zbyteczne. Sam mówiłem z Najjaśniejszym Panem, i z ust jego otrzymałem zapewnienie, że zwrócone będą narodowi zniesione czasowo ustawy, byle nastąpiło uspokojenie umysłów i zaprzestano jątrzyć je śpiewami. Zapewne niejeden z was pomyśli: Ileż razy otrzymywaliśmy już obietnice, których nigdy nie wykonano?... Cierpliwości! Ufam, że tym razem tak nie będzie. Okażcie swem postępowaniem, że w danym razie wina za dane a niedotrzymane słowo spadnie nie na was, ale na tych, którzy je dali. Ci, którzy mają zamiar rozkazu mego usłuchać, niech klękną, a ja im dam moje pasterskie błogosławieństwo". — Na te słowa większa część obecnych klękła, — jeden tylko głos, i to z pewnem wahaniem, odezwał się: „Nigdy!"

Wrażenie tego przemówienia, zwłaszcza drugiej jego części, było — przyznać trzeba — ujemne. W partji rewolucyjnej zawrzało. Katolicy i patrjoci byli przygnębieni. Spodziewano się kazania na temat niezawisłości Kościoła, a w miejsce tego kwestje polityczne wysunięto na pierwszy plan. Mimo to dzięki swej karności duchowieństwo zszeregowało się koło arcybiskupa i jego punkt widzenia zaaprobowało, z silnem postanowieniem wytrwania na tem stanowisku, — przywódcy zaś głównych

obozów postanowili zgodnie popierać arcybiskupa. Śpiewów istotnie zaprzestano.

Mało kto zapewne tak wziął do serca to wystąpienie arcybiskupa, jak ja właśnie. Po głębszej wszakże rozwadze doszedłem do przekonania, że bezwątpienia Bóg oświecił sługę swego, pełniącego swe trudne powołanie z tak czystą intencją, prawością i wiarą. Określił bowiem w swem przemówieniu tak jasno stosunek swój do władzy i do kraju, że już drugie kazanie wywołało doskonałe wrażenie — i wierni z coraz większem zaufaniem i przywiązaniem zwracają się do swego Pasterza. Wchodzi tu też w rachubę głęboka pokora, miłość bliźniego i przekonanie o świętości swego posłannictwa. Z drugiej strony postawa duchowieństwa, garnącego się do swej prawowitej władzy, ułatwia zadanie i dopomaga w walce z mnożącemi się trudnościami. Największa zaś trudność to równocześnie zadowolić rząd, który nominację zatwierdził, i naród, który sprawę religji zarówno z narodową traktuje. Rząd, w gruncie rzeczy słaby mimo pozorów potęgi, obiecuje wprawdzie wolność Kościołowi, by sobie jego poparcie pozyskać, ale czy dotrzyma obietnicy? Czy Kościół znów, który tylokrotnie boleśnie odczuł sprzymierzanie się z władzą świecką, nawet legalną, teraz nie odczuje tem dotkliwiej związku z państwem, nietylko co do religji schyzmatyckiem, ale politycznie nieprawowitem, zawdzięczającem swe panowanie gwałtowi, a utrzymującem je przemocą? Niewczesnem byłoby odnośnie do Polski stosować zasadę, że Kościół powinien zawsze popierać władzę, równie jak świętokradztwem twierdzić, że religja ma być narzędziem polityki w służbie narodowości. Tu chodzi o utrzymanie całkowitej wolności Kościoła, a zarazem wiary w narodzie 16-miljonowym, narażonym z jednej strony na racjonalizm niemiecki, z drugiej na rosyjską schyzmę. A jest to naród, który mimo wszystkich wad swoich, tak dawnych, niestety, jak i obecnych, zachował więcej żywej wiary, niż którykolwiek inny w Europie.

Znaleźli się wprawdzie ludzie zaślepieni, — głównie cudzoziemcy, ale są tacy i wśród nas, — którzy twierdzą, że rewolucja posługiwała się religją jako narzędziem do dopięcia swych celów. Dziwna krótkowzroczność! Czy nie jest oczywistem, że rewolucja, mając do czynienia ze społeczeństwem nawskroś wierzącem, musiała się uciec do użycia tych sprężyn, aby poruszyć masy? Sami przywódcy ruchu przyznali, że tak było w istocie. Ale — „skłamała złość przeciw sobie". Nastrój partyj stawał się — dziwnym sposobem — coraz bardziej skupionym! Wykroczenia się jeszcze zdarzały — trudno temu przeczyć; zwłaszcza bratanie się z innemi wyznaniami gorszyło wielu pobożnych a odstręczało lud, ale było to zło czysto lokalne i wynikło ze słabości niektórych duchownych. Z innej strony, gdy uczęszczanie do św. Sakramentów się wzmagało, tem samem i obyczajność na tem zyskiwała i szał zabaw ustępował, a wielu zagorzalców, wchodzących do kościoła dla demonstracji, wracało pojednanymi z Bogiem. Zwrot ten korzystny zaznaczył się głównie od chwili ogłoszenia *breve* Ojca św. do biskupa Fiałkowskiego.

Od tej pory, gdy arcybiskup Feliński mocą swego wpływu zjednał sobie kler i wiernych i wyrwał ich z objęć rewolucji, — znalazł się sam

w ciężkiem położeniu. Zaręczywszy słowem uzyskanie reform obiecanych przez Cesarza, nie widzi ich spełnienia, a owszem, ucisk się wzmaga. Cóż dziwnego, że go to kompromituje w oczach zapaleńców, którzy czekają tylko sposobnej chwili, by wznowić demonstracje chwilowo zawieszone.

VI.

Le Prince Czerkaski

Etude psychologique et politique

Leipzig 1866 (Wolfgang Gerhard, libraire-éditeur)

(Do str. 174)

> Les lignes qu'on va lire attendaient une de ces occasions rares que la fortune nous ménage pour les envoyer à l'étranger, quand un crime abominable est venu effrayer les honnêtes gens à quelques nationalités qu'ils appartiennent.
>
> *Intelligite reges.*

Il est un phénomène psychologique qu'on aurait peine à comprendre, s'il n'était constaté par l'histoire. Malgré que nous avons, comme l'observe Pascal, une si grande idée de l'âme de l'homme, que nous ne pouvons souffrir d'en être méprisé, l'idée du mépris et de la malédiction des générations à venir n'a jamais arrêté de grands coupables dans la perpétration de leurs crimes. Le mal a toujours trouvé non pas seulement des instruments serviles, mais, il faut le dire à la honte de la nautre humaine, des instruments enthousiastes. Les noms d'un Jeffreys, d'un Pombal, attachés au pilori de l'histoire, n'ont pas empêchés un Robespierre et un Danton, tout bouffis de vanité qu'ils étaient, de nager dans le sang, et avant peu nous avons vu un Hainau se faire l'exécuteur des hautes oeuvres non pas de la monarchie, mais des rancunes personnelles d'un parti momentanément au pouvoir. Chose singulière, les souffrances des hommes ou des populations apaisent la justice divine, l'histoire prononce ces mots terribles, honte et malédiction, et pourtant la passion, le succès, la cupidité, trouvent toujours de nouveaux volontaires; on pourrait dire comme un grand écrivain disait du bourreau: „le coeur de ces hommes est incompréhensible, il est créé comme un monde". Chaque époque de dissolution et de cataclysme social fait surgir de ces hommes: Marius, Louis XI. les révolutionnaires français, et nous arrivons à une époque et à une société dans les mêmes conditions, qui est aussi jetée comme une victime en proie à un être malfaisant, tout puissant et doué de cette intelligence pour le mal, que la Providence accorde toujours aux hommes qui doivent être le fléau d'une époque ou d'une société.

Le prince Czerkaski ne peut pas faire un *blooded circuit* comme le juge Jeffreys, il ne peut pas guillotiner et noyer en masse comme Robespierre, — toute chose a son temps, — mais il pourra bien comme Pombal torturer les consciences, assassiner à force de faim, de mépris et de reclu-

sion des corporations entières, il pourra démoraliser tout un pays en invoquant les grands mots d'humanité, de propriété et d'égalité, il pourra consommer, sur une nation toute entière, les crimes que ces hommes à jamais exécrables ont perpétré sur des individus. Et qu'on ne vienne pas nous taxer ici d'exagération, nous parlons avec calme. Il est impossible de sévir aujourd'hui contre les individus avec toute la cruauté du moyen âge, on n'ira pas planter des clous dans la tête d'un homme, ou le mettre à la question pour lui faire abjurer sa religion; ce n'est pas là le moyen, et d'ailleurs on ne pourrait pas se targuer d'être le gouvernement le plus tolérant du monde. Mais il y a un autre moyen; on laissera aux individus liberté pleine et entière de conserver leur foi, voire même leurs pratiques religieuses, mais au moyen de quelques petits articles d'un oukase on viendra couper la racine de l'organisation de toute l'Eglise, on créera des évêchés, on organisera des cures, en internant les évêques, on leur ôtera la possibilité de se mettre en rapport, en un mot on introduira un schisme dans une Eglise qui n'aura plus de romain que la langue. — Comme tout cela se fait par un homme de parti, au nom de la grandeur de la Russie, il y aura des journaux, qui chanteront sa gloire, l'Empereur fondera une décoration pour le récompenser, et cet homme heureux de son succès, ira dîner gaiement, puis prendra le thé avec sa femme et ses enfants, puis il ira se coucher tranquillement, si l'activité fiévreuse dont il est dévoré lui laisse le sommeil. Et pendant que son orgueil se repose dans le succès, tout un pays maudit son nom, parce qu'il n'est pas un seul élément de la vie religieuse, sociale ou politique qu'il ne soit venu empoisonner ou troubler. Tantôt torturant la volonté du souverain exprimée dans de fameux oukases, il viendra étendre le sens de cette législation bien au delà de sa portée primitive pour pouvoir faire souffrir davantage un plus grand nombre d'individus. Tantôt donnant l'initiative d'un système d'instruction publique, qui bannit la religion de l'école primaire, qui introduit une langue dominante mais étrangère; qui ôte à toutes les corporations encore existantes la possibilité d'enseigner seulement à lire et à écrire à quelques pauvres orphélins; qui pénètre d'une manière inquisitoriale dans les familles, pour s'assurer, si d'hasard elles n'ont pas conservé quelque pauvre instituteur ou institutrice pour apprendre aux enfants la foi et la langue de leurs pères; qui enfin veut parquer dans des gymnases féminins, institution monstrueuse, inconnue encore dans le monde, toute la population féminine sans distinction de races et de religion, pour leur enseigner la langue russe et l'indifférence en matière de religion. Avec le nombre, la richesse et la culture relative de la race juive en Pologne, il n'est pas étonnant que cette nationalité a envahi les gymnases féminins. — Vive la tolérance! dira le prince Czerkaski. Oui; la tolérance de l'indifférence, la tolérance de l'impiété, si l'expérience ne prouvait que rien n'est fanatique comme elle: Il sera donc permis de n'avoir aucune religion, mais gare à celui, qui voudrait en avoir une dogmatique.

Dans une position aussi désespérée nous en appelons non pas seulement aux catholiques de tous les pays, nous en appelons à toutes les âmes pieuses et honnêtes, qui ont conservé l'idée d'un dogme, et qui res-

pectent ce qui après tout fait seul la dignité de l'homme, la liberté de la conscience. Il ne s'agit pas seulement du catholicisme, il s'agit de la foi, de la liberté de croire à un Dieu en trois Personnes et de le servir avec les rites que la conscience a reconnus. M. Guizot a observé avec raison dans ses *Méditations sur la religion*, que toutes les communions chrétiennes sont ici solidaires. Un piétiste allemand peut croire un catholique dans l'erreur sur l'autorité et sur des détails de doctrine, mais il a de commun avec lui la foi, l'amour et le principe de la liberté. Y a-t-il donc exagération alors que nous parlons des cruautés du prince Czerkaski? Peut-il y en avoir une plus grande que cette inquiétude introduite dans toutes les familles sur l'avenir de leurs enfants; cette inquisition de tous les instants qui provoque au mensonge continuel; ces pères de famille ruinés dans leur fortune, humiliés dans leur position, ne voyant ni issue, ni avenir pour leurs fils? Et tout cela pourquoi? Pour assouvir une colère, un préjugé, un fanatisme. Le prince Czerkaski qui — chose rare en Russie — est un humaniste, a-t-il lu assez peu l'histoire pour ignorer que ces essais de dénationalisation, de décatholisation, n'ont jamais réussi, ou réussi pour très peu de temps. Malgré Cromwell et les Orangistes, l'Irlande est toujours catholique, mais nous avons des exemples beaucoup plus rapprochés. Pendant tout le règne de l'empereur Nicolas, on n'a pas nommé d'évêques, on a interdit les rapports avec Rome, on a persécuté l'Eglise catholique et la langue polonaise, les jeunes gens faute d'universités allaient étudier à Charkow, Moscou et Pétersbourg, et qu'est-ce que ce régime a produit? Une génération qui a servi d'armée au soi-disant gouvernement national d'odieuse mémoire. Le clergé, élevé sans discipline dans de mauvais séminaires, n'a pas su résister aux tentations de la conspiration; les jeunes gens revenant des universités russes tenaient école de socialisme, l'esprit du mal et de la haine a produit son fruit. Le prince Czerkaski s'imagine qu'il fera mieux: „On n'a pas été assez conséquent, assez énergique, assez absolu, on n'a pas évoqué toutes les passions et toutes les haines populaires; nous mettrons tout cela en mouvement et nous aurons raison". — Attendez, homme de perdition. Vous n'aurez rien de ce que vous espérez; vous ferez beaucoup de mal, vous ferez verser bien des larmes, vous entasserez ruine sur ruine, vous ferez maudire votre nom par de longues générations à venir, mais rien de ce que vous aurez fait ne subsistera; l'esprit de foi revivra au milieu du danger, l'Eglise sera purifiée par la persécution, par quelques martyrs peut-être, mais qu'est-ce que tout cela dans une lutte de dix-neuf siècles? Nous disons avec un éloquent apologiste: „ L'Eglise a usé bien d'autres hommes que vous, elle a supporté bien d'autres calamités que celles que vous voulez lui infliger, on est fort, croyez-moi, quand pour vaincre il suffit de mourir". — Mais le prince Czerkaski a attaché probablement sa gloire à la question agraire et sociale dans ce pays-ci. „Reprochez-moi, tant que vous voudrez, d'avoir poursuivi votre Eglise, vos religieuses fanatiques et vos religieux sanguinaires, il n'en sera pas moins vrai que c'est moi qui ai créé en Pologne six cent mille citoyens propriétaires indépendants". Eh bien, non! Vous ne l'avez pas fait, M. le prince; il serait ridicule de discuter ici un fait parfaitement

connu, quoique insolemment nié: tout le pays avait voulu cette mesure dans des proportions plus ou moins complètes, une auguste volonté a saisi un moment propice pour trancher les difficultés d'un seul coup; quant à vous, Monsieur le prince, vous avez fait tout ce qui dépendait de vous pour gâter l'oeuvre du souverain. N'est ce pas à vous qu'appartient l'extension et l'explication de l' o u k a s e quant aux habitations bâties à grands frais par les propriétaires pour leurs garçons de ferme et qu'en violation de toutes les lois divines et humaines, et même des lois de la raison, vous avez attribué en pleine propriété à cette classe de travailleurs, uniquement pour rendre la grande propriété impossible et forcer ainsi la noblesse polonaise à vendre ses terres? N'est-ce pas vous, qui avez déconsidéré la législation russe en attribuant au prolétariat tout morceau de terrain où une seule fois on lui avait permis de planter des pommes de terre? Moyens d'acquérir la propriété, dont les grands jurisconsultes romains ne se seraient jamais douté.

N'est ce pas vous, qui avez éveillé dans le peuple les appétits les plus grossiers, en promettant à ceux qui possédaient déjà des servitudes dans les forêts et sur les pâturages seigneuriaux, et en faisant espérer à ceux qui n'en possédaient pas encore, de participer à la curie des terrains ecclésiastiques? Et pourquoi donc provoquer cet antagonisme des différentes classes de la société, si c'est leur bien qu'on désire? Ne pouvait-on pas améliorer matériellement la position de la classe agricole sans provoquer sa ruine morale? Mais le prince Czerkaski ne se contente pas de si peu, et pour mieux réussir il a inondé le pays d'une race d'hommes formés à une école que la société européenne ignorait complétement, qui dans le silence s'était développée en Russie et deviendra un grand danger pour le monde. Qu'il soit dit à l'honneur de l'humanité et de la race russe, il s' est trouvé parmi ces hommes des âmes honnêtes que le contact avec les faits a éclairé; tous n'ont pas fait le mal qu'ils étaient appelés à faire; ce qui est d'autant plus méritoire qu'on a choisi comme chefs des commissions départementales les hommes les plus haineux, et on en a vu un poursuivre et obtenir la condamnation d'un homme parfaitement innocent, pour constater une calomnie qu'il avait avancée légèrement dans les journaux.

Ces hommes sont d'une activité fiévreuse, effrayante, on dirait, qu'ils pressentent la fin prochaine de leur puissance, et qu'ils ont hâte de faire le plus de ruines possibles. Edmund Burke a observé avec raison que l'activité passionnée des conventionnels français expliquait à beaucoup d'égards les folies et les crimes de leur conduite. Pas de repos, donc pas de réflexion, pas d'harmonie, le sang est fouetté, la passion s' exalte, elle mène en avant: ils ont bouleversé la propriété, ils bouleversent l'Eglise, ils vont procéder à la réorganisation administrative et judiciaire du pays, pour qu'il ne reste plus pierre sur pierre. Et après — quoi? La banqueroute financière d'abord, la banqueroute morale ensuite, la famine comme aujourd'hui en Lithuanie amenée par le même mode d'action, la corruption dans les idées, les principes, les sentiments. La répugnance que ces hommes et ses agents inspirent est telle, que — chose incroyable — les pays a reçu avec effroi la nouvelle que l'état de siège allait être modifié et que les

autorités civiles allaient commencer leurs fonctions. Malgré la dureté du régime militaire, malgré la grossièreté de beaucoup de chefs des districts, on avait affaire à des militaires, chez lesquels on présupposait un sentiment d'honneur, dans tous les cas une certaine simplicité, et en dernière analyse on en appelait au général Trepow, qui — chose rare dans une position comme la sienne — à côté de la crainte a su inspirer l'estime et même la confiance; aujourd'hui on se trouvera exposé sans appel à l'action malfaisante d'un esprit naturellement corrompu et corrupteur. Pour comprendre comment une société chrétienne, naguère chevaleresque, a pu devenir l'instrument et la victime d'une organisation monstrueuse, comme l'a été le gouvernement national, il faut se rappeler que ce pays est depuis longtemps exploité par le mensonge. Cet esprit de mensonge que depuis cent ans la Russie emploie dans ses rapports avec la Pologne, s'est incarné, pour ainsi dire, dans le prince Czerkaski. Lisez les motifs qui accompagnent l'oukase du 11 décembre 1864; on n'en veut pas à la vie religieuse dans l'esprit du droit canon; on réduit les maisons conventuelles, qui n'ont pas le nombre voulu d'individus, on conserve un nombre assez considérable de couvents pour suffire aux besoins spirituels des populations, et on assure l'existence des moines en leur faisant une pension. Voici la théorie; voyons la pratique. Qu'a-t-on voulu faire en parquant ainsi les pauvres religieux dans quelques couvents choisis *ad hoc?...* On a voulu non pas les conserver, mais les forcer à quitter le pays, ou bien en devenir le scandale. En effet on a entassé de simples religieux dans des maisons, on leur a assigné une pension insuffisante pour l'existence la plus misérable (12 sous par jour), on leur a interdit les quêtes, on les tient emprisonnés dans les maisons comme des malfaiteurs, sans permettre que même dans le temps pascal ils viennent aider les curés des environs. Et pour assurer qu'aucun ne s'éloigne, deux fois par jour un caporal de gendarmerie vient les faire comparaître à l'appel. Voilà donc quelques centaines d'individus détenus sans jugement, condamnés à l'indiscipline et à l'oisiveté et tentés par là même à donner dans quelques écarts de corruption, car il est impossible d'exiger de tous ce degré de perfection spirituelle qui élève l'âme si haut qu'elle devient inaccessible aux tentations des positions exceptionelles; cela est-il de la cruauté, ou non? cela est-il de la tolérance, cet abus brutal d'une force discrétionnaire accordée par un souverain trop confiant? De quelle responsabilité ce ministre infidèle charge-il la conscience d'un prince débonnaire, et de quel droit compromet-il sa parole et sa dignité? Tout cela s'exécute à la face du monde entier, qui avant peu n'avait pas des paroles pour exécrer le régime russe quand il défendait avec assez de molesse ses droits, sans doute mal fondés, mais que politiquement il pouvait considérer comme légitimes; et aujourd'hui, quand des pays de quelques millions d'habitants se voient ravir —chose incroyable — leur langue et leur culte, quand tous les grands propriétaires sont dépossédés, quand avec cynisme on publie dans les oukases des conditions auxquelles un homme d' origine polonaise pourrira, aucune voix à peu près ne s'élève. Et pourquoi? Parce que le prince Czerkaski est un homme de progrès; parce qu'en prêchant la tolérance il détruit l'Eglise; parce que par la ruine de la propriété il marche à l'éga-

lité; parce que c'est un révolutionnaire et comme tel il s'attaque avant tout à l'Eglise. Détruire d'abord la milice de l'Eglise militante, puis exciter les appétits populaires, puis enlever la propriété du clergé séculier, enfin poser la main sur le sanctuaire, et ruiner la hiérarchie ecclésiastique, et pour trouver des complices dans les évêques employer tous les moyens et toutes les menaces, soit pour troubler leur conscience, soit pour ébranler leur courage. Ainsi on enverra en exil Mgr. Rzewuski, on jetera à la citadelle l'administrateur de l'archevêché l'abbé Szczygielski, on exigera avec astuce des pasteurs l'accomplissement soi-disant formel de la lettre de l'oukase, en leur faisant entendre qu'après tout ils sauveront encore quelque chose, tandis que la résistance ne peut les mener qu'au schisme. Que feront les évêques de ce pays, nous l'ignorons.

Ce n'est pas la question pour le moment, il s'agit actuellement de montrer ce qu'est le prince Czerkaski, ce qui est d'autant plus important que son influence à Pétersbourg est si grande, que quand tout dernièrement l'abbé Szczygielski emprisonné a été élargi sur l'ordre du comte de Berg, le prince Czerkaski obtint aussitôt par télégramme sa réintégration dans les donjons de la citadelle; il est donc décidé à passer à travers toutes les violences et à mettre en exécution le dernier oukase.

Homme de perdition, jusqu'à quand vous sera-t-il permis d'être l'exécuteur de la justice divine sur le malhereux pays? Peut-être sans le savoir êtes-vous l'instrument de sa miséricorde, mais malheur à celui par qui le scandale d'un tel désordre social a été donné au monde. A quoi sert de pouvoir se targuer d'être inaccessible aux tentations sordides de l'argent? A cet égard comme toujours avant tout nous aimons la vérité, nous devons donc lui rendre la justice, qu'il a toujours été au-dessus du soupçon. Qu'il accepte donc avec le stoïcisme du citoyen incorruptible les reproches que nous lui faisons; si nous sommes bien informés, et nous croyons l'être, dans sa patrie même il a été jugé comme nous le jugeons, et à peu près forcé par l'indignation de ses concitoyens à quitter sa province; nos paroles ne viendront pas sans doute troubler le repos d'un homme dont on peut dire:

Et de bien d'autres traits il s'est senti piqué,
Sans que jamais la gloire ait fait que s'en moquer.

VII.

Nota dla Cesarza Franciszka Józefa (1877).

(Do str. 191)

Pour qu'un homme sérieux, en dehors de la vie publique, se croit en devoir de parler de haute politique, il faut pour cela un de ces moments suprêmes, comme celui que nous traversons, où l'existence de la Monarchie, peut-être même le salut de l'Auguste famille qui nous gouverne, est en jeu.

La ligne de conduite politique que l'Autriche va suivre non pas dans l'avenir, mais dans les jours, presque les heures où nous parlons, décidera du sort de l'Empire. — La position est tellement compliquée, qu'il faut une prudence surhumaine pour en sortir. Evidemment on ne saurait s'appuyer sur la Prusse, ni entrer dans aucune espèce d'alliance avec elle. Sans lui donner ombrage, tout en négociant avec cette puissance, dans l'éventualité d'un trop grand développement de la Russie en Orient, l'Autriche doit se mettre dans les meilleurs rapports avec la Russie, reconnaissant les obligations anciennes contractées à son égard et en considérant les puissants intêrets qui doivent unir les deux empires. Malgré l'amitié et les promesses de l'Empereur Guillaume, il existe un immense antagonisme entre les deux empires du Nord. La Russie le sent, elle a besoin de l'appui de l'Autriche et malgré le langage des journaux saluerait avec bonheur un traité d'alliance entre le Czar et l'Empereur François Joseph.— Il existe une entente; je ne crois pas qu'il existe un traité formel avec des articles nettement formulés. Dans une entente il y a toujours quelque chose de vague, et ce vague le plus fort ou le plus habile peut l'exploiter; dans un traité tout est stipulé et précisé. Le but de ce rapprochement intime et de ce traité avec la Russie serait de la circonscrire dans une sphère d'action précisée, et de s'assurer à soi une liberté de concours en rapport avec ses propres intêrets. L'Autriche peut et doit garantir à la Russie l'intégrité de son territoire et une action active au cas où elle serait attaquée par qui que ce soit; elle peut non pas seulement promettre d'attendre dans une position passive son action contre la Turquie, mais s'engager à assurer ses derrières contre tout ennemi qui viendrait l'attaquer. — Mais la Russie ne saurait exiger que l'Autriche agisse simultanément avec elle en Orient, où ses intêrets ne sont pas compromis, et quand cette action serait pour elle désastreuse. Aucun traité d'amitié ne peut exiger le sacrifice de ses propres intêrets, l'Autriche ne pourrait donc dans aucun cas permettre aux troupes Russes de passer par son territoire, ni encore moins s'engager à occuper aucune province de la Turquie. Laisser à la Russie toute liberté d'action sous sa responsabilité, est un acte d'amitié et de bon voisinage, aussi de bonne politique; sacrifier son propre intêret pour la servir et gagner sa bienveillance, serait abdiquer et de sa dignité et oublier les devoirs que l'on doit à sa propre conservation. — En se plaçant sur ce terrain et tenant ce langage on peut être sûr que la Russie n'osera exiger rien de plus: les menaces et les rodomontades de la presse ne doivent pas nous effrayer plus que certaines missions militaires ne doivent nous imposer: mais il faut savoir ce qu'on veut, et avoir une route d'action bien tracée. Le jour où l'Autriche se laissera entraîner a l'occupation de la Bosnie, elle se place sur un plan incliné qui la fera rouler dans l'abîme; car les états comme les hommes, portent fatalement la peine de leur faiblesse ou de leur inconséquence.

Ainsi proposer à la Russie un traité qui garantirait mutuellement aux deux empires la possession de leurs états, qui les obligerait à se prêter un mutuel secours au cas qu'ils fussent attaqués par n'importe

qui; mais refuser net l'autorisation pour les troupes Russes de passer par le territoire, et dans aucun cas ne pas se laisser entraîner à occuper une province turque.

L'entente du Reichstadt en cimentant l'amitié des Souverains et sauvegardant les intêrets des populations Slaves, n'a pas imposée à l'Autriche l'obligation de courir les chances aventureuses de la politique, que la Russie a entammée à ses risques et périls, et nous ne doutons pas qu'elle s'arrêtera si les hommes publics de l'Autriche ont assez de coup d'oeil et de courage pour résister au piège qu'on lui dresse avec beaucoup d'habileté. Une ouverture franche et précise faite dans ce sens soit par l'Ambassade de Pétersbourg, soit directement à Livadia, portera ses fruits et délivrera l'Autriche de la terrible impasse où la place non pas peut-être l'inhabileté de ses hommes d'Etat, mais la fatalité de sa position et, il faut le dire, la défectuosité de son organisation intérieure.

Faut-il ajouter que tout en procédant de concert avec la Russie, une puissance comme l'Autriche, avec de vieilles traditions politiques, ne doit pas négliger dans ce moment solennel de chercher pour toutes les éventualités à rallier des intêrets communs. Dans la question d'Orient il y a deux puissances seulement dont l'action combinée peut arrêter la Russie aux portes de Constantinople, l'Angleterre et la Grèce.

Celui qui écrit ces observations ne connaît pas assez les habitudes de la Diplomatie pour savoir si l'expédient qu'il propose est possible. — Pour sonder l'Angleterre il ne faudrait pas employer l'ambassade, surtout pas Mr. de Beust. Un agent sûr, personnel de Sa Majesté, qui s'aboucherait avec Lord Derby, pourrait. sans compromettre l'Autriche et éveiller des soupçons, approfondir les vues de l'Angleterre dont l'action ainsi encouragée serait très-puissante an moment décisif: rien ne devrait être fait ici par écrit, mais verbalement, et avec le seul ministre des affaires étrangères. — Que la position de l'Autriche vis-à-vis de la Russie serait alors beaucoup plus avantageuse, que son langage pourrait être plus ferme et son action plus franche, qui pourrait en douter? mais une telle négociation pourrait avoir lieu seulement avec un diplomate homme d'honneur comme Lord Derby. — Quant à la Grèce, serait-il possible que jusqu'à ce moment on ait négligé à intéresser son ambition dans la question d'Orient. Dans cette question qui toujours aboutit à Constantinople personne n'est intéressé autant que la Grèce. — Ni l'unité de la religion, ni les rapports de famille, ne sauraient comprimer l'antagonisme que cette question éveille à Athènes. — Au fait, l'impossibilité de la puissance Ottomane en Europe une fois reconnue, et il est impossible de ne pas la reconnaître, la Grèce est son héritier sur le Bosphore; d'un seul coup la Russie est arrêtée, la Mer Noire neutralisée, le Schisme scindé en deux. — Ce dernier point ne paraîtra pas le moins important à tout homme qui connaît la Russie et les élements de sa force. La Russie cesse alors d'être seule protectrice des populations schismatiques, elles commencent à graviter vers le patriarcat de Constantinople, on verrait deux centres religieux dont celui

du midi entraînerait peut-être une partie des Slaves méridionaux, condamnés à soupirer après Pétersbourg.

Ces observations, si l'on croit qu'elles ont quelque valeur pratique, devraient être communiquées uniquement à Sa Majesté, qui Seule pourrait apprécier leur valeur pratique.

Ce 4 Octobre.

Jour de fête de Notre Auguste Souverain, Que Dieu bénisse.

VIII.

Considérations sur l'état de l'Eglise unie en Pologne à l'occasion de l'attentat du 13 mars.

Leipzig 1881, Wolfgang Gerhard.

(Do str. 195)

Il ne faut pas s'y tromper. L'acte de scélératesse inouïe qui, après de nombreux efforts, a mis fin à la vie de l'Empereur de Russie, malgré les douleurs officielles des cours, des parlements, et les indignations un peu conventionelles des journaux, n'a pas remué les sentiments et les craintes qu'un crime ainsi atroce, commis dans de telles circonstances, aurait dû réveiller. Est-ce que les injustices à l'égard des individus, des corporations, des consciences, commises soit au nom des gouvernements, soit au nom des peuples, ont émoussé le sentiment et abaissé le niveau moral? Ou bien la société se trouvant vis-à-vis d'un danger inconnu, insaisissable, est pétrifiée comme sous le regard d'un être mailfaisant?

Quoiqu'il en soit, il appartient aux hommes de coeur et de conscience d'apprécier la position, d'analiser les causes et la nature du fait, d'en tirer même quelques leçons, peut-être plus nécessaires encore en haut qu'en bas! Qu'on l'écoute ou non, la vérité doit toujours se faire entendre.

Le mouvement révolutionnaire préparé de longue main, inauguré en 1789, après avoir traversé toutes les phases du constitutionalisme et du libéralisme, a dû logiquement aboutir au socialisme; son dernier mot sera le communisme. La secte des francs-maçons, dirigée par des hommes d'une intelligence supérieure, cherche à éviter cette conséquence, essayant de substituer à la religion chrétienne une religion humanitaire, devant servir de contre-poids moral aux passions des masses et des individus. Tout oeil exercé observe cette action et admire la mauvaise foi des meneurs, la simplicité et la corruption des menés, quand, après avoir combattu au nom de la tolérance, ils s'acharnent avec tout le fanatisme de l'incrédulité après les hommes, qui veulent croire en Dieu et veulent le servir. Toutefois ni en Allemagne, ni en France, ni en Anglettere (fenianisme) le mouvement anti-social n'a pris le caractère qu'il a en Russie. Son nom seul effraye, les hommes, les femmes surtout qu'il emploie inspirent l'effroi ou

le dégoût; il ne recule devant rien, aucun crime ne l'arrête; les souffrances horribles des victimes innocentes qu'il enveloppe dans ses actes de destruction ne réveillent en lui aucune pitié: et parceque ces hommes risquent leur vie qui leur est extorquée par la conspiration, ils rêvent à l'héroïsme. Voilà trois ans qu'un souverain qui, après tout, a bien mérité de son pays, déchiré le traité de Paris, exposé sa vie et son repos dans les Balkans, qui a lutté pour la grandeur de la Russie, soit à Berlin, soit au fond de l'Asie, est poursuivi avec une persévérance et par des moyens inconnus dans l'histoire, non pas par les hommes appartenant à une nationalité et à une église affreusement opprimées, mais par ses propres sujets. L'imagination reculerait, si les faits n'étaient pas là, s'il n'était constaté et avéré, que des hommes instruits, probablement ce qu'on appelle vulgairement civilisés, ont mis de mois entiers à ruminer et préparer avec calme, au risque de leur vie et d'une existence de forçats, des attentats combinés aves génie, exécutés avec courage, et qui ont nécessité non pas seulement le concours de nombreux agents, mais des moyens pécuniaires très considérables. Où chercher le noeud de cette action et jusqu' à quelles sphères peut-elle s'élever? On croit vraiment lire la légende du Vieux de la Montagne, qui a été le précurseur des sociétés qui veulent dominer et dans tous les cas effrayer le monde.

Un tel phénomène n'a pu se manifester qu'en Russie. La nation russe, qui n'est qu'un conglomérat d'éléments normands, finois, slaves, orientaux, dans lequel l'individualisme occidental n'a jamais pu dominer, christianisé par l'église byzantine déjà à l'état de corruption, broyé, pétri par les Tartares et pénétré du souffle panthéiste auquel l'Eglise de Constantinople l'avait si bien préparé, ne ressemble à aucune nation de l'Europe; et quand les publicistes de l'Occident, qui connaissent ses institutions, ses lois, son histoire, veulent la juger, ils excitent le sourire du Russe.

Les populations russes qu'une grande et patriotique intelligence politique rendait dociles au despotisme des Czars, développèrent sous ce terrible régime toutes les qualités d'un peuple conquérant; dévouées, souples, fourbes vis-à-vis de l'Occident, aventureuses à l'Orient, elles étendaient leur empire vers la Baltique, la Mer Noire et la Sibérie. Le Russe qui possédait la quatrième partie de la terre habitée, ne possédait pas en propre un pouce de terre. Il n'a pas l'idée de la propriété. L'église schismatique que l'autorité précaire des patriarches de Constantinople sauvait de la servitude absolue, se trouva en Russie dans la nécessité de se soumettre à l'autorité temporelle. Deux erreurs funestes, et qui mènent droit à l'incrédulité, se trouvèrent ainsi réalisées pour le malheur du monde et de la société russe. D'abord: la fusion de l'ordre temporel et spirituel, c. à d. l'absorption de l'un par l'autre: monstruosité, qui établit la domination de la force matérielle au mépris du spirituel, qui soumet l'esprit à la matière, et seule explique l'existence d'un despotisme condamné par la morale comme par la politique, et contre lequel regimbe la nature humaine. Ensuite l'application pratique de la théorie des Eglises nationales, qui confondant les devoirs du sujet avec ceux du fidèle orthodoxe, provoque nécessairement l'intolérance, excuse le prosélytisme politique par la raison d'état

et le patriotisme, et sert le pouvoir aussi longtemps que les populations sont assez simples pour ne pas s'apercevoir, qu'une telle Eglise n'est qu'un instrument de gouvernement. La société russe, exposée depuis soixante ans à toutes les tentations de la civilisation occidentale, à l'action des faux principes que lui apportait l'opinion européenne, n'avait pas comme contre-poids le sentiment de la propriété ni celui de la légalité que le droit romain avait communiqué à l'Europe; elle n'avait pas surtout dans son église et sa religion cette force qui arrête les passions dans le foyer où elles prennent naissance. Le dogmatisme sauve quand l'autorité qui le proclame est divine. Le dogmatisme du schisme, vrai en lui-même, perd sa vertu entre les mains d'un clergé sans mission; puissant quant à la forme, il peut imposer un jeûne rigoureux, même éveiller un élan de fanatisme, il n'arrêtera pas un crime.

Nous voyons ainsi en Russie deux sociétés en présence. La masse de la population, fidèle à la tradition politique et religieuse avec tous ses préjugés, cette population est inerte comme les flots de la mer ou les sables du désert, mais mouvante comme eux; le vent qui va s'élever, les poussera dans sa direction. Et puis, vis-à-vis une minorité, aussi inconnue quant au nombre, qu'indéfinissable quant à sa nature: active, fanatique, sans conscience du bien et du mal en morale, sans conscience du vrai et du faux en politique, avec le préjugé, que la Russie est prédestinée à régénérer le monde.

Dans un mémoire aussi peu connu qu'intéressant, que Joseph de Maistre avait présenté il y a 70 ans à l'empereur Alexandre et qui ne devait pas sortir d'une certaine cassette, il observe avec le coup d'oeil et définit avec l'intelligence d'un homme de génie le caractère russe. Une prévention stupide peut seule méconnaître la portée du caractère d'une nation, qui après avoir secoué le joug tartare, supporte avec amour le joug du Czar, pour avoir le temps de se constituer en société. De Maistre s'arrête à la passion persévérante, avec laquelle le Russe poursuit tout but qu'il se propose: carrière, commerce, amour, et il termine par cette phrase: Enfermez un désir russe dans une forteresse et il la fera sauter. Rien n'est plus vrai: le Russe ne connaît point d'obstacle, encore moins de scrupule; laissé dans une voie, son esprit absolu, peu capable de réflexion, le poussera jusqu'au bout. Il fallait de tels hommes pour servir de telles doctrines et ils sont parvenus à faire reculer le pouvoir et à effrayer la société. Sont-ils les instruments du parti libéral, qui, terrorisant le pouvoir, espère obtenir des libertés constitutionnelles? Beaucoup le croient; mais alors ces crimes sont inutiles. Ou bien barbares de l'intérieur, enfants d'une civilisation corrompue, sont-ils appelés à bouleverser la vieille Europe, comme ont fait les barbares du 4-e siècle, pour préparer un ordre social nouveau? Cette question intéressante peut être discutée: pour moi, préoccupé d'une autre idée, à l'heure qu'il est, elle est indifférente.

I.

Il faut la scélératesse et l'impudence d'un publiciste allemand, pour rendre les Polonais moralement responsables de l'attentat du 13 mars. Il est au contraire parfaitement prouvé, qu'aucun Polonais n'a trempé dans les attentats qui depuis trois ans se répètent en Russie.

Il y a plus: malgré les sévérités, disons le mot, exercées par Alexandre II sur les individus, les corporations et toute la société, sans excuser ces mesures aussi cruelles qu'impolitiques, on se rend compte de la disposition intérieure qui les a provoquées. L'empereur n'était pas d'un caractère ferme. Doué de cette bonté qui ne suffit nulle part, surtout pas sur le trône, il aurait voulu, nous le croyons, rendre ses sujets heureux. Il aurait voulu même adoucir l'état d'une population, qui depuis trois générations est le danger et la pierre de scandale des empereurs de Russie. Un régime de huit années à peu près rendit aux Polonais la sécurité personnelle, arrêta les provocations et les poursuites d'une police intéressée et vénale, ouvrit même aux aspirations du pays une sphère d'action, que les hommes les plus honorables s'empressèrent de remplir: et quand une conspiration, ourdie dans les sociétés révolutionnaires de l'Occident, poussa le pays au nom du patriotisme dans un mouvement d'effervescence d'abord, d'insurrection ensuite, l'empereur, porté par un sentiment aussi juste que politique, chercha à faire droit au voeux du pays et confia la mise en pratique de ses intentions, il faut le dire, généreuses, à un homme d'un grand caratère, d' une vaste intelligence, d'un coeur élevé et patriotique. Les faits sont connus, gravés en caractères de feu dans nos coeurs; je les rappelle, sans les apprécier ni entrer dans trop de détails. Tout ce que l'empereur voulait faire, peut-être tout ce qu'un Czar pouvait faire, il l' a fait: tout a été repoussé. Liberté de l'Eglise, institutions départementales et communales, la concession de la langue et de l'instruction nationales, rien n'a suffi, pas même la garantie donnée dans la personne d'un prince du sang, salué d'une balle à son arrivée. Pour juger un homme, il faut se placer à son point de vue. Quand le pays a répondu à toutes ces concessions par une insurrection désespérée mais persévérante, quand l'empereur s' est trouvé vis-à-vis d'une organisation puissante, qui terroisait l'opinion éconduite par une diplomatie mensongère, et quand l'homme, qui croyait de bonne foi représenter la Pologne et avait répondu de sa reconnaissance, s'est trouvé seul, abandonné par ceux-là même pour lesquels il sacrifiait son répos et exposé sa vie: lorsqu'il fallut en venir aux moyens de grande répression, l'empereur Alexandre ne sut pas conserver son équilibre moral. Trompé dans ses espérances généreuses, il fit ce que jamais un père ou un souverain ne doivent faire, il abandonna la Pologne aux exécuteurs de ses hautes oeuvres et leur laissa carte blanche, pourvu que la paix, n'importe à quel prix, fût assurée à l'empire. L' histoire de ces jours de septembre qui — hélas! — durèrent plus que ceux de 1792 et laissèrent des ruines plus désastreuses, n'est pas terminée. Chaque époque critique trouve ses hommes: ils n' ont pas manqué à celle-ci, le parti progressiste russe les a fournis. De même que les septem-

briseurs de Paris, ils se sont abbatus sur la société polonaise enchaînée et bâillonnée pour célébrer de longues saturnales.

Comme les révolutionnaires de la France, ils voulurent rompre avec le passé: églises, congrégations religieuses, langue, instruction publique, procédures, tribunaux, conditions de la propriété, ils ont tout bouleversé, et cherché à introduire dans tous les organes la maladie terrible dont la Russie commençait à ressentir les symptômes. Cet aveuglement d'une colère tenace laissa une sphère d' exercice et de developpement aux passions, aux principes et aux hommes, dont, sous peu, l'empereur devait être la victime.

Ce n'est certainement pas avec plaisir que vis-à-vis d'un crime exécrable et d'une famille souveraine dans la désolation, nous venons évoquer de tels souvenirs: le sentiment de vengeance, qui a porté le gouvernement à prolonger jusqu'à vingt ans l'exil de nos prêtres et de nos vénérables évêques, nous est étranger. En présence des sociétés de l' Occident, dont le niveau moral s'est abaissé au point de ne plus comprendre où commence l'injustice et de ne pas savoir s'en indigner, ce n'est plus la peine de relever ces vérités, qui ne passionent plus des coeurs généreux: si nous les exprimons, c'est dans l' espoir de les voir appréciées là, où l'on peut y porter remède: donc, aucun scandale dans nos paroles, et si les faits parlent trop haut, nous n'en serons pas responsables, décidés à nous contenir dans les bornes de la vérité la plus exacte. Encore un mot: Equitable dans l'appréciation non pas des actes, mais des motifs, qui ont inspiré l'action du pouvoir, nous réclamons pour nous le même sentiment de justice. Il est aisé de condammer aujourd'hui le parti conservateur en Pologne, quand on oublie que chaque conspiration, chaque mouvement, chaque insurrection se couvre de l'étendard de l'indépendance nationale; que la fidélité à cet étendard est sacrée pour tout coeur polonais; qu'il n'est pas un honnête homme en Pologne, qui discute la question de l'avenir de sa patrie, et que selon la belle expression du comte Działyński dans sa lettre monumentale adressée à l'empereur Alexandre II „le dernier Polonais vivant réclamera encore l'indépendance de sa patrie". J'abandonne les détails, j' arrive aux faits. S'il est une vérité pour un homme politique, c'est que le pouvoir ne saurait jamais contenir et régir les masses, que par l'intermédiaire des classes moyennes qui hiérarchiquement réagissent sur les populations.

Tout l'organisme de la société repose sur ce principe: écartez-le, et vous n'avez comme instrument gouvernemental qu'une bureaucratie, comme en France, ou qu'un absolutisme, comme en Russie. Les hommes, que l'empereur envoya en Pologne, reconnaissaient parfaitement ces vérités, et ils savaient très bien, que malgré l'action des partages, dirigée spécialement contre la noblesse, que malgré le nivellement qu'introduisit le code civil, il s' était conservé beuaucoup d'éléments organiques et hiérarchiques en Pologne. Leur colère s'en augmenta et c'est contre eux spécialement que l'action se dirigea: appauvrir les classes supérieures, ébranler la propriété, confondre dans la commune tous les rangs et introduire ainsi dans la société l'atomisme pour prélude au nihilisme, voilà ce qu'ils firent avec système et même avec passion. L'action législative et sociale n'aurait pas suffi:

les vieilles sociétés chrétiennes, spécialement catholiques, possèdent une organisation morale, qui suplée aux défauts de l'organisation politique. Il a fallu attaquer la hiérarchie de l'Eglise.

Il faut le dire: le clergé, dont on ne saurait assez louer le sentiment national, mal élevé dans des séminaires désorganisés, soupçonné pendant le règne de l'empereur Nicolas, entravé dans ses rapports avec le Saint-Siège, était juste dans les conditions nécessaires pour prendre le change sur les devoirs de sa mission. Beaucoup de prêtres, beaucoup trop sans doute, se laissèrent entraîner au courant par faiblesse ou ignorance; je suis le premier à l'avouer et à le condammer. Ce fut un prétexte pour exiler nos meilleurs évêques, pour interner sans espoir d'issue plusieurs centaines d'ecclésiastiques, qui depuis 18 ans gémissent au fond de la Russie, pour abattre d'un seul coup toutes les congrégations religieuses, pour réduire le clergé séculier à un ilotisme abrutissant; comme compensation le gouvernement laisse aux prêtres le droit de la révolte et de l'indiscipline à l'égard de l'autorité épiscopale. Dans cette longue énumération de mesures iniques, tout oeil exercé verra un but: abaisser le niveau et la considération du clergé, provoquer sa corruption, pour avoir l'occasion de le punir. *Iniquitas mentita est sibi ipsi.*

Comme toujours, ces mesures agirent en sens contraire, mais se n'est pas une raison pour absoudre un système, qui par l'introduction forcée d'une langue étrangère rend l'instruction et la justice impossibles. L' esprit d'équité comme l'esprit politique nous ordonnent de reconnaître l'abolition de la corvée et la propriété donnée aux paysans comme des mesures salutaires, nécessaires, sans oublier que c' est la grande propriété, qui les a provoquées et préparées.

Après 17 ans d'un tel régime, les autorités russes, imposées au pays, lui sont restées complètement étrangères: elles pèsent sans pousser racine. Aucun rapport moral ou organique ne les rapproche des populations: puissantes pour exciter des appétits, elles ne sauraient éveiller les sentiments de l'amour et de la fidélité. La stupide corruption des agents subalternes a cru, que la force matérielle, appliquée sans scrupule, pouvait tout obtenir: son action a eu pour résultat unique de créer dans les sphères de l'intelligence une école de philosophie positiviste, de sa nature cosmopolite, qui peut-être ferait bon marché de notre passé, mais certainement ne donnera pas de garanties pour l'avenir. Une grande erreur morale a accumulé toutes ces ruines: sans excuser, elle explique les phénomènes, qui nous effraient: mais pour en comprendre toute la portée il faut aborder un sujet, qui en réveillant à la fois et les plus grandes douleurs et les plus glorieuses espérances, nous transporte dans d'autres siècles, mais dans des conditions parfaitement analogues.

II.

Dans un traité, qui restera à tout jamais un monument d'éloquence, Lactance avait observé, il y a quinze siècles, que les persécuteurs de l'Eglise finissaient toujours par une mort tragique. Aucun de ces grands criminels ne périt de la main d'un chrétien. Tout au contraire: les exécuteurs des

arrêts de la justice divine devenaient souvent persécuteurs à leur tour. L' Eglise souffre et attend le jour du Tout-Puissant: il arrive tard, comme pour l'Anglettere par exemple, mais on peut attendre, lorsque, comme nous, on a les promesses de l'Eternité. Je chercherai à maîtriser mon émotion et à choisir les termes les moins blessants.

Chrétien et gentilhomme, j'ai le devoir, surtout dans un moment aussi solennel, de respecter la piété filiale, en restant dans les bornes de la convenance, de la modération et de la charité. L'empereur Alexandre II a pu se tromper; je crois qu'il s' est trompé dans l'application des mesures prises à l'égard de la Pologne. Le sentiment se révolte; l'esprit d'une équité supérieure n'excuse certainement pas, mais explique, comme on l'a dit, ces aberrations malgré qu'elles ont coûté tant de larmes et de sang. Les actes de cruauté, d'injustice, de fanatisme politique, commis à l'égard des uniates dans le royaume de Pologne, ne font pas honneur à la mémoire du défunt empereur et forment une tache sur la maison impériale qu'il faut effacer et faire oublier.

On le sait: l'Eglise ruthène orientale, uniforme à peu près quant au dogme avec l'Eglise romaine, differait quant à la discipline et à l'autorité. Dans les états de la république de Pologne une double union l'a fait rentrer dans le giron de l'Eglise. On sait également, à la suite de quelles persécutions les uniates de la Pologne et de la Russie Blanche aux temps de Cathérine II, et ceux de la Lithuanie sous le règne de Nicolas, furent forcés d'accepter au moins extérieurement le schisme. La constitution de 1815 comme toutes les lois postérieures garantissant au royaume de Pologne la liberté de conscience, les uniates, qui peuplaient à peu près exclusivement les gouvernements de Lublin et de Podlachie, fidèles à leur rite oriental et en même temps à l'autorité du Pape, exerçaient leur culte avec toute liberté et dans la communauté la plus intime avec leurs frères latins. Cette population, qui a conservé un dialecte tenant le milieu entre le russe et le polonais, se distingue par l'esprit d'obéissance, propre aux populations slaves, par une foi ardente et un respect de l'autorité, qui l'a rendue inaccessible aux tentations du parti révolutionnaire en 1863. La question politique est donc ici hors de cause, il n' y avait rien à punir, où il n'y avait pas de coupables: aussi bien, au jour où, l'insurrection étouffée, l'empereur Alexandre réunit dans un banquet à Pétersbourg les délégués des paysans de tous les gouvernements, interpellé par un paysan uniate du royaume de Pologne sur les dangers pressentis pour le rite uni, il prononça ces mots: „J'engage ma foi d'empereur comme quoi jamais je ne permettrai que votre religion soit menaçée par qui que ce soit et en quoi que ce soit". L'instinct populaire, rarement trompé, devinait le danger; il ne se fit pas attendre longtemps.

Ce qui rend difficile tout rapport de bonne foi avec le gouvernement russe, c' est — je cherche l'expression le moins blessante — c'est l'esprit d' astuce avec lequel il procède, lui et surtout ses agents. Jamais ils n' appelent les choses par leur nom: toujours il cherche à éconduire sur le but. Il en fut de même dans le procès, dont nous allons relever les actes. Ils sont volumineux: mais dans un travail, que l'on cherche à rendre aussi concis

que possible, on ne donnera que les détails absolument nécessaires pour juger, même pour comprendre la catastrophe, qui, si les informations que nous recevons dans ce moment sont vraies, n'est pas à son dernier acte.

Le zèle des uniates était éveillé et leur conscience inquiète depuis 1866, quand l'évêque Kaliński, exilé en Sybérie (décédé en route dans des circonstances que jamais on n'a su expliquer), fut remplacé par un intrus Wójcicki, auquel le gouvernement confia l'administration du diocèse, et que, sous prétexte de purifier les rites de l'Eglise uniate, on essaya d'introduire des changements extérieurs dans le culte auquel le peuple était habitué. Le peuple prit une attitude hostile, continua les chants traditionnels, défendit les orgues, que l'ont voulait éloigner, et le clergé opposa une résistance que le gouvernement s' expliquait par la circonstance, que Wójcicki n'avait pas l'autorité que peut uniquement donner le caractère épiscopal.

La cathédrale de St. Georges à Léopol possédait un prélat intelligent, hardi, peu scrupuleux, connu par sa haine violente contre la nationalité polonaise. C'était l'homme qu'il fallait: le gouvernement jeta les yeux sur lui et obtint auprès de la cour de Rome sa nomination canonique à l'évêché de Chelm. Monseigneur Kuziemski est mort: Dieu le jugera, on n'a pas le droit de scruter les secrets de son âme; mais sans rompre avec Rome, il fit tout pour préparer, faciliter, hâter l'introduction du schisme. Il chercha à effrayer les bons prêtres, éconduire les fidèles, et tout cela avec l'autorité que lui donnait son caractère. Cela fait — mystère impénétrable de la conscience humaine — il n'ose ou ne veut pas passer outre et quitte furtivement son diocèse pour rentrer en Galicie, laissant l'Eglise de Chelm dans ce désordre moral et hiérarchique, que l'incertitude et l'indiscipline provoquent toujours et qui préparent les esprits à la défection ou les exaltent par la vue du danger. La guerre faite, tantôt sourde tantôt violente, au rituel continuait. A mesure que les orgues étaient mis dehors, les chants interdits, les portes royales (forme essentiellement schismatique) introduites, une fermentation, qui allait en augmentant, bouillonnait dans les coeurs. Le gouvernement après la fuite de Mgr. Kuziemski chercha et trouva dans la personne du nommé Popiel un instrument de perdition, décidé à ne reculer devant aucun crime. Le terrain était préparé, les autorités locales et le ministère à Pétersbourg décidé: les hommes sans foi avaient le fanatisme de l'incrédulité et de la politique. Il s'agissait d'obtenir l'assentiment de l'empereur.

Popiel se rend à Pétersbourg au printemps de l'année 1873. Un conseil composé du grand-duc Constantin, du comte Berg, des gouverneurs de Siedlce—Gromeka, et de Lublin—Bodźkowski, du comte Schouwaloff et du prince Gortchakoff est réuni sous la présidence de l'empereur. Messieurs Gortchakoff, Schouwaloff et le gouverneur de Lublin s' expriment en faveur de mesures de douceur. Les voix, qui demandent l'exécution instantanée et forcée l'emportent. L'empereur à une heure néfaste de sa vie, ignorant sans doute de combien de larmes, de sang et de crimes cette décision sera suivie, signa le protocole de ces paroles sacramentelles: *„qu'il en soit ainsi"*.

Popiel, armé de ce terrible document, revient dans son diocèse, se met à l'oeuvre et lance une lettre circulaire, dans laquelle exposant les raisons doctrinales qui soi-disant doivent nécessiter l'unité du rite uniate et

schismatique, il ordonne, sous les peines les plus sévères, l'introduction dans le service divin de tout le rituel de l'église qui se dit orthodoxe. Le 1-er janvier 1874 est fixé pour l'exécution de cette mesure. Pour briser toute résistance, Popiel fait arrêter les curés connus par l'énergie de leur caractère et leur fidélité à l'Eglise: on procède à cette mesure avec une précipitation et une brutalité calculées pour intimider. Ce calcul trompa. Sur cent vingt-cinq curés, dix-huit faiblirent; les autres firent preuve d'un héroïsme d'autant plus admirable, que le clergé uniate, non obligé au célibat est presque toujours obéré d'une famille nombreuse; disons à l'éloge de leurs femmes, que toutes elles ont confirmé leurs maris dans leur résistance. Un but a été obtenu, les pasteurs furent séparés de leur troupeau. Mais l'esprit de Dieu, et ici nous parlons peut-être un langage peu connu, avait préparé ces populations si simples aux épreuves qui les attendaient. Leurs pasteurs absents ou intimidés ne pouvaient leur donner de conseil; la noblesse appartient au rite latin. Ces hommes admirables trouvèrent dans leur foi les lumières et les forces nécessaires. Lorsque après le 1-er janvier 1874 les cérémonies nouvelles furent introduites dans les églises et les curés intrus dans les paroisses, la population fuit les églises, chasse les pasteurs mercenaires, ferme les temples, emporte les clefs. Les autorités civiles prévenues arrivent avec une force militaire imposante: les fidèles entourent l'église dans une masse compacte. Interpellés par les fonctionnaires, ils répondent uniformément: que soumis en tout à l'empereur, ils ne peuvent manquer à leurs devoirs envers Dieu et leur conscience, et cela d'autant plus, qu'ils ont le témoignage de ceux d'entre eux, qui en 1865 ont été à Pétersbourg, que l'empereur avait garanti de sa parole sacrée l'intégrité de leur culte. Les autorités reculent; elles demandent de nouvelles instructions, qui arrivent, ordonnent de passer outre et d'employer la force. Les populations effrayées, appauvries par des garnisaires, qui avaient dévoré leur subsistance, espionnées par une police à laquelle rien n'échappe, s'étaient réfugiées dans les forêts, et c'est là que sous l'autorité des anciens des villages elles organisèrent un mode de résistance uniforme. A la nouvelle de l'approche de la force armée elles arrivaient en masse et entouraient l'église. Le fonctionnaire, commandant le corps d'exécution, réclamait les clefs et l'ouverture des portes. Les fidèles refusaient, alléguant que l'église était leur propriété et qu'ils ne la laisseraient pas profaner. Alors commençait cette lutte élevée, digne spectacle pour les anges, qui finit par le triomphe de celui qui ne craint pas de mourir. D'un côté les menaces, la baïonnette, les balles; de l'autre cette belle parole qui rappelle les premiers siècles de l'Eglise, prononcée à Drélon par Semen Paluk: „Tirez, si vous en avez le droit; nous sommes tous prêts à mourir; il est doux de donner sa vie pour la foi". Le capitaine Beck commande le feu, cinq martyrs tombent, percés de balles; le peuple fuit, poursuivi par le soldat, qui amène soixante prisonniers meurtris et battus, de tout âge et de tout sexe, dans les prisons de Biała et Siedlce. Ces scènes de carnage commencèrent le 17 janvier, elles continuèrent sur une plus grande échelle le 26 à Pratulin. Le chef de district, Kutanin, connaissait dans le village voisin de Derle un paysan qui exerçait une influence toute puissante sur les populations.

Il le fait venir et après lui avoir fait connaître la volonté immuable de l'empereur, lui ordonne de calmer l'exaspération du peuple. Pikuta, c'était son nom, prononce ces paroles: „Vous avez voulu, monsieur le chef, que je rapelle à ces hommes leur devoir: cela est inutile; ils le connaissent; une seule voie nous reste, c'est de rester fidèles à notre foi, quoiqu'il advienne de nos personnes. Je jure, Dieu me soit ainsi en aide, de mourir dans le sein de mon Eglise à l'exemple des martyrs". Cela dit, il est aussitôt empoigné par les gendarmes. La troupe avance contre le peuple, la baïonnette au bout du fusil, le peuple se défend en jetant des pierres; alors le lieutenant Stein commande un feu de peloton: le peuple se met à genoux et entonne l'hymne magnifique de *Święty Boże*. La troupe tirait à balles, le peuple continuait la prière, et ce n'est que quand quatorze cadavres furent étendus à terre, „que les chants avaient cessé". Leurs noms inscrits au Livre de la Vie se trouveront en note, pour garantir l'exactitude du fait.[1] Un mémoire comme celui-ci ne pouvant contenir trop de détails, ceux-là suffisent pour servir d'exemple, et caractériser les mesures, qui se succédèrent avec des épisodes plus ou moins héroïques à Łomazy, Rudno etc. Le peuple, qui dans son exaltation appelait ces exécutions „Jours de noce", était prêt à verser son sang, les survivants enviaient les morts, les mères encourageaient leurs fils; étonné, effrayé même, le gouvernement recula devant ces moyens et en inventa de moins sanguinaires, mais de plus infernaux encore. Les églises restaient désertes, le peuple ne demandait pas les sacrements et les administrait lui-même, les prêtres intrus exécrés; pour briser cette résistance, on imagina un système de garnisons et de contributions militaires qui dura plusieurs années. Que l'on se figure un village livré à la discrétion d'une compagnie de soldats: bientôt ruinés, réduits à la famine, les habitants cherchèrent le repos dans les forêts pour éviter les tortures auxquelles ils étaient soumis par des monstres comme Goubanine, qui inventèrent un nouveau supplice en forçant la population de tout un village à passer la nuit en plein champ sans aucune protection contre 18 degrés de froid. Les bastonnades étaient à l'ordre du jour, suivies souvent de la mort des victimes: l'auteur de ce mémoire a parlé à une soeur de charité, qui lui avoua n' avoir jamais eu à soigner des blessures aussi affreuses que celles qu'avaient occasionné les exécutions sur les uniates. Comment s'étonner, que dans une population exaspérée avec intention un vertige maladif s'emparât des esprits? „L'empereur l'ignore", répétait ce peuple qui ne savait pas se rendre compte de la cruauté de pareils procédés; aussi lorsqu' Alexandre II arriva à Varsovie en juillet 1874, les paysans uniates, trompant la vigilance de la police, pénétrèrent jusqu' à la personne du souverain, auquel une femme remit un mémoire qui finissait

---

[1] Morts à Drélon: 1) Semen Paluk, 2) Théodore Bocian, 3) André Harytoniuk, 4) Jean Romaniuk, 5) Paul Kozak.

Morts à Pratulin: 1) Daniel Karmaszuk, 2) Luc Bojko, 3) Barthélemy Osypiuk, 4) Constantin Łukaszuk, 5) Onufre Wasyl Tiuk, 6) Philippe Kuryluk, 7) Constantin Bojko, 8) Nicéphore Chryciuk, 9) Ignace Franziuk, 10) Maxime Hawryluk, 11) Jean Andrzejuk, 12) Michel Wawrzysiuk, 13) Albert Leoniuk.

par ces paroles: „Le mal qu'on nous a fait, Sire, a sans doute été fait à Votre insu, car si Votre Majesté permet dans ses Etats même aux païens de louer Dieu à leur manière, comment lui serait-il possible d'autoriser la persécution des chrétiens unis?" Plusieurs milliers de signatures s'étaient apposées à ce mémoire.

Le 11 juillet 1874 le gouverneur-général comte Kotzebue annonça au nom de l'empereur aux députés la proclamation suivante: „que selon le bon plaisir de Sa Majesté il ne pouvait être donné satisfaction aux prières des uniates, lesquels, fidèles à leur souverain, après avoir accepté les changements apportés au culte, qui n'étaient qu'un retour au rite antique, devaient revenir aux sentiments d'humilité et de soumission, qui les ont toujours distingués".

On ne pouvait se faire illusion, il n'y avait plus rien à espérer.

Le nommé Gromeka, alors gouverneur de Siedlce, était un de ces hommes, comme les époques de décadence en produisent: cruel à froid, intéressé, astucieux, capable de tout crime pour assurer sa carrière, secondé par l'infâme Popiel, sur les intentions du gouvernement, il recommence la campagne avec l'aplomb que lui donne la pensée aujourd'hui connue du maître. Inutile de donner les détails de cette recrudescence dans la persécution; l'imagination fatiguée, on serait porté à soupçonner d'exagération, si les faits, les noms, les lieux n' étaient trop bien connus. A cette heure suprême une main courageuse et dévouée apporte des exemplaires de l'encyclique de Pie IX du 23 mai 1874. Distribuée parmi les fidèles, elle confond le mensonge officiel, qui en appelait aux bulles, réglant le service divin de l'Eglise d'Orient et retrempant la foi et le courage.

Mais c'était trop pour la nature humaine, plus capable de résister aux tourments et à la morts qu'à la lenteur d'une lutte de tous les instants, et cela surtout dans l'isolement dans lequel étaient maintenus les habitants par les garnisaires, ceux-ci rendant impossible tout contact non seulement avec les prêtres, mais encore entre les habitants du village.

Dans deux paroisses, celle de Kodeniec et de Wereszczyn, de mauvais prêtres annoncent au gouverneur Gromeka que leur troupeau demande à revenir au schisme. Le peuple proteste: des commisaires spéciaux, parmi lesquels on regrette de recontrer le nom du comte Baranow, arrivent pour constater le fait: leur grade d'officier et leur qualité de gentilhomme ne les empêche pas de porter un faux témoignage; les deux paroisses sont déclarées prêtes à rentrer spontanément dans le schisme. J'ignore si ceux qui liront ces pages ressentiront l'émotion que j'éprouve en les écrivant: mon ceur se brise, il me tarde d' arriver à la catastrophe. Après la défection de deux paroisses et dans chacune d'elles on pouvait trouver quelques mauvais sujets prêts à vendre leur conscience, le zèle des autorités ne connut plus de bornes. Des détachements de troupes se succédaient dans les campagnes: les exécutions commençaient, les signatures suivaient. Lorsque, comme il arriva souvent, une protestation héroïque se faisait entendre, les récalcitrants étaient notés ou emprisonnés comme coupables d'excitations à la révolte, puis menés prisonniers à Siedlce ou Biała et déportés!

Leur nombre est inconnu, certainement il n'y en a pas eu moins de quatre cents. En automne 1874 deux transports, l'un de 140, l'autre plus de 120, furent expédiés par un convoi de chemin de fer: les hommes arrachés à leurs familles, à leurs propriétés, à l'exercice de leur religion, dirigés directement du cachot sur le débarcadère, consolaient leurs femmes et leurs enfants, réconfortaient leur foi, et le visage serein comme les chrétiens des premiers siècles, montaient en wagon; on n'entendit plus que leurs cantiques dominant le sifflet de la locomotive, qui les emportait... Où sont-ils?... Sous la main de Dieu — ils ne maudissent pas, ils prient et ils souffrent, mais le sang et les larmes de ces petits appellent les foudres qui frappent, quoique souvent bien tard, les grands de la terre. Le moment suprême ne se fait plus attendre: l'empereur apprend avec satisfaction, que les uniates demandent à rentrer dans l'église russe schismatique et accorde son consentement. Le 12 janvier 1875 le gouverneur Gromeka et l'archevêque schismatique de Varsovie, Joanicius, arrivent à Biała, escortés de plusieurs compagnies d'infanterie. Le doyen du lieu, l'apostat Liwczak, de concert avec le chef de district, Aleszko, avaient sommé les paroisses d'envoyer au moins trois des leurs dans les bureaux du district. Le 12, dans la matinée, ils arrivent et sont prévenus de l'acte solennel qu'ils doivent remplir dans l'église. Toute fuite est impossible, car une double haie de soldats garnit la route. A l'église l'infâme Gromeka fait lecture de l'*oukase*, qui permet la rentrée dans l'église schismatique. Le peuple couvre sa voix de sanglots, que les journaux russes interprètent comme des pleurs de joie. Un homme ne s'y trompa point. L'archevêque schismatique de Varsovie, Joanicius, était un homme de bien. Voyant le désespoir du peuple, il prononça après la cérémonie les paroles suivantes: „Ces hommes sont de véritables martyrs!"

Des actes également repoussants et sacrilèges furent célébrés à Janów et à Zamość. Tout était consommé — mais se n'était pas encore la fin des souffrances de cette population. Depuis cinq ans et jusqu' à ce jour, elle est soumise au même système d'espionnage, de répressions et de contributions. Elle fuit les églises, évite les sacrements et donnera peut-être bientôt le scandale d'une secte d'indépendants ou de sacrementaires sans hiérarchie ni discipline. Le fanatisme qui s' acharne après l'Eglise catholique, soit latine, soit ruthène, n'a pas sa source dans une croyance dogmatique. Les hommes qui depuis 1864 lui ont fait tant de mal, sont — nous pouvons le dire sans leur faire du tort — des incrédules. L'église ainsi dite orthodoxe est pour eux un instrument politique, un symbole de patriotisme; alors que l'esprit l'abandonne, ils tiennent davantage à son hiérarchie et à son mécanisme; on n'est russe, on n'est citoyen qu'à condition de lui appartenir, toutes les populations soumises politiquement à la Russie doivent reconnaître moralement cette suprématie, idéal de l'école panslaviste.

III.

Après avoir raconté ce drame lugubre, dont les acteurs se dessinent comme des spectres au horizon sanglant de la capitale moscovite, on se demande à présent ce qui va advenir? Il n'appartient pas à un homme en dehors des grandes affaires de donner des conseils, bien faciles lors-qu'on n'a pas la responsabilité des actes; mais il y a des principes absolus que la morale chrétienne proclame et que l'histoire confirme, ils offrent un issue même dans les positions les plus difficiles. Alors si, par malheur, on ne peut plus sauver la société, au moins faut-il sauver son honneur et sa conscience. L'empereur, par un mouvement spontané de sa sagesse, voudra-t-il donner une charte constitutionelle à la Russie avec tout l'appareil du parlementarisme, dont on ne sait trop où chercher les éléments? Intimidé par une minorité audacieuse et fanatique, qui avec toutes les formes du respect et de la conviction n'exige ni plus ni moins dans son manifeste du 4 avril, que le bouleversement de la société russe, essaiera-t-il d'un compromis au prix d'une amnéstie extorquée? Ou bien enfin va-t-il se jeter dans le parti panslaviste qui lui promet l'appui du peuple, la durée de l'autocratie et la domination des sociétés corrompues de l'Occident? (Axakow). Sur chacune de ces routes il recontrera le devoir de la justice et peut-être aussi les conseils d'une sage politique.

La nationalité polonaise représente, par son nombre et le territoire qu'elle occupe, une minorité tellement insignifiante comparée au développement colossal de l'empire, que l'on pourrait être justement étonné de voir revenir si souvent dans la presse, et même dans la pensée des hommes d'état russes, la question de l'entente et du mode d'existence avec les Polonais. Qu' est ce que cela prouve? — Cela prouve, qu'il s'agit ici d'une question de droit, dont la puissance ne repose en aucune façon dans les forces numériques de la nationalité polonaise. Entente ne veux pas dire fusion: ne demandez pas à la génération actuelle plus qu'elle ne peut et ne doit donner: il suffit qu'elle accepte de bonne foi la position que les événements, résultants de ses fautes, lui ont imposée. Laissons le reste à l'avenir dans la conviction qu'il sera rendu à chacun selon ses oeuvres. Il ne faut ni vouloir deviner ni trop prévenir les temps; à chaque jour suffit son mal. L'empereur, le gouvernement, chaque parti raisonnable en Russie, doivent désirer cette entente.

Au lieu d'en parler, commencez. Faites-nous justice, et en vérité c'est plutôt vous-mêmes, que vous servirez, en effaçant l'odieux de certaines mesures, qui déconsidèrent votre patrie. Et d'abord retirez l'oukase du 10 décembre, qui réfusa aux catholiques, propriétaires immémoriaux du sol, l'exercice de droits que la diplomatie de l'Europe garantit aux juifs de la Roumanie.

Reconnaissez ensuite les droits de la langue polonaise: il faut bien que la haine et la crainte aveuglent, pour que des hommes, ne disons pas politiques, mais réfléchis, puissent admettre, qu'on fasse oublier une langue civilisée, parlée et écrite depuis des siècles. On peut à la longue corrompre un idiome et accumuler des ressentiments séculaires, mais sub-

stituer une langue à une autre — jamais. Enfin et surtout rétablissez la paix dans les consciences en rendant la liberté à l'Eglise catholique. Ne cherchez pas à en imposer au monde et à vous-même en parlant de tolérance, lorsque nos évêques et nos prêtres sont en exil, nos couvents fermés, nos curés internés dans leurs paroisses, et que vous avez forcé une population qui résiste depuis huit années à changer de rite. Soyez de bonne foi — ne parlez pas de retour spontané, ayez le courage d'avouer votre but et votre erreur.

Lorsque de cette manière vous aurez rétabli le règne du droit dans l'ordre économique, social et religieux, nous vous croirons, quand vous parlerez d'entente. Et ici nous ne parlons pas de liberté politique, remarquez-le bien, nous parlons de ces droits inhérents à la nature humaine, que le conquérant le plus absolu est tenu à respecter.

Après tout, de quoi s'agit-il? D'une théorie qui flatte l'amour propre national et qu'un parti radical escamote à son profit. L'unité de l'ordre politique et religieux doit être le privilège et la force de la Russie. Combien avez-vous d'hommes et même de prêtres, qui croient à la mission divine de l'église schismatique, ou — si vous le voulez — orthodoxe? Vous nous l'imposez donc comme symbole de russification, c'est-à-dire, que vous employez les moyens les plus dégradants de l'intérêt et de la crainte pour faire de nous ce que vous êtes ou ce que sont vos agents dans notre pays, des incrédules et des hypocrites.

Y a-t-il aujourd'hui encore des hommes voulant comprendre ce qui va suivre? Le fanatisme aveugle monsieur Axakow. Malgré ses paroles si fières, la Russie est malade. Sans croire que la conspiration nihiliste puisse révolutionner l'empire, convenez que la difficulté d'en venir à bout ne témoigne guère de l'énergie des forces morales. Nous croyons avoir la clef de la politique Axakow-Ignatieff.[1] Déverser sur l'étranger — l'étendard slave en tête — la chaleur de la fièvre dévorante les forces vitales.

Ce moyen n'est pas de tous les jours, en tout cas il est trop prématuré, comme le prouvent la guerre de Turquie et le traité de Berlin. Il en faut donc un autre, quelque principe qui triomphe dans le gouvernement, et je désire, que ce soit le principe monarchique. Ce moyen consiste dans la liberté religieuse, sinon proclamée, au moins pratiquée dans l'empire. Admettez-la, et Rome consentira aussitôt à l'introduction de votre langue dans le rituel. La réclamer comme on fait aujourd'hui, quand un seul Russe ne peut pas se dire catholique, est tout simplement vouloir obtenir un moyen pour préparer les populations au schisme.

La tolérance accordée à l'Eglise catholique introduirait dans la société russe un élément spirituel d'autant plus nécessaire, que le Russe est instinctivement religieux. Si la Russie n'entre pas dans cette voie, nous craignons, sans prendre le ton si facile et si ridicule du prophète, qu'elle

---

[1] Nous connaissons fort bien la nuance qui caractérise et sépare ces deux noms, et pourtant nous les plaçons l'un à côté de l'autre, car par la force des choses ils seront poussés et pousseront dans la même voie. L'empereur n'a pas reçu Mr. Axakow après son dernier discours: nous le savons, mais nous craignons, que malgré cela il sera forcé de le subir.

ne tombe dans des difficultés inextricables d'autant plus importantes, qu'elles peuvent réagir sur la Pologne et l'Europe toute entière. Mais c'est l'affaire des hommes d'état et des hommes de parti de la Russie: puissent-ils influer sur une volonté auguste, qui tout en respectant le souvenir d'un Père vénéré, doit être portée par ce respect même à redresser des torts commis de bonne foi peut-être, mais préjudiciables à la mémoire de l'empereur et au bien de l'empire.

Justice pour les uniates du royaume de Pologne! Nous adressons ces paroles à l'empereur, aux hommes d'état, aux patriotes de la Russie: cette justice, c'est la liberté de conscience dans le rite, l'autorité et les dogmes; c'est la cessation immédiate de tout moyen coercitif: et l'on verra, si ces populations sont volontairement, comme il plaît de le dire, revenues au schisme.

J'ai lu bien longtemps le livre de la vie; d'aventure il m'est arrivé de lire quelques autres livres encore: je n'ai donc pas l'illusion de croire que des paroles, même vraies, jetées au hasard, pourront influencer le cours des événements, faire revenir sur des préjugés, provoquer une appréciation équitable; et pourtant je livre ces réflexions à la publicité, avec l'espoir de rencontrer dans des sphères même élevées quelque âme noble, intelligente et impartiale pour les recueillir, les comprendre et les mettre à profit.

Varsovie, ce 15 avril 1881.

Réflexions finales.

Depuis 1860 une guerre à outrance contre toutes les religions dogmatiques avait été arrêtée dans les hautes sphères de la conspiration européenne: Mr. Gambetta dans son dernier discours vient d'en proclamer le triomphe. Déjà un prince du sang, Bonaparte, donnait aux Polonais le conseil d'entrer en masse dans les sociétés secrètes et de s' assurer ainsi leur concours. D'abord il a été question de mettre la main sur le clergé schismatique: on avait encore besoin du clergé catholique en Pologne pour remuer les masses, son tour devait venir plus tard. Les cours des événements trompa ces calculs. D'un côté les éléments n'étaient pas arrivés en Russie à leur maturité, de l'autre — le gouvernement sut avec beaucoup d'habileté fanatiser le patriotisme. L'antagonisme national et l'esprit de secte fit-le reste. J' explique ces dernières paroles. Quand les nihilistes russes, dont on ignorait même le nom, vinrent à s'apercevoir que la passion nationale, et non pas sociale, était le véritable moteur du mouvement en Pologne, que les débris de la noblesse prenaient part au mouvement ou le dirigeaient, ils l'abandonnèrent, le combattirent même, comme un mouvement avorté, et prirent leur revanche, après que ce pays leur eût été livré en 1864.

Il n'est pas facile de débrouiller et de suivre le fil de ces menées ténébreuses, et pourtant elles doivent être connues pour ne pas dire des énormités comme le font certains journaux de Berlin et Moscou, qui s'efforcent de nous rendre moralement responsables du crime de Péters-

bourg. Si Mr. Katkoff ou Mr. Pintter avaient été à Varsovie en 1861, ils sauraient, — ah mon Dieu, ils le savent mieux que moi — que le souffle révolutionnaire le plus dangereux, brûlant comme le Simoon, nous venait de l'Orient: de Kiew, de Charkoff, de Moscou. Ils savent que ce dévouement sombre, cette persévérance satanique, cet absolutisme aveugle dans le commandement et dans l'obéissance qui épouvantent dans les conspirations russes, ne se rencontre pas dans notre caractère. La Prusse est dans son rôle. — Mr. Katkoff, soi-disant slave, qu'a-t-il à faire dans cette sale intrigue?

IX.

Memorjał

wręczony cesarzowi Franciszkowi Józefowi

(z dnia 10 kwietnia 1885 r.)

(Do str. 195)

Nie przesądzając prawdopodobieństwa wybuchu wojny z sąsiadem północno-wschodnim, pragnę tu przedstawić J. C. Mości parę uwag, które, nietykając bezpośrednio polityki, mogą być jednak użytecznemi, w chwili, gdy się rozstrzygają kwestje najwyższego znaczenia dla Monarchji.

Uważam to o tyle za swój obowiązek poddanego, że nie zawsze oficjalni zastępcy danego Państwa, mimo swojego uzdolnienia i najlepszej woli, są w stanie dotrzeć do podwalin społeczeństwa i poznać prądy ścierające się w jego łonie i kierujące opinją.

W obecnej chwili Austrja nie miałaby żadnego interesu w wojnie z Rosją, choćby nawet w łączności z cesarstwem niemieckiem, jest to jednak do przewidzenia, że Rosja, prędzej czy później, ją wywoła. Przeżarta wewnętrznym rozstrojem, zapragnie napewno, idąc za instynktem przebiegłej polityki, pozbyć się na rzecz najbliższego sąsiada rozkładowych elementów, które ją nurtują. Stan finansów państwa nie wchodziłby tu w grę: kto zna dzieje Rosji, wie, że nigdy ten wzgląd nie wstrzymał rządu w jego poczynaniach; niewyczerpane bogactwa naturalne tego kraju gwarantowały mu zawsze kredyt nieograniczony. Dlatego też mąż stanu rosyjski może w danej chwili bądźto posłużyć się prądem panslawistyczno-prawosławnym, bądź, tym prądem zmuszony, wybuch przyspieszyć.

Społeczeństwo rosyjskie cechuje patrjotyzm, który w chwilach niebezpieczeństwa, upatrując jedynie interes caratu czy prawosławia (dobrze czy źle zrozumiany), dochodzi do fanatyzmu, i jest zdolny oporu, którego w ciągu dziejów niejeden dał przykład.

Wojna, któraby ulżyła losowi ludności polskiej, tak gnębionej pod jarzmem rosyjskiem politycznie i religijnie, lub któraby ją w swym wyniku połączyła z Austrją, byłaby w mojem pojęciu tak błogosławioną, że gotówbym ofiarować krew swoją i dzieci moich dla tego wyniku.

Nie chodzi tu jednak o osobiste uczucia lub ofiary, — chodzi o stokroć ważniejsze zagadnienia narodowe, polityczne i dynastyczne, chodzi o policzenie się z siłami, na których możnaby się oprzeć, i o ocenę energji i równowagi tych sił w okresie ostatnich lat pięćdziesięciu.

Każde państwo w przewidywaniu wojny z Rosją bierze w rachubę domniemany ruch powstańczy Polski; nawet Prusy nie tworzą tu wyjątku, co się tak niedawno w Poznańskiem ujawniło. Wyrachowanie to jest słuszne; chodziłoby tu jednak o to, by Wasza Cesarska Mość był dokładnie poinformowany o charakterze i stanie tego ruchu, w czem właśnie sądzę być lepszym znawcą położenia, niż oficjalni przedstawiciele rządu.

Prowincje, na które zazwyczaj najwięcej się liczy na wypadek wojny z Rosją, to Wołyń, Podole i Królestwo Polskie, — tj. prowincje, gdzie właśnie najgwałtowniejszy opór uciemiężonych wybuchał tak w r. 1812, jak w r. 1830 i 1863.

Pozostawiony samemu sobie, element polski musiał z nich wychodzić osłabiony.

Rosja, z wrodzoną sobie przebiegłością rozumiejąc to dobrze, że jedynie katolicyzm był przeszkodą w assymilacji szczepów, w gruncie słowiańskich, kierowała całą swoją usilność ku ujarzmieniu Kościoła. W r. 1795 (Katarzyna II) trzy miljony katolików zostało przemocą włączonych do prawosławia, — w r. 1856 (za Mikołaja) drugie trzy miljony uległo temu samemu losowi na Litwie. Prócz tego konsekwentny system wysyłki na Sybir, kar cielesnych, konfiskat, odniósł do pewnego stopnia zwycięstwo nad stałością w wierze, niecofającą się w wielu wypadkach przed męczeństwem. Dziś ludność ta w trzeciem i czwartem pokoleniu jest schyzmatycką, bądź z przekonania, bądź z przyzwyczajenia.

Długi czas jeszcze drobna szlachta i mieszczanie, rozrzuceni wśród tych olbrzymich obszarów, po miasteczkach i wsiach, gdzie znajdowali oparcie o większą własność polską, reprezentowali tam żywioł narodowy, a z nim łaciński obrządek. Po roku 1863 wszakże, wskutek prześladowań, deportacyj, konfiskat, tak większych jak i drobnych właścicieli, wreszcie ukazu z roku 1864, prowincje te, będące Egiptem Polski, powoli zruszczały.

Nieznaczny procent właścicieli ostał się i utrzymał pewne znaczenie, ale zależąc materjalnie od łaski urzędników i od dobrej lub złej woli roboczej ludności miejscowej, są oni w każdej chwili narażeni na utratę mienia, a nawet i życia. Polegać zatem bez zastrzeżeń na tych prowincjach nie należy, mimo ich ogromu i bogactwa, gdyż wojska nasze zastałyby tam wrogie usposobienie, któregoby znany antagonizm Rosjanina wobec Małorusina nie równoważył. W Galicji mamy tego przykład jaskrawy.

Królestwo Polskie przedstawia zgoła odmienne położenie i charakter.

Kraj ten, liczący sześć miljonów mieszkańców, o ludności jednolitej, prócz nieznacznej liczby spolszczonych Rusinów, zachował aż do roku 1863 wszystkie tradycje narodowe w zakresie politycznym i religijnym. Życie narodu wszakże pod pręgierzem wrogiego ucisku rozwijało się nienormalnie; — robota podziemna związków tajnych, rzucających się zawsze na organizmy chore, minowała społeczeństwo, toteż dwukrotnie w ciągu lat trzydziestu popełniło ono fatalne błędy, których bezpośrednim skutkiem była

w r. 1830 utrata ostatnich śladów bytu politycznego, zaś w r. 1863 szereg eksterminacyjnych zarządzeń, jakich w historji niewiele przykładów znajdujemy. Czynownictwo i rusyfikacja zaczęły stosować równorzędnie znane swoje metody: jedno pastwiło się głównie nad wiarą i językiem, drugie nad warstwą posiadającą, urzędami i stosunkami społecznemi. Od dwudziestu lat kraj zmaga się w tej nierównej walce, i trwa dzięki jeszcze pozostałym w nim zasobom, płynącym z praw politycznych, z których najdłużej korzystał, — ale i tam już groźne zmiany wewnętrzne się zaznaczają, i te właśnie odsłonić należy — szczerze, acz nie bez bólu — najwyższej ocenie.

Przed pół wiekiem wystarczało znać usposobienie i opinje warstw wyższych w społeczeństwie, — dziś, gdy się liczyć zaczynamy z masami, ocenić przychodzi, co zresztą jest nader trudnem, jakie są instynkta ludu. Lud zatem w Królestwie Polskiem, twierdzić to mogę, religijny, przywiązany do łacińskiego obrządku, był jednak wystawiony ze strony rządu na tyle pokus, że jego etyka musiała być na szwank narażona. Z jednej strony łudzony nadzieją, raz po raz ponawianą, nadania ziemi panom odebranej, z drugiej drażniony przeciągającemi się i z umysłu niezałatwionemi układami o serwituty, dzięki tylko swemu uczciwemu i pokojowemu z gruntu charakterowi dotąd nie zerwał wątłej zapory, przez nieudolną w gruncie rzeczy policję stawianej. W razie wojny jednak ręczyć nie można, czy, odpowiednio przez długie lata nastrojony, nie stanie się powolnem narzędziem w rękach rządu. Wszystkoby tu zależało od roztropnej inicjatywy i silnej ręki, działającej przemożnie na naturę słowiańską. Można przypuszczać, że wojsko, któreby weszło do Królestwa Polskiego dzierżąc sztandar Jego Apostolskiej Mości, pociągnęłoby lud za sobą i powstrzymało wybuch namiętności dotąd rozbudzanych, a których nie chciano ani umiano zaspokoić.

Ważniejsze wszakże, to zbadanie nastrojów warstw oświeconych i kierujących — w Polsce grających tak przeważną rolę.

Szlachta, utrzymująca się jeszcze na roli, zachowała tradycyjną gorącą miłość Ojczyzny i mimo niezwykle trudnych warunków, w jakich pozostaje, zachowała pewien wpływ na ludność, a to dzięki umiejętnej pracy na roli, udziałowi w zadaniach gminy i sądownictwie (wybieralnem), gdzie może rozwinąć jeszcze pewną działalność i inicjatywę.

W stolicy, gdzie się koncentruje całe życie polityczne kraju, wpływ szlachty ograniczony jest wstecznemi prądami natury filozoficznej z jednej strony, a z drugiej strony skrępowaniem w kwestjach finansowych, spoczywających wyłącznie w rękach żydów. Żyd polski, ze zwykłą sobie przebiegłością, wyzyskuje istniejący stan rzeczy, by mniemanym patrjotyzmem uzyskać miejsce w społeczeństwie a zręcznością w interesach utrzymać się przy sterze. Płacąc zdawkowy haracz uczuciom patrjotycznym, nie spuszcza tego z oczu, że powodzenie w handlu, wielkie obroty i wielkie zyski ma wyłącznie do zawdzięczenia sojuszowi z Rosją. Objaw to pierwszorzędnego znaczenia, nad którym warto się dłużej zatrzymać.

Należy mieć na uwadze, że przemysł rosyjski, zabezpieczony komorami celnemi, jedynemi w swoim rodzaju, na świecie — a więc nielękający się konkurencji i sięgający od Wisły do Japonji — stworzył fortuny olbrzymie, które, mimo że w Warszawie spoczywają w rękach żydowskich, przecież do

pewnego stopnia oddziaływują dodatnio i na własność ziemską. Wzbogacona ta warstwa lgnie do Rosji, może nawet mimowolnie, szerzy materjalizm i popiera milcząco partję, nietyle wpływową ile liczną, polityków rosyjskich, marzących i dążących do konstytucji dla Rosji. Ten to fałszywy liberalizm paczy sumienie i kusząco działa na inteligencję polską. Czy można się temu dziwić? Czy nie jest to zrozumiałem, że społeczeństwo zostawione samo sobie, nękane bezwzględną rusyfikacją, zagrożone w swych wierzeniach, w swych dążnościach moralnych i społecznych, szuka możliwego *modus vivendi* i przyjmuje program partji, która zdaje się rękojmią wolności i cywilizacji. Partja ta działa, ma swoje dzienniki, swych agentów i zwolenników w Petersburgu, wybitne talenta ma na swe usługi, a wpływami swemi dociera do Warszawy, Krakowa, Lwowa, zyskuje adherentów bądźto między dawnymi zwolennikami polityki margrabiego Wielopolskiego, bądź wśród tego rodzaju liberałów, którym formy konstytucyjne wystarczają. Spotyka się między nimi w Warszawie przemysłowców, adwokatów, sędziów, lekarzy wybitnych — wszyscy zwerbowani sprytem rasy semickiej.

Pozostaje wkońcu jeszcze grono ludzi zasad, wszędzie nieliczne, ale znaczące wpływem swoim na warstwy ludowe, jeszcze nie zarażone. Składają się na nie rodziny bądź ze starej szlachty, bądź z bogatych mieszczan, uczonych i t. d., które zachowały obok głębokich przekonań religijnych szczere przywiązanie do przeszłości, obce wszystkim ideom rewolucyjnym; z trzeźwą oceną rzeczy, nie marzą w tej chwili o samoistnym bycie narodowym, dziś nieziszczalnym, ale pragną jedynie utrzymania języka, tradycyj, pamiątek, w takiej formie, którąby dawała gwarancję trwałości. Nie wątpię, że ludzie tej kategorji bez wahania złożyliby uczucia, jakiemi przesiąkli, u stóp monarchy i dynastji jedynej dziś w Europie. Z jednem wszakże zastrzeżeniem — bo tu chodzi o byt osobisty i całego kraju, — że w danym razie nie zostaliby odosobnieni i że przyszłość ich zawisłaby nie od powodzenia oręża — nigdy nie pewnego, — ale od roztropnej polityki, poręczonej pięcioma wiekami istnienia.

Stosunek Austrji do cesarstwa niemieckiego grałby tu rolę przewodnią. I to pewna, że o ileby wchodziło w grę, albo nawet było tylko prawdopodobnem, odstąpienie Królestwa Polskiego Prusom po Wisłę, cały kraj bez wahania stanąłby po stronie Rosji. Prozelityzm religijny schyzmy czy kulturkampfu mniej więcej tę samą gra rolę. Jest jednak stwierdzone doświadczeniem, że przemoc, wywołująca opór moralny ludności polskiej a stosowana przez Rosję, mniej jest niebezpieczna, niż podstępne działanie polityki pruskiej.



SPIS NAZWISK

(Pominięto nazwiska wzmiankowane ubocznie)



TREŚĆ:

ANEKSY:

